



<http://www.royal.gov.uk>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

ZASADY I CZYNY.

POWIEŚĆ.

przez

Waleryę Marrene (Morzkowską).

BAD.

WICH PAN

ul. Nowy Świat Nr 72
00-350 Warszawa

Tel. 26-68, 63, 26-52-31 w. 42

W A R S Z A W A

Nakładem Redakcyi „Przeglądu Tygodniowego“.

1875.

Dodatek do Nr. 22-go Przeglądu Tygodniowego.



Дозволено Цензурою
Варшава, 7 (19) Мая 1875 г.

2166

W drukarni Przeglądu Tygodniowego w Warszawie,
ulicy Czystej Nr. 2.

<http://rcin.org.pl>

Wśród zapadłych równin Podlasia, w okolicy pełnej sosnowych borów i łąk zielonych, ciągnących się szmaragdowymi pasami nad brzegami rzek, wznosiła się wieś Luborz, odwieczna siedziba hrabiów Luborzewskich.

Należało do nich niegdyś wiele wsi i miasteczek okolicznych, a zamek w Luborzu panował nad ubogiem siołem, które go otaczało całym przepychem i blaskiem, jakim jaśniała zamożna rodzina.

Z koleją czasu jednak rodzina podupadła, wieś po wsi odrywała się od Luborzewskiego klucza. W czasie wojen niszczących kraj, zamek obrócony został w perzynę, tak że tylko kupa gruzów porosłych bujnemi chwastami, świadczyła o miejscu gdzie wznosiły się niegdyś jego mury.

Właściciele wówczas postawili sobie stosownie już do zmniejszonej zamożności, wielki dwór mo-

drzewiowy, wyglądający jeszcze dość okazale, ale który dzisiaj znowu zdawał się zbyt wspaniałym na coraz szczuplejszą fortunę swoich mieszkańców.

Zczerniałe ściany jego chyliły się do upadku, wysoki dach pełen załamków i kondygnacyi, zielenił się od pasożytnych porostów, które go obśiały, a powybijane szyby w górnych pokojach i niektóre okna zabite deskami, świadczyły że część domu oddano na mieszkanie puszczykom i nietoperzom. W nocy też szelest ich skrzydeł i złowrogie krzyki, przerywały jedynie ciszę panującą zwykle, nawet w części domu więcej szanowanej przez czas i do której schronili się dzisiejsi właściciele.

Na około domu ciągnął się ogród duży cienisty. Pełno tam było starych drzew, odwiecznych grabowych szpalerów, kasztanowych alei, tak że w lecie w południe nawet, nie dochodziły tu nigdy słoneczne promienie.

W pośród szpalerów stały tu i owdzie drzewa owocowe, zarosłe mchami, z korą popękaną od starości, chylące się do upadku, jak wszystko tutaj, gdzie nie gdzie tylko otoczone całym pokoleniem młodych płonek wyrosłych z korzeni, lub wysianych

przypadkowym sposobem. Krzaki porzeczek, agrestu i malin, na wpół zdziczałe i pełne pokrzyw, wznosiły się pomiędzy niemi jak kępy chwastów, rozpościerających się tu z zupełną swobodą.

Widocznie założyciele tego ogrodu najmniej troskali się o estetykę, a następnie też nikt nie miał woli ani możliwości o niej pomyśleć. Szpalery i ulice nie znały gracy, a drzewa ręki ogrodnika. Wszystko tu było pozostawione naturze. Więc zamiast owoców wisiały na jabłoniach i gruszach sploty dzikiego chmielu, bluszczów, powojów, tworząc rodzaj dziewiczej roślinności, rzadko bardzo deptanej stopą ludzką, bo coraz mniej wabiła tutaj ponażta owocu.

Ogród otoczony był niegdyś sztachetami osadzonymi w murowane słupy, dzisiaj jednak zczerniałe sztachety, zaledwie gdzie nie gdzie trzymały się na miejscu, a odrapane i wpół rozwalone słupy, nie zabezpieczały go wcale od napaści ludzi lub zwierząt. Jedyłą zaporę stanowiły tutaj kolczaste gąszcze cierni, które wzrósłszy niegdyś pod zasłoną ogrodzenia, strzegły dzisiaj wejścia do tego smutnego kawałka ziemi, zwane go tylko z tradycyi ogrodem. Nie było tu bowiem innych kwiatów prócz złotej dziewanny,

brudno różowego ostu, lub bladego szaleju, które rozpościerały się tu swobodnie.

Stare drzewa tworzyły tyle cienia i pomroki, że panowała tutaj wieczna wilgoć nawet w skwarze letnie, a rosa nie wysychała do wieczora. Dopomagało też do tego niskie położenie gruntu, spuszczonego się nieznacznym spadkiem ku rzece, wijącej się na końcu ogrodu błękitną wstęgą.

Nad rzeką dopiero wznosiły się zabudowania folwarczne, z niskim dworkiem we środku. Na lewo zaś niedaleko dworu wybiegała wieżyczka kościelna, panując nad ogrodem złożonym krzyżem.

Być może iż w porze upałów, miejscowość ta mogła nęcić chłodem i wiecznie świeżą zielonością, ale w chwili gdy rozpoczyna się to opowiadanie, słoty jesienne czyniły ją przykrą, niemal wstrętną. A przy widoku obumierającej natury, opuszczenie widne w starym dworze Luborzewskim i w około niego, miało coś ponurego, usposabiało do rozpaczliwych myśli, wewnątrz zaś z pewnością rozproszyć ich nie było w stanie.

Smutny wieczór listopadowy, zachodził zwolna, czas był wietrzny i wilgotny, zżółkłe liście

opadały szeleszcząc ze starych drzew, które szumiały głucho, jakby pieśń pogrzebową samym sobie. Wtórowało im złowrogie krakanie wron i kawek, unoszących się w stadach nad nagimi wierzchołkami.

Wewnątrz dworu w wielkiej bocznej komnacie, znajdowały się dwie kobiety. Przy zapadającym zmroku, można jeszcze było rozeznąć wyraźnie, bielone ściany pokoju, sprzęty które go zapełniały i rysy dwóch mieszkanek tej smutnej siedziby.

Starsza wiekiem, była to pani Florentyna z Luborzewskich Żelisławska, ostatnia ze swego rodu. Wniosła ona w dom męża szczątki hrabiowskiej fortuny, której ten szanować nie umiał, skoro panowała tutaj wszędzie tak widoczna ruina.

Od lat kilkunastu już, mąż ten spoczywał w grobie; pomimo to jednak pani Żelisławska, nie zdjęła wdowiego stroju. Ubrana była jak zwykle w czarną jedwabną suknię, czarny koronkowy czepiek przysłaniał jej włosy osiwiałe przedwcześnie skutkiem cierni i bólów życia.

Wieść niosła, iż pożycie jej z nieboszczykiem, nie było wcale szczęśliwe, chociaż ona sama nie

skarżyła się nigdy i zносиła jak dawniej tak i teraz swoją dolę z niezachwianą rezygnacją. Ztwarzy trudno było odgadnąć, czy była piękną za młodu; teraz rysy jej znękane i zbruzdzone, nosiły tylko wyraz jakiegoś bolesnego spokoju, którego, zdawało się, że nic już zakłócić nie zdoła. Była bardzo bladą; cera jej miała ten matowy kolor właściwy zakonnicom i osobom żyjącym z dala od powietrza i ruchu. Wysokiej jej postaci, lekko pochylonej naprzód, jak gdyby pod niewidzialnym ciężarem, nie brakło jednak pewnego wdzięku.

Pomimo skromnej sukni i wdowiego czepka, posiadała ona ten rodzaj wykwintu, jaki nadaje wychowanie, skierowane tylko do pozorów i to nawyknienie do rozkazywania, znamionujące arystokratycznego domu dziecko.

Więc chociaż postać jej cała tchnęła chrześciańską pokorą, znać było w niej hrabiankę Luborzewską. Duma rodowa łączyła się w niej ściśle ze świątobliwością, a doświadczenie uczy, że pierwsza drugiej wcale nie przeszkadza. Katalog wybrańców Bożych, zawiera przecież imiona cór i synów wielkich domów. Księżniczki i królowny zasłużyły sobie nieraz na aureolę święto-

ści. One przecież nie zatracaly dla tego znamienia wysokiego rodu. Pani Żelisławska zanim w niebie zostalaby po prostu świętą Florentyną, była na ziemi hrabianką Luborzewską i nie zapomniała o tem nigdy.

Oczy miała wielkie, podkrążone siną obwódką, przyćmione wylanemi łzami, nocami bezsennemi, pełne zgaszonych iskier i niepocieszonego wyrazu. Blade wargi były zaciśnięte. Wszystko to zdawało się owocem jakiejś bolesnej przeszłości i jako wspomnienie tylko mieszało się do życia.

Siedziała nieruchoma w wielkiem poręczowem krześle, wybitem spłowiałym gobelinem, równie starym i równie zniszczonym, jak ten dwór chyłący się do upadku. Położyła na kolanach chude, alabastrowej białości ręce, i przesuwała w nich ziarnka agatowego różańca, który widać odma-wiała po cichu, bo nie zwracała wcale uwagi na drugą kobietę nieustannie kręcącą się po pokoju.

Ta druga także nie była młodą, chociaż widocznie usiłowała nadać sobie pozory wieku, z którym się dawno rozstała. Wysoka i wychudła, ubrana była z przesadą bijącą w oczy, jakby koniecznie pragnęła zwrócić na siebie uwagę. Suknia jej rysowała wyraźnie, płaską niekształtną

kibić, różowe kokardy w jasnych włosach, wśród których przebijała się siwizna, uwydatniały żółtość cery, co straciła od dawna barwy młodości i gdzie nie gdzie przerznęte były niedyskretnymi zmarszczkami.

Zresztą wpatrzywszy się w nią bacznie, można było dostrzedz także w głębi jej spojrzenia palącą troskę, zawody i cierpienia, jednakże to wszystko kryło się po za uśmiechem, który zdawał się zawsze przyrosły do ust, i przechodził chwilami w nerwowe skrzywienie.

Miała ona coś gorączkowego w oczach i ruchach. Nie mogła usiedzieć na miejscu, ani znieść ciszy panującej tutaj, i raz wraz wymawiała rozmaite zdania, odpowiadające snadź biegowi myśli, które zarówno mogła zwracać do samej siebie, jak i do modlącej się kobiety. Zdania te nie miały zgoła żadnej doniosłości i zdradzały ubóstwo myśli tej co je wymawiała.

— Otóż znowu mamy Listopad. Nadchodzi zima. Znowu te nieznośne wieczory. Tego roku są one mniej nudne. Wczoraj wyszedł mi pasyans trzy razy z rzędu, trudny pasyans, jak żyję pierwszy raz mi się to zdarza.

Pani Żelisławska przyzwyczajona widać do przerw podobnych, nie wymagających wcale odpowiedzi, odmawiała dalej różaniec. Aż druga kobieta znudzona monologiem zwróciła do niej mowę wyraźnie.

— Jutro będzie mróz, wyrzekła znowu, podchodząc do okna. Nieprawdaż ciociu?

— Przeszkadzasz mi się modlić, odparła zagadniona cichym i łagodnym głosem.

— Aa! Ciocia mówi różaniec, zawołała, przepraszam nie uważałam. Ah! ja zmówię go także, a może Bóg wysłucha mojej szczerzej intencji.

Wyszła do drugiego pokoju, przyniosła różaniec i zaczęła odmawiać go półgłosem. Trwało to jednak nie długo, milczenie cisza i skupienie ducha ciążyło jej wyraźnie, po chwili zawołała znowu:

— Ciociu!

Pani Żelisławska podniosła na nią zwolna oczy.

— Ah! ja znowu cioci przeszkadzam, chciałam tylko zapytać.

— O cóż takiego?

— Kiedy Rajmund powróci?

— Wszak wiesz że poszedł na polowanie.

— Tak, tak, westchnęła młodsza, na polowanie, ale wszak to już ciemno, powinien tu już być, nieprawdaż ciociu?

— Zapewne powróci niebawem. Ależ moja Honorato, dla czego upierasz się nazywać mnie ciotką, wszakże byłaś stryjeczną siostrą mego męża.

— To tak dla większej powagi, odparła zmieszana nieco, usiłując ukryć niezadowolanie swoje, pod lekkim trzpiotowatym tonem, który odbijał dziwnie od jej twarzy i siwiejących włosów. Czy ciocia się o to gniewa?

— Nie gniewam się bynajmniej.

— Bo jakoś sama różnica wieku upoważnia mnie do używania tej nazwy.

Pani Żelisławska wzruszyła lekko ramionami i zapewne miała na ustach jakie słowo, coby rozwiało spóźnione ułudy starej panny. Nie wymówiła go jednak, cień uśmiechu przesunął się po jej bladych ustach, i milczała dalej wpatrując się z zamyśleniem w coraz bardziej zaciemniający się horyzont.

Pokój w którym znajdowały się dwie kobiety, był nagi i zimny, wiatr wpadał przez spróchniałe okna, przez drzwi źle dopasowane, i przecha-
dzał się swobodnie szeleszcząc papierami leżące-

mi na stole pod oknem i wydając po kominach i pustych komnatach jakieś świsty, szmery i jęki niewyraźne.

Ani pani Florentyna jednak, ani panna Honorata nie zwracały na to uwagi, i nie starały się zabezpieczyć od jesiennego chłodu. Obie myślały o czem innem i tak były pogrążone jedna w rozpamiętywaniach i modlitwie, druga w marzeniach czy planach swoich, że zapominały zupełnie o materialnych warunkach zwykłego dobrobytu.

— Doprawdy ciociu, wyrzekła znowu panna Honorata, Rajmund powinienby już być z powrotem. Czy ciocia nie jest niespokojna?

Niedostrzeżone drzenie przebiegło starą kobietę, i nadało przez chwilę ognisty odblask jej bledości, przecież odparła:

— O cóż miałabym się trwożyć. Rajmund od dawna przestał być dzieckiem. Dzięki Bogu nie brak mu męstwa i siły.

— O tak, powtórzyła z pewnym entuzjazmem Honorata, on jest męzny i silny jak wszyscy Żeliślawscy.

— Jak potomek hrabiów Luborzewskich, poprawiała ją ze zwykłą słodką stanowczością stara kobieta, która widocznie nie zjednoczyła się tak

bardzo z rodziną męża, by o swoim pochodzeniu zapomnieć.

Niewiadomo czy Honorata zwróciła uwagę na ten odcień, bo zabsorbowana troską swoją mówiła dalej:

— To prawdziwe utrapienie z tem polowaniem.

— Nie powinnyśmy się na to skarżyć, jest to jedyna rozrywka Rajmunda, pamiętaj o tem.

— Ależ on jej dnia całe poświęca.

— Mężczyźni przecież nie mogą tak jak kobiety siedzieć zamknięci samotnie w domowych ścianach, a polowanie jest to rycerska zabawa. Rajmund nie odrodził się od swoich przodków.

Panna Honorata westchnęła, o tym fakcie była ona aż nadto przekonaną, nie pocieszało ją to jednak w codziennej trosce o jego całość i zdrowie. Myśl o nim zwróciła ją naturalnym biegiem, do otaczających przedmiotów.

— A teraz, wyrzekła, oglądając się w koło z mimowolnym dreszczem, tak już ciemno i zimno.

Rzeczywiście zupełna pomroka rozpostarła się w pokoju i słychać było tylko wzrastający szum drzew i gwizdzący wicher jesienny.

— Czy oiocia nie każe podać światła? zapytała znowu niecierpliwa Honorata.

Ale pani Żelisławska nie zdawała się ją słyszeć, pogrążona w swojej smutnej zadumie; ona wsłuchiwała się w burzę huczącą na dworze, lub też w echa swoich wspomnień, zgubiona w tym wewnętrznym świetle, który jej zasłaniał rzeczywistość.

Panna Honorata nie odbierając odpowiedzi, i przyzwyczajona widać w takich razach rozkazywać za nią, poruszyła dzwonek stojący na stole. Drzwi otworzyły się niebawem, i weszła stara służąca, rówiennica wiekiem swojej pani, której była jeszcze kiedyś panną wyprawną.

Ona także ani ubraniem, ani nawyknięciami nie należała do dzisiejszego świata, miała na sobie perkalowy szlafrok starożytnym krojem uszyty, przepasaną była czarnym fartuchem, przy którym wiszące klucze, świadczyły iż ciążyły na niej różnolite obowiązki. Na głowie nosiła tiulowy czepek zagarniowany karbowaną szlarką, i kolorową wstążką, wszystko zaś razem było tak świeże, czyste i staranne, jak i ubranie kobiety przesuwającej w śnieżnych palcach ziarenka różańca.

Stara sługa zarówno jak jej pani miała powierchowność cechującą domowników wielkich dworów, posiadała swego rodzaju dystynkoyę. Zamykała i otwierała drzwi bez najmniejszego szelestu, chodziła cicho, i nigdy nawet w najważniejszych okolicznościach, nie podniosła głosu nad dyapazon właściwy. Nigdy też nie kwestyowała odebranych rozkazów. Na odgłos dzwonka weszła do pokoju i zatrzymała się przy drzwiach.

— Lipkosiu, zawołała panna Honorata, czy Rajmund nie powrócił?

Niewiadomo jakie wrażenie to pytanie zrobiło na starej służącej, bo ciemność panująca w pokoju nie dozwoliła dostrzedz wyrazu jej twarzy, w głosie jej jednak było coś nakształt uśmiechu, kiedy odpowiadała.

— Pan Rajmund przebiera się w swoim pokoju.

— Jest więc, czy od dawna? przerwała stara panna z nadzwyczajnem zajęciem, musi być głodny.

Lipkowska nie uważała zapewne by te uwagi wymagały odpowiedzi, bo zwróciła się do pani domu ciągle milczącej.

— Czy też pani nie zimno? zapytała z wyraźną troskliwością, świadczącą że istniał tutaj jeszcze, dawno stargany węzeł przywiązania pomiędzy chlebobawcą a sługą.

— Nie zimno mi, odparła pani Żelisławska łagodnie, jak gdyby zupełnie była nie czuła, na drobne przykrości życia.

— Pani bo nigdy o sobie nie pomyśli, szepnęła z wymówką Lipkowska, po chwili jednak dodała wracając do zwyczajów uległości. Czy tu mam podać światło, czy też pani przejdzie do jadalnego pokoju. Pan Rajmund kazał ognia na kominku rozpalić.

— Przejdziemy tam, odparła pani domu, uprzedzona od panny Honoraty która z żywością wybiegła naprzód, zanim krewna jej podniosła się z fotelu.

— A gdzież Marylka? spytała po chwili spoglądając w koło, jakby teraz dopiero spostrzegła czyjaś nieobecność.

— Nie wiem, zapewne musi być u siebie, odparła z rodzajem niechęci Lipkowska.

Pani Żelisławska zadowolila się tą odpowiedzią i zwolna z głową schyloną, ze złożonemi rękoma, przesuwala się jak cień po komnacie, prze-

szła jeszcze przez jeden wielki ciemny pokój, aż otworzyła pokój od jadalni.

Tam w jednym z tych narożnych, starożytnych kominków, mogących pomieścić całe pnie drzewa, płonąła jedlina, napełniając blaskiem i trzaskiem smutny, ponury zwykle pokój.

Była to ogromna sala, zbudowana widać do tych uczt olbrzymich, w których tak kochał się cały naród. Ciężki stół dębowy mogący powiększać się do nieskończoności, zajmował jej środek, i zapewne niejednokrotnie gromadził w koło siebie panów i braci szlachtę okoliczną, bo hrabowie Luborzewscy słynęli niegdyś z gościnności, i posiadali tę popularność, łatwą do zdobycia za pomocą suto zastawionych stołów, i pełnych zawsze piwnic węgryzna.

Sala ta była kiedyś ozdobna, świadczyło o tem obicie spleźle i zbutwiałe, którego szczątki widne były jeszcze pomiędzy szeregiem familijnych portretów, rozwieszonych starannie na ścianach porządkiem wieku.

Wszystkie te marsowate, surowe, podgolone oblicza, malowane przez rozmaitej wartości artystów, miały pomiędzy sobą nieokreślone podob-

bieństwo, świadczące o sile rassy, jako też o jednostajności życia, pojęć i nawyknień.

Hrabiowie Luborzewscy bądź to w zbroi, w habitach, lub w dworskim stroju, odznaczali się wszyscy wyrazistemi rysami, zdradzającemi pewną zaciętość charakteru, którą można było odnaleźć w złagodzonej formie i w twarzy ostatniej z ich rodu. Ona tak samo jak oni, miała wysokie a ścieśnione czoło, nos o lekko orlem zagięciu i przycięte wargi. Ona tak samo jak oni, zdawała się spoglądać na świat, z jakichś tajemniczych głębi, obca wśród niego jak ten szereg dumnych przodków, patrzących nieruchomemi oczyma na upadek swego domu.

Wszyscy oni bez wyjątku piastowali w ręku ten buławę hetmańską, ten miecz, ten pieczęć jako oznakę godności zajmowanych niegdyś w Rzeczypospolitej, u rogu zaś każdego obrazu, nie przepomniano o rodzinnym klejnocie Bończy, a szereg białych jednoroźców na czerwonym polu, świadczył wymowniej jeszcze od rysów, że byli połączeni węzłami krwi i solidarności rodzinnej.

Od wieków też hrabiowie Luborzewscy pysznili się swoim herbem i nie mogli się zgodzić nigdy na to, że godło ich jednorożec było zwierzęciem

czysto mitologicznem. A na dowód tego nawet przechowywali w skarbcu familijnym, róg w złoto oprawny, pochodzący jakoby od jednoroźca i mający tajemniczą własność niszczenia każdego jadu.

Nie dziw więc, że ów róg uważanym był bardzo długo za rodzaj talizmanu. Wystawiano go tylko w czasie uroczystych chwil i wnoszono nim zdrowie osób, które osobliwie uczyć zamierzano, a jeden z hrabiów Luborzewskich, kazał nawet wymalować przy sobie ten szczególny kielich.

Pomysł to był szczęśliwy, bo kiedy wśród zamieszek i wojen skarbiec Luborzewski został zrabowany, róg jednoroźca wraz z wielu innymi kosztownościami, przeszedł w nieznane ręce, tylko na starem płótnie został się jego obraz, jako potwierdzenie tradycyi i legend, których był powodem. W tej galeryi familijnej Luborzewskich, przeważały męskie portrety, kobiet zaś było zaledwie kilka, widocznie tutaj wdzięk poświęcano sile, bo jeśli postać niewieścia, weszła do sanktuarium rodzinnych pamiątek, musiała odznaczyć się jakimś szczególnym blaskiem, lub heroicznym czynem i być czemś więcej, niż matką przyszłego pokolenia. Był tu więc wizerunek księżniczki

krwi królewskiej, która kiedyś wniosła niezmierny splendor i bogactwo w dom mężowski, były sławne wdziękami, dowcipem lub rodem małżonki Luborzewskich, ustrojone stosownie do dostojęstwa mężów swoich, uśmiechające się wśród koronkowych krez i złotolitych robronów, ale wpośród nich wszystkich odznaczał się portret cudnej piękności dziewicy w zakonnym ubiorze.

Surowy strój nie mógł zmniejszyć blasku jej urody, z pod mniszej zasłony rysowały się szlachetne linie czoła, nos zaginał się dumnie, delikatnie i rozkosznie nad purpurowemi wargami, a owal twarzy białej jak marmur miał kształty cudnej miękkości. Stała ona wsparta o klęcznik, przyciskając do piersi rzeźbiony krucyfiks. U nóg jej leżały bogate zwoje jasnych włosów, świeżo ucięte w chwili włożenia sukni zakonnej. Tylko wzrok dziewicy nie miał ukojenia i zachwytu, istoty dobrowolnie poświęcającej się Bogu; przeciwnie malarz wlał w niego tyle boleści, tyle rozpacz, tak wymownie oddał niemą skargę bezbronnej ofiary, iż trudno było bez wzruszenia, patrzeć na zczerniałe płótno, a myśl odtwarzała mimowolnie jakieś dzieje przeszłości, pełne łez i serdecznej męki.

I nie dziw, wielkie rody miały swoje dramata, a wielkość ich wspierała się zwykle na ucisku.

Bez wątpienia pani Żelisławska znała historię swoich przodków i tradycje przywiązane do każdego portretu, rzadko jednak o nich mówiła, jakby nie mając komu powierzyć tego moralnego spadku wygasłego domu. Tylko kiedy czasem wieczorem, zasiadała samotnie w wielkiej sali, wzrok jej szedł od wizerunku do wizerunku, a usta szeptały cichy pacierz, zapewne za dusze tych, co dawno pomarli w pamięci ludzkiej.

Teraz ogień oświecał w pełni, wszystkie kąty i załamki sali, a przy tym migotliwym blasku, portrety nabierały sztucznego życia, zdawały się spoglądać płomiennemi oczyma, migotać zbroją, szeleścić materyą. Zaludniały tę głuchą samotność i można było sądzić, że skoro zapalą się Gdańskie pająki, zwieszzone u sufitu, gdy służba nakryje stoły, ten cały szereg milczących biesiadników w godzinie północy, zejdzie ze ścian i zabierze miejsca swoje, by odżyć życiem minionem.

Tymczasem panowała tutaj cisza zupełna, lampa przygaszona blaskiem płomienia, paliła się blade na bocznem stoliku, a przy ogniu na niskiem

krzeselku siedziała nieruchoma młoda dziewczyna.

Mogła ona mieć zaledwie lat szesnaście, bo chociaż kibić miała już kształty dziewicze, twarz nie straciła dotąd tych miękkich zarysów, tych puszystych okrągłości, jakie znamionują dzieciństwo. Małeńka jej główka wsparta na białej przezroczystej rączce, przez którą płomień przeświecał rubinową barwą, zdawała się uginać pod ciężarem jasno-kasztanowatych włosów, co splecione w grube warkocze, zwieszały się nad karkiem. Główka lekko przechylona na ramię rysowała się delikatnym profilem na ciemnym tle starego obicia. Profil ten jednak nie miał nic greckiego, nie przypominał ani klasycznych kamei, ani starożytnych posągów, ale patrząc na tę słiczną istotę, nie podobna było tego żałować, tyle miała ona sobie właściwego wdzięku, tyle tam wyrazu i życia grało w tych kapryśnych liniach, zmieniających się za każdym uczuciem. Oto teraz nawet gdy tak siedziała zadumana, rysy jej odbijały widocznie kierunek myśli; białe, gładkie czoło zasępiało się, to znów pogodniało, a na malinowe usta, wybiegał wówczas uśmiech, uroczy jak nadzieje wiosniane, jak marzone szczęście, ry-

sując dwa rozkoszne dołki na policzkach, zabarwionych lekkim i delikatnym rumieńcem, przypominającym blade listki alpejskiej róży.

Pomimo wieku jednak zamysłonej dziewczyny, uśmiech niedługo gościł na jej twarzy, spędzał go szybko lada poważniejszy pogląd, lada odbłysek rzeczywistości i wtedy jej dziecinne rysy stawały się niemal dojrzałe, pod wrażeniem jakiegoś tłoczącego je smutku — wówczas uśmiech był przymuszonym, bolesnym nawet, a spojrzenie wielkich błękitnych oczów, utopionych w fantastyczne kształty płomienia, nabierało niepocieszonego wyrazu, kontrastującego dziwnie z pieczęzoną miękkością kształtów. Ona zdawała się stworzoną do samych uśmiechów losu, zdawało się okrucieństwem by ta wątła postać miała dźwigać na barkach jakibądź ciężar, lub spotykać się z przeciwnością. Świat i ludzie powinni ją byli oszczędzać, wszak była młodą, piękną, ufną, kochającą i łagodną jak gołąbka.

Wszystko to było wypisane wyraźnie na jej czole, rysowało się w uśmiechu i spojrzeniu. Ale świat i ludzie są zazwyczaj bez miłosierdzia dla podobnych istot, nie umieją uszanować słabości, a bezbronność jest pewnym zadatkiem nieszczę-

ścia. Może już jakie wrogie fatum, ciążyło nad jej młodą główką, bo powieki lekko zaczerwienione, zwieszały się z rodzajem zmęczenia nad jasnymi źrenicami, a na delikatnej ich tkance, widną była siatka błękitnawych żyłek znamionując łzy i znużenie. Czy były to jeszcze łzy dziecinne, czy już łzy dziewicze? Nie podobna było odgadnąć, jedne i drugie przystawały do jej wieku, jedne i drugie zarówno nie zostawiały wyraźnego znaku na twarzy, nie ómiły kryształu spojrzenia i spłynąć mogły jak szybko zapomniana fala po jej młodości sercu i licach.

Teraz cała zatopiona w myślach, zdawała się zapominać o wszystkim co ją otaczało. Ogniste iskry płonącej jedliny, obrzucały ją na wszystkie strony, nie zdawała się ich widzieć, tylko z łokciem wspartym na kolanach, z głową na ręku, we wdzięcznej, choć widocznie zaniedbanej postawie, podobną była do cichego posągu marmura.

Jednak słysząc otwierające się drzwi, dziewczyna skwapliwie odwróciła głowę, a spostrzegłszy wchodzącą panią domu, powstała szybko zarumieniona, jakby schwyтана na jakim zakazanym uczynku.

— Dawno tu jesteś Marylko, spytała pani Żelińska, spoglądając na nią spokojnym, obojętnym wzrokiem, jakby słowa te wyrzekła li tylko z nawyknięcia, a w gruncie rzeczy mało bardzo troszczyła się o odpowiedź. Lipkowska nie wiedziała gdzie jesteś.

— Byłam u siebie, potem zziębłam trochę i przyszłam tutaj, tłómaczyła się dziewczyna, zawsze z ognistym rumieńcem na twarzy, zdradzającym pomimo prostoty wyrażień, jakieś zakłopotanie wewnętrzne. Czy pani mnie potrzebowała?

— Dla czegoż potrzebować cię miałam, wiesz dobrze, iż o szarej godzinie odmawiam różaniec. Dawniej odmawiałaś go także Marylko, zwykle w moim pokoju.

— A teraz przerwała z przekąsem panna Honorata, wtrącając się do rozmowy, pana Marylka woli myśleć o niebieskich migdałach.

I znowu te słowa zdwoiły płomień na twarzy młodej dziewczyny, zwróciła na Honoratę wielkie błękitne oczy, migocące łzami i zawołała:

— Alboż ja się nie modłę. Sierota, sama na świecie potrzebuje więcej niż inni Boskiej opieki, i uciekam się do niej.

— Masz słuszną Marylko, wyrzekła łagodnie pani Żelisławska, nie powinnaś jednak mówić, że jesteś samą na świecie, zajmowałam się tobą od dzieciństwa i dalej tak czynić będę.

— O! pani jesteś dobrą, bardzo dobrą, zawołała dziewczyna z wybuchem wdzięczności i miłości tłumionej, ja nie zapomnę nigdy żeś ci winna wszystko. A ja—ja...

Może miała w myśli jakie oskarżenie na samą siebie, może poczuwała się do jakiego niewinnego grzeszku, którego wyznać nie śmiała.

— A ty Marylko, byłaś zawsze dobrem dzieckiem, czasem tylko trochę nieuważnem, trochę rozmarzonym. Ale to z wiekiem przejść powinno. Zasłużyłaś na to, żebym cię kochała.

Były to znowu bardzo zwyczajne słowa, bo chociaż mówiła do wychowanki o miłości swojej, głos jej nie nabrał cieplejszego brzmienia, a rysy twarzy nie rozjaśniły się wcale, przecież Marylka przyjęła je z uniesieniem radości.

— Pani mnie kocha! zawołała rozpromieniona patrząc na nią wymownym wzrokiem.

— Bez wątpienia moje dziecko. Wyrzekła to w ten sposób, jakby chodziło o pieska lub małpkę, o jakiś sprzęt domowy.

Wyraźnie te dwie kobiety, nadawały wyrazom zupełnie odmienne znaczenie, bo inaczej Marylka nie miała się czego cieszyć, ani ludzi uczuciem swej dobrodziejki. Teraz ona nie zauważała wcale, drżenia głosu dziewczęcia, ani tych wszystkich uczuć i myśli, które migają szybko po jej przezroczystem czole, po kryształowych źrenicach. Usiadła spokojnie, poważnie na zwykłym miejscu i zaczęła robić siatkowe firanki, przeznaczone do kościoła.

Panna Honorata przysunęła się do lampy, wyjęła z szufladki stolika talię kart, starannie obwinęta papierem i niebawem zatopiła się cała w kombinacjach pasyansu. Musiało jej jednak bardzo wiele zależeć na jego szczęśliwym zakończeniu, bo namyślała się długo nad każdą wyciągniętą kartą, kładła ją i odejmowała na przemian, rachowała coś półgłosem, szeptała sama do siebie stukając palcem o palec, aż wreszcie z heroiczną determinacją, ważyła się na krok stanowczy. Marylka zaś widząc, iż pomimo zapewnień serdecznych, nikt na nią nie zważa, powróciła cichuteńko na swoje dawne miejsce i znowu ułożyła się w tę smutną zadumaną postać, jakby ciało

jej i duch nawet, nabrały pewnych nawyknień i powracały do nich bezwiednie.

Pomiędzy temi trzema osobami, panowało glu-
che milczenie, przerywane tylko trzaskiem jedli-
ny, wahaniem wielkiego starożytnego zegara,
lub mrużeniem i tłumionemi wykrzykami pan-
ny Honoraty. Raz coraz jednak, oczy jej zarówno
jak oczy pani Żelisławskiej, zwracały się ku
drzwiom; obie z serdeczną niecierpliwością ocze-
kiwały żeby się drzwi te otwały i wpuściły do
pokoju upragnioną osobę. Co do Marylki, ta nie
potrzebowała wcale ukradkiem spoglądać ku
drzwiom, bo właśnie była ku nim obrócona,
a wyraz jej niebieskich źrenic, zdradzał serdecz-
ną troskę; wyraz ten jednak nie mógł być przez
nikogo widziany, dziewczyna bowiem przysłania-
ła wzrok dłonią w ten sposób jednak, by promie-
nie jego objąć mogły od razu wchodzących.

Wreszcie kroki jakieś rozległy się w ciszy pu-
stego domu, przybliżyły i drzwi otwały się
z trzaskiem, a do pokoju wszedł Rajmund Żeli-
sławski. Był to piękny chłopiec dwudziestokil-
koletni, wysoki, smukły, szeroki w ramionach,
z czarnemi oczyma, czarnym wąsikiem i ogorza-
łym licem. Jeśli można było w kolorze włosów

odnaleźć charakterystykę Luborzewskich, typ ten zdawał się znacznie odmieniony przymieszką krwi obcej; brakło mu wyrazistości rysów, jakby natura jego nierozwikłana jeszcze, nie doszła swego rozwoju lub kryła jakieś głębie nieznane jemu samemu. Bo można tam było przy bacznyim poglądzie dostrzedz siły drzemiące na dnie ducha a dotąd niepowołane do życia, które zamrzeć tam mogły lub rozwinąć się stosownie do okoliczności. Teraz jednak ogień żarzący się w jego źrenicach, był ogniem młodości tylko i zdawał się świadczyć tak samo, jak ciemno purpurowe wargi i rumieńce na licu, o żywotnych siłach rozwiniętych bujnie, o pełni fizycznego zdrowia, więcej, niżeli o bogactwie myśli. Zresztą posiadał on w całej postawie urok nieokreślony, ruchy jego miały pewną okrągłość i układały się do harmonii wrodzonej, a zwiększonej jeszcze starannem wychowaniem, które widocznie skierowane było głównie do form powierzchownych. Rajmund posiadał swobodę i pewność siebie, cechującą jeśli nie koniecznie wielkich panów, to ludzi zajmujących znaczne stanowisko, lub czujących się w prawie je zajmować. Swoboda ta jednak nie miała nic rażącego, nie przechodziła w arrogancyę, ale

raczej zdawała się zmiękczoną wyrazem lekkiego smutku, który dodawał wdzięku jego pięknej twarzy i czynił prawdziwie czarującym uśmiech pełnych ust, pięknego rysunku, co rozchylając się ukazywały dwa rzędy perłowych zębów.

Ubiór jego chociaż staranny nawyknieniem, jak zwykle u ludzi którzy tym sposobem okazują szacunek dla samych siebie, nie zdradzał wcale by Rajmund z jakiegobądź powodu pragnął uwydatnić swoją piękność. Widocznie nie chodziło mu pod tym względem ani o matkę, ani o starą kuzynkę, ani o młodziutką wychowankę i albo nie dbał o to czy się podoba, albo też był pewnym że zawsze podobać się musi. Bo też wąsik jego spuszczoney lub podkręcone, był równie miękki, włosy w ten albo inny sposób uczesane jednako wdzięcznie okrężały owal twarzy. Pomiimo luźno zawiązanego krawata, szyja jego krągła i biała wychodziła z pod wykładanego kołnierzyka, jak szczyt kolumny dźwigający piękny kapitel głowy.

Za wejściem Rajmunda, pani Florentyna utkwiała w niego wzrok z wyrazem macierzyńskiej miłości i dumy, panna Honorata skwapliwie rzuciła na stół karty i wychyliła się ku niemu uśmie-

chnięta i wykrygowana. Twarzy Marylki nikt nie widział, siedziała jak dotąd nieruchoma przy ogniu, przecież gdyby jaki uważny badacz, patrzył na nią w tej chwili, dostrzegłby jak dreszcz przebiegł jej ciało, a oczy zamigotały nagłym blaskiem.

Rajmund tymczasem zbliżył się lekkim krokiem do matki i pocałował ją w rękę. Ona przez chwilę przytrzymała w swoich dłoń jego.

— Nie widziałam cię dzisiaj jeszcze, wyrzekła głosem, w którym pomimo to nie było śladu wyrzutu żadnego.

— To prawda mamó, wyszedłem rano i cały dzień brodziłem po polach i wodach.

— Zmęczyłeś się, zapytała znowu troskliwie.

— O nie! tylko zabłociłem się jak kaczka, dla tego nawet przebierałem się i głodny jestem piekielnie.

— Zaraz ci obiad podadzą, szepnęła pani Florentyna, zrażona lekko wyrażeniem syna.

On jednak nie zauważył tego wcale i ze zwykłą swobodą rzucił się na fotel.

— A mnie to nawet kuzynek nie przywita, zawołała panna Honorata, wysuwając się naprzód.

— Ah! przepraszam cię kuzynko, ale zdawałaś mi się tak zatopiona, badając wyrocznie losu, iż nie śmiałem ci przeszkadzać. No i cóż tam powiedziały ci karty?

— Kuzynek zawsze żartuje, zaśmiała się stara panna, uszczęśliwiona iż Rajmund troszczył się nawet o jej drobne zajęcie.

— Ja nie żartuję wcale, — ciągnął dalej młody człowiek, wodząc roztargnionym wzrokiem po familijnych portretach, a z ukosa spoglądając na Marylkę. Chciałem się dowiedzieć jak stoją rzeczy w pasyansie, czy walet treflowy ukazał się przy damie kierowej?

— Ależ to tak bywa w kabale, nie w pasyansie, zawołała panna Honorata, zgorszona tą niewiadomością.

— Daruj kuzynko, nie podobna mi pochwycić różnicy pomiędzy pasyansem a kabałą.

— Ale on głodny — wtrąciła pani Żelisławska troskliwa jak każda matka.

— Panna Marylka, — odezwała się z przekąsem stara panna, lepiejby przypilnowała obiadu Rajmunda, zamiast siedzieć tak z założonemi rękoma. Czy słyszysz Marylko?

Na tak wyraźną interpelacyę, uczynioną podniesionym głosem, dziewczyna podniosła się szybko jakby ze snu zbudzona, niepewna co ma czynić spoglądając z kolei na Honoratę i na Rajmunda. Ten rozśmiał się z pewnym przymusem.

— Nie masz się czego spieszyć Marylko—wyrzekł z lekkim poruszeniem ramion, nie trudź się, nic pilnego, mogę zaczekać.

— A mówiłeś żeś tak głodny kuzynku, ale kiedy Marylka stoi tutaj jak wryta, ja sama pójde powiedzieć by się w kuchni spieszyli:

— Ależ ja pójde, czekałam tylko rozkazu, szepnęła zmięszana dziewczyna.

Panna Honorata jednak nie chciała się dać wyprzedzić w tym względzie i z lekkością godną lat szesnastu, pobiegła ku drzwiom wchodowym, gdy te otworzyły się szeroko i wszedł stary lokaj przybrany w wytartą liberyę, niosąc na tacy obiad młodego pana. Nakrył do stołu z powagą i precyzyą sług wielkich domów, którzy czują całą godność swoich panów, spływającą i na nich, a chociaż cienki holenderski obrus był gdzieś przetarty, starożytna porcelana miała liczne szczyrby, a obiad składał się z wcale nie wielu i niewykwintnych potraw, usługiwał Rajmundowi

z takim uszanowaniem i nalewał czystej wody z karafki z taką powagą, iż młody człowiek mógł się złudzić myślą, że dom ten posiada dawną świetność, a on pan jego, ma pod swemi rozkazami liczne włości i zastępy służby. Jadł on wiele i szybko, z tradycyjalnym apetytem myśliwych, zdradzającym silny, dobrze rozwinięty organizm. Zaspokoiwszy zaś apetyt, rzucił się napowrót w głąb fotelu, zapalił cygaro i zdawał się zupełnie pogrążony w poczuciu fizycznego dobrobytu.

— Czy dobre miałeś polowanie kuzynku?—zagađnęła znowu panna Honorata, która niecierpiała milczenia i czuła się niejako w obowiązku, zabawiać Rajmunda rozmową.

— Tak, niebardzo, zabiłem zająca, bo jednego tylko widziałem; gdzież mają się chronić, Grzezułka wykarczował wszystkie krzaki na łąkach i polach, a nieużytki zaorał.

— Co! Grzezułka, moja Ciociu to okropność! przerwała stara panna. Czyż on ma prawo przeskadzać w ten sposób tej jedynej rozrywce Rajmunda.

Blade wargi pani Żelisławskiej zadrgały, a brwi ściągnęły się, uwydatniając jej podobień-

stwo do całego rodu Luborzewskich. Ale to przeszło szybko—odwróciła się do starej panny i wyrzekła zwolna:

— Rajmund musi to lepiej wiedzieć odemnie, z resztą pan Grzeżułka trzyma się praw swoich.

— Jakich praw! wszak jest on tutaj tylko dzierżawcą. Jabym na to nie pozwoliła.

— Ależ kuzynko, dzierżawca ma prawo użytkować z ziemi, wtrącił Rajmund z pewną niecierpliwością i uprawiać ją według swego wyobrażenia.

— Przecież on powinien znać zwyczaje dziedziców i nie sprzeciwiać im się — taki Grzeżułka.

— Niestety taki Grzeżułka ma daleko więcej pieniędzy od nas, wyrzekł młody myśliwy z wyraźnem westchnieniem; mógłby z łatwością kupić cały Luborz, ot z temi starymi portretami i zabytkami przeszłości, mógłby odbudować dawny zamek naszych przodków.

Słyszając to pani Żelisławska, podniosła czoło z wyrazem oburzonej dumy.

— Póki ja żyję tego nie będzie, zawołała zrazu jakby mimowolnie. Potem jednak zwolna gło-

wa jej opuściła się na piersi, palce zaś skrzyżowały się na różańcu. — Chyba dodała po chwili zmienionym głosem, taka byłaby wola Boska, opierać jej się nie powinnam.

Przez czas jakiś trwało posępne milczenie.

— Nie martw się matko, odezwał się znowu Rajmund, przecież jeszcze do tej ostateczności nie przyszło.

— Nie przyjdzie nigdy — zawołała panna Honorata z zapalem.

Pani Florentyna wstrząsnęła głową.

— Wszystko jest w ręku Boga — wyrzekła po chwili, wszystko zależy od Jego Świętej woli, przodkowie moi ciężko zgrzeszyć musieli, ród ich wygasł, mienie się rozproszyło — i siedziba odwieczna przejść może do obcych ludzi. Chciałabym tu jednak umrzeć jeszcze. Przecież jeżeli Bóg i naczaj postanowił, poddam się wyrokowi jego.

Mówiła to z cicha, przerywanym głosem, wznosząc w górę załzawione oczy, z wyrazem rezygnacyi i pokory, kontrastującym dziwnie z dumą wrytą na twarzy, z pańskimi nawyknięciami, jakie zdradzało nawet urządzenie i służba tego upadającego domu. Obecni słuchali ją z różnym usposobieniem. Panna Honorata poczęła

obcierać sobie oczy, Marylka przypadła do jej kolan i całowała ręce, Rajmund tylko zmarszczył brwi z nieokreślonym wyrazem. jak gdyby te przykre prawdy, znane mu były od dawna i nie potrzebnie teraz właśnie powracały do jego uszów, kiedy chciał swobodnie wypocząć po trudach myśliwskich. Zachowywał więc przymuszone milczenie.

Tymczasem ogień dogasał na kominku, a mała lampka zaledwie oświecała część ogromnej sali, w czasie gdy kąty ścian i portrety zaległ ponury mrok, rozproszony tylko od czasu do czasu nagłym błyskiem płomienia dobywającego się z popiołów. Zdawało się jak gdyby smętna atmosfera jesienna przedarła się tutaj i zapanowała w pośród zgromadzonej rodziny. Każde z jej członków zapadło w zamyślenie.

Ciszę tę przerwało dopiero wejście służby, niośiącej przybory herbaciane. Lipkowska poprzedała starego lokaja i ustawiała na stole chleb, bułki, masło, przyniesione przez niego na tacy. Widząc to i Marylka powstała i zaczęła krzątać się około przyrządzenia herbaty, bo na niej ciążył ten obowiązek. Czyniła to jednak jak istota myśląca o czem innym. Co chwila brała coś do rę-

ki i stawiała napowrót na miejscu, jakby straciła kontrolę nad temi bezmyślnemi ruchami. Wreszcie postawiła lampę na wielkim stole, usiadła przy samowarze i czekając zapewne aż herbata naciągnie, zamyśliła się znowu głęboko. Teraz oczy jej były spuszczone, a firanki długich ciemno złocistych rzęsów, rzucały ruchomy cień na dolne powieki oznaczone silną obwódką. Twarz Marylki była bardzo smutną, a usta lekko rozchylone, miały bolesny wyraz, malowały się na nich jakieś skargi niewymówione i cierpienia niewyznane. Wzrok jej nie podniósł się ani razu na otaczających, jak gdyby na ustach i źrenicach leżała pieczęć przymusu, lub tajemnicy.

— Panna Marylka coś znowu ucieka myślą w błękity, odezwała która się Honorata, co od jakiegoś czasu znudzona milczeniem, przyglądała się dziewczęciu, a my tymczasem czekamy na herbatę.

Marylka zmieszana zaczęła nalewać herbatę, nie tłumacząc się wcale, nieodpowiadając i nie podnosząc oczów. Ale słowa starej panny zwróciły na nią powszechną uwagę.

— Rzeczywiście, zauważyła pani domu, od jakiegoś czasu straciłaś zwykłą wesołość Marylko, zamysłasz się nieustannie.

— Ja pani!—zawołała biedna dziewczyna cała w płomieniach, ja przeciwnie, jestem wesołą, bardzo wesołą. To jest... byłabym... gdyby...

Plątała się wyraźnie w odpowiedzi, a rozlewając przy tem herbatę, parzyła sobie niemiłosiernie paluszki.

Ten nowy symptomat nie uszedł złośliwej uwagi starej panny.

— Cóż znowu—krzyknęła, podbiegając do niej, lejesz sobie ukrop na ręce.

— Przepraszam, nie uważałam — jąkała się dziewczyna, którą rzeczywiście myśl jakaś paląca musiała absorbować kompletnie, skoro nie czuła fizycznego bólu, sprawionego dotknięciem gorącej wody do miękkiego ciała.

— Jesteś nieoszacowana, ciągnęła dalej Honorata, dla czegoż mnie przepraszasz, przeproś raczej samą siebie. Przyłóż co na palce, zaraz przyniosę ci waty, tak waty z atramentem, to będzie najlepiej.

— Z atramentem, o nie! pochwyciła z pewnym dziecinnym przestraczem Marylka, nie chcę atramentu.

— A to dla czego? czy boisz się, że ci powala białe paluszki.

Dziewczyna milczała, tylko dwie wielkie łzy zaświeciły jej w oczach i przez gwałtowne zmruczenie powiek, ażeby je utaić, rozprysły się w tysiące mikroskopijnych perełek, które drżały na rzęsach. Czy wyciskał je ból? czy inna jaka przyczyna? niepodobna było odgadnąć.

Honorata tymczasem, nie wiadomo z dobroci serca, czy też ze złościwości, przyniosła watę umaczaną w atramencie i koniecznie chciała nią obwinać rękę Marylki. Zdawało się, że jej żółte, kościste palce, pragnęły poplamić i zaczernić alabastrowe dłonie, które broniły się rozpaczliwie.

— Niechże jej kuzynka da pokój, odezwał się nagle głos Rajmunda. Dotąd nie mieszał się wcale do kobiet i nie ruszając się ze swego krzesła, palił cygaro rozciągnięty przy dogasającym ogniu. Teraz jednak zniecierpliwiony tą sprzeczką, lub też poruszony błagalnymi spojrzeniami Marylki, zerwał się z miejsca niepostrzeżony przez starą pannę, rzucił z gniewem w popiół cygaro i stanął pomiędzy kuzynką, a wychowanką matki.

— Dziecinnie jesteś Marylko, wyrzekł łagodnie, a ty kuzynko rzuć te czarne plastry i pozwól jej się leczyć po swojemu.

Na te słowa podniosły się powieki dziewczęcia a błękitne oczy rzuciły mu spojrzenie pełne łez, żalu, skargi i wdzięczności. Ale to trwało zaledwie sekundę, powróciła do dawnej, cichej postawy.

— Mnie nic nie boli, szepnęła tylko, usiłując ukryć rękę, na której widniała duża czerwona plama, pokryta wzdymającą się skórką.

Honorata wzruszyła ramionami, Rajmund usiadł na zwykłym miejscu, a Marylka nalewała dalej herbatę.

W tym składzie domowego towarzystwa, wspólny wieczór nie mógł być długi, indywidualia zgromadzone przy tym stole miały każde swój osobny świat myśli, swoje zamiary, nadzieje i cierpienia, które nie mogły się dzielić z drugimi. Pani Żelisławska czuwała wprawdzie późno w noc, ale czas ten poświęcała rozmyślaniom i modlitwie, bo chociaż światło płonęło w jej oknach, drzwi były szczelnie zamknięte. Panna Honorata snem zapełniała o ile mogła próżnię swego życia, a przy tem praktykowała wiele toaletowych sekretów, które zabierały nie mało czasu. Lubiła też w tajemnicy radzić się kart, senników i t. p. Wyciągała ztąd rozmaite wróżby

dla swojej przyszłości. Bo marzyła jak młoda dziewczyna, zapominając zupełnie lat swoich i patrząc w zwierciadło przez pryzmat wieczystych złudzeń, które jej suchą, żółtą, pomarszczoną twarz, ukazywały pełną wdzięku i powabów.

Rajmund także zaraz po herbacie odchodził do siebie. Niebawem więc pani Florentyna uroczyście powstała od stołu, wszyscy za jej przykładem przeszli do swoich pokojów i tylko Marylka powróciła na dawne miejsce przy kominku, do którego dREW dorzucił stary Szczepan.

— A ty Marylko, zagadnęła wychodząc pani domu, czemuż spać nie idziesz?

Marylka spuściła głowę, by ukryć rumieniec.

— Ja pani, odparła po chwili, zostanę tu jeszcze, dopilnuję kominka, zgaszę lampę.

— Szczepan by to zrobił moje dziecko.

— Szczepan stary, niech idzie odpocząć, a mnie się spać nie chce.

Pani Florentyna nie nalegała więcej, pocałowała w czoło wychowanek, nakreśliła znak krzyża nad jej głową i odeszła. W progu jednak odwróciła się do dziewczęcia.

— Jeśli nie zmówiłaś jeszcze różańca, odzwała się łagodnie, zmów go teraz, to broni od próżnych myśli.

Nie czekała odpowiedzi i Marylka dać jej nie była w stanie, te ostatnie słowa uderzyły ją jakby gromem. Pozostała na środku pokoju, tam gdzie dała dobranoc swojej dobrodziejce bez tchu i bez głosu, zapytując samej siebie co ona rozumiała przez próżne myśli. Długo stała w miejscu jak wryta, podnosząc zwolna rękę do czoła, jakby rzeczywiście odsunąć ztamtąd chciała jakąś palącą troskę. Bo cała jej wiotka, dziecięca postać, teraz bez świadków zdawała się łamać pod niewidzialnym ciężarem, aż litość brała patrzeć na te usta różane, na puszyste lica zbledzone przedwczesną zgryzotą, jedną z tych zgryzot co życie zatruwają w zawiązku i wgryzają się jak robak w serce rozkwitającego pączka. Rozpaczliwą zadumą Marylki przerwało uderzenie wielkiego zegara, który zasyczawszy wprzód przeraźliwie, wolno i uroczyście uderzył dziesiątą godzinę.

Na ten dźwięk rozjaśniło się jej spojrzenie, przystąpiła do lustra wprawionego w ścianę po nad kominem i wspinając się na paluszki, próbowała się w niem przejrzeć i poprawić włosy, któ-

rych nieposłuszne pukle, wymykając się z war-
koczy, igrały nad czołem i karkiem.

Była to jednak daremna praca, włosy były
uparte, coraz więcej złocistych promieni opierało
się usiłowaniam dziewczęcia, aż zniecierpliwiona
spojrzała jeszcze raz na zegar, nastawiła uszko-
czujne na najmniejszy szelest i z młodzieńczą ży-
wością, której troska ani cierpienie zniweczyć
nie mogły, wyrwała grzebień utrzymujący olbrzy-
mie splety włosów i w mgnieniu oka okryła się
cała ich ciemnozłotą falą, spływającą aż do kolan.
Wówczas przyglądziła je szybko ręką nad czo-
łem i napowrót skręcać zaczęła, gdy drzwi uchy-
liły się, tym razem bez najmniejszego szelestu
i w półcieniu zarysowała się postać Rajmunda.

Nie było to jednak wcale niespodziewane zja-
wisko. Spostrzegłszy go Marylka nie krzyknęła,
nie zerwała się jak spłoszone ptasze, ale przeci-
wnie, wlepiała w niego zachwycone oczy i zapomi-
nając o nieposłusznych włosach, wyciągnęła ku
niemu ręce złożone jakby do modlitwy.

On stał we drzwiach z uśmiechem zadowolenia
i dumy na ustach, bo nieograniczona miłość wi-
dna w całej postawie Marylki, mogła połechnąć
każdą męzką próżność.

— Rajmundzie, szeptała, niech się napatrzę na ciebie, zdaje mi się, iż nie widziałam cię tak dawno.

— Nieoszacowana jesteś Marylko, odezwał się postępując ku niej, wszak tylko co wyszedłem z tego pokoju.

— Alboż ja wówczas mogłam patrzeć na ciebie.

— Czyniłaś to ukradkiem i bardzo nieostrożnie nawet, właśnie chciałem cię przestrzedz.

Na ruchliwej twarzy dziewczęcia przemknęła się chmura.

— A więc naucz mnie kłamać, naucz mnie udawać, zawołała z wybuchem, bo ja nie umiem patrzeć na ciebie bez zachwytu, przemawiać bez drżenia i kryć, kryć wiecznie to co czuję. Zdaje mi się, że wszyscy wyczytać muszą miłość moją z oczów, z czoła, z rumieńca i bladości, z uśmiechu i westchnienia.

W głosie jej dzwięczała prawda najżywszego uczucia, a jednak on słuchając ją wstrząsnął głową lekko i pobłażliwie, ale przecież z odcieniem niecierpliwości, jakby upatrywał w tych słowach nieradność dziecka tylko.

— Zapewne Marylko, odparł, wszyscy wyczytać to muszą jeśli będziesz nadal tak nieostrożną jak dotąd.

— Więc ja jeszcze jestem nieostrożna, a przecież Bóg widzi jak się strzegę, jak namyślam za nim słowo wymówię.

— To się na nic nie przyda, bądź zenną tak jak byłaś dawniej.

— Nie mogę, nie, szepnęła z wyrazem zniechęcenia, to nad moje siły. Widzisz Rajmundzie, jak myślę o tem, że ciebie kocham, nie mogę dopatrzeć w tem winy żadnej, bo czyż można znać cię i nie kochać? czy można rozkazać sercu aby nie uderzało? Przeciwnie, zdaje mi się, że ta miłość podnosi mnie, uszlachetnia, jak wszystko co wielkie, że mam prawo być z niej dumną jak z serdecznego skarbu, który posiadam. Ale kiedy muszę spuszczać oczy przed wzrokiem ludzkim, unikać każdego ucha i każdego spojrzenia, kryć rumieniec trwogi i radości, hamować wybuchy serca, wówczas czuję się poniżoną we własnem przekonaniu, widzę, że błądzić muszę i wstyd mi samej siebie.

W głosie jej stłumionym zdawały się drgać łzy i bóle niewyznane, na które słów zbrakło.

Rajmund jednak słuchał tych palących wyznań, z niedbałym uśmiechem na koralowych ustach, jak rzeczy co mu się z prawa należy, a słuchając jedną ręką objął kibić dziewczęcia, drugą przesuwając w jej splotach włosów.

Z resztą wyrazy jej napiętnowane męką czystego ducha, pociągniętego nierozważnem uczuciem w kałużę fałszu, nie czyniły na nim większego wrażenia, niż zwykle szczebiotanie pięknej rozkochanej istoty. Nie zważał może na słowa wychodzące z jej ust, widział tylko, że usta te były świeże, gorące i że mógł je całować bezkarnie, nie widział tragicznego wyrazu jej oczów, czuł tylko że w nich płonęła miłość.

— Dla czegoż ja mam kryć się Rajmundzie, mówiła znowu gwałtownie podnosząc głowę i topiąc w nim kryształowe spojrzenie, powiedz dla czego?

Pytanie to było tak niespodziane, tak niedorzeczne nawet według niego, że zrazu wahał się z odpowiedzią.

— Doprawdy dziecinna jesteś Marylko, wyrzekł wreszcie, zaledwie łagodząc intonacją głosu szorstkość tego wykrzyknika.

— Nie jestem dziecinna, powtórzyła, nie zapominam o przepaści która nas rozdziela, wiem dobrze iż jestem sierotą, wychowaną z łaski twojej matki, że nie mam tutaj prawa do niczego, kiedy ty jesteś dziedzicem wielkiego mienia, jesteś piękny, szlachetny, dobry, jak owi legendowi rycerze, o których opowiadają bajki cudowne, płynie w tobie krew Luberzewskich, możesz ożenić się z kim zechcesz, z księżniczką albo z królewną, coby ci przyniosła w posagu czem odbudować siedzibę przodków, i wrócić jej świetność minioną. Rajmundzie ja wiem dobrze o tem wszystkim.

— A więc widzisz sama że kryć się musimy, odparł młody człowiek potwierdzając spokojnie tym sposobem jej gorączkową mowę.

— Czemuż? alboż ja żądam czego od ciebie w zamian za moją miłość i życie, jestem twoją, ale ty mój nie będziesz nigdy.... nigdy....!

Były to smutne słowa, dźwięczało w nich pierwsze, czyste, dziewicze uczucie sprofanowane, i przyszłość cała złamana w zawiązku. Dotknęły też Rajmunda w przykry sposób, on nie lubił myśleć o złem zrządzonem przez siebie.

— Tylko nie egzaltuj się Marylko, wyrzekł swobodnie, kochasz mnie i masz słusność ja

także cię kocham, bo doprawdy jesteś prześlizczna.

Dla każdego postronnego słuchacza, ton jego przedstawiał rażący kontrast z tonem dziewczyny, ona śpiewała mu cudny koncert uczuć, na które on odpowiadał z lekcewaniem miłości lub gorzej jeszcze.

Marylka jednak nie była w stanie tego ocenić, zasłuchana w bicia własnej piersi. A jeśli nawet czuła instynktownie, że on nie odpowiadał jej tak jak pragnęła, że słowa jego zostawiały pustkę i smutek w jej sercu, nie zdolną była zdać sobie sprawy z faktu, że rozdźwięk pomiędzy ich duchową skalą był stokroć większy jeszcze niż różnica położenia. Dziwić się temu nie można, Marylka miała lat szesnaście, wzrosła w pośród uwielbienia dla Rajmunda, jakim przesiąknięta była atmosfera Luborza. Z tego starego dworu nie wyjrzała nigdy na szerszy horyzont. To była pierwsza miłość sierocego serca, a on był tu bóstwem domowym.

— Co to za włosy, mówił dalej Rajmund, wając je w rękę, one same już stanowią piękność, tylko na wsi takie włosy widzieć można.

— Więc doprawdy, zawołała z dziecinną żywością, moje włosy ci się podobają?

— Alboż o tem nie wiesz i nie dla tego je rozspuściłaś.

— O nie! chciałam poprawić je tylko, ale rozpuszczę je codzień, skoro ci to sprawia przyjemność. Rajmundzie ja tak chciałabym żebyś ty był szczęśliwy.

Wzruszył ramionami z melancholijnym uśmiechem.

— To już trudno, los inaczej postanowił.

— Nie mów tego, więc nawet ja biedna nic dla ciebie nie znaczę?

— Przeciwnie, przeciwnie, pochwycił przytulając ją do siebie, ty jesteś dla mnie jedynym promieniem słońca.

— Powtórz mi to, ja potrzebuję to słyszeć. Bo widzisz ja chwilę szczęścia dla ciebie okupiłabym bez wahania, męczarnią całego życia, zbawieniem wiecznem. Niech mnie ludzie potępiają i Pan Bóg potępi, ja zgodzę się na to, byleś ty był szczęśliwy. Byłam czuła że cierpię dla ciebie, przez ciebie, to starczy mi za rozkosz.

— Ah! znowu wpadasz w ten ton tragiczny, i psujesz nam te dobre chwile.

— Więc cóż ja mam mówić? spytała ponuro.

Bo pomimo całą siłę woli i sofistyczne argumenta, jakimi próbowała wmówić w samą siebie spokój i szczęście, okropność położenia pochłaniała co chwila jej myśli. Kochała człowieka, który nie mógł jej poślubić, i nie łudził ją żadną obietnicą w tym względzie. Szlachetne jej zaparcie, zapomnienie siebie, spotykało się z nikczemnem samolubstwem. Im łatwiej Rajmund przyjmował jej ofiary, tem mniej na nie zasługiwał. Jakkolwiek niedoświadczona, czuła to przecież niewyraźnie, wbrew własnej wiedzy. A choć nie umiała dostrzedz, że bożyszcze jej było fałszywe, serce nawet w tych chwilach samotności i rozkoszy, napełnione było smutkiem.

— Przecież dawniej Marylko, mówił Rajmund, nie domyślając się bynajmniej tego, co się w niej działo, miałaś zawsze uśmiech na ustach, szczeniotałaś jak mała czeczotka, aż panna Honorata gniewała się na ciebie.

— Oh! panna Honorata i dzisiaj się gniewa, dokuczają mi nie wiem za co.

— Czy doprawdy nie wiesz Marylko, w takim razie jesteś bardzo niedomyślna.

— Jakżesz ja to wiedzieć mogę, odparła, wlepiając w niego zaciekawione spojrzenie.

— Jesteś jeszcze większem dzieckiem, niżeli sądziłem, a toż widocznie panna Honorata gniewa się o to, że masz te przesliczne złoto-kasztanowate włosy, tę płęć białą z róż i lilii zmieszanych, i te alabastrowe paluszki, które koniecznie atramentem powalać chciała, jak gdyby na przekór, żebym ich nie całował.

I łącząc uczynek do słów, tulił do ust drobne rączki Marylki.

— Więc cóż to pannie Honoracie szkodzić może?

— Oh! nie wiele, nie wcale nawet, tylko jest ona o ciebie zazdrosną.

— Zazdrosną o mnie, powtórzyła dziewczyna ze smutnym uśmiechem, czyż o mnie zazdrosną być można?

— Alboż nie wiesz że jesteś piękną, bardzo piękną?

— I cóż ztąd, piękność moja do ciebie należy Rajmundzie, tobie jednemu chciałabym się piękną wydawać, i być nią dopóki patrzysz na mnie. A potem....

— Marylko, Marylko po cóż koniecznie zwracasz się do przeszłości. Nadejdzie ona aż nadto prędko, a tym czasem jesteśmy razem.

— Tak jesteśmy razem. Ale czy sądzisz że to długo tak potrwać może.

— Czy długo, to od ciebie zależy Marylko, nie zdradź się tylko sama, a ja przecież nie zdradzę cię z pewnością.

— I cóż ztąd, kradzione szczęście to klejnot wiszący na włosku nad głębokim morzem, lada chwila włoszek się zerwie i klejnot utonie, zniknie na zawsze w fali zapomnienia. Ty zapomnisz o mnie, zapomnisz prędko bardzo Rajmundzie.

— Co za myśl, szepnął znudzony tą ciągłą nutą żalu, powracającą na usta dziewczyny, i chcąc przerwać pocałunkami jej smutne słowa. Ona oddawała mu uściski, ale poczuł jak łąza gorąca stoczyła mu się na lica.

— Marylko, zawołał, ty płaczesz znowu, dla czego?

— Daruj mi, wyrzekła zmieszana, nudzę cię zamiast rozrywać, jestem nie dobra, nikczemna. Wszak ty powinienes zapomnieć o mnie, zapomnieć... być szczęśliwym z inną. Ja to co innego. Wierz mi Rajmundzie, modłę się co dzień by tak

było, proszę Boga gorącą, a jednak nawet przy tobie nie mogę odepchnąć myśli, że to sen, że to złudzenie, że nie mam prawa być kochaną przez ciebie.

— Masz prawo, przysięgam na twoje usteczka gorące, na twoje błękitne oczy i na pocałunki nasze.

— Gdybyś ty mógł zajrzeć w serce moje, widziałbyś że ono przepelnione tobą, tobą i tylko tobą.

— Serce twoje jest na ustach moja mała i ja go tam szukam.

Westchnęła cicho, i wsparła głowę na jego ramieniu. W ciągu tej całej długiej rozmowy, nie wyrzekł ani jednego słowa, coby ukoilo jej ból i odpowiedziało pragnieniom, a przecież nie kochała go mniej dla tego, nie uzalila się nad samą sobą, miłość jej była ślepą i głuchą, i chciała taką pozostać. Gotową była dalej przyjmować z jego ręki złe i dobre zarówno, cierpienie, upadek, kłamstwo i hańbę nawet.

Ogień znowu dogasał na kominku, a migotliwe blaski konającego płomienia, oświecały chwilami postać dziewczęcia, owiniętą kaskadą włosów i blade rysy napiętnowane cierpieniem, owia-

ne tchnieniem namiętności, a przecież pomimo to pełne dziecięcego wyrazu, nieskalane i zrezygnowane. Chwilami znowu wszystko zapadało w cień i tylko słychać było stłumione westchnienie dziewczyny.

— Ha, zawołał Rajmund powstając z rodzajem niecierpliwości, której nie umiał pohamować, zdaje mi się, że miłość nasza nie przynosi ci szczęścia?

— Przeciwnie, szepnęła, jestem szczęśliwą, bardzo szczęśliwą.

— Przecież, powtórzył Rajmund, chcąc pozbyć się od razu niewyraźnych wyrzutów, jakie przypadkiem robiło mu sumienie, gdybyśmy się kochali, byłabyś stokroć szczęśliwszą, Marylko.

— Ja nie wiem, odparła z prostotą, nie jestem w stanie pojąć życia bez ciebie i bez miłości, nie wiem kiedy się kochać zaczęłam, ale to wiem że nie przestanę nigdy.

I znowu to przyrzeczenie, którego nie wymagał, było dla niego drażniące. Nie myślał wcale wiązać losu swego z losem wychowanki matczynej, miał tyle przynajmniej poczucia sprawiedliwości, iż nie wymagał czego dać nie był w stanie. Marylka mówiąc o miłości okazywała się

zbyt szczodrobliwą. Nie było w jej mocy przemawiać inaczej, wielka prawdziwa miłość nie umie ograniczyć się czasem, nieskończoność zaledwie wystarczyć jej może.

Tymczasem Rajmund bardziej doświadczony w rzeczach ludzkich, on co nie brał tych rzeczy na seryo, wiedział z góry, iż prędzej lub później, ta rozkoszna miłostka zakończy się jak każda inna. Uparte jednak zwracanie myśli do nieuniknionego końca, zdawało się równie niepotrzebne jak *memento mori* powtarzane przez trapistów. Wszak bez przypomnień chwila ta nadejść musiała.

— Jesteś dzisiaj Marylko, wyrzekł z przymusem, w niepoprawnie smutnem usposobieniu.

— Ja, odparła tym razem nie rozumiejąc zupełnie czem wyrządziła mu krzywdę. Nie, nie, nie sądz tego Rajmundzie, ty mnie kochasz, jam szczęśliwa.

I uwiesiła mu się białemi rączkami na szyi, jakby wynagrodzić chciała pocałunkiem mimoswolną przykrość sprawioną. Czuła też instyktownie, że on woli daleko uściski niż słowa, że nimi zatrze najprędzej złe wrażenie wywołane niebacznie.

Ale w duchu jej smutek się wzmacniał, ile razy spoglądała na kochanka ukradkiem w obec ciekawych oczów, wiodła z nim myślą długie rozmowy, wypowiadała mu głąb' swoich uczuć, i wzajem wkładała mu w usta wyrazy miłości, co napełniają serce rozkoszą z niczem nie porównaną. Więc gdy nadeszła wreszcie chwila, kiedy byli razem i sami, pragnęła namiętnie usłyszeć je na prawdę, czekała ich jak rosy ożywczej i niekiedy czekała daremnie. Tych jedynych żądań serca on nie mógł zaspokoić.

Rozstawali się znowu, po długich godzinach razem spędzonych, a Marylka zostawała smutniejszą niż wprzód. Posiadała wprawdzie jego miłość, ale miłość ta nie była taką o jakiej marzyła, nie dawała jej nawet rzadkich chwil szczęścia i upojenia, coby okupywały ciągle jej męczarnie.

Myśl podobną jednak dziewczyna odpychała z trwogą, nie sformułowała nigdy jasno samej sobie żądań ani zawodów doznanych, przyznać wyraźnie iż Rajmund nie był ideałem, to wydało jej się bluźnierstwem. Szlachetna ta natura wzdrygała się przed oskarżeniem innych, i stokroć wołała obwiniać własne serce o nieudolność

lub wymagania dziwaczne, niż posądzić o jaki bądź niedobór, bożyszcze postawione na jego ołtarzu.

I teraz kiedy pozostała samą przy węglach kominika które dawno wygasły, długi czas łowiła uchem lekki szelest oddalających się kroków Rajmunda, jakby duch jej przykuty był do niego. A gdy głucha cisza zapanowała znów w uspio-nym domu i poczuła całe brzemie samotności, zniknął z jej twarzy przymus, zniknął uśmiech z ust, wywołany wysileniem woli. Teraz mogła swobodnie łamać ręce, wyrywać włosy na głowie, bić czołem o mury, mogła rozpaczać i szaleć bezkar-nie.

Przecież nawykła panować nad sobą, nie wy-dała z piersi żadnego jęku, tylko załamane dło-nie zarzuciła na głowę, i tak stała cicha niby skamieniała, wodząc w koło szklannemi oczyma. Przy bladym świetle lampy, starożytne portrety zaledwie wynurzały się z cienia niewyraźnie, ona nie mogła zanieść do nich skargi o swą dolę nie-szczęsną, ich twarze zdawały się pełne grozy i potępienia.

Ci dumni władcy przeszłości, nie mogli uzalić się nad nią, chyba ta jedna dziewczica obleczona

w szaty zakonne co z taką załością spoglądała na obcięte zwoje włosów leżące przy jej nogach, mogła mieć współczucie i litość. Wszak ona cierpiała kiedyś, musiała rozumieć cierpienie. Jej płócienne oblicze zdawało się Marylce pokrewne i łaskawe. Ileż razy jeszcze za lat dziecinnych przyglądała się temu portretowi ze współczuciem szczególnem wylewając nie jedną łezkę, nad losem tej widocznej ofiary dumy Luborzewskich. A teraz zazdrościła jej niejako ciszy i spokoju celi klasztornej. Teraz słuchała ze drżeniem dźwięku zegara, wygłaszającego godziny, bo ten oznajmiał jej że część nocy ubiegła już, że znowu za kilka godzin zejdzie świt szary i ona będzie musiała znowu stać pod oczyma ludzkiemi, znowu pod ich sąd oddawać spojrzenia, uśmiechy i wyrazy swoje. Stan ten wyczerpywał jej siły, czuła iż dalej znieść go nie potrafi, a jednak znosić musiała, dziś, jutro, po jutrze, i tak dalej przez szereg dni których końca dopatrzeć myślą nawet nie mogła. Do łańcucha swego bytu ona przykuła nie tylko nawyknieniem, wdzięcznością, niepodobieństwem zmiany i więcej jeszcze niż tem wszystkim miłością dla Rajmunda.

W milczeniu wzięła lampę ze stołu, otworzyła drzwi boczne, i po cichu stąpając ostrożnie krok za krokiem, by nie zbudzić śpiącej obok Lipkowskiej, zakradła się do swego pokoju. Była chwila kiedy przechodziła koło drzwi starej służącej, a posadzka skrzypnęła pod jej nogą, że zimny pot trwogi operlił jej czoło.

Lipkowska jednak spała mocno, nie słyszała ani cichych kroków dziewczyny, ani drzwi otwierających się powoli.

Dostawszy się wreszcie do siebie jakby zmęczona uczynionem wysileniem, zgasiła światło, które ją zdradzić mogło, i rzuciła się na łóżko w ubraniu, cała owinięta splątanemi włosami co rozrzucały jej się po ramionach i twarz przysłaśniały.

Długo tak pozostała nieruchoma, daremnie szukając snu który uciekał z jej oczów zmordowanych, biedna istota złamana przez życie zanim żyć zaczęła, zwyciężona przez najułudniejszą z pokus, pokusę miłości i ofiary, zgubiona czynem a w myśli niewinna.

I w czasie gdy ona zatopiona w smutku, zasłuchana w biciach swego serca, czekała ze drżeniem dnia nowego, Rajmund zasypiał spokojnie,

z lekkim uśmiechem, bez najmniejszego wyrzutu trwogi lub niepokoju, jak człowiek mający słuszne prawo do spoczynku, po dniu pracowitym. I marzył o zwierzyńnię której nie zabił, o rozrywkach których nie użył, a może wśród snów jego zjawiał się obraz Marylki jako jedna z tysiącznych przyjemności życia, jako jedna z wielu ładnych dziewcząt co umilały mu młodość.

*

*

*

We dworze Luborzewskim życie rozpoczynało się rano bardzo. Przed świtem jeszcze pani Żelisławska wstawała do modlitwy, chociaż wieczorem lampa do późna paliła się w jej pokoju. Skutkiem wieku, przyzwyczajenia, czy też troski jakiej, sen ją odbiegał. Rano też przychodziła do pani swojej Lipkowska, pełniąca w zubożałym domu obowiązki panny służącej, gospodyni, marszałka dworu i mistrza ceremonii. Odbierała od niej rozkazy, a raczej sama przedstawiała projekta, niezmiennie potwierdzone przez kobietę, co z obecnym światem coraz mniej miała wspólności i zamykała się niejako w warowni modlitwy, przed bólami których nie szczędziło jej życie.

Lipkowska więc wszedłszy do pokoju swej pani zapaliła lampę, potem zaczęła ją ubierać i czyniąc to zapytała:

— Co pani hrabina rozkaże dziś dać na obiad.

Formuła zapytania była bardzo świetną, i zdawała się świadczyć o nieprzebranych spiżarnianych zapasach. Pani Żelisławska jednak rozumiejąc że był to frazes tylko, lub może nie przywiązując wartości do materialnych warunków życia odparła:

— Co chcesz tylko moja Lipkosiu, mnie to wszystko jedno.

— Pan Rajmund znowu zabił wczoraj zająca, ciągnęła dalej Lipkowska.

— To niech będzie zając.

Miała słusność iż zgodziła się na to, zając bowiem wisiał samotny w spiżarni, a reszta obiadu zostawiona była przemysłowi gospodyni.

— I co więcej, pytała jednak Lipkowska, z niezmaczoną powagą.

— Co chcesz, co tylko chcesz.

— No, niech pani hrabina będzie spokojna, już ja tam to obmyślę odpowiedziała stara sługa.

Rozmowa podobna, z małą różnicą powtarzała się co rano, i zapewne obie kobiety rozumiały do-

skonałe jej znaczenie, tylko ani jedna, ani druga nie chciała przyznać się do tego. Lipkowska strzegła się zasmucać swoją panią, przypomnieniem nędzy domowej, której wstydziała się niejako, pani Żelisławska, chociaż знаła dobrze położenie wolała nie przyznawać się do tej wiadomości.

Skoro skończyła się ważna narada nad obiadem i wieczerzą, Lipkowska odchrząknęła w pewien sposób świadczący iż miała coś do powiedzenia swojej pani, a nie chciała tego uczynić, bez wyraźnego upoważnienia.

Pani Żelisławska zrozumiała to od razu i spytała:

— Cóż tam słyhać nowego?

— Proszę pani hrabiny wczoraj w południe znowu przynieśli jakieś stemplowe papiery.

Na tę wiadomość znękana kobieta pobladła.

— Stemplowe papiery, powtórzyła machinalnie, gdzież one są?

I wyciągnęła ręce jakby po krzyż męczeński.

— Przyniósł je jakiś woźny i chciał koniecznie widzieć się z panią hrabiną i z panem Rajmundem.

— I cóż?

— Pan Rajmund był na polowaniu, a co do pani hrabiny, powiedziałam że jest chora i widzieć się nie może, wyrzekła stara sługa, z oburzeniem wywołanem tą samą myślą, by jakiś tam woźny dopuszczony był do oblicza jej pani.

— Dobrze zrobiłaś Lipkosiu, dziękuję ci.

Lipkowska wręczyła papiery, a czyniąc to ucałowała serdecznie rękę sobie podaną.

Pani Żelisławska przybliżyła się do światła, i próbowała je odczytać, ale gdy to czyniła dłoń jej drżała, wzrok się mroczył.

— O Boże, Boże! zawołała wreszcie, więc on nigdy nie da nam pokoju.

I opuściła ręce na kolana, wznosząc w górę zaszawione oczy.

Lipkowska nie pytała o nic, nie śmiała tego uczynić, a zresztą wiedziała zapewne na kogo w ten sposób skarżyła się jej pani.

— Czy mam oddać te papiery panu Rajmundowi? wyrzekła po chwili.

— Nie, daj pokój, po cóż go tem zasmucać. Ciężar ten dźwigałam lat tyle, niechże i teraz spoczywa na moich barkach, dopóki podołam. Idź Lipkosiu, nie wspominaj mu o tem. Może Bóg

odwróci od nas grom gniewu swojego, zanim wyda wyrok zagłady.

Lipkowska nie myślała odchodzić, płakała patrząc na panią.

— A wszystkie te nieszczęścia, zawołała, spadły na nas z powodu Żelisławskich i tego nieszczęsnego małżeństwa.

— Cicho Lipkosiu, nie wspominaj.

Ale starej słudze trudno było zamknąć usta.

— Ten fatalny dzień, mówiła dalej, kiedy pani wbrew radzie rodziny poszłaś za nieboszczyka pana, nie wyjdzie mi nigdy z pamięci. Deszcz padał nieustanny i słońce nie pokazało się ani na chwilę, a kiedy orszak ślubny wyjeżdżał do kościoła, zahuczał przeraźliwy wicher. Takie też było i życie całe.

— Po cóż to powtarzać Lipkosiu.

— Nieboszczyk nie wart był tej ofiary, nie wart był hrabianki Luborzewskiej, nacierpiałaś się pani tylko, w jego ręku majątek szedł w niwecz, nie umiał szanować ani żony, ani nazwiska. A kiedy umarł w spadku zostawił nam jeszcze Grzezułkę i jego nienawiść.

Pani Żeliszawska słuchała jej z bijącą pierśią, jakby huczały tam jeszcze echa gromów minionych.

— Zostawmy umarłych w pokoju, wyrzekła głucho.

— A oni czy zostawiają nas w pokoju, zawołała Lipkowska, czy nie Romanowi Żeliszawskiemu zawdzięczamy nędzę domową, troski co pani przedwcześnie włosy pobielily. Czy nie on zmarnował fortunę, odłużył Luborz. Czy inaczej wiedzielibyśmy nawet że istnieje na świecie Grzeżulka. Pani modli się codzień za jego duszę, a ja nie mogę.

— Pamiętaj że to ojciec Rajmunda, szepnęła kobieta z namiętnym odcieniem w głosie.

— I cóż ztąd, alboż on kochał syna, alboż pamiętał o jego przyszłości.

Pani Żeliszawska westchnęła tylko. Ten człowiek o którym słusznie mówiła z gniewem i żalem stara sługa, było to jedyne gorące wspomnienie jej życia, był to ten jeden którego kochała. A kto wie jakie obrazy, jakie pamiątki budziły się w jej piersi, kiedy szeptała blademi usty, modlitwy za umarłych, wywołując w myśli piękną, butną, niestałą i nieopatrzną postać męzowską.

Wszak kochała go, kochała szalonem uczuciem za cierpienia i rozkosze, za ofiary które dla niego poniosła. Jakie wspomnienie człowiek ten zostawił w jej pamięci? tajemnicy tej nie wypowiedziała nigdy. Kto wie jednak czy w zawodach i cierpieniach małżeńskiego życia, nie należało szukać powodu tego beznadziejnego wyrazu, tego nieuleczonego smutku, którego nawet modlitwa i pobożne zdanie się na wolę Boga, ułagodzić nie mogło. Była to dusza namiętna i głęboko zraniona, a która prawdziwej rany swojej, nigdy dotąd nie odkryła nikomu.

Dnia tego jednak, przeciw zwyczajowi, była ona rozdrażnioną, odpowiedziała chłodno na dzień dobry Marylki, kiedy ta przyszła ucałować jej rękę, nie dosłyszała rozmaitych zapytań i uwag Honoraty, i zamiast siedzieć nieruchoma w fotelu robiąc siatkę do kościoła, przechadzała się raz w raz po pokoju.

Były to niezwykle symptomata, zatrwożyły też niezmiernie Marylkę, której życie upływało w nieustannych niepokojach.

Rajmund był na polowaniu jak zwykle, a trzy kobiety pozostały same w ponurym dworze. W koło huczały wichry jesienne, podnosząc z ziemi tu-

many żółkłych liści, wrony i kawki spędzane burzą z gałęzi drzew, skrzeczały żałobnie, a deszcz siekł szyby gdzie nie gdzie zalepione papierem.

To mogło usposobić do melancholii najweselsze nawet istoty, ale tutaj i bez tego wesele było nieznanym gościem. Marylka trzymała w ręku robotę, którą zajmowała się pilnie, ażeby upozorować milczenie, pani domu myślała o nowym kłopotcie zwiastowanym odebranemi papierami; jedna panna Honorata zatopiona jak zwykle w snach, kabałach i marzeniach, przerywała panującą ciszę.

— Będziem mieli niedługo gości, wyrzekła kładąc na kolanach robotę, którą zajmowała się więcej nierównie dla formy, niż rzeczywiście.

— Gości, powtórzyła pani Florentyna zdziwiona tym samym wyrazem, a to zkąd, któżby do nas przyjechał?

Rzeczywiście stosunki jej ze światem, od dawna były zerwane, nędza odstrasza przyjaciół, istota złamana i znękana życiem mrozi współczucie, więc znajomi odsunęli się od Luborza tak zupełnie, iż gość był tutaj niesłychanem zjawiskiem.

— Zkąd, tego ja nie wiem, ale goście będą z pewnością, goście znaczni i niespodziewani, wyrzekała stanowczo stara panna.

— Zkąd że to wiesz?

— Przecież nie darmo śniły mi się konie, wystrzały, a nawet wilk. Tak jest, najwyraźniej widziałam wilka w salonie, wilk to znaczy kawaler.

— Aa, więc to o śnie mowa, przerwała z widocznym lekceważeniem pani Żelisławska.

— Oh! ciocia bo mi wierzyć nie chce nigdy, odparła urażona, a jednak....

— Moja Honorato, jak można się zajmować podobnymi rzeczami, wstyd mi za ciebie. A zresztą to grzech nawet. Pamiętaj że Bóg wiara, sen mara.

— Tak... a sny Faraona tłumaczone przez Józefa, przecież to stoi w Piśmie Świętem wyraźnie. A czy to ja nie przewiduję wszystkiego co się ma wydarzyć, czy nie przepowiadam naprzód. O byłoby nieraz lepiej gdyby mnie posłuchano, zamiast śmiać się z moich ostrzeżeń.

A widząc że ciotka wyraźnie myślała o czem innym, i nie zważała na proroczy ton w jakim mówiła, zawołała rozgniewana:

— Niech się dzieje co chce, a ja powiedzieć muszę, iż domowi naszemu zagraża jakieś wielkie nieszczęście.

Wiedziona przypadkiem czy instynktem, trafiła w dotkliwą stronę. Pani Żelisławska usłyszała ją i wyrzekła smutno:

— Nie jest to żadną nowością Honorato i żeby wiedzieć o tem, nie potrzeba uciekać się do nadprzyrodzonych zjawisk.

— Ja nie mówię wcale o procesie z Grzezułką, tylko o jakimś nieszczęściu, widziałam we śnie..

Ale ciotka zamiast słuchać tych nadzwyczajnych rzeczy, wzruszyła ramionami, to zamknęło usta starej pannie. Nie na długo jednak. Milczenie było wręcz przeciwne jej naturze, więc po niejakej chwili zwróciła się do Marylki.

— Ciekawam o czem panna Marylka tak się zamyśliła? zawołała widząc że wychowanka trzyma nieruchomo robotę w ręku.

— Ja pani, o niczem nie myślę, odparła cicho zagadniona.

Honorata z widocznym przekąsem wstrząsnęła głową.

— A to rzecz osobliwa, by panna w twoim wieku, nigdy nie chciała przyznać się do swoich

myśli, to nieprzyzwoicie. Oh! z tych myśli nic dobrego nie wypadnie, zaręczam.

Dziewczyna przyzwyczajona do nieustannych przymówek starej panny, spuściła głowę z rodzajem przerażenia, jak ptak co się chowa pod własne skrzydło, i z bijącym sercem czekała co dalej wypadnie.

— No to powiedz przynajmniej co ci się śniło, pytała znowu po chwili niezrażona Honorata.

— Mnie się nic nie śniło.

— Nigdy?

— Prawie nigdy.

Tu już pytająca z prawdziwym gniewem rzuciła robotę, i uznając dalszą rozmowę za niepodobną, zabrała się do kładzenia kabały. Czyniła to jednak z roztargnieniem, kabała bowiem wymagała ciszy i skupienia myśli, i właśnie miała się z nią przenieść do swego pokoju, gdy pani Florentyna chodząca niespokojnie po pokoju, zatrzymała się przed wychowanką.

— Marylko wyrzekła, idź poszlij kogo do księdza proboszcza, potrzebuje się z nim widzieć.

Dziewczyna poszła wypełnić ten rozkaz, a pani domu wydawszy go, unikając zapewne pytań i komentarzy starej panny, poszła do siebie.

Honorata spokojnie już teraz zajęła się swoją ważną czynnością. Długo bardzo zbierała i rozkładała karty, dzieląc je na rozmaite kupki, odrzucając niektóre na bok, rachując i wyszukując pomiędzy niemi te, co specjalnie miały zawierać wyrocznie losu, szepcząc przytem jakieś niezrozumiałe wyrazy.

Stosownie zaś do koloru i układu kart, twarz jej osmucała się lub rozweselała. Niepodobna jednak by w tej tajemniczej sprawie, wola kabalar ki nie wpływała na przechylenie szali wyroków, ku stronie jakiej pragnęła, bo ostateczny rezultat napełnił ją radością.

Wyraz niepokoju i zawodu, tkwiący głęboko w jej oczach, ustąpił teraz, złożyła karty z rodzajem uniesienia, i splasnąwszy rękami, pozostała czas jakiś nieruchoma.

— Tak, tak, wyrzekła wreszcie sama do siebie, as sercowy stanął trzy razy z rzędu pomiędzy królem a damą, to znaczy ślub niechybny. A przytem sny nie darmo wróżą mi pomyslną zmianę losu. Nie dalej jak dziś, śniło mi się, iż w pośród pomarańczowego gaju wstępowałam w kryształową wodę, i to nad samym ranem. Rajmund był przy mnie — sen proroczy.

Pomimo tej dobrej wróżby, stara panna zamyśliła się smutnie. Lata jej zbiegły tak marnie, tak jednostajnie, tak bezużytecznie na kładzeniu pasyansów, tłumaczeniu snów i oczekiwaniu ich spełnienia, iż oczekiwanie to stało się nużącym i mieszało się z gorączkowym niepokojem.

Wiek nie przyniósł jej dojrzałości ani powagi. I nie dziw wszak ona licząc za nic swoje dziewicze lata, oczekiwała dotąd rozpoczęcia życia, zapominając że to oddawna chyliło się do zachodu. Niecierpliwość jej więc była do wybaczenia. To też panna Honorata powoływała w myśli na kochanka i męża, każdego nieżonatego mężczyznę jakiego spotkała, i obdarzała z kolei w cichości serca, nieskończonemi skarbami miłości, jakie nagromadziły się w jej dziewiczej piersi.

Miłość własna poszeptywała starej panie przekonanie, iż była przedmiotem uwielbienia każdego spotkanego mężczyzny, i tylko wrogie okoliczności, czarne intrygi otaczających, zazdrość lub nieśmiałość, spowodowały, iż dotąd zostawała w stanie panińskim.

W skutek tego serce jej nie próżnowało nigdy, królował tam zawsze jakiś obraz i był czczony bałwochwalczo, dopóki inny nie wyrugował go

i nie zajął jego miejsca. Zresztą piastowała wiecznie jeden typ idealnie wiernego i czulego kochanka, którego zmieniało się wprawdzie nazwisko i zewnętrzne rysy, ale za to wewnętrzne przymioty były wiecznie też same.

Zmiany te jednak kosztowały ją zawsze wiele łez. Za każdym razem uderzał ją odbłysek smutnej rzeczywistości, i widmo lat ubiegłych zaglądało jej w oczy groźne, nieubłagane, nadzieja przecież która ostatnia zamiera w sercu człowieka, nasuwała jej znowu nowe marzenia.

Na teraz wybraniec jej był Rajmund, chociaż przyznać należy, iż on pozostawał w zupełnej niewiadomości tego szczęścia. On to był obecnie bohaterem snów starej panny, on pozyskiwał w kabale postać sercowego króla. Na jego cześć pani Żelislawska z bratowej stała się ciocią, a zazdrosne oczy Honoraty spoczywały tak często gniewne na Marylce.

Nie łudziła się ona jednak zbyt wielkimi nadziejami, znała doskonale położenie rodzinne, i dzielące ich przeszkody, wszakże marzeniom nikt tamy nie zdoła położyć, więc też i stara panna, ukończywszy pomyślnie trzykrotną kabałę, rozpoczęła z wybraniecem swego serca, jedną z tych nie-

skończonych rozmów, w których pytała i odpowiadała na przemian, a które prowadziła już niejednokrotnie z Janem, Józefem, Karolem, Julianem etc., co z kolei zajmowali niegdyś też same stanowisko.

W wyobraźni jej, zarysowała się z całym realizmem pragnienia, scena która niechybnie miała by miejsce, gdyby Rajmund zwalczył dzielące ich przeszkody i przyszedł wreszcie wynurzyć jej swoje gorące uczucia, gdyż wypada nadmienić że marzenia starej panny, były zawsze arcy legalne. Nie była w stanie wyobrazić sobie miłości bez księdza i Sakramentu i dla tego to ludzie związani ślubem, nie mieli do nich żadnego wstępu.

Rajmund więc wchodził do pokoju w którym siedziała, i rzucając się przed nią na kolana przemawiał do niej rozplamieniony:

— Najdroższa, najukochańsza istoto, usunąłem wreszcie wszystko co stało pomiędzy nami, wolno mi przemówić.

W jaki sposób przeszkody te zniweczone zostały, tego panna Honorata nie objaśniała. Były to szczegóły małej wagi, niknące w obec ogromu rezultatu.

— Najdroższa, mówił dalej ośmielony, jej skro-
nionem milczeniem, kocham cię od lat wielu, ko-
cham w milczeniu.... a ty?...

Na samą myśl tak wyraźnego pytania, rumie-
niec oblewał twarz przejrzałej panny, głos zamie-
rał jej w piersi.

— Honorato, wołał Rajmund, nie bądź okrutną.

Okrutną nie myślała być wcale, więc ze słod-
kim uśmiechem podnosiła wzrok na klęczącego
przed nią młodzieńca. Ten jednak nie widząc te-
go powtarzał:

— Życie moje jest w twoim ręku, zabij mnie
ale nie odtrącaj.

Przerażona taką groźbą wstydliva Honorata,
zdobywała się na ciche wyznanie. Następowala
scena zobopólnych uniesień, ślub i długi szereg
dni miodowych. Stara panna cała w uśmiechach
i rumieńcach, mogła tak marzyć dzień cały.

Ale przebudzenie bywało straszne. Kiedy przy-
szło ze szczytu szczęścia powracać do warunków
realnego życia i spotykać się oko w oko z rzeczy-
wistością, stara panna porównywała z rozpaczą
to co być mogło, z tem co było i z gorączkowym
niepokojem oczekiwała tej przyszłości, która ni-
gdy nadejść nie miała.

* *
* *

Dworek w którym mieszkał pan Marcin Grze-
zułka dzierżawca Luborzewski, oddzielony był
od siedziby właścicieli całą długością ogrodu,
i wznosił się zupełnie odeń odosobniony, w po-
śród folwarcznych zabudowań.

Z tego powodu dziedziniec nie odznaczał się,
wcale estetyką, ani dążeniem do jakiego bądź po-
rządku. Na zachwaszczonej murawie co go pora-
stała, były wydeptane nieregularnie ścieżki, dą-
żące w rozmaitych kierunkach.

Nie szły one jednak żadnym kapryśnym torem,
ale wszystkie bez wyjątku prowadziły do ozna-
czonych celów, do obór, stajni, owczarni, śpich-
rza. Gromady kaczek nurzały się w błotnistej
kałuży, a krzykliwe stado indyk, wałęsało się
tu i owdzie, z widocznem dążeniem ku gumnom,
w czasie gdy skrzętne kury, wygrzebywały gdzie
nie gdzie uronione ziarno.

Na środku dziedzińca skrzypiał zóraw od stu-
dni, i stały rozmaitej wielkości koryta. Tu pojo-
no tłuste stada dzierżawcy, a on sam mógł z gan-

ku swojego mieszkania, objąć jednym rzutem oka całe gospodarstwo. Bo jeśli folwarczny dziedzi-
niec, nie odpowiadał wymaganiom estetyki a na-
wet porządku, świadczył on za to o zamożności
Grzeżułki.

Był to człowiek średnich lat, wysoki, krzepki,
muskularny, o czarnym zarostie i ogorzałej twa-
rzy. Może kiedyś rysy jego odznaczały się ową
powszednią pięknnością, jaką kaprys natury zdo-
biera młodzież. Dzisiaj jednak pięknosc ta zatar-
ła się, zpowszedniała niejako pod wpływem na-
wyknień, uczuć i myśli powszednich. Na ustach
osiadł jakiś szydery wyraz, a bystry wzrok cie-
mnych oczów, miał coś zuchwałego.

Słowem wrażenie jakie dzisiaj czynił na pierw-
sze spojrzenie dzierżawca Luborzewski, było dla
niego niekorzystne. On przecież zdawał się by-
najmniej nie dbać o to, obejście miał szorstkie,
słowo ucinane, jak gdyby w głębi ducha, krył
niezmierne lekceważenie dla ludzi i świata, lub
też rachował na jakieś czynniki, które bez współ-
udziału woli jego, miały mu zjednywać sympatyę,
szacunek, lub przynajmniej ich pozory.

Urządzenie domu Grzeżułki odpowiadało zu-
pełnie jego osobie. <http://z3.in.org.pl> ganku wchodziło się do

sieni, z kądem z jednej strony szły drzwi do kuchni i izb czeladnich, z drugiej do pokoiów gospodarza.

Były to proste pokoje, o bielonych ścianach, nierównych podłogach i pułapach zamiast sufitów. Sprzęty były niewymyślne wcale. Wielki stół zarzucony rejestrami i papierami, służył także za stół jadalny, kilka krzeseł i twarda sofa, obrzucona dywanem, składały całe umeblowanie pierwszego pokoju.

W drugim stało łóżko, a nad nim wisiała doskonała dubeltówka i rewolwer, świadcząc że jako znany kapitalista, dzierżawca na każdy wypadek przygotował sobie środki obrony. Zresztą tu także widać było zupełną obojętność na jaką bądź wygodę lub przyjemność życia. Grzezułka nie lubił myśleć o sobie. Ubranie jego było równie zaniedbane jak pokoje, i składało się z krótkiego kożuszka, szaraczkowych spodni i grubych butów, na których pozostały widoczne ślady błota i gospodarskich wycieczek.

Pomimo ostrej pory, mieszkanie jego było dotąd nieopalone, silny organizm Grzezułki, zdawał się na tem nie cierpieć wcale, i nie odczuwać chłodu panującego w pokoju. Ale przybyły do

nego w odwiedzinę proboszcz miejscowy, ksiądz Piotr Kaleniec, drżał z zimna i usiłował napróżno ukryć to wrażenie, które przecież nie uszło bystremu wzrokowi gospodarza.

— Księdzu dobrodziejowi jakoś tu nie wygodnie, zagadnął z nieopuszczającym go szyderczym uśmiechem, jak gdyby litował się nad wrażliwością swego gościa na zewnętrzne wpływy.

Rzeczywiście, proboszcz choć latami zbliżony do Grzeżułki, przedstawiał z nim typ najkompletniej sprzeczny. Tusza jego, pulchne policzki, rumiana cera, świadczyły o wygodnym życiu i dowodziły aż nadto, iż ksiądz Kaleniec praktykował starannie miłość dla samego siebie. Czy miłość bliźniego była również rozwiniętą w jego sercu? o tem nie podobna było sądzić z pierwszego wejrzenia. W każdym razie jeśli miała wyrównać tej, którą pałał dla własnej osoby, musiała być olbrzymią. Albowiem cała działalność jego moralna i fizyczna, skierowaną była do zdobycia sobie coraz większego dobrobytu i przyjemności życia, o które tak mało dbali i Grzeżułka i pani Żelisławska, każde ze swego odrębnego stanowiska.

Pomiędzy temi dwoma wrogiemi obozami rozdzielającemi Luborz, proboszcz stanowił jedyny łącznik, tu i tam bowiem miał wstęp wolny, a nawet u pobożnej właścicielki zajmował ważne stanowisko, należne spowiednikowi i pasterzowi parafii.

Z Grzeżulką zaś łączyły go daleko więcej świeckie względy. Dzierżawca tysiącem drobnych rzeczy mógł się przyczynić do dobrobytu plebani, które ksiądz znowu odpłacał pewnemi ustępstwami, w praktykach wymaganych, jeśli nie od samego Grzeżulki, to od jego służby; ustępstwa te nie tycząły się wcale dogmatów, których nigdy lud zrozumieć nie był w stanie, ale jedynie form powierzchownych. Tak przynajmniej usprawiedliwiał się ksiądz Kaleniec, jeśli kto czynił mu niedyskretne pytania w tym względzie.

Ze stosunków z dworem, spływał na niego splendor, ze stosunków z folwarkiem pożytek. Tu i tam korzyść była wyraźną i dla tego proboszcz utrzymywał je starannie, naginając się z dziwną zręcznością do tonu panującego w tak odrębnych obozach.

— Coś tu księdzu dokucza, powtórzył pan Grzeżulka, nie odbierając odpowiedzi na pierwszą interpelację.

— Nie to nic, panie Marcynie, odparł zagadniony, spoglądając załóżnie na pusty i wybielony komin, zabierający róg izby, na którym nigdy podobno nie powstał ogień.

— Może zimno tutaj, co? boć to już pono koniec Listopada.

— Że zimno to prawda, ale że to wy panie Marcynie możecie wytrzymać w takiej temperaturze.

— O ja tam nie mam czasu na to uważać, przy pracy, przy zajęciach, ale ksiądz co innego.

I odemknąwszy drzwi od sieni, krzyknął z całych sił.

— Kaśka!

Na ten głos wpadła do izby brudna, rozczochrana dziewczka.

— Kaśka, powtórzył Grzeźułka, ognia napal w piecu a duchem, dobrodziejowi zimno.

— Kiej nie ma drzewa, odparła Kaśka, le-dwie mam przyczem ugotować, dopiero mają jechać do lasa.

— Ha, to już trudno! mruknął filozoficznie rzeźułka, trzeba nam się tu rozgrzać czem
nen

Otworzył do szafy stojącej w kącie, wyjął z niej klucz starannie zamknięty, zapalił latarkę i wyszedł z izby.

Książd snąc rozumiał doskonale co znaczyły te przygotowania, bo spoglądał z uśmiechem zadowolenia za oddalającym się gospodarzem domu. Jakoż ten niebawem powrócił, niosąc zapleśniałą butelkę. Postawił ją na stole, wydobył z szafy kieliszki z zielonego szkła, odmuchał butelkę, odkorkował ją i nalał dwa kieliszki złocistego płynu.

— Zdrowie wasze księżę Piotrze, wyrzekł podnosząc do góry swój kieliszek i trącając się z proboszczem, który toż samo uczynił i przyglądał się z naiwną admiracją, wybornemu winu; obyście tak jak ja mogli nie zważać na skwar, na zimno, na burzę, ani na gadania ludzkie.

Ostatnie słowa wymówił z pewnym przyciskiem ironicznym, przecież nie trafiły one wcale do przekonania interlokutora, bo pokręcił głową i odparł.

— W gadaniach ludzkich często jest prawda—nie powinniśmy się na nie narażać.

— Ej księżę Piotrze, wiecie wy równie dobrze jak i ja co one znaczą, wiecie, że najczęściej słysząc je i plunąć nie warto.

Na tak wyraźnie sformułowane zdanie, proboszcz zamilkł i machinalnie spuścił oczy, jak to zwykł był czynić, gdy uważał za stosowne ani przeczyć ani potakiwać. Przecież Grzezułka nie zadowolili się tym manewrem i mówił:

— Postępowaniem swoim księżę Piotrze, dajecie najlepszy dowód, że podzielacie w głębi ducha moje zdanie.

— Ja... ja... panie Marcinie.

— Wy sami, wszak we dworze słyszycie o mnie jakby o jakim djable rogatym, a przecież zachodzicie tutaj.

— Ale gdzież tam, zaprzeczył energicznie proboszcz, gdzieżby pani hrabina powiedziała coś podobnego.

— Jaka znowu hrabina, zaśmiał się Grzezułka, nie słyszałem o hrabiach Żelisławskich, a powinienem coś o tem wiedzieć.

— No tak, zapewne, Żelisławscy hrabiami nie są, ale pani hrabina pochodzi z tak wielkiego domu.

— To i cóż ztąd, znacie przysłowie „Co było a nie jest“. Wszak i moja nieboszczka żona, jak poszła za mąż, nazywała się poprostu Grzeżułkówną.

Porównanie to wydało się zapewne bardzo nie-stosowne księdzu Kaleńcowi, bo umilkł spuszcza-jąc oczy, tym razem z widocznem zakłopotaniem.

— Co tam! pochwycił znowu gospodarz domu, nalewając po drugim kieliszku wina, djabeł nie taki straszny jak go malują — nie prawdaż? No przyznaj mi księżo to przynajmniej i wypij za je-go zdrowie.

— Za czyje zdrowie? zapytał proboszcz prze-chodząc wzrokiem kolejną od wina, które nęciło go zapachem i kolorem, do dzierżawcy, którego żarty widocznie mu w smak nie szły.

— No, za zdrowie rogatego djabła tu obecnego, Marcina Grzeżułki.

— Panie Marcinie zaniechajcie podobnej mowy.

— Prawda, ksiądz przecież zdrowia djabła wnosić nie może, no wypijcie poprostu zdrowie Grzeżułki, a z sumieniem obliczycie się później.

Zaproszenia tego proboszcz nie dał sobie dwa razy powtarzać, a spełniwszy kieliszek postawił go na powrót, gdy tymczasem dzierżawca rzucił

swój na stół z gwałtownym ruchem, zdradzającym wewnętrzne rozdrażnienie.

Ksiądz Kaleniec, którego zwyczajem było nie pomijać żadnej moralnej zmiany, w osobach z jakimi miał jakibądź stosunek, spojrział na niego z pod oka, a wyczytawszy mu z twarzy potwierdzenie domysłów swoich, wyrzekł zwolna:

— Coś wam dolega panie Marcinie.

Grzezułka wzruszył ramionami.

— A gdyby i tak było, to co? zapytał szorstko.

— Możeby się na to znalazła rada jaka.

— Rada jest, być musi, tylko nie u was znajdzie się ona księżu Piotrze.

— Dla czegoż? wiecie przecież jakem dla was życzliwy.

Grzezułka machnął ręką z wyraźnem lekceważeniem.

— Co tam wasza życzliwość, mruknął, macie ją dla mnie, nie przeczę, ale macie zarówno dla innych. A to się na nic nie zdało.

— Jakto, pytał ksiądz niezrażony zbytnią szczerością dzierżawcy.

— Ej co tam gadać, mówił dalej ten ostatni, nalewając znowu pełne kieliszki, to wszystko zwyczajne rzeczy, tylko jak czasem pomyszę

o mojej nieboszczce i o moim Janie, to mnie o mało wszyscy djabli nie biorą. Cóż to od nich lepszego ta wasza przeklęta hrabina, kiedy ją już nazywacie hrabiną i ten jej wypieszczony jednak niedołęga, co to to prawdziwie, ni do Boga ni do ludzi. Przysiągłem kiedyś sobie, że popamiętaję dzień, w którym odtrącili od siebie Marcina Grzeźułkę i dotrzymam przysięgi.

Ksiądz słuchał tej całej mowy ze spuszczonej oczyma i z zakłopotaniem na twarzy, jak gdyby niechętnie stawał się powiernikiem podobnych uczuć. Byłby może nawet z tego powodu oddalił się pod jakimbądź pozorem, ale przyznać to trzeba, zaczęta butelka starego wina zatrzymywała go tu niezwykniętym magnelem. Ona to może nawet natchnęła go cywilną odwagą z jaką ośmielił się zaprzeczyć panu Grzeźułce.

— Zdaje mi się panie Marcinie, wyrzekł po chwili, iż pamiętają to aż nadto dobrze, daliście im się dobrze we znaki i czas może byłby zaprzestać.

— Zaprzestać czego? spytał urągliwie dzierżawca. Czy mam rzec się tego co mnie i synowi święcie się należy?

— Odebraliście im wszystkie dochody, zabraliście Luborz w zastawę.

— To i cóż ztąd, niech mi tylko oddadzą co mi się z prawa należy a ustąpię natychmiast choćby dziś.

— Wiecie dobrze, iż nie są w stanie tego uczynić.

— A mnie co do tego. Czy oni pytali się kiedyś czem ja żonę i syna wyżywię, zaprzeczając mi jej ojcowizny, wasza święta hrabina nie myślała o tem wcale. Księżę Piotrze lepiej nie mówmy o tem, bo to się na nic nie zda. Tylko nie będę spokojny dopóki nie przyjdzie dzień w którym zajrzę jej wreszcie w oczy i wypowiem to co myślę o niej i o jej pobożności.

— Dajcie pokój, to kobieta święta, a znękana, i nieszczęśliwa.

— Cóż mi ztąd, czy to moja nieboszczka także nie płakała gorzkimi łzami, czy ją pożałowali.

— Pani Żelisławska najmniej w tem była winna.

— Winna czy nie, musi odpokutować, przysięgłem, że się zemszczę.

— Możecie być spokojni, przysięga wasza dawno spełniona. <http://rcin.org.pl>

— Jeszcze nie! zawołał Grzezułka z ponurym ogniem, dopóki ta kobieta zajmuje dwór Luborzski.

— Jakto więc chcecie ją pozbawić nawet tego ostatniego schronienia, nawet dachu nad głową?

Słowa te wypowiedziane z mimowolną zgrozą przez księdza Kaleńca, upamiętały nieco dzierzawcę, zrozumiał iż w słowach swoich posunął się za daleko.

— Ha, wyrzekł miarkując swój gniew, ja nie chcę. Wiecie dobrze księżę Piotrze, iż sprawa pomiędzy nami toczy się w Warszawie, tak będzie jak sądy wyrzekną, ja przecież na bieg sprawiedliwości wpływać nie mogę.

Na tem oświadczeniu musiał proboszcz poprzestać. Było to wprawdzie bardzo nie wiele i nie zmieniało wcale położenia rzeczy, przecież dowodziło przynajmniej, że Grzezułka nie chciał wobec niego dochodzić do ostateczności.

— A dawno mieliście wiadomości od syna, zagadnął proboszcz usiłując zmienić rozmowę.

— Mój Jan! ho ten wszedł na praktyczną drogę, skończył szkołę górniczą jak to wiecie księżę Piotrze i dostał dyrektorstwo znacznych fabryk żelaznych. Idzie mu doskonale, ma tu przyjechać

niedługo. Ho, ho, utoruje sobie sam miejsce na świecie, nie oglądając się na ojcowskie grosze, które go nie miną. To nie hrabiątko jak ten wasz Rajmund, co siedzi tutaj nic nie robiąc i wyczekując zmiłowania Boskiego, choćby miał umrzeć z głodu w tym starym dworze, razem z nietoperzami co go zamieszkują.

— Nie znacie Rajmunda, panie Marcinie.

— Ma się rozumieć, przecież nie zajrzał on nigdy do Grzeźułki i pewno myśl podobna nie przeszła mu przez głowę, ale ja mam dobre oczy i nie raz widziałam go zdaleka jak stał na łąkach upatrząc zwierzyny z lornetką na nosie. No nie brzydki, szykowny, przyznaję to chętnie, ale cóż ztąd. Czy za to uratuje Luborszczynę lub chociaż kupi chleba dla siebie i matki.

Mówiąc to dzierżawca zaśmiał się sobie właściwym sposobem, tak szyderczo, że proboszcz którego animusz podnosił się w miarę wychylonych kieliszków, przerwał mu zniecierpliwiony.

— Któż to wie? Rajmund może pozyskać rękę jakiej bogatej dziedziczki, a wówczas...

— Albo to prawda? a gdzie szukać tych bogatych dziedziczek, zresztą one teraz doskonale umieją rachować i serce swoje trzymać na wodzy.

Jeśli się bogata dziedziczka rozkocha, to praktycznie, zaręczam i prędzej wybierze Jana Grzezułkę, niż Rajmunda Żelisławskiego, chociaż ten nawet rodzi się z Luborzewskiej i ma za sobą nieskończony szereg antenatów. My jesteśmy ludźmi przyszłości, pamiętaj o tem księżu Piotrze.

Słowa te wyrzekł z pewną dumą, rozsiadając się szeroko na krześle, które zatrzęszczało pod jego ciężarem, spoglądając przy tem ironicznie na swego gościa, który zapytał pośpiesznie.

— Masz pan kogoś na myśli, czy nie pannę Anielę Sielską.

— Nie potrzebuję troskać się o to zawczasu ani upatrywać z góry majątnych partyj dla syna, znajdzie on je sam. Czy sądzisz księżu Piotrze, iż mu zbraknie żony?

— Nie zabraknie z pewnością, ale widzicie panie Marcinie, panna Aniela to jakby stworzona dla Rajmunda. Bogata, piękna i w tak blizkim sąsiedztwie, a choć tam mówią i to i owo, ja nie raz myślałem o niej i pani hrabina z pewnością o to modli się tak gorąco.

— Alboż ja wam przeszkadzam, niech wasz Rajmund żeni się choćby z królewną, mnie to wszystko jedno, tylko jeśli tam podoba się kto inny

naprzykład Jan, to nie będzie moja wina — rozumiecie. To już widocznie pan Bóg nie będzie chciał wysłuchać gorących modłów hrabiny.

— Eh! panie Marcinie, kto tam z wami trafi do końca, wyrzekł zniecierpliwiony proboszcz, rozumiejąc może iż niepotrzebnie wygadał się z tajemnymi projektami Luborzewskiego dworu.

— No no, księżę Piotrze, odparł Grzezułka, ze swoim szorstkiem szyderstwem, uspokójcie się, wszakże sami mówicie, iż małżeństwa zapisane są w księdze przeznaczeń, zresztą Bóg przechylić się powinien na stronę świętobliwej hrabiny Żeliśławskiej, wszak ona modli się, spowiada, pości i pokutuje nieustannie.

— Rzeczywiście panie Marcinie, daje tem wszystkim dobry przykład mało naśladowany.

Grzezułka na tę przymówkę roześmiał się gorzko.

— Ha! odparł, powiedziałem wam z góry, że we mnie siedzi djabeł rogaty, ale doprawdy, radbym kiedy pani Hrabinie zajrzeć w oczy i...

— I cóż więcej?

— Może wypowiedzieć co myślę o niej i o jej świętobliwości.

— Gdybyście ją znali panie Marcynie, nie odzywalibyście się w ten sposób.

— Jeżeli się nie znamy, to już nie moja wina, trafiała się dawniej dobra sposobność i dziś trafić się może, tylko jakże biedny dzierżawca, bez wezwania i rozkazu, miałby się stawić przed Jaśnie Wielmożną dziedziczką.

— Znowu żarty panie Marcynie. Powiedzcie jednak, czy chcielibyście doprawdy widzieć się z panią hrabiną.

Na to wyraźne zapytanie, Grzeżółka powstał, wyprostował się całym ciałem, nalał sobie kieliszek wina i wypił go duszkiem.

— Albo ja wiem sam odpowiedział, jakby w nagłym przystępie szczerości, są rzeczy które od wieków leżą mi na sercu, rzeczy, które kiedyś wypowiedzieć muszę, wiem tylko, że na samą myśl o tej kobiecie, krew kipi mi w żyłach. Ale co tam próżno gadać. Ot lepiej skończmy tę butelkę, bo widzę, że organista idzie po was księżę Piotrze, a mnie także czas do gospodarstwa.

Rzeczywiście bystry wzrok dzierżawcy dostrzegł przez okno kościelnego sługę, który szukał proboszcza i niebawem bez ceremonii wszedł do pokoju z oznajmieniem, że pani hrabina przy-

słala prosić księdza Kaleńca, by niebawem przy-
szedł do dworu.

— Cóż to! czy kto umiera we dworze czy co?
zapytał Grzeżółka, nalewając organiście kieli-
szek wina, które ten wypił kłaniając mu się do
kolan.

Ale objaśnienia żadnego dać nie umiał.

— No, no, idźcież księżę Piotrze! spieszcie się,
mówił dzierzawca, zdejmując z kołka wiszące
klucze i nakładając sam na głowę czapkę bara-
nią, wasza hrabina pewno przypomniała sobie
grzech jaki dawny, który jej niepokoi delikatne
sumienie, albo może wykradła gdzie dla syna bo-
gatą pannę i boi się by jej nie uciekła przed śłu-
bem, idźcie prędko, a nie przyznajcie się przypad-
kiem, że idziecie prosto z folwarku, bo by was
egzorcyzmować gotowa, zanim wpuści za próg
dworu.

Ksiądz napróżno starał się przerwać te niemiłe
zarty, Grzeżółka nie słuchał wcale, a skończyw-
szy poszedł pogwizdując do śpichrza nie ogląda-
jąc się nawet za swoim gościem.

Ksiądz zaś tymczasem zdążył ku dworowi.
Złynił to jednak pomału, namysławiając się nad tem
co słyszał tylko co od dzierzawcy i starając się

zatrzeć przechadzką na świeżem powietrzu, lekkie dymy wina, wnoszące się w jego mózgu. Miał albowiem dla swojej dostojnej penitentki cześć nieograniczoną, uważał ją za istotę nietylko światobliwą, ale prawie nieomylną i szczyił się jej cnotami jak gdyby te były jego dziełem.

Rzeczywiście pani Żelisławska zasługiwała na szacunek, jeśli nie na bezwzględną admiracyę. Nabożeństwo jej nie było rzeczą mody, albo nawyknięcia, nie szukała tu ani sentymentalnych zachwyków, ani zabicia czasu, ani pokrywki dla zdrożnego życia. Spowiedź uważała po prostu za obowiązek i dla tego w spowiedniku szukała li tylko księdza, nie zaś człowieka coby posiadał szczególne przymioty.

Religia była dla niej rzeczą niezachwianą, nie podpadającą wcale wpływom chwili, lub wpływom indywiduów. Szukała ulgi w cierpieniach, ucieczki przed troskami tej ziemi, nadziei lepszej przyszłości, a umysł jej znękanym, znajdował to wszystko u stóp ołtarzy. Więc postępując stromą ścieżką życia, czekała z ufnością nagrody w niebie, za bóle tutaj doznane.

Nadewszystko zaś religia miała dla niej charakter tradycyjnej spuścizny, odziedziczonej po

przodkach, bo wszyscy bez wyjątku Luborzewscy, byli najwierniejszymi sługami kościoła.

Zresztą wpływ czasu nie budził w Luborzu żadnego echa, a pani Żelisławska nie posiadała ani bystrości umysłu, ani analitycznych zdolności, z których zazwyczaj rodzi się wątpliwość. Wiara jej była niezachwiana jak opoka, chociaż nie miała nigdy tych mistycznych uniesień, w których bezwiednie myśli grają większą rolę od serca.

Siła namiętności złożona w jej piersi, a zawiedziona nieszczęśliwym małżeństwem, skupiła się cała na Rajmundzie i dla tego to zapewne zachwyty Ś-tej Teresy były dla niej niezrozumiałe. Ona nie potrzebowała zwracać się z namiętnem pragnieniem do Boskiego oblubieńca.

Zresztą miała szczerą wolę wypełniania ściśle to wszystko, co nakazywało sumienie, a dotąd życie nie postawiło ją nigdy na rozdrożu, nie wskazało sprzecznych prądów i sprzecznych obowiązków.

To ułatwiało niezmiernie rolę spowiednika i temu zapewne przypisać należy, iż ksiądz Kaleniec zupełnie wystarczał dusznym potrzebom swojej penitentki, pomimo iż inteligencya jego nie przekraczała bynajmniej zwykłej miary, a myśl zaję-

ta była daleko więcej doczesnemi dobrami, niż wiekuistą niebiańską ojczyzną.

W oczach pani Żelisławskiej był to li tylko pasterz parafii. Sukienka duchowna, tak zupełnie zasłaniała człowieka, iż pomijała nawet plebejuszowskie pochodzenie proboszcza, którego dowodziło aż nadto nazwisko jego.

Z tych wszystkich przyczyn, wyrodził się dziwny stosunek, pomiędzy spowiednikiem a penitentką, bo jeśli ona raczyła dobrotliwie pomijać różnicę kastową, istniejącą pomiędzy niemi, dla niego ród Luborzewskich zachował cały urok minionej wielkości. A przy tem moralna wyższość kobiety, wywierała olśniewający wpływ na księdza, dla którego pomału pani Żelisławska, stała się wyrocznią, tak iż w spowiedziach, konferencych i duchownych naradach, jakie odbywali wspólnie, nie on nią, ale ona rzeczywiście nim kierowała.

To też ksiądz Kaleniec nie zaprzeczał jej nigdy i w niczem, a widząc jej gorącą wiarę, cierpliwość w przeciwnościach i zupełne zapomnienie siebie, dawał z góry rozgrzeszenie, nie wchodząc wcale w te załamki że tak powiem sumienia, w te grzechy i popędy tajne nieraz dla tych, co

je spełniają i barwią tym sposobem we własnych oczach powody postępków swoich.

Pani Żelisławska przyzwyczała się powoli do nieustającej admiracyi spowiednika, który dla formy tylko dawał jej nauki. I nie dziwiła się temu. Ona także przywykła uważać się za świętobliwą, nieskazitelną, za niezmazaną żadnym wiadomym sobie grzechem. Wreszcie czuła iż pochodziła z wielkiego rodu Luborzewskich, w czasie gdy ksiądz Kaleniec był synem ubogich mieszczan. Poczucie stanowiska wielkiej pani, mieszało się nieznacznie z poczuciem cnót własnych. A ponieważ ona szanowała kapłański charakter swego spowiednika, znajdowała naturalnem, by on szanował nawzajem to, co uważała w sobie za godne szacunku. I tem skwapliwiej zasięgała rad jego, iż rady te były zazwyczaj takie, jakich pragnęła, iż ksiądz był pełen względności dla tych arystokratycznych zasad, wyznawanych przez nią od kolebki, a do których tak bardzo nawykła, iż nie dopatrzyła w nich nigdy rażącej sprzeczności, z zasadami Ewangelii.

Ksiądz Kaleniec wybrawszy najdłuższą drogę, wiodącą do folwarku i zapomniawszy o winie pana Grzeźułki, z namaszczeniem wszedł w progi

100
starego dworu, a znając dobrze obyczaje miejscowe, udał się wprost do pokoju samej pani.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, wyrzekł, zatrzymując się u drzwi.

Pani Florentyna przechadzała się niespokojnie oczekując jego przybycia, więc odpowiedziała.

— Na wieki wieków amen.

— Pani hrabino stawiam się na rozkaz.

Mówiąc to ksiądz Kaleniec rzucił na kobietę wejrzenie, w którym przebijała się wcale nieświętobliwa ciekawość. Lubił bowiem w podobnych razach zdać sobie z góry sprawę o co chodziło.

W twarzy kobiety znać było tylko pogńębienie i smutek. Nie czekał jednak długo na objaśnienia, bo wyrzekła po chwili.

— Księżę proboszczu widzisz mnie srodze strapioną.

— Z jakiegoż to powodu pani hrabino?

— Niestety! zawsze jedno i to samo. Nie powinnam zapewne jako Chrześcianka troszczyć się tak bardzo o rzeczy doczesne, powinnam raczej zgadzać się z wolą Boga, który dopuszcza na nas zmartwienia i próby. Jednak księżę proboszczu to nad moje siły.

— Cóż się to nowego stało? pani hrabina mnie przerażasz.

— Niestety! mówiła dalej, kiedy napastowana wraz z synem, nieustannemi pozwami Grzezułki, który z powodu swego małżeństwa, rościł sobie pretensye do naszego majątku, zawarłam z nim układ i wyzułam się prawie zupełnie z dochodów, oddając mu Luborz w dzierżawę, miałam prawo spodziewać się przynajmniej nadal spokojności.

— Bezwątpienia, bezwątpienia, przytakiwał proboszcz.

— Sądziłam, że tym sposobem, kosztem kilkoletniego ubóstwa, uwolnię się od napaści tego człowieka i zachowam przynajmniej dla Rajmunda, dziedzictwo moich przodków. Kosztowało mnie to wiele, bardzo wiele księżę proboszczu. Przypuścić tak blisko do siebie Grzezułkę, narażać się na nieustanne spotkanie, a przynajmniej targi z nim, z jego ludźmi i słyszeć jego nazwisko. Wszystko to było dla mnie ciężkie nad wyraz.

Mówiąc to podniosła chustkę do oczów by otrzeć łzy cisnące się do nich.

— Tak, naturalnie, to było ciężkie, powtarzał proboszcz. <http://rcin.org.pl>

— I do czegoż doprowadziły mnie te wszystkie ofiary. Widzę to teraz zapóźno—patrz księżę proboszczu, co odebrałam dzisiaj.

I rozżalona podała mu nowe pozwy, świeżo doręczone.

Ksiądz Kaleniec rozwinął je i zaczął czytać. Narada dzisiejsza tyczeć się więc miała wyraźnie spraw doczesnych, nie zaś sumienia jego penitentki. Fakt ten pochlebił jego miłości własnej.

— Powiedz mi przynajmniej księżę proboszczu, o co chodzi, bo ja tych prawnych szpargałów nic a nic rozumieć nie mogę. Nie chciałam martwić niemi Rajmunda, bo przecież i on nic także nie zna się na podobnych rzeczach. Czyż dzierżawą Luborza nie załatwiłam rachunków z Grzeżułkami?

— Niestety nie, wyrzekł Ksiądz, odczytawszy papiery. Wprawdzie zaspokoiliś pani hrabina w ten sposób sumnę posagową ś. p. Joanny Grzeżułka, ale tu chodzi o zaległe procenta i stracone korzyści z lat, w których majątek nieboszczki nie zostawał we władaniu jej męża.

— Alboż ja mogłam przewidzieć podobne żądanie, to podstęp, to nowy wymysł tego człowieka, on wyraźnie chce nas pozbawić tych resztek mie-

nia. On chce zagarnąć Luborz na własność, wieści podobne dochodzą mnie ze stron wszystkich.

Tu ksiądz Kaleniec znalazł się w trudnem położeniu, nie podobna mu było zaprzeczać tych fatalnych intencji dzierżawcy, który się z niemi wcale nie taił, a nie wypadało znowu, przytakiwać i przyznawać się do takich wiadomości. Szczęściem pani Florentyna, więcej potrzebowała wyzalić się sama, niż odbierać odpowiedź na gorączkowe pytania, i dla tego zawołała znowu:

— Oh! księżę proboszczu, ja myśli tej znieść nie mogę, Bóg doświadcza mnie nazbyt srogo.

— Pani hrabino, im większa próba, tem większa zasługa, pamiętaj że Bóg tylko wybranych doświadcza.

— Gdyby jeszcze szło o mnie samą, znosiłabym mężniej ciężki los na jaki zasłużyłam zapewne grzechami mojemu, ale Rajmund, Rajmund, za cóż on ma cierpieć. Już i tak młodość jego upływa nędznie w zapomnieniu.

Co do Rajmunda, proboszcz miał w zapasie wiadomości i projekta, zdolne pocieszyć strapioną matkę, przecież teraz zachował je przy sobie. Błysnęła mu bowiem myśl śmiała, korzystania z chwili zalu i wylania swojej penitentki i z wpły-

wu jaki nad nią posiadał, by urzeczywistnić tylekroć wypowiedziane pragnienie dzierżawcy i wyrobić zbliżenie pomiędzy dworem a folwarkiem.

Projekt ten czynił zaszczyt dyplomatycznym zdolnościom księdza Kaleńca, który próbował obrócić na korzyść swoją, nawet to, co zdawało się wywołać wprost przeciwne skutki.

Co zaś miało lub mogło wypaść z widzenia się przy rozdrażnieniu stron obu, to już nie należało wcale do medyatora, on z góry umywał ręce od wszelkich następstw. Chodziło mu jedynie o to, aby pokazać Grzeżulce wpływ, jaki posiadał nad swoją dostojną penitentką i tym sposobem podnieść się w jego oczach. Teraz zajęty swoim projektem, słuchał w milczeniu pani Żelisławskiej, układając dalszy plan postępowania.

— Księżę proboszczu, żaliła się dalej pani Żelisławska, w jakież okropne ręce popadłam, czem zasłużyłam na tak zaciętą nienawiść tego niegodziwego człowieka.

Spowiednik milczał, wlepiając w ziemię wzrok zafrasowany.

— I cóż powiesz na to księżę proboszczu, zawołała z pewną niecierpliwością, bo przywykła była do bezwzględnego potakiwania.

— Niestety! pani hrabino, cóż mam powiedzieć. Waśnie podobne pociągają za sobą najsmutniejsze skutki i zaślepiają najczęściej obie strony. A kto jest powodem nienawiści, bierze na sumienie swoje część grzechu.

Kobieta podniosła na niego wzrok oburzony, to co usłyszała, było dla niej rzeczą nową w ustach proboszcza.

— Pani hrabino, pochwycił skwapliwie ksiądz Kaleniec, przerażony tem spojrzeniem, nie śmiałbym powiedzieć tego nikomu innemu. Ale tak gorliwa chrześciana, tak świątobliwa dusza jak pani hrabina, wyróżnia się od całego dzisiejszego grzesznego pokolenia; pani hrabina nie możesz, nie powinnaś być nienawidzoną.

— A przecież nią jestem.

— Czy zupełnie niewinnie. Czy pani hrabina starałaś się tego uniknąć?

— Jak to rozumiesz, księżę proboszczu, zapytała dumnie, nie mogąc pojąć wątpliwości w tym względzie.

— Pani hrabino, Grzeżółka i żona jego wiele ucierpieli, to Niestety stało się źródłem tej nieszczęsnej nienawiści, która obejmuje wszystkich Żelisławskich.

Kobieta przycięła usta i zmarszczyła brwi w sposób sobie właściwy.

— Wiem o tem, szepnęła, ale cóż ztąd, to wina naszego smutnego wieku, który nic nie uszanował, nic nie zostawił na miejscu. Zasady społeczne są zachwiane.

— Bez wątpienia pani hrabino, wiek dziewiętnasty jest wiekiem bezbożności, tem większa zasługa dla dusz świątobliwych, które pomimo wszystko, trwają na swoim stanowisku i nieraz mogą zabiegami swemi wyrwać piekłu pewną ofiarę.

Myśl ta rzucona od niechcienia, połechtala pobożną dumę pani Florentyny.

— Oh! gdybym mogła to uczynić.

— Pani hrabina mogłabyś bardzo wiele.

— Jakim sposobem?

— Dobrą wolą, dobrem słowem, przykładem. Zrządzenia Boskie są niedościgłe i czasem właśnie ze złego radość powstaje.

— Nie rozumiem cię księżu proboszczu.

— Kto wie czy w tem wszystkim co zaszło, nie widnieje ręka Opatrzności. Tak jest pani hrabino, Bóg czasem ludzi rozmaicie doświadcza

i prowadzi niepojętymi drogami do celów swoich. I właśnie nowe strapienie jakie dziś nawiedziło te progi, może być wstępem do zmian pomyślnych.

— A to jakim sposobem? zapewne wyroki Opatrzności są niedościgłe, przecież przyznając to, nie umiem ich tutaj dostrzedz ani odgadnąć.

Zamilkła, a proboszcz odchrząknął kilka razy dochodząc do stanowczego momentu, w którym miał rzucić myśl osobistego porozumienia z Grzeżulką. Daleko bowiem łatwiej przyszło wypowiedzieć mu te wszystkie ogólniki, niż sformułować ich wynik jasno i kategorycznie.

— Bóg nieraz, wyrzekł po długiej chwili namysłu, żąda od nas ciężkiej ofiary.

— Alboż ja cofam się przed jaką bądź ofiarą, zawołała obrażona iż on śmiał powątpiewać o jej gotowości.

— Nie pani hrabino, nikt lepiej odemnie nie zna twego zaparcia się, zapomnienia o sobie, przecież...

— Księżę proboszczu, mówże wyraźniej.

W tych słowach był prawie rozkaz. Wielka pani z niecierpliwością odzywała się tutaj wy-

rażnie do wiejskiego księdza, który miał zaszczyt być jej spowiednikiem.

— Sądziłem... miałem nadzieję, jękał się ksiądz Kaleniec, olśniony nagłym majestatem swojej penitentki, że gdybyś pani hrabina zdecydowała się sama osobiście pomówić choć słów parę z panem Grzezułką.

— Ja z Grzezułką! przerwała kobieta, piorunując wzrokiem proboszcza.

Sposób jakim wymówiła te dwa słowa, niepodobnym był wcale do zwykłego stłumionego głosu, pełnego namaszczenia i słodczy, jakim przemawiała do rodziny, do służby, nawet do żebraków. Dźwięk ich był ostry, urywany, i zdradzał że tam istniały duchowe rany głęboko ukryte, że wewnątrz nie było w zupełnej harmonii z powierzchownością, i że ktoby zbyt zaufał łagodności tej kobiety, narażonym był w danej chwili na straszliwy zawód.

Teraz wrok jej był równie burzliwy jak głos, wskazując, iż sama myśl jakiegobądź zbliżenia z dzierzawcą Luborza, mogła wytrącić ją z kolei właściwej i zwyciężyć nie tylko wpływ religii, ale i długoletnie nawyknięcia słodczy.

Widząc to ksiądz Kaleniec, już miał cofnąć zbyt hazardowną propozycję, skoro ta została tak źle przyjętą, gdy pani Florentyna zapanowała nad sobą wyrzekła znowu:

— Ja, z Grzeżułką. Księżę proboszczu czy zastanowiłeś się nad tem co mi doradzasz?

Błyskawica burzy minęła. Wymawiając te słowa, kobieta powróciła pozornie przynajmniej do normalnego stanu. Była znowu cichą, słodką, pokorną, tylko jakby na świadectwo głębokiego wzruszenia, blade wargi jej drgały, a ręka konwulsyjnie przyciskała do piersi krucyfiks od różańca.

— Pani hrabino, wyrzekł proboszcz, Chrystus stokroć więcej wycierpiał, a dla tego przebaczył nieprzyjaciołom.

— Księżę proboszczu wiesz dobrze, iż nie mam osobistych nienawiści, dla tych którzy mnie pokrzywdzili.

— Tak sądziłem dotąd pani hrabino, tak byłem przekonany, a jednakże teraz...

— Dokończ księżę proboszczu.

— Uczynię to skoro pani hrabina każe. Otóż teraz widząc iż dusza pobożna i czysta, cofa się przed spełnieniem obowiązku...

— Obowiązku! Alboż ja mam rzeczywiście obowiązek widzieć się z tym człowiekiem?

— Jest zawsze obowiązkiem starać się nawrócić grzesznika. On nienawidzi pani hrabiny jedynie dla tego, że jej nie zna, a nienawiść jest śmiertelnym grzechem. Zresztą któż wie co ztąd wypaść może. Pomyśl pani o synu.

— Ależ ten człowiek jest przewrotny i bezbożny, dał dowody iż niczego uszanować nie zdoła.

— Sądy takie nie do nas należą.

— Boże odpuść, ksiądz proboszcz go bronisz, trzymasz jego stronę.

— Ja pani hrabino! ja! zawołał ze szlachetnem oburzeniem ksiądz Kaleniec, ja doradzam tylko, ponieważ pani raczyłaś zasięgać mego zdania.

Nastała chwila ciszy, ona wyraźnie walczyła z sobą, wskazywały to ognie przechodzące po jej licach, drganie powiek nad spuszczonej oczami, i groźne chmury zbierające się na czole.

Ksiądz siedząc naprzeciwko milczał i patrzył w ziemię, czekając na którą stronę przeważy się szala. Machinalnie tylko przebierał palcami, skrzyżowawszy ręce na kolanach. Czuł bowiem dobrze, iż po tem co powiedział nie należało mu się więcej odzywać.

Jakoż ta cierpliwość nagrodzoną została, po jakimś czasie pani Florentyna wyrzekła znowu znacznie złagodzonym tonem.

— Więc ksiądz proboszcz sądzisz, iż obowiązkiem moim jest próbować nawet tego — tego ostatecznego środka.

— Niestety pani hrabino tak mi się zdaje.

Milczała znowu czas jakiś.

— A w razie, wybuchnęła znowu, w razie gdybym się wreszcie na to zgodziła, jakiegoż rezultatu spodziewać się mogę. Cóż ja jemu powiem?

Ksiądz Kaleniec miał oczy spuszczone, mignęła w nich jednakże błyskawica tryumfu. Powiodła się jego śmiała taktyka, wola dziedziczki Luborzewskiej miękła. Należało tylko dokończyć zaczętego dzieła, dla tego też zawołał z zapałem:

— Pani hrabino, Bóg, co ci zesłał dobrą myśl, natchnie cię w chwili stanowczej. Nieraz łagodna wytrwałość pobożnej niewiasty, kruszyła zakamieniałych grzeszników.

Tym zwrotem spowiednik zatarł złe wrażenie, sprawione gorliwością w doprowadzeniu do skutku, widzenie się pani Żelisławskiej z Grzeżułką, i odzyskał zachwiane stanowisko w umyśle swo-

112
jej penitentki. Była więc znowu dla niego wzorem cnót ewangelicznych, dzielną niewiastą, mającą missyę do spełnienia, wśród zepsutego dzisiejszego świata.

— Bóg widzi, wyrzekła, powracając zupełnie do zwykłego tonu, iż z chęcią dla miłości jego, spełnię tę ciężką ofiarę, i skoro to jest moim obowiązkiem, nie zawaham się go wypełnić.

— Pani, będzie ci to z pewnością porachowane w niebiosach.

— Oby tylko krok ten nie był daremnym, obym zdołała trafić do tego twardego serca i wyrugować z niego nienawiść, którą pała niesłusznie.

— W każdym razie pani hrabina nie będzie sobie miała nic do wyrzucenia, bo jeśli Grzeżulka nie zechce usłuchać głosu prawdy, to już odpowiedzialność nie będzie obciążać sumienia pani.

Tym ostatnim argumentem, ksiądz Kaleniec zakończył tę ważną rozprawę.

Tak więc kwestya została stanowczo rozstrzygniętą w dziedzinie abstrakcyi, należało tylko powzięte postanowienia w czyn wprowadzić.

Rzecz ta jednak przedstawiała nie mało trudności. A naprzód gdzie, kiedy, w jaki sposób,

i w jakiej formie, miało się odbyć spotkanie, pomiędzy wrogami mieszkańcami Luborza?

Było to zagadnienie, przy którym wszystkie etykietalne trudności, zdarzające się w dyplomatycznym świecie, co do pierwszeństwa dostojników, i miejsca jakie względem siebie zajmować powinni, okazałyby się błahemi.

Wszak tutaj chodziło także, nie tylko o ludzi, ale o idee jakie reprezentowali. Niestety do pani Żelisławskiej należało uczynić krok pierwszy i zaprosić do siebie dzierżawcę. Przecież nie mogła w tej negocyacji wyrzec się wyższości, jaką sobie przypisywała nad nim, i zapomnieć o stanowisku wielkiej pani, które niestety istniało w jej wyobraźni.

Tylko jeżeli trudnem było zdobycie przyzwolenia na widzenie się z dzierżawcą, trudniejszym nierównie okazało się wymódz na niej, formalne zaproszenie.

Zrazu całą tę rzecz zlecić chciała księdzu Kałęncowi, ten jednak wiedząc iż duma Grzeżułki, w swoim rodzaju nie ustępowała wcale dumie Luborzewskich, nie podjął się podobnej negocyacji, i żądał piśmiennego dokumentu. Pani Żelisławska zaś, miała arystokratyczny wstręt, do zosta-

wiania swoich autografów w rękach ludzi niższego stanowiska. List był dla niej pewnego rodzaju dyplomem uznania, godłem równości, lub przynajmniej łaski, którym nie życzyła sobie wcale zaszczyć nienawistnego dzierżawcy.

Po długich sporach i naradach, zgodzono się nareszcie na *mezzo termine*. Pani Żelisławska zażądała panny Honoraty, i kazała jej napisać list do Marcina Grzeźulki, prosząc go w jej imieniu, by zechciał zobaczyć się z nią w ważnym interesie i w tym celu pofatygował się do dworu.

Redakcyja listu jak łatwo się domyślać, uległa najrozmaitszym zmianom, poprawkom i t. p., a przez ten czas stara panna umierała z ciekawości, dowiedzenia się powodu podobnej odezwy, i w milczeniu, tak rzadkiem u niej, rozpamiętywała wszystkie prorocze przepowiednie, które powinny były przygotować ją do tak nadzwyczajnego faktu.

Więc to Marcin Grzeźulka miał być owym gościem, zapowiedzianym tak stanowczo przez sny i kabały.

Na tak ważny temat, bujna wyobraźnia starej panny, pracowała niezmordowanie; próżno jednak chciała pytać ciotki, bo ta udręczona i przerażo-

na nagłym postanowieniu, zamknęła się w swoim pokoju.

A tym czasem zręczny proboszcz, dążył z tryumfującą miną do dzierzawcy.

Krótki dzień listopadowy był już na schyłku. Grzeżulka w swoim kożuszk, stał w śpichrzu, dozorując sprzętu zboża, które parobcy pod przywództwem gumienego, znosili po omłocie ze stodół. I tak był zajęty rachowaniem worków i kierowaniem zsyphu, iż zaledwie kiwnął głową swemu gościowi.

Ten wiedział z doświadczenia, iż w podobnych chwilach nie należało mu przeszkadzać, przecież uniesiony ważnością odniesionego zwycięstwa, nie mógł się powstrzymać od wykrzykniku.

— Zgadnijcie panie Marcinie, z czem do was przychodzę?

— Ot właśnie mam czas sobie nad tem głowę łamać, oburknął się Grzeżulka, wy próżniacy nie wiecie że czas to pieniądze.

— No, no, nie gniewajcie się, zaczekam, odparł ksiądz opierając się o drzwi śpichrza.

— A ty Walek, czemu tam stoisz zamiast zsyphywać swój worek, krzyknął dzierzawca, dodając do tych słów energiczne epitety.

Parobek spiesznie wykonał odebrany rozkaz, a Grzeźułka uspokoiwszy się trochę, przypomniał sobie niewczesnego gościa, i rzekł znowu zwracając się do niego:

— Darujcie chwilkę jeszcze księżu Piotrze, widzicie jak jestem zajęty, zaraz służyć wam będę, poszlibyście lepiej do pokoju, bo tu zmarzniecicie na nie, i mnie przeszkadzacie tylko, ja tam przyjdę.

Proboszcz rad nie rad musiał wykonać ten przyjacielski rozkaz, dzierżawca bowiem zupełnie na niego nie zważał.

Skoro odebrał zboże, zapalił latarkę, gdyż przez ten czas ściemniło się zupełnie, zaczął obchodzić po kolei wszystkie gospodarskie budynki. Zajrzał na klepiska gdzie odbywał się omlót, zrewidował siasieki, maszynę, był przytomny zamknięciu stodół, potem udał się do obory, wołowni, owczarni, stajni. Dopilnował zasypywania obroków, zadawania karmy, i dopiero ukończywszy to wszystko, z pękami ciężkich kluczy, pojął ku dworkowi. Chwilka jego trwała dobrą godzinę.

Ksiądz Kaleniec tym czasem, oczekując w pokoju, pocieszał się ogniem, który wreszcie Kaśka uważała za stosowne rozpalić.

— Ha! cóż nie znudziliście się bardzo, wyrzekł Grzeżulka, zdejmując czapkę i wieszając ją na kołku koło kluczy. Trudno, w dzień powszedni pracować potrzeba, a przy gospodarstwie, to już niema ani świątku, ani Niedzieli. Dobrzebym ja wyszedł, gdybym się nie pilnował, nie przymierzając jak wasi hrabiowie. Mieli oni czas na gości, na zabawy, polowanie i na wszystko, aż ich rozkradli z kretesem, i teraz nie mają czego pilnować, mogą śpiewać swobodnie, jak owa mrówka z bajki.

Tą cytata pan Grzeżulka, zdradzał swoje literackie wiadomości, a jeśli porównanie nie było zbyt trafnie użyte, jeśli wreszcie wziął mrówkę za polnego konika, można mu to było wybaczyć, przy tylu nieliterackich zajęciach.

Ksiądz też nie myślał prostować go w tym względzie, ale odparł z tajemniczym uśmiechem:

— A zawsze wam jednak pani hrabina na myśli.

— Gdzie tam, wyrwało mi się niechcący, boć kiedy się mówi o próżniactwie, to przypominają mi

się zawsze tutejsi dziedzice. Ale mieliście mi coś powiedzieć księżę Piotrze, słucham teraz.

Proboszcz Luborzewski upewniwszy się wprzódy, uważnem spojrzeniem, iż dzierżawca rzeczywiście wraz z kluczami na kołku, odroczył do jutra gospodarską troskę, wyrzekł z miną tajemniczą:

— Mam dla was ważną nowinę.

— Nowinę dla mnie... czy od Jana?

W głosie jego gdy to wymawiał, znać było rodzicielską troskę.

— Zkądże znowu pan Jan miałby do was zgłaszać się przezemnie.

— Prawda, odparł uspokojony Grzeźółka, bo widzicie księżę Piotrze, kiedy kto ma takiego jak ja jedynaka, to o nim myśli nieustannie, chociaż się z tem nie wydaje.

— Szukacie daleko panie Marcinie, a moje poselstwo z bliższej nierównie strony pochodzi.

— Z bliższej, no to już nie odgadnę.

— Sprobujcie.

Było coś tak tajemniczego w wyrazie twarzy proboszcza, iż przecucie jakoś tknęło dzierżawcę; podniósł się z miejsca z roziskrzonym wzrokiem.

— Przecież nie ze dworu, zawołał zaciskając pięście.

— Oj panie Marcynie, panie Marcynie, jak wy się zaraz gorączkujecie, a gdyby i tak było.

— To być nie może, powtórzył Grzeżółka, którego czoło pobladło złowrogo, czegoż oni chcą odemnie.

— Wszak mówiliście, iż pragniecie pani hrabini zajrzeć w oczy, otóż ona miała zapewne to samo żądanie, skoro listownie prosi was o przybycie do dworu, i tym sposobem czyni ku wam krok pierwszy.

Grzeżółka słuchał tej mowy w ponurem milczeniu, a na list który ksiądz z pewnym tryumfem położył na stole, spoglądał nieufnie.

— Ha! wyrzekł wreszcie, Żelisławscy od dawna powinni to byli uczynić, chociaż do tego obowiązku nie poczuli się wcale. Ale zkądże to? cóż to za nowy kaprys pański, ta niespodziewana łaska.

— A na co koniecznie złego wyszukiwać, odparł ksiądz, próbując przygotować możliwość jakiej bądź zgody, i w nadziei że cel uświęca środki, puszczając się odważnie na morze kłamstwa. Żelisławscy poznali może iż źle postąpili, a prawdę

mówiąc i wy panie Marcinie nie jesteście przeciwko nim bez winy.

— Ej! co to próżno gadać księżę Piotrze, ofuknął dzierzawca, już ja się tam nie odmienię, jakowym byłem takowym i będę, tylko chyba tym gołym panom, zapachniały pieniądze Grzeżułki, jeśli na prawdę chcą się z nim przejednać. Ho, ho, znam ja ich. Ale zkądże to u diabła tak nagle przyszło?

— Może i nie nagle, odparł proboszcz dyplomatycznie, niejednokrotnie pani hrabina wspominała o tym nieszczęsnym stosunku z ubolewaniem.

— Ee! i wy nie powiedzielibyście mi tego, spytał Grzeżułka, patrząc na niego z nieskrywaną nieufnością.

— Po cóż miałem mówić, albożbyście mi uwierzyli, kiedy teraz nie dowierzacie nawet listowi.

— To prawda, że niech ich wszyscy diabli porwą, zaklął Grzeżułka biorąc list i otwierając go ze złością.

Przeczytał list, a potem rzucił go drżącemi z gniewu rękami.

— To ta czarownica Honorata pisze, wykrzyknął, cóż tam u licha za interes poruszył tak do

zywego panią hrabinę, że aż kazała zawezwać do siebie Marcina Grzeźukę; musicie choć to wiedzieć księżę Piotrze. Cóż pieniędzy im potrzeba dla gagatka Rajmunda, i myślą może iż ja dam owoc swojej ciężkiej pracy dla pięknych słówek. Niedoczekanie ich!

— Ależ nie złościę się tak daremnie, to się na nic nie zda, reflektował proboszcz, zobaczycie sami o co idzie.

— Aha! może o te pozwy co wczoraj przyszły, przecież to nie pierwsze i nie ostatnie, zaśmiał się dzierżawca, nibyto wy, księżę Piotrze, wy spowiedniku i doradco, nie wiecie czego chcą odemnie?

— Juścić tam musi być jakaś zamówka, pani hrabina nie może tak ni ztąd ni zowąd powiedzieć „złe zrobiłam darujcie”.

— Dla czego nie, jeśli doprawdy poczuwa się winy.

— To trudno panie Marcynie, tak prosto z mostu rzeczy iść w świecie nie mogą, jak się wam wydaje.

— To też dla tego, z przeproszeniem waszem, na świat ten i pluć nie warto.

Na takie *dictum acerbum* ksiądz Kaleniec wzruszył ramionami, z wyraźnem poczuciem swojej wyższości.

— Szkoda że niema tu waszego Jana, wyrzekł tylko, sądzę iż on by mnie zrozumiał.

-- Cóż to, czy to ja tego nie mogę zrozumieć, czy to wielka filozofia, czy co? Ot ludziom się na świecie we łbach przewraca, i nie umieją nic nazwać po imieniu, lub powiedzieć to jest czarne a to białe, jak pan Bóg przykazał. Mówcie sobie co chcecie księżę Piotrze, nazwijcie to polem czy jak tam, a ja powiem głupstwo i kwita.

— Nie będę się próżno z wami spierał, panie Marcinie, tylko świata nie przerobicie, i nie wszystko tak na nim będzie, jak wam się podoba.

— Co mi tam! ja świata nie potrzebuję.

— Tak rozumny człowiek jak wy, nie powinienby tego mówić.

— Zkądże się znowu u mnie wziął rozum, wszyscy wiedzą że prostak, ot tak sobie jak mnie pan Bóg stworzył. Rodzice moi pracowali ciężko na chleb, i nie mieli za co posyłać mnie do szkół, to co umiem winienem sam sobie. Mój syn co innego, on też już będzie umiał wszystko co

potrzeba, nie żałowałem na to, zaręczam że jest równie mądry jak wasz Rajmund, chociaż nie taki jak on niedołęga książątko.

— Mówiliśmy o czem innem panie Marcinie.

— To wszystko jedno, ja zawsze swoje powtórzę, po kiego licha zaczepia mnie pani hrabina. Jeśli o pozwy to się na nic nie zda, pięknymi słówkami mnie dziś nie zbędą odbiorę święcie co mi się należy.

Tej drażliwej kwestyi proboszcz nie chciał poruszać daremnie, by nie wzbudzić nieufności Grzeżulki, zapytał tylko po chwili.

— Kiedyż pójdziecie do dworu?

— No już się wiem że pójść muszę, ale wiem także iż się to na nic nie zda.

— Z góry tego powiedzieć nie macie prawa.

— Co tu prawo, alboż ja ich nie znam.

— Czas i okoliczności zmieniają ludzi panie Marcinie, a cóż dopiero nieszczęście, pani hrabina tak bardzo stroskana i zbiedzona, żebyście jej nie poznali.

— Gadajcie zdrowi księżę Piotrze, niby to ja tych panów nie znam. Są ludzie którym żadne doświadczenie rozumu do głowy nie napędzi, i oni właśnie do takich należą, a im gorzej z nie-

mi tym więcej nosa zadzierają, jakby byli z innej gliny ulepieni niż reszta świata. Tylko kiedy o pieniądź chodzi, to umieją spokornieć, ba! i unżyć się i podłość popełnić. A wiecie dla czego księżę Piotrze, bo grosza zarobić nie potrafią, i muszą go wyżebrać, albo wykpić.

I mówiąc to Grzeżółka śmiał się szyderczo, uderzając się wybitnym sposobem po kieszeni, bo czuł dobrze iż tu był węzeł położenia.

— Wy zawsze swoje panie Marcinie, odparł ksiądz, nierad z obrotu jaki mimo usiłowań jego brała rozmowa.

Przemawiał tutaj w zupełnie inny sposób niżeli we dworze, tak iż słysząc go, można było wątpić, czy to był jeden i tenże sam człowiek, czy mógł tak odmienić nie tylko myśli, zdania ale sposób wysłowienia się, ruchy i postawę. Przecież pomimo to, wymowa jego daleko mniej działała na umysł dzierżawcy, niż pani Żelisławskiej; naturalny, praktyczny rozum jego, odrzucał z góry wszelkie sofizmata, i rzecz każdą, odzierał niemiłosiernie z łupin pozorów.

— No, no, mówił dalej proboszcz, nie odbierając odpowiedzi na swoją uwagę, spodziewam się, iż po rozmowie z panią hrabiną zmienicie zdanie.

— Cóż to myślicie, że ja nie znam się na kome-
dyach ludzkich i zaraz je wezmę za prawdę?

W rzeczywistości ksiądz Kaleniec nie był wca-
le pewny, że owe piękne słówka na które rach-
wał dzierżawca, posypią się na cześć jego z ust
dziedziczki. W zasadzie przygotowanego z taką
trudnością spotkania stron zwaśnionych, leżało
nieporozumienie, mogące wywołać burzę, i pogor-
szyć jeszcze tak bardzo rozdrażnione stosunki.
Tym sposobem dyplomacya jego odniosłaby sku-
tek wręcz przeciwny, aniżeli się tego spodziewał.
Byłby chciał przynajmniej, asystować owej wizy-
cie, i być niejako w odwodzie w przypadku nie-
bezpieczeństwa. Przecież ponieważ ani pani Że-
lisławska, ani Grzezułka, nie zachęcali go do te-
go, umyślił w tymże samym czasie odwiedzić pan-
nę Honoratę i tym sposobem mieć oko na plac
boju.

Zanim więc pożegnał dzierżawcę, nie omiesz-
kał zapytać o godzinę w której zamierzał naza-
jutrz stawić się we dworze.

Pomimo wszystkie burzliwe dowodzenia Grze-
zułki, była to dla niego chwila uroczysta, kiedy
około południa, przestępował próg nienawistnego
sobie domu.

Chcąc pokazać iż nie był znów tak nieokrzesanym jak to sądzili nieprzyjaciele jego, przybrał się w odświętne suknie, ogolił i uczesał starannie, a nawet, rzecz u niego niesłychana, włożył rękawiczki.

Tak przystrojony, wyglądał wcale pokaźnie, a co najważniejsza zachował pod temi niecodziennymi szatami, swobodę i pewność siebie, jaką miał w krótkim gospodarskim kożuszk. Widocznie mówił prawdę dowodząc, że go wcale nie mamił blichtr pański, ani imponowała tradycyjna duma Luborzewskich, bo kiedy wstępował w progi dworu, błąkał mu się na ustach szyderczy uśmiech. Nie był to teraz wcale rubaszny towarzysz księdza Kaleńca, ale człowiek obrażony, który wie że jest panem położenia, i nie odbiera tylko czyni łaskę zgadzając się na konferencyą.

Od rana dnia tego, i dwór był niejako na stopie wojennej, odczyszczono i obmieciono z pajęczyn wielką salę, wydobyto niektóre kosztowne zabytki, znajdujące się jeszcze w posiadaniu Żelińskich, a stary lokaj w wytartej liberyi, raz wraz uchylał drzwi wchodowe, i wyglądał na trawą zarosłą aleję, prowadzącą od dziedzińca na

wieś i folwark. Tak, że kiedy Grzuźulka wszedł na ganek, natychmiast otworzył przed nim drzwi parterowej sali, i poszedł zameldować go pani domu.

Tak więc te spróchniałe ściany, nie pokryte nawet całkowitym dachem, bo deszcz i zimno torowały tu sobie spokojnie drogę, przez zgniłe gonty i potrzaskane futryny, zdobywały się jeszcze w danej chwili na pewien pozór i okazałość.

— Ha, wyrzekł dzierżawca, wodząc wzrokiem z pewnem zajęciem po tym długim szeregu przodków, nie omyliłem się, zawsze jednacy. Umrą takimi, jakimi byli. Nie mają co jeść ze swoją służbą, ale się bez niej obejść nie potrafią.

Dalsze rozmyślanie Grzeźulki przerwane zostało szelestem sukni. Drzwi skrzypnęły, i do pokoju weszła pani Żelisławska.

Ubrana była jak zwykle w czarną wdowią suknię, białe włosy pokrywała czarna koronka, tylko zwykła bladość jej mieniła się prawie w trupią barwę, oczy miała podkrążone gorączką, niesnem i strasznem wzruszeniem tej chwili, w której spotkać się miała oko w oko z wrogiem swojej rodziny.

Książd Kaleniec miał słuszość, troski i bóle wyryły się wyraźnie na tej twarzy. Przecież widok ten nie rozbroił wcale Grzeżułki, przeciwnie wzrok zapalił mu się ponurym ogniem.

Kobieta nie zważała na to, nie badała fizyogno-mii swego gościa, zajęta wyłącznie pokonaniem słów gwałtownych, cisnących się na usta. Wreszcie skłoniła mu się chłodno i dumnie, jak monarchini przypuszczająca noddanego do łaski oglądania swego oblicza.

Był to fakt wprost przeciwny, pojednawczym zamiarom, jakie proboszcz obiecywał dzierżawcy, i od razu też zwiął z niego wszelkie pozory któremi się uzbroidł.

Nie oddał ukłonu za ukłon, nie zatrzymał się przy drzwiach, zrażony lodowatym obejściem pani Żelisławskiej, tylko śmiałym krokiem zbliżył się do niej.

— Pani bratowo, wyrzekł dobitnie, dawno bardzo nie widzieliśmy się z sobą.

Słyszając tę poufałą nazwę, kobieta cofnęła się, płomień oburzenia przeniknął po jej twarzy, i gdyby była mogła spiorunować wzrokiem dzierżawcę, z pewnością byłaby to uczyniła. Ponieważ jednak Jowiszowe gromy spojrzenia nie spr-

wiły żadnego skutku, odparła przywołując na pomoc całą swą tradycyjną dumę rodową.

— Niech pan Grzezułka zechce pamiętać, iż po śmierci pańskiej żony i mego męża, wszelkie stosunki pokrewieństwa, przestały istnieć pomiędzy mną a Grzezułkami.

— Łaskawa pani, zaszczyt połączenia z domem hrabiów Luborzewskich był dla mnie zbyt wielki, bym o nim kiedykolwiek zapomniał.

— O ile wiem, pan Grzezułka był tylko skoli-gacony z Żelisławskimi, a to wcale co innego.

— Daruj mojej nieświadomości łaskawa pani, jako plebejusz z urodzenia nie mogę być biegły w heraldyce, ani w hierarchii znakomitych rodów; sądzę jednak iż nie po to mnie pani wezwałaś, by objaśnić w tym względzie.

Zimna krew i systematyczne szyderstwo Grzezułki, były to rzeczy niepodobne do zniesienia dla pani Żelisławskiej. Rozmowa pomiędzy nimi zawiązała się w fatalny sposób; ale czyż mogło być inaczej?

W każdym razie Grzezułka zwracając ją na tor właściwy, oddał usługę swojej nieprzyjaciółce.

— Masz pan słuszność, odparła, przygryzając do krwi blade wargi, wdaliśmy się w niepotrzebną kwestyę.

Słowa te były nierównie grzeczniejsze, od tych które wymówiła dotąd, zrozumiała bowiem, iż ten pogardzony człowiek, znał dość szermierkę szyderstwa, by w potrzebie oddać wet za wet, i był tyle zuchwałym iż śmiał uczynić to względem niej. Konieczność więc zmusiła ją być oględniejszą.

On stał naprzeciwko z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, mierząc ją nieubłaganem okiem.

— I czegoż pani żądasz odemnie?

Pytanie to powróciło jej do pamięci realne warunki bytu.

— Czego? alboż pan nie domyślasz się tego, nie rozumiesz iż zmusiło mnie do tego kroku systematyczne prześladowanie, jakiego doznajemy. Wczoraj odebrałam znowu pozwy.

— Ah! więc to o to idzie, łaskawa pani, kaźden ma prawo upominać się o to, co mu się należy, niema tu prześladowania żadnego, jest prosty dług tylko.

— Czyż nie dla spłacenia tego długu, wyzułam się wraz z synem wszystkiego, oddałam Luborz w dzierżawę na lat tyle, czyż pan temu zaprzeczy?

— Bynajmniej. Alboż pani nie odczytałaś pozwu?

— Ja nie znam się na pozwach, sądach, procesach...

— To już nie moja wina, w takim razie trzeba poradzić się adwokata.

— Ja wiem to tylko, że te nowe żądania nie mają żadnej zasady, że są urojone, podstępne, niegodne.

— Łaskawa pani, sprzeczka w tym względzie jest zupełnie zbyteczną, a czy ja czy pani mamy słuszość, to już sądy orzekną.

Szydercza spokojność dzierżawcy, była niezachwiana, pani Żeliszawska przywoływała na pomoc całą chrześcijańską cierpliwość.

— Panie Grzeżulka, zawołała, tu nie o to chodzi; powtarzam nie znam się na sądach i prawie. Wiem tylko, iż kiedy zawierałam ostateczny układ z panem o dzierżawę Luborza, byłam przekonaną iż tym sposobem przecinam wszelkie długie spory i presensye.

— Być może, zwracam jednak uwagę pani, iż ja nie wiedziałem o tem przekonaniu, które w akcie wcale wyrażonem nie zostało, ono zatem zobowiązywać mnie nie może.

— Jest to niegodny, haniebny podstęp, zawołała rozżalona kobieta, nie mogąc dłużej miarkować swoich wyrażań.

Szydercze oko dzierżawcy zapalało.

— Czy wezwałaś mnie pani na to, ażeby mi powiedzieć co o mnie myślisz, zapytał zwolna.

— Nie panie Grzeżółka, źle mnie zrozumiałaś, nie to mówić chciałam, wyrzekła przerażona własnymi słowami, ja widzę w postępowaniu pańskim systematyczne prześladowanie, nienawiść na którą ja przynajmniej nie zasłużyłam, za cóż mnie pan nienawidzisz?

— Za co! pani doprawdy o to zapytujesz?

Mówiąc to patrzył na nią gwałtownym wzrokiem, tak gwałtownie, aż spuściła przed nim oczy.

— A któż od kogo doznał kiedy krwawszych zniewag. Ożeniłem się moją nieboszczką nie pytając was o pozwolenie, to prawda. Wiedziałem z góry żebyście go nie dali, że prędzej zamknęliście ją do klasztoru, a mnie pozbyli się jakim

kosztem. Ale skoro raz zostałem jej mężem, skoro ona odstąpić mnie nie chciała, pomimo iż namawialiście ją do tego, czy nie zaprzeczyliście jej praw wszystkich, nie odtrącili od siebie. A przecież była to rodzona siostra Romana Żeliszławskiego, sierota, kopciuszek domowy, o który ty pani zatopiona w nabożeństwie swoim, troskałaś się bardzo mało.

Zaprzeczyliście jej majątku, mnie prześladowaliście w ten sposób, że trudno mi było zapracować chleba kawałek dla żony i dziecka. My cierpieliśmy głód i zimno, a wy używaliście jej mienia, nie pytając wcale co się z nią dzieje. A kiedy odzywała się do was znękana, prosząc nieledwie o miłosierdzie, odpisaliście jej żeby porzuciła męża. Niezaprzeczaj mi pani. Czytałem to sama na własne oczy i wściekałem się ze złości. Bo możesz się pani śmiać i dziwić, a ja kochałem tę kobietę. Wy myśleliście zapewne, że jakiś tam Grzeżółka, syn mieszczkański, nie poczuje nawet obrazy, że on niema ani sumienia, ani Boga w sercu, że można deptać po nim bezkarnie, deptać aż do śmierci. Otóż dziś ten nędzny robak, pokazał wam jad swój, może oddać wet za wet i pomścić krzywd doznanych, pytacie dla czego nienawidzi? Łaskawa pani zapytaj o to przeszłości.

Dzierżawca mówił to wszystko urywanym głosem z niepodobnym do oddania akcentem tryumfu. Kobieta słuchała go przerażona, kiedy rozwijał w jej oczach ten długi szereg zbrodni rodzinnych. Dotąd przecież nie poczuwała się do win żadnych, to wszystko bowiem co czynili Żeliśławscy dla przeszkodzenia pożyciu jednej z pomiędzy siebie z takim Grzeżułką, sądziła rzeczą sprawiedliwą. Alboż nie słusznie uważali podobny związek za hańbę i nieszczęście. Czyż fakta nie sprawdziły tego. Różnica leżała w sposobie zapatrywania się na rzeczy i ona za to odpowiedzialną być nie mogła.

— Ależ to minęło — minęło dawno, zawołała, nie mogąc znaleźć w obec Grzeżułki innego tłumaczenia.

— Tak, powtórzył urągliwie, wstrząsając głową, minęła krzywda ale nie jej skutki. Czyż nie przymusem groźbą i procesem wydarłem wam posag nieboszczki żony, w niewiem już wiele lat po jej śmierci, dla jakiegoż więc powodu miałbym darować wam zaległe procenta i stracone korzyści, do których mam święte prawo. Dałem dowody, że miano to co marniało w waszych nieudolnych rękach, w moich byłoby wzrosło w dwójnasób. Al-

boż to Luborz tak wyglądał, kiedyście wy nim rządźili, albo to pola tak plonowały?

A zresztą jakież ja mam względem was obowiązki, coby mogły złagodzić pamięć krzywd minionych czy jesteśmy sobie braterstwem czy co? Wszak sama określiłaś pani, że nawet stosunki pokrewieństwa wszelkie pomiędzy nami ustały, chociaż nieboszczka moja zostawiła syna, a bądź jak bądź jest on ciotecznym waszego Rajmunda.

Bądź pani spokojna jednak, nie potrzebujemy dobijać się o zaszczyt pokrewieństwa, które nam nic nie przyniesie. Pomimo was utorowaliśmy sobie drogę na świecie, nie potrzebujemy już niczyjej łaski i prędszej wasz Rajmund pokłoni się mojemu Janowi, niżeli on jemu.

— Więc czegoż chcecie od nas, szepnęła przeżona gwałtownością słów jego i siłą w nich złożoną.

— Czego chcemy, tego tylko co nam się należy, nic więcej łaskawa pani, z reszty skwitowaliśmy od dawna.

— Ależ to ruina, to ostatnia ruina dla nas, zawołała łamiąc ręce, oddaliśmy wam już wszystko. Czyż pozazdrościcie nam nawet tego dachu nad głową.

— A mnie co do tego, miejcie sobie miliony, byleście oddali to co ja i syn mój mieć powinni, zbyt daleko stoimy od siebie by Grzeżółka mógł wchodzić w to, co posiadają Żelisławscy.

Kobieta jęknęła głucho, czuła iż nie miała najmniejszej władzy na tym człowiekiem i tak dalece nie potrafiła przemówić do niego, iż każdym słowem podburzała go więcej jeszcze.

On zaś mówił.

— A jak kiedyś Luborz stanie się moją własnością, to może ja będę miłosierniejszy od ciebie łaskawa pani i nie wypędzę was z tego starego dworu, tak jak wy kiedyś wypędziliście ztąd moją Joannę.

— Luborz waszą własnością, powtórzyła machinalnie.

— Tak jest, Luborz moją własnością powtórzył z wyrazem dumy, albowż ziemia nie powinna do tego należeć co się z nią obchodzić umie, albowż wyście znali co macie w ręku. Wiedzieliście tylko jak używać, ale nie jakp racować, a dzisiaj nastał wiek pracy. Daremnie nie chcecie o tem wiedzieć, daremnie zamykacie oczy, bogactwo, znaczenie, wszystko to wysuwa się z rąk nieudolnych.

— O! Pan Bóg karze nas srogo za grzechy nasze.

Wykrzyknik ten wywołał uśmiech politowania Grzeźulki.

— Bóg, wyrzekł, dał wam wszystko czego ludzie zapragnąć mogą; dał wam naukę, dał sławę, dał potęgę, dał rozum, ale wyście go używać nie umieli, nie macie prawa się skarżyć, macie dołę na jakąście zasłużyli. Ot i wszystko. A ty łaska-wa pani, możesz dalej modlić się, spowiadać, po-scić, pokutować i sądzić się doskonałą chrześcian-ką, to nie oszuka Pana Boga, chociaż ludzie ad-mirować cię będą.

Podobna mowa, był to już szczyt zuchwalstwa, pani Żelisławska wzniosła oczy w niebo jakby biorąc je na świadectwo obelgi sobie wyrządzonej, a nieubłagany Grzeźulka mówił dalej.

— Takie nabożeństwo to fałsz, to obłuda, pa-ni modliłaś się całe życie, a zaniedbywałaś swoich obowiązków względem sieroty, modliłaś się a ko-rzystałaś z jej mienia, modliłaś się a śmiałaś żo-nę rozdzielić od męża, modliłaś się a byłaś bez miłosierdzia, modliłaś się do Chrystusa który przyszedł głosić braterstwo na ziemi, a pogardza-łaś bliźniemi. Dawno bardzo leżało mi to na ser-

cu, dawno bardzo chciałem powiedzieć pani w o-
czy co myślę o tobie i o twojej religii.

Zatrzymał się oddychając ciężko zmęczony tym
potokiem słów gwałtownych wspomnieniami, któ-
re cisnęły mu się na usta. Rzeczywiście zapędził
się zbyt daleko, ale nie było w mocy jego poha-
mować się, lub zatrzymać w pół drogi.

Pani Żelisławska stała jakby skamieniała. Słó-
wa Grzeźulki były dla niej obelgą tylko i niczem
więcej. Nie zapytała samej siebie, czy tam tkwi-
ła chociażby cząstka prawdy, czy rzeczywiście
modląc się i pokutując, nie opuściła istotnych
obowiązków. Jej chrześcijańska pokora, służyła
li tylko za płaszczyk dumy, co nie mogąc zado-
wolnić się na ziemi, zwróciła się do nieba. Nale-
żała do pokolenia, które nieszczęście nawet ni-
czego nauczyć nie mogło. Wreszcie osobistość mo-
wa i przeszłość dzierzawcy, była dla niej zanadto
nienawistną, by mogła przyjąć z ust jego jaką
bądź naukę. Z tego widzenia odniosła jedynie to
prerażające przekonanie, że nic nie zdoła uwol-
nić jej z rąk tego człowieka, że ostateczna zguba
Luborzewskich była zapisaną w wyrokach Opatrz-
ności, jeśli Bóg nie zeszele im jakiegoś cudownego
ratunku.

Więc ofiarując niebu upokorzenia i męki tej chwili, czekała nieruchoma i milcząca, aż Grzeżulka uwolni ją wreszcie od swojej obecności. Poczytałaby sobie bowiem za ujmę godności, za grzech nieledwie, odpowiedzieć mu choćby słówkiem jednym.

Ksiądz proboszcz tymczasem, siedząc z panną Honoratą która zabawiała go opowiadaniem swoich snów, przeczuc i przywidzeń, odpowiadał jej pół słówkami, myśl jego bowiem była zajęta tem co się działo w portretowej sali i raz wraz nadstawał ucha żeby podchwycić choć jakie oderwane słówko, z toczącej się tam rozmowy.

Ale wielkie pokoje Luborzewskiego dworu, tłumiły wszystko tak, że tylko czasem doleciał dźwięk podniesionego głosu dzierżawcy. I z tego jedynie wnosić było można, że rozprawa szła na ostro. Aż wreszcie gwałtowne zamknięcie drzwi i zupełna cisza panująca w portretowej sali zwiastowały iż strony rozejść się musiały, bez żadnego porozumienia.

Rzecz ta była z góry do przewidzenia. Są ludzie stojący na tak odrębnych stanowiskach, mający o wszystkim bez wyjątku tak sprzeczne pojęcia, iż gdyby nawet zeszli się z najbardziej

pojednawczemi intencjami, musieliby dojść do niechybnego starcia. A cóż dopiero tutaj, gdzie rzeczy miały się wprost przeciwnie.

Głucha cisza jaka zapanowała nagle w starym dworze oddziaływała widocznie na Honoratę i księdza Kaleńca. Oboje umilkli także.

— Księżę proboszczu, zawołała wreszcie stara panna, cóż się tam stać mogło.

On wstrząsnął głową, na znak zupełnej niewiadomości w tym względzie.

I znowu milczeli przez chwilę.

— Pójdźmy tam, wyrzekła wreszcie z determinacją kobieta.

Proboszcz który zapewne czekał tylko inicjatywy powstał natychmiast. Był mocno zaniepokojony tym raptownym zakończeniem konferencji, tak pracownie przeprowadzonej do skutku i tem czy pani Żelisławska przebaczy mu zawód doznany. Miał jednak na wszelki przypadek w zapasie balsam pociechy, którym spodziewał się ułagodzić swoją penitentkę.

Panna Honorata szła naprzód, pierwsza uchyliła drzwi od sali.

Pani Żelisławska stała w miejscu gdzie ją zostawił Grzeżulka, nie ochłonawszy jeszcze z do-

znanego wrażenia. Była bardzo bladą, wargi jej drgały, oczy zwykle przymknięte błyszczały gorączkowo, a cały wyraz twarzy był tak zmieniony, iż ksiądz Kaleniec aż załamał ręce.

— Ciociu! odezwała się z przerażeniem Honorata.

Ta usłyszała to, podniosła głowę i skinęła niecierpliwie by zostawiono ją samą. Ujrzawszy jednak księdza po za postacią starej panny zawoła rozżalona.

— Oh! księżę proboszczu! Bóg cię tu zesłał.

Zrozumiał szybko iż potrzebowała w tej chwili duchowej pociechy, więc wymijając swoją przewodniczkę, wszedł do sali, a Honorata cofnąć się musiała.

— Pani Hrabino, szeptał ksiądz z namaszczeniem, usiłując dostroić się do jej tragicznego dyapazonu.

Ona obejrzała się, jak gdyby chcąc przekonać, że istotnie byli tutaj sami i zwyciężona wzruszeniem, padła łkając na krzesło.

— Pani Hrabino, pani Hrabino, powtarzał spowiednik, przestraszony temi niezwykłymi objawami.

Więcej powiedzieć nie mógł.

— Niestety, wyrzekła w końcu pani Florentyna, Bóg odmówił mi daru poruszenia tej duszy. Wszystko daremne, groził iż nas wydziedziczy z Luborza.

— Niech pani Hrabina nie poddaje się rozpacz, przyszłość jest w ręku Boga. W nim nasza obrona.

— Oby Bóg zlitował się nad nami. Serce moje potrzebuje pociechy.

— Pani Hrabino, szczęście zwykle przychodzi niespodzianie.

Kobieta smutnie wstrząsnęła głową.

— Oh! zawołała, nie pragnę go dla siebie, nie wiele już należy mi się tutaj, nadzieje moje oddawna umieściłam po za światem. Ale Rajmund!

Ten okrzyk rodzicielskiego uczucia, w które skupiły się wszystkie ziemskie żądze pobożnej kobiety, wyrwał jej się prawie gwałtem, jako myśl niezmienna, jako nieustanne pragnienie życia.

— Pan Rajmund niezawodnie ziści macierzyńskie marzenia, odzyska to co powinien posiadać, nie wątp o tem pani Hrabino.

— Chciałabym wierzyć dobrym wróżbom, trudno, nawykłam już do cierpienia, Bóg mnie ciężko doświadcza, mój ojciec.

— Pomnij pani, że ten co doświadcza i nagradzać umie. A ja właśnie chciałem donieść o ważnym wypadku.

Ona podniosła na niego smutne oczy, z rodzajem trwogi, bo od dawna już wszystkie wieści dochodzące tutaj ze świata, były złemi wieściami.

— Właśnie dowiedziałem się, że panna Aniela Sielska powróciła z zagranicy.

Pani Żeliszawska złożyła dłonie i zdawała się przez chwilę szeptać jakąś cichą modlitwę, wyraźnie wieść odebrana obeszła ją żywo.

— I cóż pani Hrabina na to? pytał ksiądz nie odbierając odpowiedzi.

— Ja niewiem sama księżę proboszczu, ja lękam się przyszłości, tu idzie o szczęście mego syna.

Alboż pani Hrabina, wątpisz iż pan Rajmund potrafi się podobać.

— O nie, nie, zawołała uniesiona macierzyńską dumą, tylko czy ona go oceni, czy uszczęśliwi.

— Pewno pani Hrabina zasłyszała coś o panie Sielskiej. Ludzie mówią o niej rozmaicie.

— Nie byłoby w tem nic dziwnego, przerwała z żywością pani Żelisławska; Aniela jest sierotą bez matki i ojca, a przytem taka piękna, taka bogata, musi obudzić zazdrość.

Ksiądz Kaleniec milczał przez chwilą, może nie zgadzając się w zupełności na zdanie swojej penitentki, wreszcie po krótkim namyśle odchrząknął i mówić zaczął.

— Nie sama to zazdrość pani Hrabino, przemawia przeciwko panie Sielskiej, bogata wprawdzie i piękna, ale czyż to upoważnia ją do różnych dziwactw. Czy to wypada, by panna w jej wieku sama rządziła swoim majątkiem zamiast mieszkać przy krewnych, czy to wypada by jeździła konno i strzelała z pistoletu niby chłopiec.

— Alboż ona to robi, zawołała z przestraczem pani Żelisławska.

Po chwili jednak namysłu dodała.

— Wprawdzie zabawy te nie bardzo przystoją płci naszej, przecież właściwie nie ma tu jeszcze nic zdrożnego i wybaczyć je można młodości, niedoświadczeniu.

— Panna Sielska jest już pełnoletnia, wtrącił ksiądz, ale to wszystko co mówiłem to nic jeszcze, panna Sielska bawi się nauką, siedzi w książkach po całych nocach, zamiast oddawać się właściwym rozrywkom.

Można tu było postawić pytanie, jakie to być miały te właściwe rozrywki, zapewne ksiądz Kaleniec, uważał za takie stroje, towarzystwa — bale. Ale ponieważ pani Żelisława nie pytała, rzecz nie została wyszczególnioną.

— Księżę proboszczu, wyrzekła, przeciwnie starając się uniewinnić bliźniego, nauka przecież grzechem nie jest.

— Jak jaka nauka pani Hrabino. Niestety o dzisiejszej tego powiedzieć nie można. Teraz ludzie wszystko badają, wszystkiego chcą dociekać, aż tak jak Darwin zepchną człowieka, na jedną linię ze zwierzęciem i postawią mu za cel bytu, zadowolenie zwierzęcych passyi.

Kobieta na taką definicyę Darwina, o którym słyszała tylko kiedy niekiedy, niby o mistycznym antychryście, gotową była przeżegnać się pobożnie. Przypomniawszy sobie jednak, iż tutaj chodzi o bogatą dziedziczkę którą oddawna w myśli

swojej przeznaczała na żonę Rajmunda, odparła z pewnem niezadowoleniem.

— Ja temu wierzyć nie mogę, a wy także księżę proboszczu, nic nie wiecie na pewno, matka Anielki była zacną i bogobojną, chowała córkę w dobrych zasadach, dla czegóżbyby im się przewierzyć miała.

— Prawda pani Hrabino, nic nie wiem pewnego, tłumaczył się ksiądz Kaleniec, widząc iż potępiając pannę Sielską, uczynił znowu krok wcale nie dyplomatyczny. Jeśli zaś powtarzałem krążące wieści, czyniłem to jedynie przez zyczliwość i przyjaźń dla całego domu pani Hrabiny, przez troskliwość o Rajmunda.

— Ja zawsze myślałam, mówiła zafrasowana matka, że on i Anielka są jakby dla siebie stworzeni, Rajmundowi już dawno czas się żenić, ociąga się z tem jednak, a ja nie należałam bo prawdę mówiąc czekałam na Anielkę. Uważ tylko księżę proboszczu, to tak blisko, a ona taka bogata. Rodzina wprawdzie nie równa się z Żeliśławskimi, ale zawsze szlachecka.

Mówiła to z pewną żywością, kontrastującą z całym układem pełnym pogńębienia, apatyi lub rezygnacyi. Od dawna bowiem Rajmund i jego

przyszłość stanowiły ostatnie ogniwo łączące ją ze światem.

— W takim razie pani Hrabino, należałoby coś przedsięwziąć, pannie tak bogatej jak panna Sielska, nie będzie brakować konkurentów.

— Z kimże ona mieszka, kto jest przy niej? Czy ciotka, panna Justyna.

Ksiądz wzruszył ramionami z widoczną niechęcią.

— Panna Justyna osiadła w Krakowie.

— A któż opiekuje się Anielką.

— Nikt pani Hrabino, tak dobrze jak nikt. Jest tam wprawdzie stary nauczyciel pan Konrad, który trudni się gospodarstwem i jakaś towarzyszka czy przyjaciółka.

— To być nie może, zawołała kobieta załamując ręce.

— Anielka widocznie, rzekła po chwili potrzebuje dobrej rady i dobrego przykładu.

— A gdzieżby go znaleźć mogła, jak nie tutaj, dorzucił ksiądz kończąc nie jako myśl zaczęta.

— Tak jest, bez wątpienia, potwierdziła pani Żelisławska. Ale jak ją skłonić do jej przyjęcia, ja przecież narzucać jej się nie mogę. Zresztą

świat by powiedział, iż umyślnie chcę ją tym sposobem zniewolić do zaślubienia mego syna.

— Pani Hrabino, byłby to miłosierny uczynek. Wyrwać tę młodą osobę zgubnym wpływom, naprowadzić ją na drogę chrześcijańską a tem samem uciszyć obmowę.

Pani Żelisławska była zupełnie skłonną do spełnienia tego miłosiernego uczynku, przecież zachodziły tu rozmaite trudności i powikłania, które go niepodobnym czyniły. Nie mogła ona wybrać się wprost z napomnieniami, bo do tych nic ją nie upoważniało, tem bardziej iż zarzuty stawiane bogatej dziedziczce, mogły być li tylko plotką sąsiedzką. Na wizytę zaś nie pozwalał wiek i stanowisko matki Rajmunda. Każden zaś krok niezręcznie uczyniony kompromitowałby przyszłość jedynaka.

Wreszcie po długich namysłach i naradach stanęło na tem iż Rajmund powinien pojechać do Jedlina, majątności panny Sielskiej, sprawdzić rozsiane pogłoski, a na wszelki przypadek przypomnieć się pamięci towarzyszki lat dzieciennych i wyrażeniem życzeń i uczuć swojej matki, zniewolić ją niejako do zrobienia ku niej pierwszego kroku.

W urzeczywistnieniu tego planu, pani Żelisławska nie przewidywała żadnej trudności, przeciwnie sądziła iż tym sposobem ziści pragnienia syna. A zajęta całą nowemi zamiarami, zapomniała na chwilę, o rozmowie z Grzeźułką i jego groźbach.

Nazajutrz w Luborzewskim dworze stała się rzecz dziwna i rzadka. Rajmund nie poszedł wcale na polowanie, cały ranek spędził u siebie, a po obiedzie kazał zaprządz do bryczki, jedyną parę koni jaka znajdowała się jeszcze w opustoszałych stajniach i przyłożywszy nadzwyczajnego starania do swego ubioru, bo Lipkowska nawet zmonitowaną została, za nie dość piękną białość bielizny, wyjechał z wizytą.

Fakt ten wprawił w ruch i domysły wszystkich domowników, stosunki bowiem podupadłej rodziny z sąsiedztwem, były bardzo obojętne. W jednych domach raził ich mieszczkański zbytek, którym mimowolnie czuli się upokorzeni, w drugich nie znajdowali się na swoim właściwym miejscu. Zresztą troski i niepokoje nie usposabiają do towarzyskiego życia; pani Żelisławska zamknęła się więc ściśle u siebie, nie chcąc oczom

ludzkim pokazywać domowej nędzy, nad którą duma jej cierpiała niewypowiedzianie.

Rajmund z konieczności dzielić musiał samotność matki. Bywał wprawdzie na polowaniach tu i owdzie, spotykał się z młodzieżą na myśliwskich stanowiskach, ale bądź to także przez dumę, lub poczucie swego położenia, nie mieszał się do zebrań okolicznych.

Wyjazd przytem z domu z bardziej etykietalną wizytą, przedstawiał mnóstwo trudności, które tylko przy nadzwyczaj silnej woli i wytrwałości pokonywać się dały. Było pełno braków tak w ekwipażu, uprzęży, ubraniu woźnicy, co odbierały młodemu Żelisławskiemu wszelką ochotę podejmowania tylu trudów i upokorzeń nieledwie dla tak małego rezultatu, jakim była wizyta w sąsiedztwo.

Okoliczności więc, które sprowadziły ten niezwykły wyjazd, musiały być ważne. Sama pani Żelisławska, ze łzą w oku i z posępną twarzą, patrzyła z okna na przygotowania wyjazdu. Serce jej się ścisnęło, na widok bryczki wcale nie pierwszej świeżości, pomimo starannego odczyszczenia, na widok wychudłych koni i spłowiełej liberyi, z jaką miał występować jej jedynak. Bo

pomimo najszczerzej chęci nie było co myśleć o starej karecie, która stała oddawna w wozowni, bez szyb i latarni. I syn jej ostatni z Luborzewskich, jak ekonom jaki musiał bryczką wyjeżdżać w konkury.

Był to cios dotkliwy dla biednej kobiety, więc razem z wieloma innymi ofiarowała go Bogu, kreśląc krzyż w powietrzu za odjeżdżającym.

Pomimo to iż Rajmund dnię całe spędzał na polowaniu, po jego wyjeździe zrobiło się pusto i smutno we dworze. Pani Żelisławska znękana jak każdym wysileniem i każdym aktem woli, zamknęła się w swoim pokoju. Honorata zaciekawiona i niespokojna kładła pasyanse, pytając czy się ta podróż powiedzie. Marylka blada jak trup, snuła się po pokojach, nie mogąc nigdzie pozostać na miejscu. Czuła dobrze iż działo się coś okropnego, iż dzień ten był stanowczy w jej życiu, ale nie śmiała nikogo o nic zapytać.

Serce pękało jej w piersi, głowa pałała, wiedziała wprawdzie iż utracić go musi, czemuż jednak dzień ten nadszedł tak szybko, tak niespodzianie. Ona nie cieszyła się jeszcze swoim kradzionem szczęściem, nie upoiła się niem śmietel-

nie, nie poczuła na chwilę nawet jego pełni. To było zawczasie.

Rajmund tym czasem jechał ku Jedlinowi całą siłą wychudłych koni, które w rzadkich tylko i szczęśliwych okolicznościach widywały owies. Nie był bardzo zadowolony ze swojej wyprawy, nie dla tego by w myśli jego zapanowała biedna dziewczyna, kochająca go z takim zaparciem i zapomnieniem siebie. Ale że przez ciągle przesiadanie w domowej samotności, odwykł od ludzi, a zbliżenie do nich w warunkach nie koniecznie korzystnych dla jego miłości własnej, sprawiało mu nieokreśloną przykrość. Rajmund kojarzył ściśle rzeczy zewnętrzne z wewnętrznymi, czuł iż pokazując się w tak nędznem otoczeniu, tracił coś ze swojej wartości i uczucie to było dla niego upokarzającym.

Wiedział przecież dobrze iż egzystencya jego w Luborzu była tylko tymczasową, przecież przywykł do niej z tym rodzajem apatyi stanowiącej dotąd tło jego charakteru. Gdyby to tak było można zmienić warunki bytu, bez żadnego trudu i starania, gdyby jaka dobroczynna wieszczka, dotknięciem różeczki czarnoksiężkiej, przeniosła ze smutnej rudery którą zamieszkiwał, w wy-

kwintne i pełne komfortu pałace jego marzeń, Rajmund nie miałby nic zgola przeciw temu, byle to odbyło się bez współdziałania i kłopotu z jego strony.

Wprawdzie w wyobraźni pani Żelisławskiej, panna Aniela Sielska miała być ową wieszczką, ale w zamian za dostatki, Rajmund musiał poświęcić jej swobodę kawalerskiego stanu, której cichaczem używał pod roztargnionem okiem bogobojnej matki. Zresztą zwyczajem samolubnych i mało rozwiniętych natur, nie miał on żadnej ochoty do małżeństwa. Nie zapragnął nigdy być użytecznym członkiem społeczeństwa, nie zapytał samego siebie ani o cel życia, ani o obowiązki ciężące na każdym bez wyjątku człowieku. Natomiast samego siebie, uważał za rzecz nieskończenie cenną i szacowną, i dla tego zaprzędając swą przyszłość, sądził się w prawie być nadzwyczaj wymagającym.

Zapytywał więc samego siebie, czy owa Anielka którą pamiętał jak przez sen w latach dziecińczych, potrafi im zadość uczynić. Co prawda chodziło mu najmniej o jej osobiste przymioty, a nierównie więcej o istotną wartość majątku.

Wjechawszy w terytoryum Jedlina, przyglądał się z niezwykłym zajęciem wybornie uprawnym polom, na których zieleniły się posiewy ozime. Jako mieszkaniec wsi, Rajmund znalazł się na tem cokolwiek z konieczności, i twarz jego rozjaśniała się mimowoli, na widok wielkich łąnów owsa i pszenicy, świadczących o zamożności gospodarstwa.

— Ha, pomyślał sobie, czy tylko tutaj niema także jakiego Grzezułki.

Nieszczęście uczyniło go niedowierzającym, i wątpliwość ta zaczęła go trapić, gdy nadjechał nad niwę, którą dworscy parobcy podorywali, w równe, drobne rozsypujące się skiby.

— Do kogo ten majątek należy? zapytał Rajmund jednego z oraczy.

— Do panny Anieli Sielskiej, odparł bez zająknienia parobek.

— A któż tutaj zarządza?

— A któżby jak nie sama panienka.

— Chcę pytać kto gospodaruje?

— Panienka, odpowiedział zagadniony, ot widzicie ją tylko co tu była, a teraz jedzie ku dworowi.

Rzeczywiście na bocznej ścieżce, wijącej się wśród zieleniejących zbóż, widać było nieopodal dwie konne postacie kobietę i mężczyznę. Jechali stępa i w złotej łunie zachodzącego słońca, rysowali się oboje wyraźnie na rozognionym tle nieba. Odległość nie pozwalała dojrzeć rysów twarzy, tylko znać było gibką kibić kobiety, i wytworne kształty złoto-kasztanowatego konia, którym powodowała z siłą i zręcznością, zwracając się przytem co chwila do towarzyszącego jej mężczyzny.

Widok ten ubódł Rajmunda.

— Któż to jedzie obok panny Sielskiej? zapytał.

— Pan Konrad, jak zawsze, odparł prostodusznie parobek.

Nieprzystawało pytać dalej, kto był owym panem Konradem, zresztą miał się o tem sam wkrótce przekonać.

Z nieokreślonem uczuciem, wjechał w wieś porządnie zabudowaną i zakręcił w starą lipową aleję, ciągnącą się ku dworowi wzdłuż ogrodu obmurowanego starannie.

Amazonka tym czasem, zapewne krótszą drogą, lub pełnym galopem powróciła do domu, bo przed

stajnią, służba przeprowadzała pięknego złotej maści wierzchowca, już rozebranego z siodła.

Dwór w Jedlinie nie miał najmniejszej pretensyi do okazałości, jaką posiadała niegdyś siedziba Luborzewskich; niski, biały, schludny, ocieniony mnóstwem drzew i krzewów, wyglądał wśród nich świątecznie nawet w tej smutnej jesiennej porze.

Przed nim rozkładał się zielony kobierzec ustrojony klombami, przerznięty ścieżkami zwierem wysypanemi. Wszędzie tu znać było staranną i umiejętną rękę, wszędzie widniał ład i dostatek. Uderzyło to Rajmunda tembardziej, iż oko jego przywykło do opuszczonego macierzyńskiego mieszkania.

Zajechał wreszcie przed ganek oszklony, obwieszony purpurowemi w tej chwili girlandami dzikiego wina. Na spotkanie jego wyszedł stary sługa, a widząc nieznanego zapytał:

— Czy pan do pani, czy do pana Konrada?

Na to imie rzucone w ten sposób, młody człowiek zdecydował się szybko co ma uczynić.

— Zapytaj, odparł, panny Sielskiej, czy zechce przyjąć Rajmunda Żelisławskiego?

— Pani zawsze przyjmuje, wyrzekł stary sługa gotując się otworzyć przed nim drzwi w głębi.

— Zrób com ci powiedział, powtórzył Rajmund który nie miał najmniejszej ochoty samemu przedstawiać się pani domu.

Wizyta jego wyłamywała się nieco z pod form przyjętych, a wspomnienia dziecinne były nadto zamierzchłe, by miał prawo się na nie powoływać. Czuł się więc zakłopotany swoim położeniem, i wolał uniknąć pierwszego wrażenia, jakie nazwisko jego uczynić mogło. Było bowiem aż nadto widoczne, iż przyjeżdżał tutaj jako konkurent bogatej panny, a chociaż położenie to nie miało w jego przekonaniu nic nagannego, przecież dobre wychowanie wymagało przynajmniej, by nagość faktów, czemkolwiek upozorować.

Otóż ani on, ani matka nie pomyśleli o tym pozorze, a wyobraźnia Rajmunda nie była dość twórczą, by coś na prędkę zaimprovizować. Oboje nie zdefiniowali sobie osobistości Anieli, nie zbadali gruntu na którym działać mieli. Pośpiech okazał się złym doradcą. Wszystko to zbyt późno przyszło do myśli Rajmunda, i wprawiało go w coraz większy niepokój. Niepokój ten trwał krótką chwilę, gdyż służący powrócił niebawem.

— Pani prosi, wyrzekł tylko, i tym razem otworzył mu drzwi do saloniku, gdzie palił się wesoło ogień na kominku, a przy jego migotliwym blasku widniały dwie kobiece postacie.

Rajmund znalazł się w nowym kłopotcie, którą z nich miał powitać jako panią domu. Obie bowiem przy niepewnem świetle jakie tu panowało wydały mu się równie młode.

Z kłopotu tego wyprowadziła go panna Sielska, bo odgadując go niejako, podniosła się nieco z kanapki na której siedziała, mówiąc:

— Jakież traf szczęśliwy, sprowadza pod mój dach, towarzysza dziecinnych zabaw.

Wymówiła to dźwięcznym, szczerym, przyjaznym głosem, co od razu zdobywał ufność.

Początek to był szczęśliwszy niżeli się Rajmund mógł spodziewać, od razu powrócił mu wiarę w siebie.

— Pani, wyrzekł, to nie traf wcale, to własne pragnienie i wola.

— Tem lepiej, tem lepiej, zawołała, powinnam się była tego domyślać, bo ja chociaż to bardzo dawno, pamiętam dobrze jak bawiliśmy się z sobą.

Jak w wielu razach pamięć kobieca, okazała się wierniejszą od męskiej. Aniela chociaż młod-

sza o lat kilka, nie zapomniała wcale Rajmunda, i naturalnie przypisywała mu też same przyjazne uczucia, jakie sama miała dla niego.

— Któżby mógł o pani zapomnieć, odparł młody człowiek, puszczając się już śmiało, na morze salonowych oklepanek.

Komunał ten jednak rozbrzmiał w uszach panny Anieli jako ton fałszywy, bo powiedziała zupełnie odmiennym głosem:

— Oh! ludzie zapominają nieraz daleko ważniejszych rzeczy, niżeli dziecinnych zabaw. Nie byłoby to nic dziwnego, nie miałabym prawa tem się obrażać. Ale zapomniałam pana przedstawić mojej towarzyszce, pan Rajmund Żelisławski pani Jarmińska.

Nie dodała nic więcej, żadnego zatytułowania, żadnej serdecznej nazwy, coby wyraźnie określiła stanowisko tej kobiety. Rajmund więc skłonił się także w sposób nieokreślony, zastrzegając sobie niejako prawo w przyszłości posunąć się do wysokiej grzeczności, lub pozostać w obojętnym z nią stosunku, stosownie do dalszych okoliczności.

W tej chwili wniesiono zapalone lampy, i wówczas dopiero mógł przypatrzeć się Anieli.

Świat nazywał ją piękną i miał słuszość, panna Sielska miała delikatne rysy, szykowną postać, a nadewszystko wielkie czarne oczy, pełne iskier czasami, czasami łagodne jak oczy gołąbki, a czasem znów chłodne i zamysłone. Piękność ciała nie była u niej tylko zewnętrzną formą, lub rozkwitem bujnej młodości, ale pochodziła niejako z moralnej treści.

Chociaż drobna i szczupła, wydawała się jednak wyższą niż była, przez doskonałe proporcye ciała, a nadzwyczajny wdzięk ruchów, czyniły ją powabną, w każdej chwili i w każdej chwili odmienną.

Aniela nie przypominała nikogo, była zawsze sama sobą, i dla tego właśnie nie miała nic powszedniego, była w niej dziwna harmonia pomiędzy słowem a głosem, uczuciem i spojrzeniem, myślą i czynem. Nie ukrywała nic nigdy, i właśnie dla tego była nieodgadnioną. Nie podobna było przy niej posługiwać się jaką bądź rutyną, ani metodą w świecie przyjętą. Nie stosowała się do form jego, a jednak posiadała wrodzoną wytworność, stokroć wyższą od tej, jaką wyrabia wychowanie, bo ta nie zawodziła nigdy i służyła w najbardziej nieprzewidzianych wypadkach.

Jak tylko podano światło, Aniela powstała z kanapki przy rogu kominka, i zbliżywszy się do okrągłego stolika, gdzie leżały rozmaite przybory do szycia, uzbroiła się w napastrzek i igłę i zabrała się do roboty.

— Jesteśmy blizkiemi sąsiadami panie Rajmundzie, nie prawdaż? zapytała wskazując mu miejsce przy tymże stoliku, na którym znajdowały się także rozmaite albumy, fotografie i ryciny.

— Bardzo blizkiemi, powtórzył młody człowiek i jeśli tylko pozwolisz mi pani z tego korzystać.

— Ależ ja właśnie rachuję na to, spodziewam się że pan nieraz podzielisz z nami wieczór zimowy i dla tego jak pan widzisz, nie przerywam moich zwykłych zatrudnień.

— Więc pani zamierzasz pozostać tutaj przez tę smutną porę.

— Ja wcale zimy nie uważam za smutną porę, przeciwnie.

— Ty bo we wszystkim umiesz upatrzeć dobrą stronę, odezwała się melancholijnie pani Jarmińska, nie zmieniając wcale swej trochę niedbałej pozy na wielkim fotelu przy kominku, nawet

w tej okropnej zimie na wsi, nawet w mrozie i śniegu.

— Cóż chcesz, już taka moja natura. Nie będę opisywać piękności śniegowych kobierców, lodowych stalaktytów, ani tych żadnych arabesek, które mróz maluje na oknach, bo są to rzeczy widoczne dla wszystkich co mają oczy; ale powiem, że zima gromadzi w ogniska ludzi oderwanych od niego ciężką pracą, że kojarzy myśli i serca, że jest jedyną chwilą, w której rolnik oddać się może umysłowym rozrywkom, zaczerpnąć nauki i choć dorywczo zjednoczyć się z ruchem dążącego naprzód świata. Ja lubię ciszę i spokój tych godzin długiego wieczoru, lubię gdy szaleje ziała zamieć zimowa i wicher huczy w koło domu, lubię patrzeć na wesoły płomień kominka i wraz z nim ulatywać w górę.

— Jest to jednak, wtrąciła pani Jarmińska kołysząc się na fotelu, gust zupełnie ekscentryczny, zwłaszcza w twoim wieku.

— Nie pozostaje nam jednak, jak błogosławić go, zawołał Rajmund, bo dzięki jemu to, całą zimą przepędzisz pani w Jedlinie.

— Zimą i lato i jesień i zimę następną i tak dalej i dalej odparła Aniela.

— Jako pani tu chcesz pozostać na zawsze.

— Ma się rozumieć.

— I nie zatęsknisz pani do świata.

— Żartujesz pan, alboż jesteśmy za światem.

Ja nie przyznaję tej nazwy jednej społecznej warstwie; światem dla mnie jest wszystko co mnie otacza. To co kwitnie, pracuje, rozwija się lub walczy na każdym polu.

— Źle się wyraziłem, poprawił się Rajmund, chciałem powiedzieć, czy nie zatęsknisz pani do ludzi?

— Odpowiem znowu, że ludzi tutaj nie brakuje.

Ale słowa te przenosiły już zupełnie pojęcie młodego człowieka, bo wlepił w gospodynię domu, zdziwione oczy, jakby pytając jej wzrokiem, o kim właśnie mówić chciała.

Panna Sielska pochylona nad robotą, nie dostrzegła tego spojrzenia, tylko pani Jarwińska, która widać więcej od niej zajęła się gościem, przyszła mu w pomoc.

-- Bo naprzód powinienes się pan dowiedzieć, wczekała zawsze ironicznym tonem z głębi swego fotelu, że Anielka najchętniej rozmawia z chłopami, dziewczkami, żebrakami i tym podobnie, a nawet nieraz trawi w ich towarzystwie długie

godziny. Jest to widocznie sposób rozpędzania nudów, którego zazdrościć jej muszę.

— Dowodzi to tylko, przerwał z zapalem Rajmund, zbytku dobroci panny Anieli, czyni im zapewne miłosierdzie.

— Ależ nie, zawołała gospodyni domu, wstrzymaj się pan jeszcze ze swoją admiracją. Ja po prostu rozmawiam z ludźmi, od których wiele nauczyć się mogę.

— Pani! nauczyć się od tych prostaczków, to żart zapewne.

— Przeciwnie, uczę się i już nauczyłam się bardzo wiele od nich, dowiedziałam się jak szanować chleb zdobyty twardą pracą, jak cenić pieniądź, który jest powodem tylu cierpień i może jak talizman czarodziejski, przemienić łyżę boleści w łyżę szczęścia.

— To też jesteś oszczędną, bardzo oszczędną Anielko, wtrąciła z widocznym przekąsem pani Jarwińska.

Przekąsu tego jednak panna Sielska nie zauważyła wcale, bo odparła wstrząsając głową z jasnym, szczerym i swobodnym uśmiechem.

— Ma się rozumieć, gotowam pochlubić się tem

ako dowodem, że lata nie przeszły dla mnie daremnie.

— Ależ Anielko, któż widział tak mówić o wieku.

— Mój Boże, jestem pełnoletnią i cóż ztąd, pan Rajmund wie o tem równie dobrze jak i ja, przecież bawiliśmy się dziećmi.

Panna Sielska wyrzekła to z taką swobodą i z takim przesłicznym wejrzeniem, iż młody gość gotów był pomyśleć, że wiek jej właśnie był najpiękniejszym wiekiem. A ona dodała zwracając się do niego.

— Jak pan widzi, nauczyłam się także od moich wiejskich przyjaciół, nazywać wiele rzeczy po imieniu i nie troskać się zbyt o pozory. Bo czemże jest wiek nasz jeśli nie pozorem. Któż z nas nie widział siwowłosych dzieci i zgrzybiałych niedorostków. Wierz mi pan, młodość mierzy się siłą uczuć, myśli, energią czynów, ale nie latami.

— Mówisz z takim zapalem Anielko, wyrzekła znowu pani Jarmińska, jakbyś stosowała to do samej siebie i stawała we własnej obronie. Cóż znowu tak źle jeszcze nie jest. Ludzie jednak posądzić cię gotowi.

— Mniejsza o to, wiesz że nie dbam o nich.

— Jesteś bardzo dumna Anielko ze swojej młodości, wdzięków, majątku, stanowiska, wiem o tem, a przecież strzeż się. Niema położenia coby zabezpieczyło człowieka od ich pocisków, a cóż dopiero kobiety...

— Pani, zawołał Rajmund, mieszając się do rozmowy, która powoli zostawiała go na uboczu, któżby śmiał...

Ten rycerski wykrzyknik pani Jarmińska przyjęła z chłodnem spojrzeniem.

— Zdaje mi się, wyrzekła, iż pan dobrze wiedzieć powinienes, że ludzie wyśmiejają wszystko bez wyjątku. Jest to nieledwie abecadło życia, Anielka ze swojemi idealnemi poglądami, może o tem wątpić, ale pan!...

— Tutaj zaprzeczyć ci muszę, wtrąciła panna Sielska, ja przeciwnie patrzę na świat bardzo realnie i nieraz nawet mi to wymawiasz.

— Idealizm twój skierowany jest do rzeczy realnych, odparła; ale kto wie czy ten rodzaj nie jest właśnie najniebezpieczniejszy.

Aniela nie rozgniewała się wcale o te insynuacje swojej towarzyszki, tylko wyrzekła spokojnie.

— Zdaje mi się że się mylisz, lecz któż nas rozsądzi w tym względzie, kto będzie w stanie rozstrzygnąć gdzie kończy się rzeczywistość, a zaczyna fantazya, lub wyrzec, która z nas trzej na świat spogląda.

— Życie rozsądzi i wyda o tem wyrok ostateczny, oby tylko nie był bardzo dotkliwy.

— Życie jest takie, jakiem utworzymy go sobie.

— Wiem, wiem, jest to jedna z waszych ulubionych teoryi, w takim razie twoje Anielko, powinno być nieprzerwanem pasmem szczęśliwości.

— Alboż mi czego brakuje, zawołała dziewczyna.

— Mogłabym ci odpowiedzieć, że nie wielka sztuka być szczęśliwą w lat dwadzieścia jeden, zwłaszcza kiedy Opatrzność pozwoliła ci się urodzić w pałacu nie w chatce, i nie szczydziła ci darów. Mów co chcesz, szczęście twoje nie jest jeszcze twojem dziełem, nie masz się niem co chlubić.

— Ja się nie chlubię, odparła zarumieniona, tylko pomimo tych smutnych przypowiedni ufam przyszłości, może dla tego, iż czuję się na sile ją zdobyć.

— Znowu wielkie słowa, szepnęła półgłosem kobieta, z wyrazem znużenia i niewiary.

— Po cóż je tak nazywasz, mówię po prostu co myślę.

— I masz pani stokroć słusność, wyrzekł Rajmund, który znowu był milczącym świadkiem tej szczególnej sprzeczki, któż może wątpić o przyszłym szczęściu pani.

Wykrzyknik ten jednak bardzo mało uczynił na obecnych wrażenie. Pani Jarmińska zmierzyła go od stóp do głowy chłodnem spojrzeniem, potem wyjęła z kieszeni pudełeczko z pastylkami, wzięła jedną do ust i zakołysała się znowu na fotelu z zupełną obojętnością. Panna Aniela zaś nie widziała zapewne żadnej potrzeby odpowiadać, bo szła dalej tak spokojnie, jak gdyby rozmowa nie toczyła się o jej przyszłości. Wszystko to coraz bardziej dziwnem wydawało się Rajmundowi. Znał on świat, nie zawsze trawił lata bezczynne jak dzisiaj, przygnieciony materyalną nędzą w Luborzu. Niegdyś za lepszych czasów, stosunki pani Żelisławskiej otworzyły mu salony arystokratyczne w kraju i za granicą. On także miał swoje dni blasku, jemu kiedyś los uśmiechać się zdawał. Minęło to jednak, zostawiając mu tylko

trochę wspomnień i tę pewność siebie, jaką daje obycie się z wyższemi towarzyskimi warstwami. Tutaj pomimo to czuł się zupełnie obcym, i zwykle doświadczenie światowe, nie okazało się dotąd wcale przydatnem, w obec tej osobliwej dziewczyny, która widocznie nie chciała, czy nie umiała odpowiadać na piękne frazesa młodego sąsiada, a tem samem niepodobną czyniła zwykłą światową rozmowę, pełną paradoksów, blichtru, pozornych zdań, półsłówek i pół uczuć. Rozmowę torującą tak łatwo drogę do nowych napomknień, do zwierzeń i oświadczeń.

Rajmund za świetnych dni owych, kochał się nieraz, a przynajmniej prowadził miłośne stosunki, był więc wtajemniczony w sztukę podbijania serc niewieścich i miał o sobie pod tym względem wyborne wyobrażenie. Nie zastanowił się nawet nad tem, czy owa panna Sielska do której wysyłała go matka, kochać go będzie. Rzecz ta zdawała się z góry pewną i zagwarantowaną niejako, sądził, że jak Cezarowi, dość mu będzie przyjść i spojrzeć by zwyciężyć. Wszak wiedział dobrze, jak się o to starać należy, umiał używać naprzemian wymownych słów i spojrzeń, które tak doskonale udały mu się z Marylką.

Tu jednak znalazł się w jakimś obcym świecie, a instynkt zachowawczy ostrzegał go, że w obec młodej właścicielki Jedlina, wszelka rutyna okaże się daremną. Przeciw zwyczajowi swemu był więc niepewny, wahający, a nawet zdziwiony i obrażony nieledwie tem, że osoba i piękne słówka jego, nie zdawały się czynić najmniejszego wrażenia. Fakt ten ciążył na nim widocznie, bo zamiast prowadzić dalej rwącą się rozmowę, wziął album ze stołu i machinalnie przerzucał jego karty. Kiedy drzwi otworzyły się znowu i do salonu wszedł nowy gość, a raczej domownik, powitany serdecznym radosnym uśmiechem gospodyni domu i pełnem względności spojrzeniem pani Jarmańskiej.

Był to człowiek stary już, świadczyły o tem białe włosy i broda spadająca na piersi. Przecież starość ta pełna była jeszcze czerstwości, siły i powagi. Wielkie, szerokie, ogorzałe czoło, miało spokój i wdzięk przypominający zachód dnia słonecznego, świadczyło niejako o życiu użytecznie spędzonym, jeśli nie bez troski to przynajmniej bez wstydu i wyrzutu sumienia. Spojrzenie jego siwych oczów, było dojmujące. Snadź nic nie uchodziło ich bystrości, źrenice te były spokojne

i mądre, jakby spoglądały na świat bez pryzmatu złudzeń, widziały wyraźnie złe każde, każdą podłość i głupotę, a przecież gotowe były przebaczyć."

Uśmiech jego był smutny, jakby pozostały mu na ustach gorzkie męty kielicha życia, jakby nie jedna radość przemieniła mu się w cierpienie, a zawody i bóle stały się codziennym chlebem bytu. Można było dobadać się z niego zamierzchłych pamiątek przeszłości i zrozumieć iż dola człowieka, któremu on osiadł na ustach, musiała być nieraz twardą.

Nie uskarżał się jednak. Zbronzowana twarz pokrajana bruzdami myśli, bólu i woli, przekonowała, że walczył mężnie, że nie upadał na duchu. Była w nim jakaś łagodna siła, jakaś harmonijna pogoda, nakazująca zaufanie i szacunek.

Stanowczym i szybkim krokiem nie zdradzającym wcale wieku, zbliżył się do okrągłego stołu, przy którym siedziała panna Aniela i zajął zwykle miejsce na fotelu, przed wielką rozłożoną książką, umyślnie widać przygotowaną dla niego.

— Pan Rajmund Żelisławski, pan Konrad M. mój najlepszy przyjaciel, wyrzekła panna Aniela prezentując ich wzajemnie.

Tym razem określenie było wyraźne, i zapewne w skutek tego panowie podali sobie ręce, chociaż młody człowiek spoglądał z pewną nieufnością na dawnego nauczyciela, który wyglądał tu nieledwie na pana domu. Wejście jego ożywiło rozmowę, okazał się on nadzwyczaj łatwym, przystępnym i swobodnym. Słyszając go, można było zapomnieć o surowej powierzchowności. Rozległe wiadomości takt i zmysł spostrzegawczy, czyniły towarzystwo jego niezmiernie zajmującym. Umiał wynaleźć przedmiot dla każdego stosowny, nie zniżając się, podnosić nieznacznie drugich do swego poziomu. Potrącał zlekka o wszystko co zajmować mogło Rajmunda, mówił o pracy rolnej, o działalności koniecznej dla każdego myślącego człowieka, jakby dobadywał się myśli ukrytej pod wytworną powierzchownością jego. Panna Sielska mieszała się do rozmowy jak kobieta dobrze obznajmiona z przedmiotem, a pani Jarwińska rzucała kiedy niekiedy ze swego fotelu ucinkowe słowa, niby fałszywe akordy przerywające ogólną harmonię.

Wieczór zszedł szybko, chociaż Rajmund nie mógł zdać sobie sprawy z otrzymanego wrażenia, wszystko tu było inaczej niż przywykł widzieć.

Obecność jego nie miała tu widocznie żadnego odświętnego znaczenia, i to oburzało miłość własną młodego człowieka co przywykł się uważać za istotę drogocenną. Kiedy wieczorem odjechał żegnany życzliwie przez mieszkańców Jedlina, ci znowu skupili się około ogniska, a rozmowa ich byłaby zapewne pominęła Rajmunda, gdyby pani Jarmińska, nierzuciła znienacka niedyskretnego pytania.

— Jakże ci się podoba Anielko, ten nowy kandydat matrymonialny.

— U ciebie kaźden męczyzna przestępujący próg mego domu, zowie się kandydatem matrymonialnym, odparła dziewczyna niecierpliwie.

Kobieta roześmiała się sucho.

— Alboź tak nie jest w istocie, z twoim majątkiem moja miła trzeba się zgodzić z tym smutnym losem, że kaźden poźądać go musi, i chociaź pokusić się o dostanie rzeczy z pozoru tak łatwej.

— Ja przecieź, zawołała panna Sielska, nie jestem obowiązana o tem wiedzieć, ani domyślać się rzeczy, niewypowiedzianych wyraźnie.

— Panno Anielo, wyrzekł Konrad, który do tąd w milczeniu słuchał dwóch kobiet, zdaje mi

się iż nie masz słuszności, dla czegoż nie mamy przewidywać zamiarów ludzkich, skoro one są logicznym wynikiem ich charakteru.

— Więc pan sądzisz, spytała patrząc w twarz jego.

— Sądzę iż pani Jarmińska ma zupełną słuszność, młody Żelisławski zamysła starać się o ciebie.

— Nie, zawołała prawie oburzona tą myślą, czyż nie mógł odwiedzić nas jako sąsiad, jako towarzysz lat dziecinnych.

— Dziwnym trafem te dawne wspomnienia powróciły mu do myśli, właśnie w chwili kiedy mogły mu być pożyteczne. Czemuż bronisz go panno Anielo, czyżby miał szanse powodzenia? Nie zdaje mi się na to zasługiwać.

Dziewczyna nie mieszała się wcale tem pytaniem. Wzruszyła tylko ramionami.

— Pan wiesz dobrze iż tak nie jest, iż tak być nie może, chociaż sądzę iż oboje sądzicie go zbyt surowo, wyrzekła patrząc wprost w oczy starego nauczyciela, niezmaconym wzrokiem.

— Daruj mi panno Anielo, wiem to tylko, że tak być nie powinno—bo on nie jest twojej miary.

— Nieoszacowany pan jesteś, i ty także Anielko przerwała pani Jarmińska. Mówicie o życiu jakby można określić je jedną z tych matematycznych formuł, w których się tak kochacie oboje, jakby można miłość, serce, namiętność podciągnąć pod prawidła rozważań, jakby właśnie nie było ich istotą natrzęsać się z wszelkich więzów i wymykać im się lotnością swoją. Ten młody człowiek z pewnością nie jest ani tak rozwinięty intelektualnie, ani tak uczony i doskonały jak Anielka, a jednak byłoby rzeczą arcy naturalną, żeby zakradł się w jej serce, chociaż tym pospolitym faktem, zdumiałaby się wasze dwie mądrości.

Mówiła to ze zwykłą sobie mieszaniną ironii i przekonania, patrząc z rodzajem politowania na resztę towarzystwa.

— Ależ dla czegoż takby być miało, pytał Konrad.

— Dla czego! znowu doskonałe pytanie, na które mogłabym odpowiedzieć tysiącem przykładów, o to dla tego, że młodość i miłość nie mają nic wspólnego z waszą filozofią i z wszystkimi formułami, któremi określić je chcecie.

— Niestety jest to komunał jak każdy inny, odparł nauczyciel, powtarzasz nam go pani niezmordowanie, przyznaję. Jednak cóż to dowodzi?

Kobieta milczała, nie zdając się przecieź wcale przekonaną, nie wypowiadała dalszych argumentów, jakby uważała to za zupełnie zbyteczne i dla tego wyrzekła tylko.

— Chociaż jest to dzisiaj rzeczą modną i zwyczajną, odrzucać wszelkie tradycye, ja jednak śmiem twierdzić, iż rzeczy uświęcone ogólną wiarą muszą mieć swoją rację bytu.

— Zapewne miały ją kiedyś, nikt temu przeczyć nie myśli; tylko z kolei nie zaprzeczysz pani także, iż racye te ulegają koniecznej zmianie, stosownie do społecznego ustroju i rozwoju moralnego jednostek.

— Być może, są jednak rzeczy jak świat stare i niezmiennie jak prawa natury, które możecie zbadać tylko, ale nigdy przeinaczyć.

— Czyż bezrozumna miłość miałaby być jedną z tych rzeczy.

Pani Jarmińska uśmiechnęła się szyderczo.

— Mówią, że papier jest cierpliwy, wyrzekła, a słowo giętkie. Dajesz pan tego dowody łącząc nieraz najsprzeczniesze wyrazy ludzkiej mowy,

miłość i rozum, miłość i rozsądek, wszakże one właśnie wykluczają się wzajem. Tak było zawsze.

— Ale tak być nie powinno, zawołała Aniela.

— Nie masz głosu w tym względzie, szepnęła pani Jarwińska, pomimo pełnoletności lat twoich jesteś jeszcze dzieckiem w pewnej mierze, nie kochałaś nigdy, nie możesz mówić o bogach nieznanym.

— Chociaż młoda i doświadczona Aniela ma słuszną zasadę, odparł Konrad.

— Alboż inaczej być może, alboż nie jest ona wierną, nieodrodną uczennicą pańską?—jednak zasada a czyn to rzeczy częstokroć odmienne, wiemy o tem wszyscy i gdybyśmy uchylili zasłonę przeszłości i zajrzeli w głębie serc naszych, stwierdzilibyśmy to zapewne oboje panie Konradzie własnym doświadczeniem.

Patrzała na niego przymglonemi oczyma z rodzajem bolesnego szyderstwa, jakby usiłowała wyczytywać się w zmarszczki tej szlachetnej twarzy.

— Masz pani słuszną zasadę, wyrzekł po chwili milczenia, w którym zdawał się badać sam siebie, tembardziej też oboje powinniśmy wiedzieć jak

wiele kosztowało nas to doświadczenie i ustrzedz od niego tych nad którymi czuwamy.

— Nikt nie jest mądry cudzem doświadczeniem, nikt w podobnych razach nie ufa przestrodze, odparła smutno kobieta.

— W to wierzyć nie potrafię, przerwał Konrad z zapalem zdradzającym niewygasłe uczucie, gdy tak się dzieje albo przestroga musi być dana, bez miłości i dobrej racji, w formie nie wzbudzającej zaufania, albo odbierać ją musi istota bez serca i rozumu. Od tej rozpaczliwej teorii odwołuję się do Anielki. Ona nie wątpi o tem, że ją kochamy oboje i daje dowody, iż ufa nie radom naszym, ale wskazówkom własnego przekonania, które staraliśmy się w nią wszczepić.

Mówił o miłości pani Jarmańskiej dla wychowanki, jako o rzeczy nie podpadającej wątpliwości żadnej i nie mylił się zapewne. Pomimo chłodnej powierzchowności i sceptycznego usposobienia tej kobiety, ufał jej sercu. Ona też nie zaprzeczała wcale i spoglądała na pannę Sielską w cichem zamyśleniu.

— Tak jest zawołała Anielka, pan Konrad ma słuszość, ja wierzę wam zupełnie, ja wierzyć będę zawsze.

— Nawet wówczas gdy jesteśmy w sprzeczności, zapytała kobieta.

— Sprzeczność pomiędzy wami jest pozorna, wiem o tem dobrze. Rozumiem równie dobrze twoje zwątpienie, jak i jego silną energiczną wiarę. A jeśli zdajesz mi się czasem niemiłosierną, przypominam sobie żeś wycierpiała wiele.

— Dość, dość, nie mówmy o tem przerwała, nie mówmy nigdy o mnie. A jednak przyznajcie sami, że to co mnie spotkało, mogło odebrać mi ufność i wiarę.

— Nie pani, odezwał się Konrad, wiara i ufność w zasadę, stać powinna po nad indywidualnem doświadczeniem. Nie jest w mocy żadnego człowieka odebrać nam tego co leży po za granicami zmysłów. Ludzie częstokroć przeniewierzają się ideom, których są reprezentantami, ale wina za to na nich jednych spadać może, idee są niewzruszone, dopóki w dziedzinie myśli zwalczonemi nie zostaną. Fakta zaś są wynikłościami najróżnorodniejszych danych, pamiętajmy o tem, nawet wówczas gdy boleść zawodu mać spokój ducha i ciśnie na usta bluźniercze wyrazy.

— Jesteś niemiłosierny ty także panie Konradzie, zawołała Aniela cisnąc się do swej towarzyszki.

— Nie ja to jestem niemiłosierny, wyrzekł z cicha, tylko nieubłagana logika wypadków i pani Jarwińska rozumie to dobrze chociaż przyznać nie chce.

Rozmowa w Jedlińskim salonie daleko odbiegała od Rajmunda, który wywołał ją swoją obecnością i przechodziła dalej od dziedziny faktów w krainę abstrakcyi.

A tymczasem młody Żelisławski powracał do siebie z pewnym niepokojem; to co widział nie odpowiadało wcale temu co się spodziewał i zostawiało mu tysiące wątpliwości w myśli.

W Luborzu trzy kobiety zgromadzone w portretowej sali oczekiwały go z rozmaitemi uczuciami. Dnia tego żadnej z nich nie było pilno udać się na spoczynek, choć zegar wydzwaniał spóźnioną godzinę. Każda tonęła w zadumie, a milczenie przerywała tylko od czasu do czasu panna Honorata, która rezultatem kabały lub inną równie ważną wiadomością, z obecnymi podzielić się musiała.

Pani Żelisławska usiłowała odmawiać modlitwy na intencyę jedynaka, ale przyznać należy że nabożeństwo to pełne było roztargnień, w po-

śród litanii szeptanej pół głosem przychodziły jej nagle na myśl insynuacye księdza Kaleńca, względem panny Sielskiej i rozmaite macierzyńskie trwogi i niepokoje, tak dalece, iż nie wiedząc z pewnością czy przerwała litanie na Wieży z kości słoniowej, czy na Domie złotym, zaczynała ją znowu od początku, nie mogąc dokończyć.

Marylka blada i znękana siedziała na zwykłym miejscu. Dla niej dnia tego godziny zdawały się wiekami.

Wszystkie trzy z bijącą piersią nasłuchiwały każdego szelestu, a ile razy wiatr zahuczał koło domu, wstrzymywały oddech i oczy ich instynktowym ruchem, zwracały się ku drzwiom wchodowym.

— Późno już wyrzekła wreszcie Honorata, spoglądając na ciotkę, bo nie wiedząc dokładnie gdzie pojechał Rajmund, domyślała się z jej oczekiwania, że mógł niebawem powrócić.

Rzeczywiście zegar wydzwonił jedenastą.

— Czy ciocia nie pójdzie spać, zapytała po chwili z niewinnym podstępem.

Ale pani Żelisławska zamiast odpowiedzi, szeptała modlitwy.

— Marylko durzuć drew na kominek, zakomendorowała stara panna, zapewne Rajmund nie długo powróci, a noc chłodna.

Przeszła się po pokoju i wyjrzała oknem, jakby chcąc stwierdzić prawdę słów swoich.

Ruchy te i słowa z małą odmianą powtarzały się niejednokrotnie, aż wreszcie turkot rozległ się przed gankiem i wśród ciszy panującej w pokoju, można było dosłyszeć wyraźnie otwarcie drzwi do sieni i chód mężki, odzywający się po pustym domu.

— To Rajmund, zawołała uradowana Honorata.

— Marylko odezwała się pani domu, idź powiedz mu, że nie śpię jeszcze, niech tu przyjdzie.

Ale Marylka nie była w stanie wykonać tego rozkazu, słysząc turkot, podniosła się z miejsca i stała jak wryta głucha i ślepa, na wszystko co się działo koło niej.

— Marylko powtórzyła zdziwiona nieruchomością dziewczyny, pierwszy raz zwracając na nią baczniejszą uwagę, czyś mnie nie słyszała.

Nie potrzebowała jednak powtarzać rozkazu, bo Honorata wyręczyła ją z chęcią i pobiegła zawezwać Rajmunda, którego też niebawem przyprowadziła do salonu.

— No no kuzynku zawołała, przyglądając się jego strojowi, jesteś ubrany jak gdybyś wracał ze ślubu lub z balu co najmniej.

Nie odpowiedział na to nic i powitawszy matkę, zdejmował zwolna rękawiczki, stojąc przed ogniem kominka. Wyraz jego twarzy był chmurny, nie spojrział wcale na Marylkę, być może iż nie pomyślał o niej.

— Gdzieżeś był dopytywała się niedyskretnie stara panna, czyż to tajemnica?

— Żadna tajemnica, odparł wzruszając ramionami, byłem w Jedlinie.

— U panny Sielskiej, zawołała Honorata, która niewiadomo jakim sposobem miała zawsze najdokładniejsze wieści o całym sąsiedztwie i wie działa zawsze doskonale kto gdzie bywał, co porabiał i myślał nieledwie. Niedawno wróciła z zagranicy.

— I cóż spytała pani Żelisławska, nie mogąc powstrzymać się od tego pytania, w którym zawierały się wszystkie trwogi i nadzieje jej serca.

— Nic moja Matko, wyrzekł pokazując wzrokiem na świadków rozmowy, panna Aniela jest bardzo miłą i uprzejmą.

— Czy długo zabawi w Jedlinie?

— Według tego co mówi osiadła tam na zawsze.

— Na zawsze! zawołała matka skwapliwie, nie mogąc ukryć radości sprawionej tą niespodzianą wieścią, upatrywała w niej bowiem ziszczenie marzeń swoich.

On przyjął ten wykrzyknik milczeniem, a kobieta zrozumiała szybko, że nie wszystko poszło synowi tak pomyślnie jak sądziła. Zawahała się jednak z pytaniami, na które wyraźnie Rajmund nie miał ochoty odpowiadać w tej chwili. Wyręczyła ją w tym względzie Honorata.

— Kuzynku! zawołała, powiedźcie nam co o tej wycieczce.

— Nie mam nic do powiedzenia, odparł sucho.

— Przecież, czy panna Sielska jest tak piękną jak powiadają.

— Jest bardzo piękną.

— Wszak podobno znaliście się dziećmi czy ona to pamięta?

— Wspominała o tem.

W odpowiedziach jego było pewne ociąganie się i niezadowolenie, które mogło połechtać miłość własną starej panny, którą może Marylka

także tłumaczyła na swoją korzyść, ale która dla pani Żelisławskiej stanowiła zły symptomat. Więc też znudzona niepewnością powstała.

— Rajmundzie wyrzekła, odprowadź mnie do mego pokoju.

— I cóż! zawołała znowu, gdy znaleźli się w sypialni, mów wyraźnie, jakżeś ją zastał? jaką się okazała? patrząc na ciebie myślę iż wszystko poszło niepomyślnie.

— Otóż to najgorsze, odparł syn, że nie wyraźnego powiedzieć nie mogę.

— Jako najgorsze, powtórzyła blednąc, ja tu jeszcze nic złego nie widzę. Czy ci się ona nie podobala.

— Tu nie o to idzie, wyrzekł Rajmund zamysłony, nie jestem wcale pewny czy ja jej się podobalem.

— Ty Rajmundzie, zawołała z wybuchem macierzyńskiej dumy. To niepodobna, albo ta dziewczyna jest szalona. Czegóż ona więcej żądać może, czyż nie jesteś pięknym, młodym, szlachetnym, wychowanym wytwornie. Czyż nie pochodzisz z Luborzewskich? Czemże ona równa się z tobą, posiada majątek, to prawda, ale cóż wiel-

kiego. W dzisiejszych czasach ludzie jak ty mogą wybierać, nie zbraknie im stosownych partyj, bogatych panien jest pełno na świecie, Sielscy nie równają się w niczem z Żelisławskimi, a cóż mówić o Luborzewskich.

Rajmund milczał, argumenta matki które z resztą podzielał w zupełności, znane mu były od dawna, nie wątpił wcale iż miała słuszość, ale co prawda nie miał żadnej rękojmi, by w Jedlinie wyznawano je także, i to właśnie stanowiło trudność jakiej doznawał, w określeniu swego położenia i wrażeń dnia tego.

— Ciekawam bardzo, czego taka panna Sielska, córka wzbogaconego szlachcica wioskowego, więcej żądać może? powtórzyła z przekąsem pani Żelisławska, zapominając zupełnie w tej chwili o pokorze chrześcijańskiej i o ewangelicznej opowieści, względem tych co sami przyznają sobie pierwsze miejsce.

Prawda, iż według powszechnie przyjętego tłumaczenia, opowieść ta nie tyczy się wcale rodowej dumy, którą uświęcił niejako sam Chrystus, albowiem Boski mistrz, narodził się z ubogich rodziców, ale Królewskiego pochodzenia.

— Czegóż ona chce więcej, mówiła obrażona matka, przyglądając się swemu jedynakowi.

— Moja matko, nie trzeba rzeczy przesądzać, właściwie nie było i nie mogło być mowy o niczem.

— To jej nie tłómaczy wcale, kiedy młody człowiek jak ty Rajmundzie wchodzi do domu w którym jest panna na wydaniu, dom powinien rozumieć ten zaszczyt, a panna postępować stosownie.

— Moja matko, panna Sielska przyjęła mnie jaknajlepiej, zapraszała bym jako sąsiad odwiedzał ją często.

— To co innego, odparła uspokojona kobieta, ale w takim razie nie rozumiem twoich zastrzeżeń.

— Bo ja uważałem to za prostą grzeczność i nie sądziłem się dla tego upoważnionym do żadnych nadziei. A potem pamiętaj matko, że panna Aniela jest bogata, bardzo bogata, gdy tymczasem ja...

— I cóż ztąd, gdyby nie miała majątku, nie myślelibyśmy o niej, to rzecz nadzwyczaj prosta. W naszym położeniu Rajmundzie byłoby nieu-

czciwie, zawierać małżeństwo bez posagu, bo i na czemże gruntowałyby się przyszłość.

Nie można zaprzeczyć iż w tem dowodzeniu pani Żelisławska miała słuszość za sobą, ale biedna matka nie spostrzegła się wcale, iż tem samem określała zupełną nicość swego syna, który nie był w stanie pod tym względem mierzyć się z pierwszym lepszym wyrobnikiem co pracą własną utrzymuje rodzinę. Jednak ponieważ ani syn, ani matka nie myśleli szukać tak gminnych porównań, pojęcie to nie poniżyło ich wcale we własnych oczach i prowadzili dalej zaczęłą rozmowę.

To odosobnienie pani Żelisławskiej z Rajmundem, nie podobało się wcale Honoracie, która zostawszy w portretowej sali z Marylką, rzuciła się na krzesło z oburzeniem, w którym gniew mieszał się z żalem i zawiedzioną ciekawością.

— Ciekawam bardzo, na co te tajemnice mówiła. Cóż to, czy to ja nie należę do rodziny? czy mnie mniej od ciotki obchodzi przyszłość Rajmunda, czyż każdej chwili nie jestem gotowa poświęcić się dla niego? dla czegoż nie mam ja także wiedzieć o jego zamiarach i powodzeniu. Bo

109
musiał mieć powodzenie — nieprawdaż Marylko jak on był pięknym dziś wieczór.

Dziewczyna nie odpowiedziała, siedziała a raczej leżała w regu kanapy, z głową ukrytą w poduszkach.

— Boże odpuść ona śpi, zawołała zgorszona Honorata, wprowadzona w błąd bezwładnością biednej dziewczyny co na wpół matwa padła tutaj. Ale cóż ją może obchodzić ród Żelisławskich — nic dziwnego te chłopskie dzieci są zawsze niewdzięczne.

Wypowiedziawszy tę filozoficzno-humanitarną uwagę, stara panna wzięła świecę i udała się na spoczynek, przeczuwała bowiem iż konferencya w pokoju samej pani trwać będzie zbyt długo, by doczekała jej końca. A spać lubiła namiętnie, może dla tego, iż godziny marzenia, łudziły ją zwo-
dnemi obrazami szczęścia, którego nie zaznała w życiu. Honorata widziała się w nich zawsze młodą, piękną, otoczoną hołdami. One kołysały jej tęsknotę, usypiały troski, budząc razem nadzieje, dodawszy odwagi i osładzaly ciężką sierocą dolę. Codziennie kładła się wieczór z temi dwoma pytaniami w myśli. Co też mi się śnić będzie? Co też mi dzień jutrzejszy przyniesie?

Każde jutro rozwiewało wczorajsze oczekiwania, szereg dni podobnych składał się na miesiąc i lata, wśród nich zbiegła jej młodość i wiek — rzały chylił się do starości, a ona czekała zawsze niezmordowanie ziszczenia losu swojego, czekała nie mogąc przypuścić, by życie jej przejść miało tak marnie, tak daremnie, zacząć się i zakończyć oczekiwaniem, które nigdy, nigdy już spełnić się nie miały. Jeśli kiedy przyszła jej do głowy myśl podobna, nie mogła się nad nią zatrzymać bo ta myśl przyprowadziłaby ją o szleństwo. Nie dziw więc iż wolała odwracać oczy od rzeczywistości, czekać, marzyć i zapytywać wróżb dziwnych o tej przyszłości, co tak uparcie odsuwała się od niej w dal coraz mroczniejszą.

Kiedy stara panna opuściła wreszcie portretową salę, Marylka podniosła zwolna ociężałą głowę i spojrzała w koło zamglonym wzrokiem. Skronie miała pałające, serce było przyspieszonym tętnem. Bądź co bądź nie było w jej myśli żądania się oddalić — wiedziała wszystko aż nadto, a przecież czuła iż musi zobaczyć go jeszcze raz umrzeć.

On musiał przechodzić tędy, ażeby z pokoi matki dostać się do siebie, czekała więc. Czeki

nieruchoma, niema, bezmyślna. Wszystkie pojęcia wirowały jej w mózgu bez ładu i porządku. Był tam istny chaos rozpaczy.

Jak długo tak pozostawała? nie umiała sobie z tego nigdy zdać sprawy, wreszcie drzwi otworzyły się, wszedł Rajmund, spokojny, chłodny, z wyrazem znużenia na twarzy.

Marylka nie miała czasu zastanowić się nad tem, ani analizować jego wzroku. Długo bardzo był on dla niej słońcem, rozpraszającym ciemności ducha, samem zjawieniem swoim. Gdy spoglądała na niego, zapominała cierpień, łez, trwóg okropności beznadziejnego położenia i teraz przywyknienie to silniejszym było od wszystkiego. Mimowolnym ruchem podniosła się i stanęła jak widmo na przeciwko Rajmunda.

Wzdrygnął się na ten widok, którego przecież mógł się spodziewać, ale on dzisiaj w egoizmie swoim, zapomniał zupełnie o biednej dziewczynie.

— Nie śpisz jeszcze Marylko, wyrzekł usiłując pokryć przykre wrażenie odebrane.

— Nie, odparła urywanym głosem patrząc na niego oczyma pełnemi smutku, łez, niewymownej miłości i niesformułowanego wyrzutu.

Stał w miejscu, nie bardzo wiedząc co począć, wypadało mu koniecznie ułagodzić ją jakim słówkiem serdecznym, a w tej chwili trudno mu było się na to zdobyć, był znużony, nierad z siebie i drugich, a jak wiemy nie lubił zadawać sobie żadnego przymusu.

Przez ten czas pierś dziewczyny podnosiła się łkaniem. Zbyt wiele przecierpiała dnia tego, potrzebowała utulić głowę na jego sercu, by przekonać się że nie straciła go jeszcze. Więc rzuciła się ku niemu, sama nie wiedząc co czyni, objęła szyję jego ramionami i zawisała mu na ustach miękka i rozszlochana jak dziecię.

Zrazu serce jej wzbierało wyrzutami i skargą, ale to wszystko zamarło niewypowiedziane. Alboż miała do nich prawo? alboż on łudził ją kiedy, alboż obiecywał więcej niż mógł dotrzymać. Nie, to ona sama była szalona. Potrzeba usprawiedliwienia Rajmunda odezwała się tak silnie w Marylce, iż wolała zamiast jego obwinić siebie, za męki doznane. I wyrzekła tylko wśród łkań.

— Przebacz mi, przebacz.

Kogóżby nie rozbroiło to łagodne poddanie. Rajmund, któremu może sumienie czyniło jakie

niewyraźne zarzuty, uczuł się niejako uprawnionony w postępowaniu swoim. Wszdtkże ona żądała przebaczenia, wyraźnie więc wina leżała po jej stronie.

Dla tego też odparł wspaniałomyślnie.

— Dziecko z ciebie Marylko, o cóż to idzie, cóż ci mam przebaczyć.

Sądziła, że powinien ją był lepiej zrozumieć i odpowiedzieć, inaczej poddanie jej było pozorne, bo chociaż wola jej godziła się z koniecznością, wszystkie żywotne instynkta, podnosiły bunt w głębi rozkochanego serca i dopominały się praw sobie należnych.

— Rajmundzie, zawołała podnosząc głowę i patrząc w oczy jego, Rajmundzie czy ty ją bardzo kochasz?

Wzruszył ramionami niby nie rozumiejąc.

— Czy ty ją bardzo kochasz, powtórzyła, powiedz, czy ona tak bardzo piękna, bo widzisz ja oszaleję myśląc o tem.

— Wiesz dobrze, iż kocham ciebie Marylko.

Były to słodkie, uspakajające słowa, a jednak roześmiała się spazmatycznie słysząc je.

— Kochasz mnie, kochasz, powtarzała a ją poślubiasz.

— Wiesz dobrze, iż tak być musi, odparł z odzieniem niecierpliwości, jaką budziły w nim te próżne słowa. Wiesz, że tam działa nie serce ale konieczność.

Załamala ręce nad głową, z wyrazem nieopisanej rozpacz, bo w końcu pomimo wszystkiego wybuchnąć musiała.

— Czy ty myślisz że ja to zniosę, zawołała gwałtownie, że zdołam ciebie utracić. Nie, to być nie może, powiedz mi że tak nie będzie. Alboż druga kochałaby cię jak ja kocham, bez pamięci na nic, alboż druga zniosłaby co ja znoszę. Nie, nie Rajmundzie, jesteśmy młodzi oboje, czyż nie ma dla nas nadziei, czyż nie ma sposobu rzucić tych więzów konieczności. Rajmundzie świat szeroki, świat wielki, świat nie kończy się na Luborzu, Rajmundzie, ja tego nie zniosę

— Doprawdy jesteś szaloną Marylko, odparł zdumiony i obrażony tem co słyszał.

Ale miał do czynienia z istotą której rzeczywistość ból odejmował rozwagę.

— Tak, jestem szalona, powtórzyła namiętnie, szalona, szalona—i któż temu winien.

Źrenice jej błyszczały gorączkowo, na śmiertelnie bladej twarzy, rysował się ponuro krąg

135
wypieczonego rumieńca, a dłonie z nadzwyczajną siłą ścisnęły ramiona jego drobnymi palcami.

— Marylko zawołał zmieszany bezładem jej wyrażań i myśli, uspokój się, cóż wreszcie stało się tutaj nadzwyczajnego, nieprzewidzianego.

— Zapewne, wyrzekła ze złowrogiem śmiechem, wydzierającym się gwałtownie ze ściśnionej piersi, nadzwyczajnego nic — nieprzewidzianego, nic — powinnam ustąpić miejsca, pięknej, bogatej, równej tobie oblubienicy, ja dziecię chłopskie, wychowane z łaski. Oh! myślałam o tem, myślałam dnie i noce, byłam gotowa ale nie teraz, nie zaraz, nie, nie, ja nie przewidziałam, że tego nie zniosę.

— Marylko, jesteś dziecinną, przerwał powtarzając niezmordowanie jedne i te same wyrazy, bo na inne zdobyć się nie mógł.

— Jestem dziecinną, kocham cię, kocham, kochać muszę.

— Gdybyś mnie kochała jak mówisz, nie sprawiałabyś mi tej przykrości.

— Przykrości! Boże! on to nazywa przykrością, szepnęła przyciskając dłonie do czoła, jak gdyby to pęknać jej miało.

Nie zrozumiał nawet czem ją uraził.

— Doprawdy Marylko, wyrzekł z naiwnym egoizmem nie pojmuję cię dzisiaj.

— Ani dzisiaj, ani nigdy, odparła ponuro.

Zdawało jej się, że to nie jest ten sam człowiek którego postawiła na piedestale bóstwa, nie ten, do którego należała sercem i wolą.

— Boże, zawołała, osuwając się na kolana zmiłuj się nademną.

— Marylko, szepnął Rajmund przerażony jej gwałtownym stanem, czegoż ty chcesz odemnie?

Spojrzała na niego wzrokiem, któryby każdego rozbroił.

— Wróc mi wiarę w siebie, wyrzekła z obłąkaniem rozpaczy, wróc mi !spokój dawny, zabij mnie, ale nie porzucaj.

Wzruszył smutnie ramionami. Rzeczywiście chciała od niego rzeczy niepodobnych, a jednak nie mógł jej tak zostawić, tem bardziej że była cudnie piękną w tej chwili, z ustami płonącemi jak ogień, z oczyma gwałtownemi, z tragicznym wyrazem na dziecinnej twarzy.

Przybliżył się do niej, podniósł z ziemi, na której klęczała i przycisnął do piersi w milczeniu. Siły dziewczęcia zdawały się wyczerpane, ramiona jej opadły, głowa zwisała bezwładnie.

Zostawali tak długo w niemym uścisku.

Sądziłi się swobodni, bezpieczni oboje, sami jedni czuwający w uśpionym domu, a jednak od chwili scena ta miała świadków.

Ciekawość zmoęła senność Honoraty, daremnie udała się do swego pokoju, paliła ją żądza dowiedzenia się czegoś o podróży i zamiarach Rajmunda, więc dosłyszawszy jak wychodził od matki, pobiegła za nim do sali.

Niestety stara panna nie czuła się w prawie zagradzać mu losu, ale przynajmniej należały jej się tkliwe zwierzenia, ubolewania i t. p. pociechy, w tej nadziei szła ku niemu.

Niespodzianie jednak doleciały ją w sali zmieszane głosy. Stanęła, słuchała i załamała ręce ze stłumionym jękiem, Rajmund przeniewierzał jej się dla Marylki.

Było to okropne odkrycie, gruchoczące w niwecz jeśli nie nadzieje starej panny, to przynajmniej złudzenia drogie jej sercu, złudzenia które mi żyła oddawna i których bez głębokiego bólu stracić nie podobna.

Czyż to być mogło, by Rajmund prznosił nad nią tę dziewczynę, co przy niej wyrosła. Marylka miała lat szesnaście, a ona już nie była pierwszej

młodości, kiedy w czasie grasującej w Luborzu cholery, przyniesiono nawpół nagie niemowlę do dworu, borodzice jego i krewni wymarli. To przywiodło jej na myśl lata własne. Czyż doprawdy wiek nadziei już dla niej przeminął?

Więc marzyła i czekała na próżno. Teraz nie-nawidziła prawie Marylki, co była niewinną sprawczynią zawodu jakiego doznała, ona posiadała to wszystko co bezpowrotnie straciła stara panna—młodość i piękność. Cokolwiekby wypaść miało, jakiegokolwiek było położenie wychowanki względem Rajmunda, Honorata zazdrościła jej doli i byłaby zamieniła się z nią z rozkoszą. Kochać, być kochaną, chociażby w rozpacz, chociażby bez nadziei szczęścia, jakżeby te cierpienia wydawały się słodkie biednej istocie, dla której były dotąd nieznane, chociaż łaknęła ich całą potęgą, wiecznie osamotnionego serca.

Ona czuła się nadto pokrzywdzoną, by miała znieść to w milczeniu, sądziła się nie ofiarą własnych złudzeń, ale ofiarą społeczeństwa, które nie dało jej doli, do której ją przeznaczyło, a nadewszystko ofiarą tej przewrotnej dziewczyny, co widocznie potrafiła oczarować Rajmunda swoją

szesnastoletnią urodą, bo rzecz dziwna, przeciw niemu nie miała wyraźnego żalu.

Świat mógł śmiać się z jej spóźnionych nadziei, jak zwykle śmieje się ze wszystkich zwyciężonych w walce życia, jak śmieje się z tych co biorą na seryo obietnice i wymagania jego. Ona jednak czuła w głębi serca, że nie zasłużyła na swoje cierpienia, że była konsekwentną i logiczną względem wychowania jakie odebrała, zasad wpojonych od dzieciństwa. I w nagrodę za to, odbierała przeniwierstwo, zdradę, bo takim wydawał jej się sam fakt tej miłości. Wszak ona nie zapomniała nigdy o przepaści, jaka oddzielała ją od Rajmunda, wszakże chociaż krewna jego, nosząca jedno nazwisko, nie marzyła swobodnie o połączeniu z nim. Jakżeż taka Marylka śmiała podnieść oczy na syna swojej dobrodziejki.

Ta myśl przywiodła ją prawie do szaleństwa i nie pytając co dalej wypaść może, pobiegła do pokoju ciotki.

Drzwi zastała zamknięte, ale światło przebijające przez szczeliny, świadczyło, że nie spała jeszcze.

Naglona ważnością uczynionego odkrycia, a mo-

że poprostu żądzą zemsty Honorata, zastukała gwałtownie.

Był to fakt nadzwyczajny, bo zwykle wszyscy szanowali sen lub skupienie ducha pani domu, to też odezwał się niebawem głos drżący wzruszeniem.

— Kto tam?

— To ja, niech ciocia otworzy, stała się rzecz niesłychana.

Nie miała czasu dokończyć, pani Żelisławska ukazała się we drzwiach blada od trwogi.

— Moj syn, zawołała, czy mój syn nie chory?

— Oh! nie! przeciwnie, odparła stara panna z goryczą.

— Więc cóż to, spytała już spokojniej pani domu.

— Niech ciocia idzie do portretowej sali, niech zobaczy sama, Marylka tam jest, Marylka z Rajmundem.

— Z Rajmundem, powtórzyła nieco zdziwiona matka, no i cóż ztąd?

— Co! powtórzyła stara panna trzęsąc głową ze złością, ciocia się jeszcze pyta, ciocia nic nie widziała, ciocia była głucha i ślepa jak my wszyscy. Marylka kocha się w Rajmundzie.

— W Rajmundzie!

Po chwili namysłu jednak, fakt ten wydał jej się tak nieprawdopodobnym, iż znając bujną wyobraźnię Honoraty, wyrzekła wzruszając ramionami.

— Musiało ci się to przyśnić.

W usposobieniu w jakim znajdowała się stara panna, słowa te ubodły ją do żywego.

— Zapewne, zawołała z gniewem, ja to nawet nie zobaczyć nie potrafię. Ha! niech ciocia zaczeka aż na dowód pobiorą się w sekrecie, ja wiem co mówię.

— Rajmund! powtórzyła z najwyższem oburzeniem pani Żeliszawska, Rajmund miałby ożenić się z taką Marylką. Miarkuj swoje wyrażenia.

— Teraz wiem dobrze, mówiła Honorata nie zważając na tę przerwę, dla czego ta dziewczyna nie słyszała gdy do niej mówiono, dla czego rumieniła się i bladła, a nadewszystko dla czego zostawała sama wieczorem w portretowej sali, Rajmund tam do niej przychodził.

— To fałsz! to być nie może, mój syu nigdyby się do tego stopnia nie poniżył.

Honorata zacisnęła pięście z rozpacz, zaślepienie macierzyńskie zdawało jej się nieprzewyciężone.

— Ależ ona jest ładna, ona jest bardzo ładna, zawołała, bo był to w jej oczach największy niedarowany grzech Maryłki.

— I cóż ztąd? Rajmund niemógł dla tego zapomnieć co winien samemu sobie—rodowi z jakiego pochodzi.

— Ha! kiedy ja nie mam wiary, niech się dzieje co chce, odparła stara panna w największym gniewie, gotując się do wyjścia.

— Cóż wiesz wreszcie! kto ci to powiedział? zapytała pani Żelisławska, tknięta pewnością, z jaką wyrażała się kuzynka, czy to znowu sen, przeczucie, kabała?

— Są razem w portretowej sali, razem, razem, niech ciocia idzie niech zobaczy sama, skoro mi nie wierzy.

— To niemożebne, szepnęła rozpaczliwie pani Żelisławska, Bóg nie mógł dotnąć mnie w ten sposób.

Te ostatnie słowa dowodziły, iż nie była tak pewną swego zaprzeczenia, a Honorata stała nad nią jakby zły duch, powtarzając swoje uparcie.

W tej rozterce ducha, rzuciła się na klęcznik i modliła się przez chwilę jakby pytając nieba co ma uczynić.

Przez ten czas stara panna była jakby na węglach rozpalonych, nie śmiała jej przerywać, nie śmiała nalegać, ale kiedy wreszcie pani Florentyna powstała i skierowała się chwiejącym krokiem ku drzwiom sali, poszła za nią oddychając swobodniej z rodzajem okrutnej radości.

W sali słychać było tylko szmer pocałunków i te dwa imiona powtarzane na różne tony przez rozkochaną parę.

— Rajmundzie.

— Marylko.

Nagle drzwi skrzypnęły, ale oni nie słyszeli tego wcale, zatopieni jedno w drugim.

Pani Żelisławska z okrzykiem zgrozy i oburzenia postąpiła naprzód, daremnie chciała niedowierzać oczom swoim, fakt był wyraźny, niezbity. Oni się kochali.

Nagły błysk gromu wypadający z pogodnego nieba, nie mógłby więcej przerazić dwojga młodych. Ramiona ich się rozplotły. I przez chwilę panowała w sali głucha cisza, jak gdyby zaludniające ją istoty należały do tego świata mało-wanych postaci, który ich otaczał.

Pani Żelisławska spoglądała naprzemian na syna i na wychowankę, jakby szukając słów jakimi by ich spiorunować mogła.

— Ha! zawołała wreszcie, zwracając się do Marylki, wychowałam gadzinę.

Dziewczyna padła na kolana, wyciągając do niej instynktownie ręce, jak gdyby błagając miłosierdzia.

Ale kobieta cofnęła się dumnie z roziskrzonemi oczyma.

— Nie dotykaj mnie, zawołała z nieudanym wstrętem, precz mi z oczów, precz...

Marylka podniosła się pognębiona rzucając na przemian błagalne spojrzenia na opiekunkę i na Rajmunda. Ale on nie patrzył na nią, stał blady, z brwią ściągniętą, z przyciętymi wargami, nie myśląc wcale stawać w obronie nieszczęśliwej dziewczyny. Wiedział może, iż w tej chwili toby się na nic nie zdało, lub powiększyło tylko gniew macierzyński.

Bądź jak bądź, Marylka czuła się opuszczoną w tej stanowczej chwili, czuła iż na nic i na nikogo rachować tu nie mogła. Węzeł łączący ją z tym domem od kolebki, przysł w jednej minucie.

Chwiejnym krokiem szła ku drzwiom, w uszach

dźwięczały jej okrutne słowa usłyszane, a przed oczyma stała groźna postać opiekunki.

Pani Żelisławska przedstawiała zupełny kontrast z tem, czem była zazwyczaj. Namiętność rozdarła maskę ułożoną wolą i zamiast świątobliwej niewiasty zatopionej w modlitwie, zrezygnowanej na wszystko, pokazała się tylko kobieta pałająca gniewem.

Po wyjściu Marylki, gniew ten z konieczności zwrócił się na syna, tylko teraz pomieszany z żalem i bólem. Czuła się obrażoną jako matka, ale stokroć więcej jako chrześciance. Grzech popełniony przez niego, obarczał jej sumienie i przerażał je niejako. W jakiż sposób miała przemówić do Rajmunda, kiedy widziała wyraźnie w postawie jego, zamiast żalu skruszonego grzesznika, zamiast pokory winowajcy, bunt milczący.

Rzeczywiście on uważał nabożeństwo matczyne za rzecz bardzo właściwą, na stanowisku jakiego zajmowała. Przecież nie życzył sobie wcale by ze sfer abstrakcyi, nabożeństwo to wkroczyło w praktykę, a szczególnie krępowało jego osobistą wolność. Był w przykrem położeniu, zbrakło mu energii by stanąć w obronie Marylki, ani też jasno określić wobec matki swoją samodzielność,

przecież nie chciał być kornym jak dziecko, dumę jego oburzała się na to co się tu działo, tem bardziej iż widział dobrze postać Honoraty po za uchylonemi drzwiami sali, śledzącą ciekawem okiem rozgrywającą się scenę.

Przez długą chwilę matka i syn mierzyli się oczyma, aż powoli wzrok matki miękł, łagodniał, gniew topił się w żal niewypowiedziany.

— Boże, Boże! zawołała, a ja tak modliłam się o to byś syna mego strzegł, prowadził i bronił, polecałam go opiece Stróżów Aniołów.

Żal i łzy z jakimi matka wypowiedziała te słowa, rozbroiły Rajmunda, stał w miejscu, nie wiedząc co ma z sobą począć.

— Doprawdy, szepnął, przykro mi, przykro bardzo. Nieszczęście chciało, że mama tu przyszła— ale doprawdy są rzeczy... no... właściwie... lepiej żeby się mama do nich nie mieszała.

Pani Żelisławska mogła odpowiedzieć mu na to wiele rzeczy, powinna mu była przedstawić, że postępowaniem swoim, naraża przyszłość ziemską i niebieską zarazem, jednakże nie uczyniła tego, patrzyła za nim, gdy wychodził z pokoju, z niemą boleścią. I więcej jeszcze pognąbiona niż zwykle powróciła do siebie.

Marylka tymczasem nieprzytomna prawie schroniła się do swojej izdebki, tutaj padła na kolana przy łóżku sama nie wiedząc co czyni i głowę ukryła w poduszkach jakby chcąc zasłonić oczy i uszy przed niemiłosiernym wzrokiem, przed srogiemi słowami opiekunki.

Tutaj przygarnęła ją miłośnie cisza i ciemność, te przerażające towarzyszki samotności były dla niej pożądane. Zrazu nie mogła przyjść do siebie, ani pomyśleć o przyszłości. Wszak opiekunka wydedziła ją z domu, a Rajmund patrzył na to spokojnie, obojętnie. Dotąd kochająca, kochana, nie czuła zależności swego położenia, dom w którym wzrosła uważała za własny. Stosunek ten zmienił się przed chwilą, od razu pozbawioną została opieki, dachu i dobrych serc ludzkich.

Nie mogła tu pozostać dłużej, to rozumiała dobrze. Miałaż doczekać momentu, kiedy wypchną ją na dziedziniec, zamykając za nią drzwi dworu. Powiedziano jej „precz“, tego wyrazu nie podobna jej było drugi raz usłyszeć.

Nie miała nawet czasu swobodnie oddać się rozpacz, położenie wikłało się troską o byt, o chleb powszedni, o który dotąd Marylka nie zakłopotowała się nigdy. Gdzież miała się udać? świat

jej kończył się na Luborzu, nigdy nie przekroczyła jego granic. Tu zamykały się jej wiedza, miłość i nadzieja.

Pani Żelisławska pamiętała dotąd o potrzebach wychowanki, kazała ją uczyć lub uczyła sama tego co uważała za stosowne. Starania jej padły na bujną rolę. Poziom inteligencyi Marylki prześcigał o wiele program wychowania. Z tem wszystkim nie pomyślano nigdy o jej przyszłości. Dziwić się temu nie było można, pani Żelisławska bowiem nie okazała się przezorniejszą dla własnego syna. Ona czyniła to tylko czego wymagała tradycya i zwyczaje uświęcone, poruczając przyszłość temu Panu, co odziewa lilie polne i karmi ptaki niebieskie, ufając że nie mógł się mniej hojnym okazać dla prawowiernych dzieci swoich.

Zarówno Rajmund jak Marylka należeli z wychowania do przeszłowiecznego pokolenia pełnego nieoględności, więc źle uzbrojeni do nieubłaganej walki bytu, stawali doń z najgorszymi szansami.

O tem jednak ona nie wiedziała wcale, przyszłość ukazywała jej się pod najbliższą postacią

dnia jutrzejszego który wyganiał ją z tego domu. Zresztą nie miała najmniejszego pojęcia o realnym świecie i dla tego może nie pojmowała istotnej grozy swego położenia.

Marylka posiadała tę dozę wiary i zaufania w siebie i drugich, jaką daje lat szesnaście, spędzonych w klasztornej niemal ciszy. Wierzyła iż sama będąc pełną dobrej woli, spotka niezawodnie dobrych ludzi. Mówiono jej że Opatrzność opiekuje się sierotami, a o niebezpieczeństwach jakie ją spotkać mogły nie miała żadnego wyobrażenia.

W końcu chociażby i wiedziała że może umrzeć jej przyjdzie z głodu i nędzy, okoliczności nie zostawiły jej wolnego wyboru. Czuła niepodobieństwo pozostania tutaj. Tejże nocy jeszcze powinna była opuścić dwór Luborzewski.

Nie miała jednej przyjaznej duszy, którąby pożegnać chciała, lub od której rady zasięgnąć. Wraz z niełaską pani domu straciła prawo do innych jego mieszkańców. Nikt nie okazywał jej szczególnej przychylności. Lipkowska pielęgnowała ją wprawdzie od dzieciństwa, ale czyniła to jedynie z rozkazu. W Honoracie przeczuwała nie-

przyjaciółkę. Jednej zarówno jak drugiej zwierzyć się nie mogła. A Rajmund?

O nim najmniej teraz myśleć chciała. Wiedziała dobrze, iż potem co zaszło musi usunąć się z jego drogi. On pierwszy ją odtrącił, a przecież pomimo wszystko w chwili, kiedy porzucić go miała na zawsze serce jej pękało w piersi.

Czas, refleksya, przeświadczenie iż on postępował wbrew sumieniowi i uczciwości, wzbudzając i wyzyskując jej uczucie, że w zamian za najczystsza miłość płacił jej zaledwie przemijającym kaprysem, jak jej to błysnęło w myśli w czasie ostatniej schadzki, wszystko to nie mogło od razu zniweczyć potęgi namiętności, co o władnęła od dawna całą istotność dziewczęcia.

Kiedys może byłaby ona zdolną spojrzeć w przeszłość trzeźwym okiem i osądzić sprawiedliwie tę pierwszą miłość. Teraz to było niepodobieństwem, teraz widziała to jedno, że kocha Rajmunda wszystkiemi siłami serca, całą potęgą dziewczęcego uczucia.

A jednak trzeba było go rzucić na zawsze, bez słowa pożegnania, nie odebrawszy nawet ostatniego spojrzenia, ani uściśnienia dłoni.

Na tę myśl zimny pot oblewał czoło Marylki, ofiara zdawała jej się być wielką, niepodobną do spełnienia. Przecież spełnić ją musiała.

Z gorączkowym pośpiechem zaczęła zbierać to co sądziła niezbędnem. Ale w tym względzie nawet posiadała tak mało doświadczenia, iż na przemian brała i kładła rzeczy, niezdolna zaprowadzić w myśli i czynach swoich najmniejszego ład.

Godziny upływały w tem daremnem zajęciu, wyczerpując napróżno jej energię i siłę. Wreszcie usłyszała szmer jakiś w pokoju Lipkowskiej. Nie zdawała sobie sprawy z ubiegłego czasu, myślała że to już był ów ranek przejmujący ją tak wielką trwogą. I nie zastanawiając się dłużej, pochwyciła mały woreczek, w który wrzuciła trochę bielizny, zarzuciła na siebie okrycie i wełnianą chustkę na głowę i skradając się cicho wybiegła bocznemi drzwiami na dziedziniec.

Wszystko było pogrążone w ciszy, noc była mroźna, niebo wyiskrzzone, blady sierp miesiąca przyświecał niepewnym blaskiem. Groza nadchodzącej zimy unosiła się w powietrzu. Nagie szkielety drzew, rysowały się jak widma na tle hory-

zontu, ziemia zasłana była suchemi liśćmi, przysypanemi szronem, które szeleściały głucho pod stopą.

Marylka za każdym krokiem oglądała się strwożona, jak gdyby niepokoje jej ducha przybierały widome kształty i ścigały ją tłumem wspomnień. Dla obojętnych, dla tych co spoglądali na dwór Luborzewski ze stanowiska estetyki lub pożytku, mógł się on wydawać opuszczonym, smutnym, wstrętnym nawet. Marylka patrzyła na niego innem okiem. Tu wychowała się i wzrosła, tutaj serce jej uderzyło po raz pierwszy, tu przeżyła najpiękniejsze i najgorsze chwile życia. Luborz miał więc dla niej urok miejsc rodzinnych nieopuszczanych nigdy.

Spojrzała zażawionym wzrokiem na grupy olbrzymich olch, topol, lip, wznoszące się wokoło. Widok ten uderzał ją codzien przy obudzeniu, a teraz drzewa te stały ciche przy bladym świetle księżyca i zdawały się żegnać ją smutnem obliczem. Nie miała już zobaczyć ich więcej, ani jutro, ani nigdy w życiu. Rajmund przechodzić będzie pod ich cieniem sam jeden, w czasie gdy ona gdzieś daleko będzie może tęsknić, cierpieć i konać.

W tej chwili uczuła że część jej serca przyrosła do tych martwych przedmiotów, że ich także nie mogła porzucić bezkarnie. Wtedy Luborz wydał jej się podobnym do owego rajy, z którego ogniasty miecz anioła, wypędził pierwszych rodziców naszych.

Szła zwolna, oglądając się i znacząc łzami każdy krok postawiony na twardej nieznannej drodze, na którą się puszczała. Machinalnie postępowała aleją wiodącą ku kościołowi. Tutaj uklękła przed bramą cmentarną i modliła się długo gorąco wezbranem sercem i myślą zbolełą.

Modlitwa jej nie sformułowała się w żadną wyraźną prośbę, była tylko skargą, krzykiem cierpienia, głosem wzywającym ratunku.

Czas jakiś pozostała nieruchoma, zatopiona w sobie, kiedy nagle usłyszała lekki szelest, jakby skradającej się żywej istoty, i razem poczuła na rękach oddech gorący.

Odwróciła się szybko, wiedziona może tajemną nadzieją. Niestety był to tylko pies, wyżeł Rajmunda, który przybiegł tu za nią i łasił się wiedziony dziwnym instynktem.

To nieme pożegnanie wiernego zwierzęcia, zbudziło ją znowu do rzeczywistości. Objęła go za

szyję, przycisnęła twarz do jego głowy, oblała ją gorącymi łzami jakby w nim żegnała cały Luborz i jego mieszkańców.

Powstała, obejrzała się raz jeszcze za wszystkim co porzucała i oddaliła się pierwszą drogą, która ode wsi skręcała przez pola. Bez wyraźnego celu, rzucając przyszłość swoją na los trafu.

Wieś zarówno jak dwór i probostwo pogrążoną była we śnie, w jednym folwarku dzierżawcy światelko płonęło w oknach. Tam bowiem była chwila uroczysta, Grzeżułka witał syna przybyłego na dni kilka w odwiedzinie.

Obadwaj byli w pierwszym pokoju, a Kaśka z pomocą stajennego Tomka zdejmowała z pocztowej bryczki rzeczy podróżnego. Grzeżułka rozradowany krzątał się około przyjęcia ukochanego gościa, przypatrując mu się z ciekawością i rozrzwieniem dziwnem. Syn był poniekąd dla niego nową znajomością, nie widział go od lat kilku.

Jan powitał ojca bez żadnych serdecznych uniesień, jeśli był wzruszony, wrażenie to pokrywał starannie, jak przystało na człowieka, co żyjąc wśród obcych, nauczył się panować nad sobą. W każdym razie, wzruszenie nie odbierało mu rozwagi, bo śledził bacznie liczbę podróżnych pa-

kunków, pomiędzy którymi był *necesaire* toaletowy, pudełko z kapeluszem, laska z misternie rzeźbioną rączką, plaid, parasol, słowem to wszystko co mogło służyć do elegancyi i wygody.

Rzeczy te, złożone w kącie pokoju na ziemi, przez niezgrabne ręce służby dzierżawcy, kontrastowały samą powierzchownością swoją z izbą gdzie się znajdowały, pochodziły bowiem z innego świata i znamionowały całkiem różne gusta i nawyknienia.

Ojciec i syn nie mniej różnili się pomiędzy sobą, chociaż na pierwszy rzut oka, istniało pomiędzy nimi fizyczne podobieństwo rysów. To jednak zmodyfikowane przymieszką krwi obcej, odrębnem życiem i usposobieniem, dążyło widocznie do coraz większego zatarcia się. Kiedyś w dzieciństwie mogło być uderzające, teraz chwilami zaledwie biło w oczy.

Jan był silnie zbudowany jak ojciec, znać było w jego postawie rozwój fizyczny, inteligencyę i tę stanowczość znamionującą łamanie się z realnym światem. Rysy jego były energiczne, spojrzenie bystre, wyraz ust rozważny.

Przecież wpływ świata złagodził zbyt szorstkie charakterystyczne cechy i powlókł je, powie-

rzachownie przynajmniej, bardziej codziennem znamieniem.

— No siadajże, siadaj, rozgość się mówił ojciec, przypatrując mu się z rodzicielską dumą, która spędziła z jego twarzy zwykły, szyderczy wyraz. Musisz być zmęczony.

Na to zaproszenie powtórzone kilkakrotnie, Jan spojrział po pokoju, jakby wyszukując sobie najmniej niedogodnego miejsca.

— Rzeczywiście, odparł, biorąc z kąta gdzie rzucono jego rzeczy, safianową poduszkę i kładąc ją na twardej sofie, te bryczki pocztowe są haniebne, a mamy ztąd ośm opętanych mil od kolei. Jechałem je blisko 10 godzin, dodał, dobywając zegarek. Ale cóż było robić, ojciec mnie wezwał, zapewne pilny interes.

— No tak, interes jest nie jeden, a przytem tak dawno niewidzieliśmy się z sobą.

— To trudno mój ojcze, niepodobna często odbywać podobnych podróży. Anglicy mają słuszość, czas to pieniądz.

— To też tyś go nie tracił, mówił z pewnym zalem Grzeżulka, nigdy jeszcze nie byłeś tutaj.

— Droga długa, ten Luborz leży w zaklętym kącie, zresztą nie byłem ojcu potrzebny.

— A jednak nieraz wyglądałem cię, sądziłem że się stęknisz lub może przynajmniej zapędzi cię tu ciekawość.

— Cóż Luborz może mieć ciekawego, odparł syn, nie odpowiadając na pierwsze przypuszczenie ojca, a może nie zważając nań wcale.

Zapewne Grzezułka nie spostrzegł tego opuszczenia, bo mówił dalej, ozywając się na samo wspomnienie majątku, w którym gospodarował.

— Luborz to złote jabłko, lasy, łąki, ziemia śliczna, gdzie chcesz tam zbieraj pszenicę.

— I ojciec mieszka w tych dwóch pokojach, spytał syn, przyglądając się nagim ścianom i więcej niż skromnym sprzętom otaczającym.

— A tutaj, odparł, alboż to ja wielki pan, albo co? czy mi to nie wystarcza?

— Dziś przecie nie potrzeba być wielkim panem ażeby mieć wygody życia.

Rozmowę tę przerwało wejście Kaśki, która wniosła samowar i postawiła go na stole.

— Tyś pewno głodny, pytał Grzezułka.

— Ha! gdyby tu się coś znalazło, odpowiedział Jan z wahaniem, jak gdyby nie dowierzał wcale gastronomicznym zapasom ojca.

Grzezułka poszedł do szafy i wyjął resztki pieczeni wołowej, arcydzieła obiadowego Kaśki, które postawił przed synem.

Ten jednak spojrzawszy na talerz, nagle stracił apetyt, bo zamiast jeść, nalał sobie szklankę herbaty, wyjął z kieszeni paltota ozdobną cygarnicę, wydobyl cygaro, obciął je starannie i zapaliwszy, puszczał filozoficznie kłęby wonnego dymu.

— A może ojciec zapali, wyrzekł podając mu otwartą cygarnicę—niezłe, sam je wybierałem.

— Ho, ho, zawołał Grzezułka, oglądając je ciekawie i chwytając dym ulatujący w powietrzu, to jakieś pańskie cygara.

— Nie drogie, po dwadzieścia groszy sztuka.

— Po dwadzieścia groszy! powtórzył dzierżawca, ależ to pieuiądz, to pieniądz nie mały.

— Nie na dzisiejsze czasy mój ojczy, pieniądz spadł w cenie, dla tego wszystko droższem się wydaje, prosty objaw wzrostu ogólnego bogactwa.

— Pięknie mi spadł w cenie, o grosz coraz trudniej.

— Zdaje się mój ojczy, że ani ty, ani ja nie możemy się tak bardzo na to skarżyć.

— No zapewne, odparł nieco udobruchany tą uwagą dzierzawca, ale nie wszyscy to mogą powiedzieć.

— To już jest wina indywidualna, są ludzie co nie rozumieją warunków ekonomicznych, wśród których żyją, ani potrzeb społecznych, tacy są naprzód zwyciężeni. Tak zawsze bywało.

I mówiąc to, otrząsnął pogardliwie popiół z cygara, jakby tym sposobem odsądzał od prawa bytu tych, co zdobyć go sobie nie potrafią i tym pobieżnym sposobem, załatwiał się ze wszystkimi możliwymi skargami wydziedziczonych.

Rozmowa pomiędzy ojcem a synem, rwała się co chwila, pomimo iż nie widząc się od tak dawna, mieli zapewne bardzo wiele rzeczy do powiedzenia sobie wzajemnie. Nie dziw jednak. Fakta podobne zdarzają się często. Nieraz ludzie nawet sercem związani, spotykając się po latach rozstania, potrzebują odszukiwać nieledwie samych siebie i dostrajać się do harmonii. A niejednokrotnie okoliczności, lub zmiany wewnętrzne, czynią tę harmonią niepodobną do osiągnięcia.

Tutaj działało się coś podobnego, bo jeśli młody Grzeżulka dobrze pamiętał ojca, sam wyrobił się

wśród ludzi, zdala od jego kierunku i był dla niego niejako nową zupełnie osobistością.

W dziedzinie myśli, każdy z nich miał świat swój odrębny, dzierżawca był niejako typem przeszłowiecznego dorobkiewicza, gdy tymczasem syn jego, miał nawyknięcia, zdania i aspiracye, cechujące dzisiejsze pokolenie. Pozostawała wprawdzie dziedzina uczuć. Ale na tym punkcie ani jeden ani drugi wywnętrzać się nie lubili. Jan zresztą należał do kategorii ludzi, głoszących jawną pogardę dla tak zwanych sentymentów, które według niego nie powinny były posiadać prawa obywatelstwa w obrachowaniach i czynnikach życia

Dla tego też zapewne, nalawszy sobie drugą szklankę herbaty i zapalając drugie cygaro, oparł się o ścianę, szukając sobie najdogodniejszego położenia i wyrzekł.

— No, teraz ojcze pogadajmy o interesach.

Pomimo całe przejęcie się zasadą, iż wszystko powinno ustępować tej najważniejszej materii, Grzeżółka odparł z pewnem zdziwieniem.

— Nic nie ma tak pilnego, wypij się wprzód, będziemy mieli jeszcze czas na to.

— Ja sędzę, że im prędzej tem lepiej, spać mi się nie chce, a długo też bawić tutaj nie mogę. Chyba że ojciec zmęczony.

— Zmęczony nie jestem, ale sądziłem Janie, że zabawisz w Luborzu.

Głos jego zmiękł wymawiając ostatnie słowa; ten twardy, szorstki człowiek, miał także swoją słabą stronę, a stroną tą był syn.

— To już zależeć będzie od okoliczności, odparł ten ostatni, zostaną o ile interesa tego wymagać będą, inaczej pocóż bym miał czas tracić.

— Masz słuszość, masz słuszość, powtórzył mu ojciec jakby mimowoli, siłą nałogu tylko, interesa przedewszystkiem.

— A jakże stoi sprawa z Luborzem?

— Dotąd nierozstrzygnięta.

— Więc ojciec nie jest jeszcze właścicielem? kiedyż się to skończy.

— A nie, nie jeszcze, mówił dzierżawca zafra-sowany, jakgdyby wstydził się przed synem opie-szałości, z jaką sprawa jego prowadzoną była. Z sądami rzecz nie łatwa, a Żelisławscy bronią się rozpacznie.

— Jakże się bronić mogą, podupadli, bez fun-duszów.

— Ha, mają stosunki, uprosili sobie zapewne jednego z pierwszych prawników warszawskich, bo zapłacić go nie mogli i sprawa idzie na zwłokę. Widzisz oni przez Luborzewskich mają bardzo świetne koligacye.

— Wielka rzecz, to dzisiaj nie popłaca w świecie mój ojciec. Ubogich krewnych prędzej się popycha w przepaść niż ratuje, stanowią oni w życiu nie małą zawadę, każdego rad ich się najprędzej pozbyć. Jeśli Żeliszawscy wojują tylko stosunkami, to winszuję im, niedaleko zajadą.

— Widzisz, ciągnął dalej Grzeżulka i mnie nie bardzo pilno, trzebaby się tem zająć, poforsować pieniędzmi, a mnie co dyabli potem. I tak mam Luborz w rękę i ciągnę z niego korzyści, a czy oni tam siedzą z nietoperzami w zrujnowanym dworze czy nie. Niech ich tam... Czasem w prawdzie zakorci mnie ta stara wiedźma hrabina, jak ją tu nazywają i ten jej piękny synalek niedołęga, ale nie mam czasu tak bardzo o tem myśleć. Mamy czystą sprawę i tak wygrać ją musimy.

— Mój ojciec przegrywa się nieraz najczystsze sprawy. A jakby też oni odebrali Luborz?

Na myśl podobną Grzeżółka aż podskoczył na miejscu.

— Oni odebraliby mi Luborz, a niech spróbują. Chociażby nawet oddali co do grosza posag należny nieboszczce żonie, posag z procentami, to ja im mogę jeszcze narobić pretensyi na parę kroć sto tysięcy, a czy to mało tutaj moich pieniędzy, mojej pracy. Oni tu i za sto lat nie trafią.

W tym rachunku Grzeżółka obliczając tak ściśle wiele winni mu byli przeciwnicy, zapomniał najoczywiściej odtrącić od tego długu korzyści jakie ciągnął z Luborza. Jednak sądził się zupełnie w porządku i nie miał najmniejszego poczucia by podobne transakcye były nieuczciwe. Trzeba przyznać iż pod względem zysków, sumienie obydwóch Grzeżółków było dość elastyczne, wszystko co prawne, było dla nich godziwe. Ani ojciec, ani syn, nie frasowali się nigdy subtelnymi odcieniami sprawiedliwości, nie wazyli czynów swoich na zbyt ścisłych szalach. I kontentowali się zupełnie ową zdawkową uczciwością, która wystarcza tylu ludziom posiadającym przyjaźń i szacunek ogólny, chociaż tu i owdzie powstaje przeciwko nim jaki surowy moralista.

— Wartoby jednak, odezwał się znowu Jan, raz te interesa pokończyć. Ja sądziłem że tu już jest co pewnego, i że ojciec mnie dla tego wzywa.

— Kiedy ci o tem tak pilno się dowiedzieć, to powiem ci, że miałem co innego na myśli.

Mówiąc to Grzeżulka patrzył na syna, z wyraźnym niepokojem, jakby chcąc przeczuć jak przyjmie jego zamiary.

Ale twarz młodego człowieka pozostała nieruchomą, pił herbatę i puszczał kłęby dymu, niezdradzając zaciekawienia, ani żadnego innego uczucia.

— O cóż to idzie, spytał tylko.

— Widzisz mój Janie, mówił dzierżawca, jesteś skończonym człowiekiem, masz zapewnione stanowisko i byt dostatni, nawet nie rachując na dziedzictwo matki i na to co ja ci zostawię.

— No tak ojcze, dwadzieścia tysięcy pensyi, tantiema, która przy dobrym zarządzie blizko drugie tyle przynieść powinna i wszelkie wygody, nie są to zbyt świetne rzeczy, ale zawsze jak na początek to nieźle. Ja się nie skarżę.

— Spodziewam się. W twoim wieku ani mi się marzyło o podobnych rzeczach.

— Jednakowoż ja powtórzę swoje, pieniądz spadł w cenie, a rubel dzisiaj tyle znaczy zaledwie, co dawniej złotówka.

— Zdaje mi się więc ciągnął dalej ojciec, że w obecnem położeniu powinienbyś się ożenić.

Nieokreślony uśmiech, przebiegł po ustach syna.

— Nie mam nic w zasadzie przeciwko małżeństwu, odparł obojętnie, sędzę przecież, iż mam dość czasu przed sobą.

— Mów co chcesz, z żoną życie idzie w lepszy ład, byłem młodszy od ciebie kiedyś pojął moją nieboszczkę i chociaż dopiekała nam jej rodzina, Bóg świadkiem, nie pożałowałem tego nigdy.

— Mój ojczy, od tego czasu dużo się rzeczy zmieniło na świecie, wyrzekł z pewnem lekceważeniem Jan, wcale nie rozczulony wspomnieniem matki i pożycia rodziców. Dzisiaj żona staje się nieraz straszliwym kłopotem. Co do mnie, uważam małżeństwo jako interes.

— Ma się rozumieć, przecież nie chcę wyswatać cię z jaką pasterką, lub gołą księżniczką, biorę te rzeczy na rozum.

— Ja uprzedzam ojca, nie mam czułego usposobienia i nie dam się złapać na żadne szarmy. Żona w domu powoduje znaczne wydatki, racjonal-

nie więc rzeczy biorąc, powinna posiadać majątek od którego procent pokrywałby te wydatki. De facto jednak jest to za mało, bo w takim razie małżeństwo tylko nie powodowałoby straty, ale nie przynosiłoby też zysku, interes więc byłby żaden.

Temu dowcipnemu rozumowaniu nie brakowało loiki. Grzeźulka zachwycił się w duchu mądrością swego syna i musiał przyznać, iż za jego czasów nie rachowano tak dokładnie.

— Masz słuszość, masz słuszość, powtarzał ja też miałem na myśli bogatą dziedziczkę.

— Przypuszczam, że ojciec zna dobrze stan jej majątku i nie dałby się złapać na plewy.

— Naturalnie, wszystko zbadałem dokładnie. Więc ty nie byłbyś przeciwny?

— To zależy od cyfry posagowej, bardzo dobry interes, trzeba chwycić w lot, bo sposobność ominąć może, a średni wymaga namysłu, taki zresztą zawsze zrobić można.

— Tu jest milionowa fortuna, panna niezależna, sierota i pełnoletnia.

— Czy tylko nie nazbyt? Nie mam wprawdzie uprzedzenia co do wisku, wszakże jest to zawsze strona ujemna, bo w danym razie może się stać

powodem śmieszności, a rozumie ojciec, że na śmieszność za żadną cenę narazić się nie można, to zabija człowieka.

— Za kogoż mnie masz, panna Sielska jest piękna i młoda.

— Panna Sielska, więc to o niej mowa?

— Alboż ją znasz?

— Trochę, spotkaliśmy się za granicą.

— A to wybornie, droga utorowana, zawołał Grzeżółka zacierając ręce. Jan znowu przyjął te oznaki zadowolenia ojca najzupełniej obojętnie, oczy jego z niezbadanym wyrazem, śledziły dym ulatujący spiralnie z cygara.

— I jakżeż ci się ona podobała, pytał zawsze gwałtowny dzierżawca.

Jan niedbale wzruszył ramionami.

— Tak jak każda inna, odparł spokojnie, jako yp fizyczny, wolę blondynki, ale co do żony jest ci to wszystko jedno.

Ojciec był zachwycony tą powolnością syna.

— Wiesz, zawołał nie mogąc się powstrzymać od rodzicielskiego uścisku, że uszczęśliwiasz mnie woim sposobem zapatrywania się na rzeczy. To i rozum, to mi dojrzałość. Wieleż to ludzi

w twoim wieku, albo kocha się bezsensownie, albo też słuchać nie chce o małżeństwie. Tylko o tem wspomnieć, to rzuć na nich ognia.

— Ja mój ojciec, starałem się zawsze nie mieć żadnych przesądów, jest to wielka zawada w życiu.

— Prawda, jak widzę ty masz słusność we wszystkim, mówił Grzeżulka zdumiony dokładnościami swego syna.

Gotów był bujać w siódmym niebie marzeń ojcowskich, kiedy Jan ściągnął go na ziemię arcypraktycznym pytaniem.

— A z kądże ojciec wie, że panna Sielska by za mnie poszła?

— Za ciebie? zawołał, jakżeby za ciebie pójść nie miała. Wszak powiadają wszyscy, że rozumna, że uczona, powinna się więc poznać na tobie. Minęły już czasy arystokratycznych przesądów, dziś ludzie mierzą się tylko osobistą wartością, a czegożby kobieta więcej żądać mogła?

Jak widzimy Grzeżulka spotykał się w rozmowaniach czynionych synowi z panią Żelisławską; tak ojciec jak i matka, nie widzieli nic lepszego na świecie nad swoich jedynaków i nie pojmowali by mogła ich spotkać odmowa.

223

Jednak praktyczny Jan, nie dał się łatwo przekonać.

— Nie przeczę, odparł, że jestem wcale niezłą partya i że panna rozsądna powinna by śmiało zawierzyć mi swoją przyszłość i swój majątek, ale kto widział kiedy, żeby panna i do tego milionowa miała rozsądek. Ja zaś na odmowę narażać się nie chcę.

Wzruszył ramionami z wymownym gestem pogardy, wcale nie grzecznej, dla pięknej połowy rodu ludzkiego.

— Panna Sielska jest wyjątkiem, zaręczam ci, wołał ojciec, przerażony tym obrotem rzeczy. Zna stan swoich interesów, zajmuje się gospodarstwem.

— To nic nie dowodzi, dzisiaj w kobiecych głowach świtają Bóg wie nie jakie dziwactwa, dawniej bawiły się w nerwy, w sentymentalizm, w poezye, dziś bawią się w równouprawnienie i męzkie zajęcia. W gruncie rzeczy to na jedno wyjdzie, na wszystko jest moda, a szczególnie na kaprysy niewieście.

— Jakto! więc odstępujesz od zamiaru?

— Zamiaru właściwie żadnego nie miałem, bo takowe przedsięwzięję zawsze z obrachowaniem

możliwych szans, a raz powziąwszy bądź co bądź, muszę przyprowadzić do skutku. Nie powiem jednak, by projekt ojca nie zasługiwał na uwagę.

— I cóż uczynisz?

— Będę z wizytą u panny Sielskiej, bo tego nawet sama grzeczność wymaga, a nie chcę nigdy uchybiać formom przyjętym. Nazwa człowieka dobrze wychowanego, wiele ułatwia na świecie, trzeba ją sobie wyrobić, nawet kosztem nie jednej ofiary.

— Tutaj ofiara nie jest wielką.

— Hm! to zależy... Nie powiem by ceremonialna wizyta i to jeszcze na wsi, należała do przyjemności życia. Ale mniejsza o to, odbyć ją trzeba.

— Zobaczysz, zobaczysz, że ci się ona podoba, mówił Grzeźulka, który jakkolwiek od godziny słuchał i admirował zasady syna, nie mógł się przecież pozbyć zastarzałych przesądów, w mowie przynajmniej i pomimo wszystko, rachował na wrażenie, jakie piękna i inteligentna kobieta, wyrzeć była powinna.

Jan nie zadał sobie pracy zbijać tej ojcowskiej iluzji. Widocznie układał w myśli plan dalszego postępowania względem panny Anieli.

— Mój ojciec, wyrzekł po chwili dopiero, jakby uderzony nagłą myślą, w położeniu w jakim się znajduje panna Sielska, ona musi być otoczona rojem wielbicieli.

— A cóż by ci to szkodziło.

— To nadaje najprostszej grzeczności rozgłos niepotrzebny. Nie chciałbym być z powodu wizyty, zamieszczony na jakiej tryumfalnej liście, jak to czynić lubią poszukiwane kobiety.

— Oto możesz być spokojny, panna Sielska nie należy do podobnych kobiet, a jeśli tam kogo spotkasz, to chyba twego ciotecznego brata.

Grzeźółka wymówił to ze złośliwym przyciskiem, jakie budziło w nim zawsze, samo wspomnienie dziedziców Luborzewskich.

Ale syn jak w wielu innych rzeczach i tutaj nie podzielał ojcowskich uprzedzeń, nienawiść zapewne tak samo jak miłość, zaliczoną była przez niego do przesądów, których wystrzegać się należało, gdyż mogą stanowić zawadę w życiu. Wiedział, że Luborz był w procesie, pomiędzy rodziną matki a jego ojcem i pilno mu było widzieć sprawę tę pomyślnie ukończoną, nie żywił jednak żadnej vendety do Żeliszewskich, tak dalece iż

zapomniał nawet o istnieniu Rajmunda i dla tego zapytał:

— Jakiego ciotecznego brata?

— Rajmunda! Rajmunda Żelisławskiego, czyż nie wiesz o tem?

— I on stara się o pannę Sielską?

— Podobno, rozumiesz dobrze, iż dla zrujnowanego panicza, to kąsek nielada.

— Ha, wyrzekł po chwili namysłu Jan, pojedę tam jutro, zobaczymy.

Na tem skończyła się konferencya Grzeżułków.

Jan zajął uprzątniony na prędcie alkierzyk za pokojem ojca, służący zwykle za skład najrozmaitszych gospodarskich rupieci. Kaśka i Tomek wynieśli ztamtąd skóry, smołę, żelazo, postronki i t. p. i posłali jak mogli najwygodniejsze łóżko dla młodego pana, który położył się z filozoficznym spokojem ludzi, zmuszonych niejednokrotnie znosić niewygody i którzy pocieszają się w podobnych razach, tymczasowością tych przykrych chwil.

We dworze Luborzewskim, nie zaraz spostrzeżono nieobecność Marylki. Lipkowska nie miała zwyczaju rano do niej zaglądać. Na wychowance

ciężył obowiązek przygotowania śniadania. Naprzód zazwyczaj posyłała kawę pannie Honoracie, która ją namiętnie lubiła. Stopień jej tęgości, gęstość śmietanki, grubość kożuszka, wszystko to wraz ze snami i pasyansami zapępniało życie starej panny. I żadna moralna troska nie była zdolną oderwać jej myśli od tej gastronomicznej przyjemności.

Dnia tego biedna Honorata, jak to łatwo odgadnąć, daremnie oczekiwała swojej kawy, a to nie przyczyniło się wcale do złamania jej usposobienia względem wychowanki. Przecież nie pomyślała wcale o ucieczce.

— Już tej Marylce, mówiła sama do siebie, to tylko romanse w głowie, nie pomyśli o obowiązkach. Opiekujże się kim, ażeby doczekać takiej pociechy. To przewrotna dziewczyna.

Niecierpliwość starej panny, wzmagająca się coraz bardziej, w miarę jak głód dokuczać jej zaczął, nie miała jednak zwyczaju bez dokonania rozmaitych toaletowych czynności, pokazywać się oczom ludzkim; długi więc czas walczyła z sobą, zanim ubrawszy się nawpół, pobiegła jak burza do portretowej sali.

Tutaj jednak ogarnęło ją coś nakształt rozpacz, sala była pusta, a samowar na stole dawno wystygły, zdawał się oczekiwać smętnie na rękę, która codzien krzątała się około niego.

— Marylko, Marylko! zawołała gniewnie.

Ale odpowiedziało jej tylko echo pustego pokoju.

— Ta dziewczyna wyraźnie rozum straciła— zapomina o wszystkim, nawet o śniadaniu.

Wypowiedziawszy to zdanie, z najwyższem oburzeniem, poszła do pokoju Marylki.

Tam nie było nikogo, a porozrzucane rzeczy i otwarte szuflady, świadczyły o jakimś nadzwyczajnem postanowieniu, lub uczynku.

Stara panna czas jakiś stała tutaj zmieszana, usiłując napróżno zdać sobie sprawę z tego co się stało. Łóżko było nietknięte, w szafie brakowało cieplej okrywki. Czyżby dziewczyna opuściła dom? Fakt podobny mógł na chwilę odwrócić jej myśl od kawy, bo chociaż Honorata najsilniej przyczyniła się do tego faktu, był on dla niej najzupełniej nieprzewidziany. Więc po chwili namysłu biegła znowu do pani Żelisławskiej.

Całą tę noc, pobożna kobieta przepędziła na łzach i modlitwie. W jej domu, pod jej dachem,

popęłniony został grzech ciężki, a co gorsza syn jej miał w nim udział. Sumienie zaniepokojone tym faktem, spędzało sen z jej powiek. Daremnie próbowała usprawiedliwić się przed samą sobą, czuła się winną. Święte teksty, których radziła się w tym względzie, odpowiadały wyraźnie, jednoznacznie, iż nie tylko grzech dziecka, ale i domownika ciąży na zwierzchniku.

Pani Żelisławska schylała głowę w pokorze, modliła się i pokutowała, by odkupić owo złe, jakie stało się tutaj. A tymczasem była niespokojna, gotowała się we łzach do spowiedzi. Kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie i panna Honorata ukazała się na progu, na wpół ubrana z rozognioną twarzą.

— Czy ciocia nie posłała gdzie Marylki, zawołała. Nie ma jej w domu, nie ma jej nigdzie, nikt nie robi śniadania.

Wiadomość ta dopełniła miary udręczeń pani domu i jak zwykle, kiedy się nie chce wierzyć złej wieści, wyrzekła załamując ręce.

— To być nie może.

— Doprawdy ciocia nie posłała jej nigdzie.

— Ależ nie, nie, gdzieżbym ją posłać mogła.

— Więc cóż się z nią stało?

Pytanie to przypomniało pani Żelisławskiej pytanie Stwórcy zwrócone do Kaima, po zabiciu Abła. Co się z nią stało? Myśl ta ognistemi zgłoskami wyryła się w jej głowie.

Nle troskała się wcale o los i przyszłość biednej dziewczyny, przeciwnie, w obecnych okolicznościach, usunięcie jej z domu było rzeczą konieczną i pożądaną, ona poprostu lękała się tylko podwójnej odpowiedzialności, jaka na nią za fakt ten spaść musiała. Odpowiedzialności względem Boga, gdyby Marylka w przystępie rozpaczy odebrała sobie życie i odpowiedzialności względem świata, który w takim razie byłby potępił ją i Rajmunda. Trzeba bowiem przyznać, iż wymawiając tak energicznie, ten wyraz „precz” chciała tylko usunąć ją ze swojej obecności, nie myśląc bynajmniej wypędzać z domu. Bo gdzież Marylka udać się mogła. Teraz właśnie namyślała się jak z nią dalej postąpić, ażeby jak można najciszej załatwić tę sprawę wcale nie zaszczytną dla Rajmunda i dla jej domu, kiedy ucieczka wychowanki, udaremniła jej troskę i zamiary.

W usposobieniu, w jakim się znajdowała, gotowa była widzieć w tem nowy dowód niewdzięczności.

Ale panna Honorata nie obdarzona wcale zdolnością odgadywania cudzych uczuć, mówiła dalej z tryumfującą miną.

— A widzi ciocia, że miałam słuszną, chociaż mi ciocia wierzyć nie chciała, a teraz kto wie, może Rajmund uprowadził ją z domu i osadził gdzie w sekrecie.

Ta myśl nową trwogą przeszła serce pani Żelislawskiej, usta jej słowa wymówić nie mogły, skinęła tylko na starą pannę by zamilkła.

Wejście księdza Kaleńca po którego posłała dziś rano, uwolniło ją od odpowiedzi.

Ten widząc swoją penitentkę we łzach, a przy niej rozbudzoną Honoratę, zatrzymał się zdziwiony na progu, nie wiedząc czy ma się cofnąć, czy iść dalej, ale pani domu odzyskawsz panowanie nad sobą, zwróciła się ku niemu.

— Księżę proboszczu zawołała z niezwykłą żywością, przychodzisz w samą porę, ratuj nas, bo jestem w rozpacz.

Sposób jakim wymówiła te gwałtowne słowa, różnił się bardzo od zwykłych mierzonych wyrazów i świadczył, że cała jej istność była zachwiana.

— Księżę proboszczu, ciągnęła dalej pani Florentyna, powiedz, czy od czasu jak znane ci jest moje postępowanie, moje sumienie, uchybiłam w czemkolwiek obowiązkom gorliwej chrześcijanki?

— Nigdy, przenigdy, zacna pani, odparł z siłą prawdziwego przekonania.

— Czy nie dawałam dobrego przykładu synowi, domownikom, sługom, czy ich kiedy zgorszyłam, chociażby bezwiednie, przypadkiem?

— Przeciwnie, pani hrabina byłeś zawsze wzorem godnym naśladowania.

— Czy w domu moim nie przestrzegałam ściśle postów, modlitw, spowiedzi, słowem, czy mogłam stać się komukolwiek powodem grzechu?

— Ależ nie, nie, pani hrabina słyniesz z cnót i pobożności.

— A jednak księżę proboszczu, w moim domu, pod mojem okiem, stała się obraza Boska.

— To być nie może.

— Tak jest, stał się grzech ciężki, wychowanka moja uwiedziona została.

Wymówiwszy to, pani Florentyna umilkła, jakby przygnębiona tym ciosem, oczekując wyroku spowiednika.

Ten milczał także, szukając w myśli współwinnowajcy, którego czy przypadkiem, czy rozmyślnie, nie wymieniła jego penitentka.

— Nie dość jeszcze na tem księżę proboszczu, oskarżała się dalej kobieta, ta dziewczyna zgromiona przezemnie, dziś rano zniknęła z domu.

— Tak jest, tak wtrąciła Honorata, oczekując dotąd niecierpliwie sposobności wtrącenia słówka, nie ma jej nigdzie, obszukałam dom cały.

— Czy podobna!

— Ja dawno uważałam, że się coś złego kręci, nie darmo śniły mi się ciągle poziomki, mętne wody, kałuże i to wszystko co zapowiada w domu wstyd i zmartwienie.

— I cóż pani hrabina przedsięwzięłaś, spytał ksiądz Kaleniec, nie ciekawy dowodzeń starej panny.

— Nic dotąd księżę proboszczu, chciałam zapytać twojej rady — ja sama nie wiem co czynić, bo powiedz sam, czyż mogłam się tego spodziewać?

Pytanie to było naiwne, świadczyło o zupełnem oderwaniu kobiety od rzeczy doczesnych, gdyż istotnie miłość Rajmunda i Marylki była właśnie faktem najłatwiejszym do przewidzenia.

— Przedewszystkiem pani Hrabino, trzebaby wiedzieć, wyrzekł ksiądz po chwili namysłu, kto przywiódł do grzechu Marylkę?

Ciekawość ta wydała się niedyskretną pani Żelisławskiej i dla tego nic nie odpowiedziała.

— Kto wie, czy uwodziciel nie uprowadził ją ztąd, nie ukrył gdzie, trzebaby się naprzód o tem przekonać.

Domysły księdza Kaleńca, zgadzały się z domysłami starej panny, nie mogła więc wytrzymać by nie zwrócić na to uwagi i zawołała.

— Właśnie to samo mówiłam cioci.

— Pani hrabino, zabrał głos proboszcz, nie należy oddawać się rozpaczy. Stało się wprawdzie złe wielkie — nie przeczę, rozumiem dobrze jak czułe sumienie cierpieć na tem może. Przecież kościół jako dobrotliwa matka, przyjmuje w takich wypadkach zadośćuczynienie i nawet jeżeli obie strony są wolne, pozwala sakramentem zmazać grzech przeszłości. Małżeństwo...

— Ależ ksiądz proboszcz nie możesz tego mówić na seryo, przerwała piorunując go wzrokiem, pani Żelisławska.

Na tak wyraźne zaprzeczenie, proboszcz zmieszal się, nie wiedząc czem obraził dostojną penitentkę, jednak niezrażony mówił dalej.

— Przepraszam panią hrabinę, pismo Ś-te najwyraźniej powiada...

— Co tam pismo Ś-te, zawołała Honorata, nie mogąc pohamować się dłużej, Rajmund miałby ożenić się z taką Marylką. Co też ksiądz proboszcz mówi.

Słowa te jak grom spadły na księdza.

— Jakto więc to pan Rajmund, ah! to co innego, to zupełnie co innego, to zupełnie zmienia postać rzeczy.

— Niestety szepnęła wśród łkań pani Żeliszawska, Bóg dotknął mnie srodze w tem co najbliższe serca mojego. Mój syn zmazał się tak wielkim grzechem i to tutaj właśnie w moim domu, pod moim dachem.

Słyszac to proboszcz, znalazł się w niemałym kłopotcie. Winę Rajmunda można było uważać z dwojakiego stanowiska, duchowego i świeckiego, a jeśli w oczach gorliwego chrześcianina, była to rzecz wołająca o pomstę do Boga, a sądząc ją znów ze światowego punktu widzenia, był to zaledwie niewinny grzeszek młodości, wywołują-

cy uśmiech pobłażania. Ksiądz Kaleniec ze względu na położenie społeczne winowajcy i na rozpacz swojej dostojnej penitentki, nie mógł sądzić je zbyt surowo, ani wymagać małżeństwa, jak to był wymówił niebacznie, nie wiedząc jeszcze o kogo chodziło; z drugiej strony w obec tak pobożnej duszy nie wypadało mu ze względu na swój kapłański charakter, rzecz tę lekko i po światowemu traktować.

Było jeszcze wprawdzie trzecie stanowisko prostej uczciwości, które kazało wejść w położenie nieszczęśliwej uwiedzionej dziewczyny i potępiąło surowo uwodziciela, ale o tem nikt z obecnych nie pomyślał wcale.

— A teraz księżę proboszczu, mów co mam uczynić, pytała dalej ze łzami matka Rajmunda.

— Pani hrabino! nieszczęście, prawdziwe nieszczęście, powtarzał ksiądz, z drugiej strony pana Rajmunda tak dalece winić nie można, młodość, niedoświadczenie, sposobność.

— Ah! tak ja powinnam była czuwać, mieć oczy otwarte nieustannie, na postępkę mego syna.

— Największym świętym pani hrabino, zdarzały się chwile opuszczenia i słabości, duch jest skory, ale ciało mdłe.

— Ale czyż mogłam przewidzieć, czyż mogłam przypuścić nawet, by syn mój, chowany tak bogobojnie, otoczony dobrymi przykładami...

— Tak jest, pani hrabina dawałaś najlepsze przykłady, tylko niestety świat otaczający jest pełen zepsucia i zionie zgubnem tchnieniem na niewinność, jak ów smok biblijny usiłując uwieść nawet najświętobliwszych.

Uniesiony oratorskim zapalem pasterz Luborzewski, zapominał że świat nie miał tutaj żadnego wstępu, chybaby wypadało uważać za reprezentantkę jego Marylkę; pani Żelisławska przecież z radością przyjęła tę mistyczną apostrofę, dążącą do zmniejszenia winy jej syna.

— Oh! świat, świat dzisiejszy! zawtórowała, ten świat pełen niewiary i grzechu, Bóg widzi chciałam ustrzedz od wpływu jego dziecię moje. Bóg chciał inaczej.

Gotową była w prostocie ducha uważać grzech Rajmunda za widoczne zrządzenie Boże, i pocieszać się mistycznym przypuszczeniem, iż niebo doświadczało ją na równi z Jobem w ten sposób, gdy panna Honorata, której myśl, że Rajmund ukrył gdzieś Marylkę nie dawała pokoju, odezwała się znowu:

— Z tem wszystkim, trzebaby się dowiedzieć na prawdę, co stało się z tą dziewczyną.

Rada ta była arcypraktyczną i przerywała w samą porę świątobliwe zachwyty spowiednika i penitentki.

— Rzeczywiście, pochwycił ksiądz, należałoby uczynić poszukiwania a przynajmniej poprawił się, starać się wywiedzieć. Czy nie ma w domu jakiej poszlaki.

Panna Honorata wzruszyła ramionami.

— Kto wie co ta dziewczyna zrobiła, to szalona głowa, może utopiła się.

— Tegoby tylko brakowało, zawołała z pobożną zgrozą pani Żelisławska, samobójstwo, samobójstwo w moim domu!

W tej chwili trzeba to przyznać, nie myślała bynajmniej o Marylce, tylko o własnym grzechu i odpowiedzialności.

— Ależ pani hrabino, to tylko próżny domysł, perswadował proboszcz, niech się pani daremnie nie martwi. Gdzieżby Marylka to uczyniła.

— Uczyniła czy nie, szukać jej trzeba, wtrąciła stanowczo Honorata, podżegana tajemną zazdrością. Bo nie podobna jej było znieść tej myśli, że ona mogła być pod opieką Rajmunda. Już

ja powiadam, że ta dziewczyna nie miała nic świętego. Daremnie przestrzegałam ją nieraz, opowiadałam sny prorocze. Gdzie tam nie zważała na to.

— Czy pani hrabina zapytywała pana Rajmunda, wyrzekł nieśmiało ksiądz.

— Niestety księżę proboszczu, nie widziałam go dotąd, odparła pani domu zrażona nocną sceną z synem od dalszych badań.

— Niechże ciocia poszle po niego, zapyta go zaraz.

Ale ciotka nie spieszyła się z wykonaniem tej rady.

— Oh! szepnęła pogiębiona poczuciem winy jedynaka, jeśliby Rajmund zapomniał się tak dalece, czyżby to przyznał.

— Pani hrabino uspokajał ją proboszcz, nie trzeba rozpaczać, młodość bywa czasami lekko-myślną. Przypomnij pani sobie łzy i modlitwy Ś tej Moniki, udaj się pod jej opiekę.

— Księżę proboszczu, zawołała rozbrojona tem zaszczytnem porównaniem kobieta, idź do Rajmunda, zapytaj go, wybadaj. Ja tymczasem odmówię koronkę do Przemienienia Pańskiego, na

intencję, żeby Bóg odmienił tę nieszczęsną sprawę.

Tej prośby czy rozkazu pani Żelisławskiej, ksiądz Kaleniec nie dał sobie dwa razy powtórzyć, widział w nim dowód nadzwyczajnego zaufania.

Z wolą lub mimowoli penitentki, spowiednik był wmieszany do spraw domowych i kłopotów nie mających pozornie nic wspólnego z rzeczami duchowemi, a jednak w gruncie ściśle złączonemi z sobą. Sumienie ludzkie obejmuje wszystko bez wyjątku, każdy przedmiot i stosunek pobudzić może jego działalność, zrodzić niepokój i popaść tem samem pod władzę spowiednika.

Ksiądz Kaleniec poszedł tedy do pokoju Rajmunda.

Pomimo późnej godziny, młody człowiek po wczorajszej nowej scenie spał dotąd. Cisza zupełna panowała u niego, gdy proboszcz nie słysząc żadnego szmeru zapukał dyskretnie.

— Kto tam? zapytał głos zdradzający brzmieniem świeże przebudzenie.

— To ja, czy można wejść?

— Chodź, chodź księżo proboszczu. Cóż cię tak rano sprowadza?

— Co? czyż pan się nie domyśla, odparł ksiądz wchodząc i sadowiąc się koło łóżka Rajmunda, pani hrabina bardzo strapiona.

— Czy mama przysłała cię tu z kazaniem proboszczu, zawołał Rajmund, bądź spokojny, już usłyszałem ich dość wczoraj wieczór.

— Oj panie Rajmundzie, panie Rajmundzie, pogroził mu nowo przybyły z widocznem pobłażaniem dla grzechów młodości, a czy się to tak godzi.

Zamiast odpowiedzi Rajmund uśmiechnął się nieledwie tryumfalnie, odsłaniając dwa rzędy perłowej białości zębów, które odbijały tak ślicznie przy smagłej płci, czarnych wąsach i ustach purpurowych.

— Jednakże panie Rajmundzie, chwila była źle wybrana, boć jeśli się chcesz żenić, trzeba unikać rozgłosu, po cóż było tę dziewczynę wykradać.

— Ja wykradłem Marylkę, zawołał Rajmund z takim zdziwieniem, iż zręczny proboszcz, który zastawił mu tę łapkę, przekonał się od razu o jego niewinności. Któż to znowu rozpuścił podobną bajkę. A co mnie potem.

— Ależ Marylka zniknęła z domu,

— To być nie może, kiedy?

— Dzisiaj w nocy. Rano nie znaleziono ją nigdzie.

Bądź jak bądź ta niespodziana wiadomość, zelektryzowała młodego człowieka, zerwał się z łóżka i zaczął ubierać się szybko.

— I gdzież ona być może, zapytał po chwili, wlepiając w księdza wzrok pytający.

Ale ten odplacił mu takimże samem spojrzeniem, wktórem malowała się zupełna niewiadomość.

— Po cóż ona uciekała? gdzie poszła? mówił znowu Rajmund, przechadzając się na wpół ubrany po pokoju. Szalona dziewczyna.

— Zawsze to głupia sprawa panie Rajmundzie.

Zelisławski rzucił przez zaciśnięte usta przekleństwo, świadczące, iż najzupełniej podziela zdanie proboszcza.

— Świat gotów się tego ucześcić, mówił dalej praktyczny ksiądz, a jeszcze teraz właśnie kiedy panna Sielska powróciła, kiedyś pan tam zaczął bywać. Trzeba było być ostrożniejszym.

— Cóż robić, stało się, któżbo znowu mógł przypuścić coś podobnego. No aleć przecież Marylka nie może być daleko. Trzeba jej szukać. Wówczas cała rzecz da się utrzcęć!

— Zapewne tylko śpieszyć się należy.

— Eh! dziewczyna nie szpilka, znaleźć się musi. Jeszcze ona taka delikatna, daleko zajść nie mogła. Dziś wieczór pojedę do Jedlina, ażeby uprzedzić wszelkie podejrzenia. Z resztą w ostatnim razie, ucieczkę Marylki będzie można zwalić na Honoratę, lub Lipkowską, mogły jej dokuczać i tym sposobem doprowadzić do rozpaczy. Potrzebnie się też mama w to mieszała. Jak widzimy troski Rajmunda, były czysto osobiste, a jeśli zrazu ucieczka Marylki zrobiła na nim wrażenie, wrażenie to zatarło się szybko, a ustępując przed praktycznymi poglądami szkód jakie mógł zrządzić dla niego ten nieobrachowany krok biednej dziewczyny.

W obec swobody, z jaką przyjął wiadomość przyniesioną przez niego, proboszcz nie uważał za stosowne nasuwać mu podejrzenia samobójstwa, które tak bardzo zaniepokoiło panią Żeliśską. Skoro myśl ta nie przyszła sama Rajmundowi, rzecz widocznie była nieprawdopodobna. Wszak on najlepiej znał usposobienie wychowanki.

Ksiądz Kaleniec tedy, pośpieszył na powrót do swojej penitentki ażeby zdać jej relację o missyi

sobie powierzonej i uspokoić pod każdym względem. Jednocześnie też przedsięwzięto ostrożnie i cichaczem poszukiwania i w tym celu wyprawiono Lipkowską i starego Szczepana, a proboszcz ze swojej strony obiecał się do nich przyłożyć gorliwie i pożegnawszy panią hrabinę podążył do siebie.

Wieczorem w Jedlinie, zwykle domowe towarzystwo powiększone przybyciem Jana Grzeźulki, siedziało jak zwykle około okrągłego stolika w salonie. Jan nie posiadając wykwintnych form arystokratycznych salonów, umiał jednak wyborne przystosować się do towarzystwa w jakim się znajdował i wszędzie być na swoim właściwym miejscu.

Pozostawił on widocznie w domu wszystkie uprzedzenia co do kobiet, ich zachcianek i kapryśków, bo prowadząc z gospodynią domu ożywioną rozmowę, potrafił o przedmioty, które ją zajmować mogły i słuchał zdań jej jeśli jej objawiała nie z bezwzględną admiracją, zdradzającą pochlebstwo, ale z uwagą i uznaniem, jakie należy się rozumowi.

Jan Grzeźulka ubrany ze skromnym wykwin-tem, jakiego dostarczyły mu zagraniczne stolice,

ze skromną pewnością siebie, które nadawało mu niezależne stanowisko, wyrobione własną pracą, z tą filozoficzną obojętnością dla wszystkich zarówno obozów i przekonań, co pozwala mu się naginać do każdego towarzystwa, mógł na pierwszy rzut oka zwrócić uwagę nawet inteligentnej istoty.

Umysł zarówno jak i powierzchowność posiadały ujmujące pozory, wiedza nabyta z konieczności, posługiwała mu w danych razach jako temat rozmowy. Umiał używać jej bez pedantyzmu, potrzącał niby przypadkiem o przedmioty z którymi był dokładnie obeznany, unikając roztropnie tych co mu były obce. Znał doskonale słabe strony swego umysłu, a w potrzebie wołał przyznać się do niewiedomości, niż narazić na jakie hazardowe zdanie. Słowem władał sobą rozumnie i posiadał tę najwyższą sztukę, naśladowaną tak dobrze naturalność, iż czasem niepodobna jej dopatrzyć od razu.

Posługiwała mu tu wybornie, zupełna obojętność zasad, uczuć i przekonań. Były to wszystko zawady, od których uwolnił się zawczasu, śledził z zimnem wyrachowaniem charaktery ludzi, z jakimi miał do czynienia i stosował do nich po-

stępowanie swoje, nie przekraczając jednak nigdy pewnych granic.

Bystra obserwacya nauczyła go, że absolutna negacya, tak samo jak i wiara, mało popłaca w świecie, że bez pozoru niektórych cnót obejść się niewygodnie. Był więc w potrzebie szlachetnym, wspaniałomyślnym, odważnym, bezinteresownym, ile tego konieczność wymagała bez nadzwyczajnej ofiary. I podciągał te wszystkie uczucia, pod rubrykę wydatków nieuchronnych, dla utrzymania właściwego stanowiska.

Z resztą nie był on wcale zły w gruncie, dobry uczynek nie sprawiał mu przykrości, a zły nie był mu przyjemny. Instynkta jego nie były drażniące, nie pociągały go na bezdroża. Miał naturę bierną, beznamiętną dotąd i poddaną ściśle obrachowaniu, może z braku potężniejszego motoru.

Rozmowa w Jedlińskim salonie toczyła się żywo, gdy turkot przed domem oznajmił nowego gościa, a niebawem wszedł Rajmund.

Widok nieznanego, który na pierwszy rzut oka nie wydawał się wcale niebezpiecznym, nie zrobił na nim żadnego wrażenia, młody Żeliszawski wiedział bowiem dobrze, iż nie jest pierwszym

lepszym i dlatego znając swoją wartość, nie lękał się lada rywala.

Gdy jednak panna Aniela zapoznała go z Janem, pomimo całego panowania nad sobą nabytego wprawą światową, krew uderzyła mu do twarzy. Więc on był tutaj przyjmowany na jednej stopie z Grzeżulką. Powitał go sztywno, zimno, a w ukłonie jego, przebijała się cała duma Luborzewskich.

Jan zrozumiał szybko błąd przeciwnika, bo od razu położenie zarysowało się jasno pomiędzy nimi i spojrzenie jakim zmierzył Rajmunda, świadczyło o tem wyraźnie, więc wyrzekł z zupełnym spokojem, obracając się do gospodyni domu.

— Chociaż zupełnie nieznani, jesteśmy bliźsi sobie z panem Żelisławskim, niżeli to pani sądzisz.

Rajmund pobladł, bo widział w tem wyznaniu nowe zuchwałstwo parweniusza, a panna Aniela wlepiła w gościa swego wzrok pytający.

— Tak jest pani, mówił dalej skromnie Grzeżulka, jesteśmy cioteczniemi braćmi, rodziny nasze rozdzieliło nieporozumienie, Żelisławscy nie mogli przebaczyć matce mojej, że przyjęła plebe-

juszowskie nazwisko, jakie noszę. Dziwić się temu nie mogę, obrażać nie mam prawa. Ale przyznaję to, wdzięczny jestem trafowi, który pozwała mi poznać tak blizkiego krewnego. Obadwaj jesteście niewinni grzechów naszych rodziców. Co do mnie przynajmniej, chciałbym odziedziczyć tylko przyjaźnię, a nie gniewy ojcowskie, i jeśli pan Żelisławski nie ma nic przeciwko temu, pragnąłbym by to poznanie było wstępem do dobrych pomiędzy nami stosunków.

Jan wypowiedział to wszystko, z tą mieszaniną skromności i poczucia godności własnej, stanowiącej mistrzowski rys jego obejścia. Rajmundowi nie wypadało w obec świadków, którzy go otaczali, okazać się mniej szlachetnym, przecież nie zdołał się przemódz.

— I owszem, wyrzekł, wyciągając do niego rękę ze skrywaną niechęcią, zwykłem płacić taką samą monetą jaką odbieram.

Słowa te niezupełnie odpowiadały pojedynczym wyrazom Jana. Rajmund uczynił co mógł, przewyciężył wiele wrodzonych wstrętów i wspomnień, by podać dłoń ciotecznemu bratu. Przecież wyższość pozostała przy Grzezułce, czuł do-

rze, iż on to zyskał sobie sympatyę mieszkańców Jedlina. To podwoiło jego niechęć.

Jan nie zdawał się uważać dwuznaczności jego odezwania się, ścisnął podaną sobie rękę i przekonany iż uczynił wszystko, co od niego zależało, cofnął się dyskretnie, by się zbyt nienarzucać.

— Jakimże sposobem tak niespodziewanie spotykam tutaj pana Grzezułkę, zapytał Rajmund, który przed wymówieniem nienawistnego nazwiska, zawahał się krótką chwilę.

— Miałam przyjemność spotkać pana za granicą, wtrąciła panna Aniela, uprzedzając odpowiedź Jana, jesteśmy więc dawnemi znajomemi.

— A ja przyznam się, iż nie miałem nadziei stawić się tak rychło na uprzejme zaproszenie pani, odparł Grzezułka, kiedy przyjechawszy do ojca, dowiedziałem się z radością że sąsiaduje z Jedlinem.

— Z sąsiedztwa tego nie korzystaliśmy dotąd, mówiła dalej uprzejmie gospodyni domu.

Wyrazy te wyglądały na zaproszenie i dopełniły miary cierpliwości Rajmunda, więc nie dość że spotkał tutaj syna nienawistnego dzierżawcy, który głośno i otwarcie wypowiadał istniejące pomiędzy nimi pokrewieństwo, miałże być na-

rażony jeszcze na widzenie się z tym ex oficyali-
stą, który upominając się o posag żony, zadał
ostateczny cios majątkowi Żelisławskich i groził
im wypędzeniem z Luborza.

— Ojciec pański, odezwał się z wyraźnym ak-
centem szyderstwa, musi być zanadto zajęty go-
spodarstwem i procesami jakie prowadzi by od-
wieźć tak miłe jak Jedlin sąsiedztwo.

Wyzwanie było wyraźne, Jan go nie pominął.

— Tak jest, wyrzekł podnosząc się z miejsca,
mój ojciec pracuje głową i rękoma, ani ja, ani on
nie wstydzimy się tego. Praca była dla niego
konieczną, za jej pomocą żywił rodzinę i mnie
wychowywał, kiedy zaprzeczono mu matczyne-
go majątku. Nie potrafi on zapewne prawić pięknych
słówek, ale za to umie zdobyć sobie chleb i ra-
chować tylko na samego siebie.

Rajmund znowu pokonany, przygryzł w mil-
czeniu wargi, syn dzierżawcy dał mu teraz uczuć
wyższość swoją i obwarował się niejako na swo-
jem stanowisku.

— Jest praca i praca, odparł dumnie, zarobek
i zarobek, są takie, których tkną się nie każde
ręce, są takie, po nad które przenieść należy szla-
chetne ubóstwo.

— Szlachetne ubóstwo zaśmiał się Jan, niestety, szlachetność kończy się tam zwykle gdzie nie ma możności wystarczenia samemu sobie, a wówczas zaczyna się żebractwo osłonięte pozorami, lub godzenie na cudze mienie pod pokrywką małżeństwa. Świat wprawdzie toleruje to wszystko i nie nazywa właściwem imieniem, ale nazwa rzeczy nie zmienia.

— Pan Grzeźulka wydaje sąd nazbyt surowy, wyrzekła pospiesznie panna Aniela, mieszając się do rozmowy, przybierającej groźny obrót.

— A jednak ma słuszność w zasadzie, wtrąciła pani Jarwińska, która dotąd uważnie i szyderczo słuchała dwóch zapaśników. Szlachetnym może być ten tylko, kto posiada możność po temu.

— Czemu, spytał z nieskrywaną goryczą Rajmund, bo w tych słowach upatrywał osobistą przymówkę. Więc ubogiemu odbieracie wszystko, nawet to jedno, co mogło pocieszyć go we własnych oczach, godność w nieszczęściu.

— Zdaje mi się, że tu jest nieporozumienie co do wyrazów, odezwała się Aniela, ubóstwo jest rzeczą względną, w czasie gdy nędza znajduje się we wszystkich społecznych warstwach, tam wszędzie gdzie środki nie idą w parze z potrzebą.

Ona to wyklucza szlachetność i zabijać musi powoli wszelkie zdrowe pierwiastki. Nieprawdaż?

Mówiła to zwracając się do obecnych, z tym jasnym szczerym uśmiechem, świadczącym że nie nie skrywało się po za jej słowami.

— Bez wątpienia pochwycił Jan, pani wytłómaczyłaś to stokroć lepiej niż jabym potrafił.

— Bo też inaczej nie mogłam zrozumieć, ani zgodzić się z panem. Ubóstwo, to ograniczenie potrzeb naszych, a tem samem niepodległość zdobyta pod wielu względami, to żywa protestacya przeciw czci złotego cielca, któremu dziś kłania się ogół.

— Masz puni słuszność, odparł podstępnie Grzezułka, ale w takim tylko razie, gdy ubóstwo to nie pożąda dóbr, jakimi wrzekomo pogardza i jest rzeczą nie musu, ale dobrowolnego wyboru.

Rajmund zrozumiał, że to znowu stosowało się do niego.

— Takim sposobem, zawołał, niweczylibyśmy zasługę; nie może mieć jej ten, kto nie pożąda tego co odrzuca dla innych wyższych względów. Dobra ziemskie mają wiele uroku, bo oprócz materalnego użycia, dają jeszcze szacunek ludzki. Złoto pokrywa najbrudniejszą przeszłość, obmy-

wa tego co je posiada z win wszystkich, darzy go geniuszem, cnotą, zasługą, chociażby był nawet wydziercą cudzego mienia. Wynika ztąd sens moralny, nadzwyczaj prosty i ogólnie wprowadzony w praktykę. „Kradnij, rozbijaj i morduj nawet, byle ci się udało, byleś zdobył sobie czem przekupić sprawiedliwość i sumienie ogólne“. Oto hasło dzisiejszego wieku.

— Stało się to dzisiaj modą poniekąd, przerwał Jan, piorunować na wiek nasz, stawiać go na ławie oskarżonych i poddawać pod sąd wszystkich pseudo-idealnych doktryn. Na usprawiedliwienie jego powiem to tylko, iż zarzuty jakie mu czynią istniały od początku świata. Zawsze i wszędzie w oczach tłumu, powodzenie sankcjonowało nadużycia i przeważało abstrakcyjną ideę prawa. Zdaje mi się jednak, iż ten wielki obwiniony, nie potrzebuje obrony żadnej, fakta bowiem mają nieprzepartą wymowę, którą potomność oceni właściwie. Ja zapytam tylko, czy kiedykolwiek ludzie uczynili więcej jedni dla drugich? Czy dobrobyt ogólny był kiedy tak wielki?

— Rozumiem pana! pochwyił Rajmund, dobrobytoto ostatnie słowo wasze, kładziecie go po nad wszystkie względy i duchowe potrzeby ludzkie.

Patrz pan jednak do jakich rezultatów ono doprowadza. Krwawy dramat komuny paryzkiej, świadczy o tem aż nadto wymownie.

Jan uśmiechnął się z pewnem politowaniem.

— Jeśli idee sądzić będziemy po nadużyciach jakie wywołują, jakież pomiędzy nimi zostaną się czyste. Strzeż się pan jest to metoda obosieczna.

— Dla ludzi, którzy nie uszanować nie umieją, nie chcą, nie mogą.

Te ostatnie słowa wymówił z przyciskiem, zwracając się wyraźnie do młodego Grzeźułki.

Była to znowu niezręczność wielka. Jan bowiem nie cofnął się przed tem wyzwaniem, ale owszem skłonił się z uśmiechem.

— Jeżeli, wyrzekł, bierzesz mnie pan za reprezentanta dążności dzisiajszych, nadających tak wyraźny kierunek historyi, piętnujący wiek dziewiętnasty odrębną cechą, to ja uważam to za zaszczyt i uczynię głośno moje wyznanie wiary. A więc tak jest, wierzę w pracę, w naukę, w rozum stokroć więcej, niż w rodowe tradycye i bezczynne marzycielstwo. Co więcej sądzę, że wszyscy tutaj podzielają moje doktryny.

Mówiąc to zwrócił się głównie do gospodyni domu, jakby oczekując od niej rozstrzygnięcia sporu.

— Bez wątpienia odparła Aniela, są to rzeczy już przedysputowane w dziedzinie myśli przynajmniej, a pan Żelisławski z pewnością się na to zgodzi.

W ten sposób postawiona kwestya, wprowadziła w niemały kłopot Rajmunda. Trzeba było bowiem wypowiedzieć swoje zdanie. Dla człowieka obznajmionego ze światem, nie było rzeczą trudną nagiąć przekonania do potrzeby chwili i on zapewne nie wahałby się tego uczynić, gdyby tu nie zachodziła trudność innego rodzaju. Zgadza-
jąc się z Janem, składał niejako broń przed nim. Odrzucając dobrowolnie wartość rodową, stawiał się na równi z synem dzierżawcy. Miłość własna nie pozwoliła na to. Odparł więc po minucie namysłu.

— Nie ze wszystkim pani, pan Grzezułka wypowiedział wyznanie wiary,—pięknie brzmiące—nie przeczę. Nie wiem jednak czyśmy tak wiele zyskali, na odrzuceniu wszelkich tradycyj. Mia-
nowicie jeśli to były tradycje uczciwości i hono-

ru, bez których tak doskonale obchodzi się świat obecnie.

— A cóż pana upoważnia tak sądzić zawołał Jan z tłumioną gwałtownością, bo przymówki Rajmunda były tak widoczne, iż nie wypadło znosić mu je dłużej cierpliwie.

— Najwięcej to co widzę w koło, odparł chłodno Żelisławski.

— Panowie nadają zbyteczny przycisk tej kwestyi, wyrzekła Aniela usiłując inny obrót nadać rozmowie.

— Daruje pani, mówił Rajmund, są to kwestye żywotne, powinniśmy raz mieć odwagę nazwać rzeczy po imieniu i odrzec niektóre wyrazy, ze złudnych obsłon, jakimi powlekają je stronictwa.

— Prawda nic nie ma wspólnego ze stronictwami, ani z wyrazami, które służą im niekiedy za hasła, mówiła Aniela.

— W oczach pani tak jest zapewne, ciągnął dalej Rajmund, bo wszystko co pani myślisz, mówisz i czynisz, jest szlachetne, któżby śmiał o tem wątpić i występować z panią do walki.

Wyrzekł to z wyszukaną grzecznością, obcą tym sposobem wytlómaczyć w jej oczach walkę z ideami jakie popierała.

Ale zwrot ten nie trafił wcale do logicznego umysłu panny Sielskiej.

—Widzę, odparła z uśmiechem, że tylko uprzywilejowanym wolno mieć odmienne zdanie od pana, jednak uprzedzam, że tak bardzo nienawidzę każdego przywileju, iż nie chcę go wcale nawet na swoją korzyść używać.

— Zdaje mi się, iż pani się mylisz, wyrzekł Jan z przyciskiem, jeśli tu jest ktoś uprzywilejowany, ja nim jestem z pewnością w oczach pana Żelisławskiego, i dla tego ustępuję mu z drogi, nie chcąc czynić panią świadkiem nudnych sporów.

Przymuszony uśmiech na ustach jego, źle pokrywał wzburzenie nad którym zapanował siłą woli. Powstał ze swego miejsca, przerzucił album leżące na stole, potem zbliżył się do pani Jarmińskiej i rozpoczął z nią półgłosem rozmowę.

Rajmund został przy panie Anieli. Czuł się jednak bardzo zakłopotany tem zwycięstwem, które w gruncie rzeczy było porażką; cała wyższość moralna leżała bowiem po stronie przeciwni-

ka, co zaczepiony pomimo pojednawczych usposobień, okazanych na wstępie, bronił się z takim umiarkowaniem i godnością.

Milczenie surowe gospodyni domu, było wyraźną oznaką jej niezadowolenia.

— Daruj mi pani, wyrzekł półgłosem, korzystając z oddalenia Grzeżułki, czuję iż postąpiłem zbyt porywczo, iż zasłużyłem na gniew pani, są rzeczy których znieść nie byłem w stanie.

Ale ta szczególna apologia nie rozbroiła wcale panny Anieli, była obrażoną postępowaniem Rajmunda.

— Zważ pani, ciągnął dalej, iż Grzeżułkowie są odwiecznymi wrogami naszymi, iż od nich pochodzą wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na dom nasz, że ani spodziewałem się go spotkać, a widząc go tutaj obok pani...

— Powinieneś pan był niezapominać, że jest moim gościem.

— Zawiniłem pani, czuję to i będę się starał błąd mój naprawić, ale czy uzyskam przebaczenie?

— Pod tym tylko warunkiem, wyrzekła powstając by przerwać tę cichą rozmowę.

Reszta wieczoru upłynęła spokojnie, cioteczni bracia wzajem unikali zaczepki, lub jakiego bądź przedmiotu, mogącego wywołać starcie, przybycie Konrada powiększając towarzystwo, ułatwiło im to zadanie.

Przecież czuć było w powietrzu wrogie żywioły, gotowe do starcia, jakiś nieokreślony przymus ciążył na wszystkich, odbierając nawet mieszkańcom Jedlina zwykłą swobodę.

W takich warunkach, wieczór nie mógł się długo przeciągnąć, Jan pierwszy wyjechał, ale kiedy zegnał ciotecznego brata zimnym ukłonem wzrok jego wyzywający mówił wyraźnie iż zajście pomiędzy nimi nie było załatwione.

Rajmund zrozumiał to i niebawem poszedł za przykładem Grzeżulki. Jechali jedną drogą, mogli więc być pewni, iż się nie miną. O małą odległość od Jedlina wznosiła się figura otoczona wieńcem lip i świerków z kamienną ławką do spoczynku. Tutaj Jan kazał zatrzymać konie, wysiadł i zapaliwszy cygaro, przechadzał się po drodze, domyślając się iż niedługo czekać mu przyjdzie.

Jakoż wkrótce doleciał go turkot, Rajmund nadjechał, a spostrzegłszy przeciwnika, wyskoczył z bryczki.

— Czekałem na pana, wyrzekł Jan.

— Domyśliłem się tego, odparł Rajmund, uprzedziłeś pan moje chęci.

— Po tem co zaszło, mogłem się spodziewać iż pan zarówno jak i ja uznajesz konieczność porozumienia się.

Rajmund skłonił się szyderczo.

— Przyznaj pan sam, mówił dalej Jan, że dziś wieczór dałem niepospolite dowody cierpliwości.

— Rzeczywiście podziwiałem to.

— Muszę jednak objaśnić, iż z natury nie jestem wcale cierpliwy na pewnego rodzaju zaczepki. Jeśli więc w Jedlinie nie odpowiedziałem panu, uczyniłem to jedynie przez wzgląd na osobę, u której znajdowaliśmy się obadwaj, o którym to względzie pan zapomniałeś zupełnie.

— Czy to mam brać za naukę.

— Nie pierwszy to raz Żelisławscy odebrali by ją od Grzeżuków.

— Zdasz mi pan rachunek z tych słów.

— Chętnie, sam właśnie miałem żądać zadość uczynienia za pańskie przymówki. W tym celu jestem tutaj.

— A więc czekam na pańskich sekundantów, zawołał niecierpliwie Rajmund.

— Nie będziesz pan długo czekał, odparł Jan. Dałem dość dowodów dobrej woli względem pana, więcej uczynić byłoby nikiemnością. Chciałem uniknąć tego co się stało.

— Wierzę przerwał szyderczo Rajmund, ludzie pracy, ludzie nauki, nie lubią zazwyczaj narażać się na kule.

— Dowiodę panu, iż nie cofnę się przed niemi. Ale czy wiesz pan co świat powie o tem pojedynku?

— To, iż Żelisławski pomścił się na Grzeźulce krzywd rodzinnych.

Jan wzruszył ramionami.

— Zachodzi pytanie, która strona więcej krzywd doznała, zresztą krzywdy podobne nie rozstrzygają się z bronią w rękę. Nie oto teraz idzie. Świat powie iż zrujnowany Żelisławski próbował tym sposobem torować sobie drogę do posagu panny Sielskiej, bo ten był dla niego ostatnią ucieczką.

— To samo powiedzieć mogą o Janie Grzeźulce.

— Zapewne, powiedzieć mogą, ale bez cienia prawdopodobieństwa, alboż ja potrzebuję majątku żony, alboż się muszę na niego oglądać?

Ton spokojny wyższości, jakim te słowa wymówione były, doprowadził do wściekłości Rajmunda. Jakżeż gorąco w tej chwili pożądał majątku i stanowiska, któreby mógł rzucić wzajem w oczy Janowi.

— Zapewne, jednak wyrzekł drżącym z gniewu głosem, nie sądzisz pan by te względy wpłynęły na moje postanowienie.

Grzeźulka skłonił się szyderczo.

— Zdaje mi się odparł, że to ja jestem obrażony i mam prawo żądać zadośćuczynienia i zaręczam panu wymagać go nie omieszkam. Uważam więc na teraz wszelkie dalsze słowa pomiędzy nami za zbyteczne.

Powiedziawszy to, zwrócił się ku figurze, od której odeszli obadwaj, w czasie tej rozmowy, tam bowiem stały jego konie.

Rajmund zaś wskoczył na bryczkę i pojechał naprzód. Był prawdziwie zdumiony zuchwalstwem ciotecznego brata. Nie mógł ludzi się pod żadnym względem, Jan nabrał tej pewności siebie, cechującej tak zwanych ludzi nowych i nie tylko nie przyznawał mu żadnej wyższości, ale przeciwnie, pysznił się niejako swem plebeju-szowskiem pochodzeniem. A co gorsza nie cofał

się nawet przed groźbą pojedynku, rzeczy zwykle tak wstrętnej dla jemu podobnych. Na razie Rajmund nie pomyślał o następstwach tego wyzwania, krew Luborzewskich wrzała w nim i czyniła ślepym na wszystko. On teraz pamiętał o tem tylko, iż musi ukarać tego śmiałka. Zapomniał jednak, że w walce szanse były równe, że sam mógł paść jej ofiarą, że miał matkę, której był jedyną pociechą i w końcu, że jakkolwiek położenie jego miało swoje gorycze, sam niez wątpił jeszcze o przyszłości i nie wyczerpał kielicha życia.

Inaczej rzecz się miała z Janem, bo ten nie działał zupełnie pod wpływem chwilowego rozdrażnienia. On zawsze rozważny, obrachowywał w duchu dzień miniony i znajdował że rachunek ten wypadł najzupełniej na jego niekorzyść.

W prawdzie miał przyjemność upokorzenia przeciwnika. W walce szyderstw i przycinków stoczonej jak turniej średniowieczny, w oczach wybranej damy, zwycięstwo pozostało przy nim. Korzyść ta jednak, nawet w razie gdyby tym sposobem pozyskał serce bogatej dziedziczki, nie równoważyła jeszcze możliwych strat, jakie za sobą pociągała.

Pojedynek był w oczach jego szaleństwem, przecież szaleństwo to gotów był spełnić, rozumiał bowiem doskonale konieczność towarzyską, która go do tego zmuszała. Jan nie był żadnym reformatorem, brał świat i ludzi jakimi byli i dla tego przyjął bez wahania to, czego bez narażenia swego stanowiska uniknąć nie mógł.

Heroiczne przedsięwzięcie, jakie powziął, kosztowało go wiele, był srodze zły, przeklinał w duchu dyplomacyę ojcowską, która go tu sprowadziła i swoją własną powolność. Bo cóż go w końcu obchodziła panna Sielska i jej majątek, by z tego powodu narażać się jak jaki rycerz średniowieczny, na kulę przeciwnika. Potrzebnie przyjeżdżał do Luborza, potrzebnie przypominał sobie zagraniczną znajomość i dał się namówić do tej wizyty.

Wszystko to wprawiło go w najgorszy humor, przechadzał się po drodze, paląc cygaro po cygarze. Nie pilno mu było jechać, porównywając bowiem siłę swoich koni z końmi Rajmunda, wiedział że prześcignąć go musi. A nie życzył sobie wcale, więcej się z nim spotykać. Zresztą potrzebował się uspokoić. Noc jesienna miała swoją piękność, wyiskrzone gwiazdy migotały na czy-

stem tle nieba, w czasie gdy ziemię spowijała srebrna zasłona mgieł. Otaczające pola i błonia, były podobne do nieskończonego jeziora, z którego nakształ wysep, wynurzały się grupy drzew rozsiane tu i owdzie. Głęboka cisza panowała w powietrzu, tylko lipy i świerki otaczające figurę szumiały głucho i w pośród ciemnej ich głębi, szeleściały zeschnięte liście, jakby poruszone jakąś niewidzialną stopą.

Jan Grzeźulka zwykle mało bardzo zwracał uwagi na piękności natury, nie miał on w sobie nic zgoła marzycielskiego, a te wszystkie tajemnicze struny, łączące człowieka z przyrodą, zdawały się u niego od dawna zerwane. On zapomniał nad tem wszystkim, co nazywał bezrozumem instynktem, myśl jego zazwyczaj, zajęta była nadto rozrachowaniami rozmaitych strat i korzyści możebnych, rozmaitych szans życiowych, by zatrzymać się na tych prostych codziennych fenomenach, tworzących nieustanny kalejdoskop zmiennych widoków.

Przecież cisza nocy, w której po raz pierwszy od lat wielu znalazł się sam wśród oiczej przyrody pól ojczystych, oddziaływała na niego. Powoli nerwy jego rozstrojone uspakajały się, pierś od-

dychała swobodniej. Są w życiu każdego człowieka, nieobrachowane momenta; w których odchylają się wszystkie osłony narzucone sztucznie i istotna prawda jego natury, odzyskuje samowładztwo chociażby na jedną minutę.

Jan znajdował się w takiej chwili. Wzrok jego przylgnął z cichą zadumą do tej tajemniczej kopuły niebios, co zdawała się przemawiać do niego zgłoskami gwiazd brylantowych, do tych fal mgły rozścielających się po ziemi i do tych drzew rysujących się łagodnym konturem, na ciemnym tle horyzontu.

Coś go tu wiązało i nęciło, gdy nagle z po za gęstej piramidy świerków, usłyszał głos cichy, szepczący imię Rajmunda.

Przetarł sobie czoło. Był to złudzenie, czyż imię przeciwnika prześladować go miało, nawet w szmerze wiatru.

Ale głos powtórzył znowu, jakby z prośbą i skargą.

— Rajmundzie, Rajmundzie!

To nie było złudzeniem, ktoś był tutaj ukryty, ktoś wołał.

W jednej chwili rzucił się w głąb cienistego klombu, tam nie dochodziły blade promienie

gwiazd, przecież bystry wzrok jego dojrzał kształt niewieści, spoczywający na kamiennej ławce. Kształt ten poruszył się, rzucił ku niemu i zanim zdołał temu przeszkodzić, dwoje ramion obwiązało mu szyję i usta jakieś cisnęły się do ust jego, rozpaczonym pocałunkiem.

— Rajmundzie, szeptał głos, Rajmundzie do-
słyszałam cię. Coś ty uczynił?

Usta, które dotknęły się ust jego, były świeże i gorące, opasały go miękkie ramiona, tak iż w tej chwili rozmarzenia, owładnął nim czar jakiś upajający i rozkoszny. Z trudnością wywikłał się z tego uścisku.

— Nie jestem Rajmundem, wyrzekł.

Kobieta wydała głuchy jęk, zachwiała się, zatoczyła i padła na ziemię. Jan pochylił się nad nią, nie dawała znaku życia, zdawała się bladą, wycieńczoną, dostrzegł przecież że była młodą i dziwnie piękną.

Widocznie z tem spotkaniem wiązała się jakaś tajemnica, dotycząca Rajmunda, odgadnąć ją nie było trudno, uścisk i słowa wyrzeczone, świadczyły aż nadto o miłości zemdlonej kobiety. Kto to był jednak? jakim sposobem znalazła się sama wśród nocy, w tem odludnem miejscu, bo ubranie

jej zdradzało iż należała do wyższych klas towarzysztwa. Czy czekała tu na Rajmunda, czy on wyzwaniem swoim przeszkodził po prostu romansowej schadzce? tego wszystkiego wytłumaczyć sobie nie umiał. A ona objaśnień żadnych dać nie była w stanie.

W każdym razie gdyby szło o umówioną schadzkę, Rajmund nie odjechałby tak szybko, a raczej starałby się go przeczekać. Pytania te zadawał sobie Jan, znajdując się w kłopotliwym położeniu. Nie podobna mu było zostawić tę kobietę samą jedną, bez pomocy! A zresztą gdyby i mógł, nie miał żadnej ochoty tego uczynić. Pocałunek jej do tej pory palił mu usta, czuł jej uścisk na szyi, a głos pełen skargi i słodyczy, brzmiał mu w uszach. Jakieś uczucie nieznanne mu dotąd, miększe od litości wkradało się w serce, a przy tem tu chodziło o jakąś sprawkę Rajmunda, mogącą może rzucić wcale niepożądane światło, na jego postępowania. Tej niewinnej zemsty Jan nie miał żadnego powodu sobie odmawiać.

Po chwili więc namysłu, wziął zemdloną na ręce i poniosł jak dziecko na bryczkę. Miękkie jej ciało gięło się bezwładnie, główka spoczywała

na jego ramieniu. Niósł ją powoli i ostrożnie, nie przyznając przed samym sobą, iż ciężar ten wydał mu się dziwnie lekkim, a odległość zbyt mała. Woźnica jego zaczął dziwić się i żegnać, dowodząc, że to musi być złe jakieś, bo oddawna straszy w tem miejscu i dlatego nawet postawiono tutaj poświęcaną figurę. Ale Jan nie miał najmniejszej ochoty wdawać się w tłumaczenia. Ułożył ją jak mógł najwygodniej i próbował znowu przywrócić do przytomności.

Nigdy dotąd nie znalazł się w podobnem położeniu i nie miał wcale pojęcia jak ratować zemdlonych. Słyszał wprawdzie, iż używa się do tego zimnej wody, ale takowej nie miał pod ręką. Przyszło mu więc na myśl rwać liście zwilżone mgłą i rosą i otrząsać je nad jej czołem. Czyniąc to wpatrywał się w harmonijny owal pięknej twarzy, okrążonej bogatemi splotami jasnych włosów. A jakkolwiek był niespokojny, kontemplacya ta nie wydawała mi się zbyt długą. Co chwila dostrzegał w niej nową piękność, nową harmonią, a myśl o chwili, w której odemkną się jej powieki, przyjmowała go dreszczem niecierpliwosci.

Wreszcie czy sama przyszła do przytomności, czy też podziałały środki użyte przez Jana, młoda kobieta westchnęła ciężko, otworzyła oczy i spostrzegłszy nieznanego mężczyznę, zamknęła je z rodzajem trwogi.

— Co to jest? kto pan jesteś, zapytała słabym głosem.

— Nie lękaj się pani, zawołał, nie znasz mnie wprawdzie, ale ja chciałbym ci być pomocnym.

Podniosła znowu powieki i olśniła go długim spojrzeniem, pełnem niewypowiedzianego smutku.

— Nie potrzebuję pomocy, wyrzekła z wolna, jakby machinalnie.

-- Przecież tutaj pami pozostać nie możesz.

Obejrzała się dokoła i nagle powróciła jej pamięć chwil minionych.

— Oh! zawołała, odsuwając się od niego instynktownym ruchem, pamiętam teraz, słyszałam wszystko! pan masz się bić z Rajmundem.

Jmie, to tyle razy wymówione przez jej usta, dotknęło go niezrozumiałym bólem. Brwi mu się ściągnęły, milczał, bo i cóż miał odpowiedzieć.

Kobieta przejęta uczuciem swojej bezsilności, trwogą czy wspomnieniem, pochyliła głowę i łzy puściły się z jej oczów.

Widok ten rozbroił Jana.

— Nie płaczże pani, zawołał.

Ale słowa te, jak się można było spodziewać, nie wywarły żadnego wrażenia i nie osuszyły jej łez, znękana i osłabiona, z przymglonym wzrokiem i zaciśniętymi rękoma, wyglądała jak posąg rozpacz. Całe ciało jej drżało jakby w febrze.

— Pani jesteś chorą, szepnął otulając ją od zimna, nie możemy czekać tu dłużej.

— Jedź, zawołał na woźnicę.

I konie niecierpliwe ruszyły szybko.

Ruch powozu ocucił kobietę z odrętwienia, w którym się znajdowała, usiłowała się podnieść chociaż ząbki jej dzwoniły poruszane dreszczem.

— I gdzież mnie pan wieziesz, spytała wlepiając w Jana wzrok niespokojny.

— Gdzie pani każesz, odparł.

Roześmiała się gorączkowo.

— Gdzie! powtórzyła, ja nie mam domu, ja nie mam miejsca gdziebym mogła głowę położyć, puść mnie pan, dobrze mi tam było wśród drzew, spokojnie, chociaż zimno jak w grobie. Myślałam że umrę—usłyszałam głos Rajmunda — ocknęłam się, głos ten mówił o obrazie, o pojedynku. Po-

wiedz mi pan czy to był sen? czy on rzeczywiście był tutaj.

Słowa jej były urywane i bezładne, widocznie świat rzeczywisty, plątał się z obrazami myśli.

Jan nie mówiąc słowa, otulał ją i utrzymywał na niewygodnem siedzeniu, ale ona powtarzała nieustannie.

— Czy on naprawdę był tutaj?

— To się pani zdawało tylko, odparł wreszcie, chcąc uspokoić ją jakim bądź kosztem i uniknąć dalszych zapytań.

— Zdawało mi się powtórzyła półgłosem, a jednak byłabym przysięgła że to on przemawiał — prawda że ja widzę go zawsze wszędzie.

Pochyliła się bezsilna i byłaby upadła, gdyby jego silna ręka nie posłużyła jej za punkt oparcia. Zarzucił na nią swoje futro, opasał ramieniem jej kibić i przyciągnął ją do siebie trwożnym i namiętnym ruchem. Nie bronila mu się, ogarniona snem czy gorączką, tylko usta wymawiały jakieś wyrazy, których wątku pochwycić nie mógł.

Konie biegły szparko, mgły kłębiły się wokoło, a jemu zdawało się, że tajemnicze siły, unosiły go w nieznane dotąd kraje fantazyi zachwytu. I zanim zapytał samego siebie co uczyni z tą cho-

ra kobietą, znalazł się przed gankiem ojcowskiego folwarku.

W oknach pomimo spóźnionej godziny płonęło światło, Marcin Grzeżulka w towarzystwie księdza Kaleńca, oczekiwał na syna. Turkot bryczki oznajmił jego przybycie.

— Otóż i on, zawołał uradowany dzierżawca, który pragnął przed proboszczem poszczycić się swoim jedynakiem.

Kiedy jednak Jan nie wchodził do pokoju, niecierpliwy wybiegł do sieni. I tu ujrzał z niezmiernem zdziwieniem syna, wynoszącego na ręku widocznie chorą kobietę.

— A toż co! zawołał przestraszony, pomagając mu i otwierając przed nim drzwi pokoju.

Jan nic nie odpowiedział, zajęty swoim ciężarem i dopiero złożywszy go na sofie, otarł pot spływający mu z czoła.

Grzeżulka wraz z księdzem, zbliżyli się do chorej. Miała oczy otwarte, ale wzrok bystry i niespokojny, zdawał się śledzić jakieś mary wyobraźni, a nie dostrzegać otaczających przedmiotów.

— Jezus Maryja! zawołał ksiądz, a toż Marylka, wychowanica pani hrabiny, gdzie ją pan spotkałeś?

Jan nie miał najmniejszej ochoty dawać objaśnień żadnych, przecież musiał się wytłómaczyć i uczynił to w krótkich słowach.

— Ha, widać, wtrącił dzierzawca, waszej hrabinie sprzykrzyło się dobrodziejstwo, wiem ja dobrze, co to jest łaska pańska, a choćbym ja nie wiedział toć mówi o tem przysłowie.

Jan tymczasem wpytrywał się w biedną dziewczynę; światło czyniło wyraźnemi piękne blade jej rysy. Z kilku słów, jakie jej się wyrwały nie trudno mu było odtworzyć przeszłość i zrozumieć prostą a bolesną powieść jej życia. Jednak nie wypowiedział tego głośno, zdawało mu się, że odebrał zwierzenie tej nieszczęśliwej istoty, że to była tajemnica pomiędzy nią a nim. I tajemnica ta ciążyła mu na sercu.

— Ależ to dziecko jeszcze, wyrzekł z oburzeniem, spoglądając na księdza.

Ten zastanowił się chwilę.

— Będzie już temu lat szesnaście, wyrzekł, gdy pani hrabina wzięła sierotę na wychowanie i opiekowała się nią jak matka, trzeba to przyznać.

— Piękna mi opieka, nie ma co mówić, mruknął dzierzawca.

Z tem wszystkiem obecność chorej w tym ciasnym niewygodnym domu, okazała się wielką trudnością. Brakło tu wszystkiego, nawet pościeli i łóżka. Grzezułka bowiem gości nie miewał, a jeśli się kto trafił przypadkiem, to niewymyślny, nieprzywykły do wygod i taki nocował zazwyczaj, na twardej sofie w pierwszym pokoju.

Marylki nie podobna było tu zostawić.

— Trzebaby doradził ksiądz, dać znać pani hrabinie, odnieść ją do dworu.

Ale Jan oburzył się na tę propozycję.

— Do dworu, powtórzył, a to dla czego. Widocznie tej nieszczęśliwej stała się krzywda jakaś, może wypędzono ją ztamtąd? jakim prawem mamy nią rozporządzać nie zapytawszy wprzód o jej wolę.

— Ale cóż z nią zrobimy, wyrzekł stary Grzezułka zakłopotany.

— Mój ojciec pochwycił syn, przecież w domu naszym, chociaż nie słyniemy z pobożności i miłosierdzia, znajdzie się miejsce dla ofiary Żeliślawskich, dla dziewczyny, którą prawdopodobnie Rajmund zniestał, a matka jego wypędziła.

Mówił to z niezwykłym zapalem, wypowiadając wyraźnie podejrzenia, w które wcielił całą nienawiść swoją.

— Jezus Marya, zawołał proboszcz, przerażony dobitnością, z jaką Jan określił położenie i pragnąc zmylić pozory, któż to znowu wymyślił.

Jan wzruszył ramionami i spojrzał mu w oczy badawczym wzrokiem.

— Ksiądz proboszcz znasz dobrze tych ludzi, wyrzekł z hamowanym gniewem, czy możesz przysiąc, że tak nie jest?

Było coś gwałtownego w obejściu i wyrazach młodego człowieka, co świadczyło o zmianie zaszłej we wnętrzu jego istoty. Ojciec spoglądał na to z pewnem zdziwieniem, a ksiądz Kaleniec milczał, nie śmiejąc niczemu zaprzeczać.

Wszystko to nie usuwało trudności w umieszczeniu Marylki, dzierżawca patrzył na nią zafasowany, nie umiejąc zająć się chorą. Ale chociaż nie pojmował fantazyi syna, zatrzymania jej tutaj, za nic w świecie nie byłby mu się sprzeciwił. Wierzył że on nic nie robił bez głębokiego obrachowania, zresztą sama chęć uczynienia na przekór Żeliszławskim, była dla niego dostatecz-

nym powodem poniesienia trudów, kosztu i niewygody.

Jan z pomocą Kaśki, przeniósł chorą na swoje własne łóżko i ustąpił jej swego pokoju, sam zaś poprzestać musiał na twardej sofie. Były to niesłychane ofiary, których doniosłości ani proboszcz, ani ojciec nawet domyślać się nie mogli.

Marylka zdawała się bezprzytomną, chociaż oczy miała otwarte, z ust jej wyrzywały się od czasu do czasu westchnienia, lub szept jakiś niewyraźny.

— Ha, wyrzekł ksiądz Kaleniec, ciekawie przyglądając się tej całej scenie, uczyniliście miłosierny uczynek, ostrzegam was jednak, że ta dziewczyna jest ciężko chora. Lepiejby ją odesłać do dworu, tam miałyby dobre staranie.

— Mniejsza o to, poślę po doktora, odezwał się wspaniałomyślnie Grzeżulka, rad z rozgłosu, jaki z konieczności sprawa ta nabrać musiała i sądząc że tym sposobem odgadywał tajemną myśl syna. W potrzebie znajdą się u mnie konie i grosz jaki na poratowanie bliźniego, księżę Piotrze, może prędzej jak u waszej hrabiny.

— A no to róbcie jak wam serce dyktuje panie Marcynie, odparł filozoficznie ksiądz, bo nie wy-

padało mu się inaczej odezwać. Przekonawszy się zaś że godzina była spóźniona, pożegnał się czem prędzej i poszedł do domu, nie troszcząc się zbytnio ani o Marylkę, ani o wszystko co ztąd wypaść mogło. Wychodząc, słyszał jednak jak dzierżawca, kazał czem prędzej zaprzęgać konie i jechać po doktora, do miasteczka odległego o mil kilka.

Stary Grzeźulka wróciwszy do pokoju, po wydaniu tej dyspozycji zastał syna siedzącego na sofie, z głową podpartą, pogrążonego w myślach. Rzecz ta wychodziła tak zupełnie po za obręb charakteru Jana, że chociaż niezbyt wielki fizyonomista, zatrzymał się w progu zdziwiony.

— No, mój chłopcze, odezwał się po chwili, nie ma się czem kłopotać, napytaliśmy sobie biedy to prawda z tą chorą, ale cóż robić, pokażemy światu że Grzeźulkowie są stokroć miłosierniejsi od Żelisławskich.

— Nie myślałem o tem w tej chwili, odparł Jan, podnosząc się z miejsca.

— To o czemże, pytał wesoło dzierżawca, czy nie o panie Anieli przypadkiem, no powiedź mi coś o niej?

— Mój ojciec wizyta dzisiaj drogo kosztować mnie może.

— Drogo! proszę,—czy nie zgubiłeś serca przypadkiem, oj ci młodzi, ci młodzi, wierz tu ich rozsądkowi.

Podniósł pytający wzrok na syna, ale spotkał na jego czole tak poważną troskę, iż mimowoli tknęło go jakieś złe przecucie.

— Nie jestem tak romansowy, odparł Jan pogardliwie, chcę mówić o rzeczy daleko ważniejszej. Spotkałem u panny Sielskiej Rajmunda Żelisławskiego.

— Rajmunda! no i cóż to hrabiątko, spodziewam się żeś mu się nie dał zjeść jak to mówią, żeś mu się ostro postawił.

— Bądź spokojny mój ojciec, odparł Jan z pewną goryczą, postawiłem się względem niego w ten sposób, że wypadł ztąd pojedynek.

Słyszając ten wyraz, Grzeźulka aż podskoczył na miejscu.

— Co! pojedynek zawołał, ależ to głupstwo, to szaleństwo, i ty mogłeś na to przystać?

Jan wzruszył ramionami.

— Nie powiesz nic o pojedynku mój ojcie, czego bym sam nie myślał, wiem równie dobrze jak ty, że jest to najszaleńszy wymysł najnieracjonalniejszy zwyczaj, jednak cóż ztąd?

— To, że na rzecz podobną nie można przystawać.

— Żartujesz chyba mój ojcie, na to trzeba być albo reformatorem społecznym, albo przykładnym chrześcianinem, co z pokorą przyjmuje obelgę. Nie mam pretensyi być ani jednym ani drugim.

— Jaki? więc cóż zamierzasz.

— Co? iść za owczym prądem zwyczaj, skoro inaczej niepodobna.

— Więc chcesz się bić?

— Muszę mój ojcie. Jest to smutna i głupia konieczność, przed którą cofnąć się nie podobna. Świat ma swoje wymagania.

Mówił to ze stanowczym spokojem ludzi, przywykłych obliczać szybko szanse przyszłości i postępować stosownie. Słyszając to postanowienie syna, energiczne i szydercze zwykle rysy dzierzawcy zmiękły nagle. Chociaż nienawykły do okazywania czułości, kochał go całą potęgą serca i miłości własnej ojcowskiej. Myśl, że go może utracić, napęłniła go zgrozą. Miał sam zanadto

logiki, by sprzeciwić się postanowieniu, którego czuł całą słusność, przecież po raz pierwszy ta światowa mądrość uwieńczona powodzeniem, co dotąd tak doskonale wystarczała im obu, ukazała mu słabe punkta swoje.

— Tak, świat ma swoje wymagania, powtórzył machinalnie. A jednak zawołał po chwili, szansa jest nierówna, to hrabiątko ma oko i rękę wprawną—nic dziwnego, on nic innego nie robił tylko polował, strzelał do celu, nie wypuszczał broni z ręki, w czasie gdy ty pracowałeś.

— Pod tym względem, zdaje mi się iż stajemy na równi, nie zaniedbałem tej części wychowania, tyczącej się obrony własnej, Bo wszystko przewidywać trzeba i jeśli chcesz, przekonam cię jutro, że o trzydzieści kroków wbijam kulę na kulę.

Tym razem ojciec z prawdziwą admiracją spojrział na syna, był mu wdzięczny niejako za ten niespodziany talent.

— Ty o wszystkim pomyślałeś Janie.

— Życie jest walką mój ojcze, a zwycięstwo należy do najlepiej uzbrojonych, to była moja zasada.

— Djabelnie mądra zasada.

Po chwili jednak zasępiła się znowu twarz Grzeźulki.

— Przecież zawołał, w tych pojedynkach nigdy niczego pewnym być nie można, bywają wypadki.

— Mój ojciec usunąć tylko z życia przypadek, a stanę się panem świata, ale przypadek nieraz krzyżuje najmądrzej obmyślane plany.

Grzeźulka nie był teraz wcale skłonny do podobnie filozoficznych rozumowań, on myślał o swoim mądrym, przewidującym, wzorowym synu, którego mógł utracić w jednej chwili od kuli przeciwnika.

— I ten Rajmund, ten Rajmund, powtarzał, mógłby zabić mi ciebie. To nie jest sprawiedliwe, bo cóż on ryzykuje? cóż warte jego mizerne, bezużyteczne życie w porównaniu z twojem!

Na ten naiwny wykrzyknik ojca, Jan uśmiechnął się mimowoli.

— Spytaj o to Żelisławskich, odparł z wolna oni znajdują z pewnością, iż Jan Grzeźulka nie może stać na równej szali, z jednym z nich.

— Oh! zawołał dzierżawca, zaciskając pięście, ci Żelisławscy! musiało kiedyś przyjść do przele-

wu krwi pomiędzy naszymi rodzinami. Czemuż los ten padł właśnie na ciebie.

— Mój ojciec, to są próżne słowa, stało się, a raczej nie nie stało się jeszcze. Trzeba mi dopiero sekundantów moich posłać do Rajmunda.

— A kogoż wybierzesz?

— Nie znam tutaj nikogo, jednego pana Konrada z Jedlina, sądzę, że mi nie odmówi; w Jedlinie była zaczepka, panna Sielska ze swoją towarzyszką były jej świadkami.

— Kobiety są złemi świadkami w podobnych razach.

— Nie przeczę, przecież nie mam wyboru, jutro zaraz rano muszę się z nim zobaczyć.

Nastąpiła chwila milczenia, Jan przechadzał się po pokoju, rozważając jak ma dalej postąpić, ojciec śledził go niespokojnym wzrokiem.

— Czy ty jesteś pewny Janie, zapytał w końcu, że ta wychowanka hrabiny, została uwiedziona przez Rajmunda?

To wyraźne pytanie, sprawiło Janowi nieokreśloną przykrość.

— Tak mi się zdawało, z jej słów urywanych.

— W takim razie ciągnął dzierżawca, to bardzo mądrze z twojej strony, żeś ją tu przywiózł

to niezmiernie zręczne. Świat się o tem dowie i nie pójdzie to wcale na chwałę świętobliwym Żelisławskim. Trzeba przyznać, że jeśli przypadek mięsza czasem najlepiej ułożone szyki, może on także stać się dzielnym sprzymierzeńcem tych, co go na swoją korzyść obrócić umieją. Z dziewczyną ci się udało, nie ma co mówić.

— Mój ojciec pochwycił Jan z niezwykłą żywością, nie pomyślałem o tem, zaręczam.

Grzeźulka spojrział na syna ze zdziwieniem. Wszakże dziś rano jeszcze, zapewniał go że nic nie robi bez planu.

— Tego to już nie rozumiem mruknął.

— Doprawdy, mówił Jan, kiedy ją zobaczył samą jedną, w tem odludnem miejscu, drżącą z zimna i gorączki, żal mi jej się zrobiło. Przecież nie można tak zostawić istoty ludzkiej bez pomocy,

— No zapewne, jaby tak samo uczynił. Żeś ją zabrał to bardzo naturalnie, ale żeś nie chciał oddać ją hrabinie, to jest już rzeczą obrachowania.

Jan milczał, nie zaprzeczał wręcz ojcu, jednak czuł, że pod tym względem, nie zasługiwał na jego pochwały. Działo się w nim coś niezrozumiałego jemu samemu, bo na samą myśl, że Ma-

rylkę można było ztąd odebrać, że mogła się ona znajdować znowu pod jednym dachem z Rajmundem, krew jego kipiała, doświadczał wzruszeń nieznanych.

— Niech się ojciec położy, wyrzekł po długiej przerwie, późno już, a doktor pewno nie prędko nadjedzie.

— A ty.

— Mnie się spać nie chce, zajrzę jeszcze do chorej.

— Każę Kaśce przy niej się położyć.

Ta troskliwość ojca, przejęła Jana dreszczem trwogi, przeraził się samą myślą, by opieka nad Marylką oddana była tej krzykliwej, brudnej, ordynarnej dziwce!

— Na teraz, wyrzekł, nie potrzeba nikogo, posiedzę przy niej.

Było to znowu daleko więcej niż wymagała potrzeba. Zapewne obowiązki ludzkości, które Jan szanował jak i każde inne, kazały dać przytułek nieszczęśliwej chorej, wszakże nie wymagały wcale, by czuwał nad nią z uszczerbkiem własnego spoczynku.

Pożegnał ojca i przeszedł do Marylki, ostrożnie zamknawszy drzwi za sobą, by nie przerwać jej snu.

Doznawał jakiejś niewytłomaczonej potrzeby samotności. Usiadł, zwracając oczy na biedną dziewczynę, spoczywającą cicho w półcieniu słabo oświetlonego pokoju. Teraz powieki jej były przymknięte, rumieniec gorączki wystąpił na lica spieczone, pół otwarte usta, ukazywały drobne zęby, długi cień rzęs słał się na białą twarz, a włosy splątane rozsypywały się w całym bogactwie na poduszkach.

Jan spoglądał na nią w cichym zachwycie, jak gdyby pierwszy raz w życiu widział piękną kobietę. Przecież widok ten nie budził w nim gwałtownych wrażeń, które usprawiedliwiałyby wiek jego i romantyczne okoliczności w jakich spotkał Marylkę. Miała ona coś tak smutnego, miękkiego i dziecinnego w sobie, iż Jan nie mógł sam zanalizować rodzaju uczuć, jakich doznawał przy niej.

Na próżno powtarzał sobie, iż była to zapewne po prostu kochanka Rajmunda, że tak samo mogła do niego należeć, pomimo pokusy nie dotknąć nawet ustami jej bezbronnego czoła, a przecież

dotąd w życiu nie szczycił się wcale zbytym rygoryzmem i sądził się w prawie całować każde chętne, spotkane malinowe usta, zostawiając zupełnie na uboczu kwestyę uczucia.

Względem Marylki stał się w nim jakiś przewrót, czy spowodowała go osobistość dziewczyny, czy tylko chwila owa wywołała w nim nastroj poważny, dość że z czołem wspartem na dłoni, siedział przy niej milczący, zadumany, do myśli i serca tłoczyły mu się zamierzchłe wspomnienia, budząc echa nieznane.

Być może, iż zajście wieczorne, niechybność pojedynku, który prawdopodobnie nie mógł skończyć się bez krwi rozlewu i przewidywanie niepewnej przyszłości, ogarniało go mimowolnie. Jan nie był tchórzem, ale jak zwykle rozważni, nie naigrawał się z niebezpieczeństwa. Był nadto człowiekiem czynu by lekceważyć życie, jak to czynią w słowach przynajmniej, kochankowie ideału. On patrząc trzeźwo na świat ten i wążąc go według wartości, umiał zbytnio może poprzestawać na tem co mógł osiągnąć, marzenia jego chodziły w parze z realnością, a przeszkody jakie napotykał na drodze, zamiast go zrażać, pobudzały działalność i droższymi czyniły osiągnięte dobra.

Jednem słowem, jak wszystkie energiczne natury, kochał życie. A jednak w tej chwili Rajmund był mu tak bardzo nienawistny, iż gdyby to nawet było w mocy jego, nie byłby chciał cofnąć wczorajszego wyzwania.

Pomimo spóźnionej godziny, nie myślał o spoczynku, sen był daleki od jego oczów, nasłuchiwał z niepokojem coraz prędszego oddechu Marylki i turkotu, któryby zapowiadał przyjazd doktora. Nie miał on najmniejszego pojęcia jak obchodzić się z choremi, czuł przecie instynktownie, że coś robić należało i chwile upływające, zdawały mu się nieskończenie długie.

Był więc uważny na kaźden szelest, kiedy Marylka poruszyła się na łóźku i zażądała pić.

Jan nalał szklankę wody i stąpając na palcach przyniósł ją chorej.

Otworzyła oczy, spojrzała do koła przytomniej i zatrzymała na Janie wzrok, w którym malowało się wzrastające przeraźenie.

— Gdzie ja jestem zawołała z trudnością.

— Nie troszcz się pani o to, jesteś u przyjaciół.

— Ja nie mam przyjaciół, kto pan jesteś, ja pana nie znam. <http://rcin.org.pl>

Odpowiedź wydała się trudną Janowi, i namyślał się jak ją ma uspokoić. Ale ten błysk przytomności minął szybko. Marylka chciwie pochwyciła napój i przybliżyła doń spragnione usta. Potem opadła na powrót bezsilna na poduszki i znowu zamknęła oczy szepcząc.

— Dobry jesteś Rajmundzie, dziękuję ci Rajmundzie.

— Ha! pomyślał Jan, ten Rajmund jest nie tylko nikičemnikiem, ale i głupim, gdybym ja był na jego miejscu...

Frazes ten jednak, pozostał niedokończony w głowie młodego człowieka. Może sam nie wiedział co uczyniłby będąc na miejscu ciotecznego brata, to tylko pewna, że nie porzuciłby Marylki.

Noc już miała się ku schyłkowi, kiedy przyjechał oczekiwany doktor, mały, jowialny człowiek, będący żywą kroniką wydarzeń i plotek całej okolicy. Znał się on dawniej z Marcinem Grzeżułką, którego leczył gdy ten kiedyś spadł z konia, bo energiczny i krzepki dzierżawca, nie znał dotąd innej choroby nad te, co pochodzą z wypadku.

Doktor zwyczajem swoim, jadąc dwie mile drogi, sam na sam z furmanem Grzeżułki, wypytał

się o wszystkie okoliczności dotyczące chorych, do których go wzywano. Wiedział więc już o przyjeździe do ojca Jana, o znalezieniu Marylki, a nawet wiedział i więcej jeszcze, to czego się Jan dopiero domyślał, o miłostce Rajmunda z wychowanką matki, o scenie jaka z tego powodu nastąpiła w Luborzewskim dworze, kiedy pani Żelisławska zeszła ich niespodzianie i wypędziła z domu biedną dziewczynę.

Wszystko to ma się rozumieć powiększone i przeistoczone, wyglądało na istny romans, w którym piękny charakter przypadał Grzeżułkom, albowiem doktor Halewicz był zaciekłym demokratą i wszystko złe lubił przypisywać uprzywilejowanym klasom społecznym, lub mającym do przywileju pretensye.

W tej zaś sprawie, rzeczywiście Żelisławscy, nie odegrali wcale zaszczytnej roli. Jakim jednak sposobem doktor był zawsze pierwszy poinformowany o tem, co się działo w kilkomilowym promieniu, była to rzecz nieodgadniona, którą jedynie tłómaczyć można, znajomością ludzi, położeniem doktora mającego wstęp wszędzie, pamięcią nadzwyczajną i dziwną władzą kombinowania wypadków.

Powitał on więc Jana nieledwie jak dawnego znajomego i zaraz zapytał o symptomata choroby. Ale w czasie tej rozmowy, bystre oczy jego wpatrywały się w młodego człowieka, jakby chcąc wy badać, jaka jemu właściwie przypadła rola w tym domowym dramacie.

Niebawem też poszedł oglądać Marylkę z troskliwością, do której mieszała się ciekawość.

— Śliczna dziewczyna, wyrzekł półgłosem, no doprawdy szczęśliwy lotr z tego Żeliszławskiego, dziwić mu się nie można!

Słowa te nie wychodziły wcale po za zakres zwykłych żartów, używanych w podobnych razach, a przecież dotknęły Jana.

— Mniejsza o jej piękność, odparł z surowym odcieniem głosu, co pan mówisz o chorobie, jak ją znajdujesz?

Doktor spojrział na niego z ukosa, nie wiedząc czy odcień ten znamionował purytana, filantropa lub poprostu świętoszka.

— Jak znajduję, szepnął, hm! naprzód chora doznała silnego moralnego wstrząśnienia, powtóre przepędziła blisko dwadzieścia cztery godzin pod gołym niebem bez posiłku, to spowodowało przeziębienie i zadrażnienie nerwowe, ztąd go-

rączka połączona z symptomatami częściowego zajęcia mózgu.

Jan słuchał tej całej dyagnozy niecierpliwie, zbyt mało bowiem miał wiadomości medycznych, by ją dokładnie rozumieć. On chciał wiedzieć po prostu, o ile stan Marylki był niebezpieczny, co to była za choroba, a tymczasem doktor jak na złość nie dochodził do żadnego wyniku.

— Ależ doktorze, zawołał, mów wyraźniej. Cóż to jest febra, tyfus, zapalenie mózgu.

— Nie jest to jeszcze nic wyraźnego, odparł Halewicz, uśmiechając się w duchu z pytania zdradzającego zupełną nieświadomość elementarnych zasad nauki.

— Więc nie znajdujesz ją tak źle?

— Dotąd nie widzę nic groźnego, żaden organ nie jest specjalnie zaatakowany, a symptomata istniejące dotąd, powinny ustąpić po wypoczynku i stosownem odżywieniu organizmu, jeżeli...

— Jeżeli co?

— Jeżeli tylko system nerwowy nie doznał zbyt silnego wstrząśnienia. Położenie tej biednej dziewczyny było okropne. Gdzież ją pan spotkałeś?

— Pod Jedlinem.

— Pod Jedlinem, tak, pan Żelisławski stara się o pannę Sielską, wychowanka stała się nie potrzebną, zawadliwą. Pani hrabina usunęła ją. Można to jednak było uczynić bardziej po ludzku. Co więcej, ta dziewczyna kochała pewno syna swojej dobrodziejki. Założę się, iż rozpacza za nim, jak gdyby wart był tego. Już to tak bywa zawsze.

Mówił to wszystko więcej sam do siebie niż do Jana, który słuchał go przez pół tylko. Mowa doktora oburzała go i drażniła nad wyraz. Halewicz posiedział czas jakiś wypił herbatę, którą Grzeźułka kazał przyrządzić i zapisawszy uspokajające lekarstwo, odjechał z zaleceniem by przysłano po niego nazajutrz, jeżeli się stan Marylki nie zmieni.

W parę godzin później, gdy jesienne słońce pokazało się na skraju horyzontu, Jan dojeżdżał do Jedlina i zapytawszy o mieszkanie pana Konrada, udał się do niego.

Godzina była wczesna, ale ważność sprawy usprawiedliwiała ją dostatecznie, zresztą stary nauczyciel, nie zwrócił wcale na to uwagi. Jak zwykle ludzie zajęci pracą, wstawał wcześnie, a Jan zastał go w małym laboratorium, urządzo-

nem przy jego mieszkaniu, gotującego się do jakiejś chemicznej czynności.

Ujrzawszy niespodzianie wczorajszego gościa, zrozumiał szybko, że to nie były proste odwiedzi-ny. Zresztą twarz Jana nosiła ślady wzruszeń tej nocy. Nie był to już ów układny, chłodny i zręczny szermierz towarzyski, ale człowiek któremu wypadki zdarły konwencyonalną maskę nałożoną wolą.

— Przeszkadzam panu, wyrzekł gość, rzuciwszy okiem na czynione przygotowania.

— Nie jeszcze, odparł Konrad, robota dotąd nie zaczęta, możesz więc pan być bez obawy. Zresztą widzę iż chodzi tu o rzecz ważną.

— Tak jest, inaczej nie trudziłbym pana.

— Panie Grzezułka, wyrzekł Konrad zbyt mało się znamy, bym miał prawo do twego zaufania. Jednak jeśli jest w mocy mojej, wyświadczyć komubądź przysługę, będę ci wdzięcznym za podaną sposobność.

Było w tych słowach tyle serdecznej otwartości, iż Jan od razu przystąpił do rzeczy.

— Potrzebuję przysługi, odparł i to takiej, jaką człowiek uczciwy nie odmawia bez słusznych powodów uczciwemu człowiekowi. Nie znam ni-

kogo w tej okolicy, w której niespodzianie obrażonym zostałem i dla tego ośmielam się żądać jej od pana.

— Jeśli dobrze rozumiem, chodzi tu o pojedynkę.

— Jestem jego nieprzyjacielem w zasadzie, pochycił Jan, jako reprezentent dzisiejszego wieku, potępiającego wszelkie daremne marnowanie sił. Jednak pan Rajmund Żelisławski zmusił mnie do tej ostateczności.

— Domyślałem się o kim pan mówiłeś, panna Sielska wspominała mi wczoraj, że okazałeś się pan bardzo cierpliwym.

— Czyniłem to jedynie przez szacunek dla domu, w którym się znajdowałem, cierpliwość moja skończyła się za jego progiem. Mój kuzyn wie o tem, gdyż nie byłem w stanie pozostać w jego oczach, chociażby przez noc jedną pod zarzutem zbytnej cierpliwości.

Mówił to hamując się widocznie, by nie wybuchnąć słowem zbyt namiętnem.

— Żądasz pan odemnie rzeczy, wyrzekł po chwili namysłu stary nauczyciel, której istotnie nie podobna odmówić. A jednak trudno mi się także na nią zgodzić. Bo jakżeż mogę stawiać na

równi kilka zdań nierozważnych z życiem ludzkim.

— Alboż tu chodzi o zdania, to dwie idee stały naprzeciw siebie i musiały samą siłą rzeczy wyzwać się do walki.

— Czy przypadkiem nie właśnie familijne, zaprawiły goryczą słowa Rajmunda. Idee nie rozstrzygają się w ten sposób i nie wywalczają kulą albo ostrzem miecza.

— Ja w to wchodzić nie mogę, chęć obrażenia mnie, pomimo pojednawczych usposobień jakie okazałem, była zbyt wyraźną, by mi wolno było ją pominąć.

— A gdyby Żeliszłowski uznał swój błąd, gdyby głośno oświadczył iż nie miał zamiaru obrazy i żałuje słów niebacznych.

Dreszcz niecierpliwości i gniewu przebiegł Jana.

— Musiałbym na tem poprzestać, odparł głucho, tak musiałbym poprzestać, ale czyż pan sądzi, że on to uczyni?

Nie można się było omylić, na znaczeniu tego zapytania, Jan lękał by się przeciwnik nie cofnął i tem samem nie uszedł zawiści jego. W tej chwili, jakże daleko zostawił po za sobą wszel-

kie rozumowania o pojedynku. Nienawiść spotęgowana bezsenną nocą, spędzoną nad Marylką, wskazywała mu w nim, jedyną szansę doraźnej zemsty. Nie myślał o tem, że sam narażał się na kulę przeciwnika, pamiętał tylko, że mieć go będzie na celu, na przeciw lufy swego pistoletu.

— Nie prawdaż powtórzył niespokojnie, że on tego nie uczyni.

— Nie wiem, jednakże tylko pod warunkiem, że pan się na to zgodzi, mogę podjąć się tej sprawy.

— Powiedziałem z góry, iż zgodzić się muszę, jednak wolałbym gdyby było inaczej.

— Musisz więc pan mieć jaki inny istotny powód nienawiści, wczorajsze zajście na to nie wystarczy.

— Nic dziwnego, Żelisławscy są naszymi odwiecznymi wrogami.

— I cóż ztąd, czasy Korsykańskiej vendetty minęły. Z resztą skoro pan przystajesz na moje warunki, nie mam żadnego prawa mieszać się do uczuć. Udam się więc niezwłocznie do Żelisławskiego.

Zadał mu jeszcze kilka pytań dotyczących się broni, sposobu, jakim nią władał i zadowolony

z odpowiedzi, wydał rozkaz by konie poszły za nim do Luborza, a sam pojechał z Janem.

Jechali w milczeniu. Młody człowiek pogrążony był w myślach, tak iż z trudnością tylko zdobywał się od czasu do czasu na jakiś krótki frazes. Konrad mu nie przerywał. Zaledwie więc zamieniwszy słów parę, znaleźli się przed dworkiem Grzeżułki.

Dzierżawca przyjął Konrada z poważną uprzejmością i z tym subtelnym taktem, nieopuszczającym go nigdy. Był on naprawdę wzruszony, widok człowieka w którego ręku był niejako złożony los jego syna, zwał mu z ust szyderstwo. Pierwsza myśl Jana, była dla chorej, pobiegł do niej i przekonawszy się dopiero iż spała spokojnie, powrócił do gościa swego. Dotąd nie wspominał mu wcale o wypadkach zaszłych tej nocy. Dla czego jednak, na pytanie to nie byłby w stanie odpowiedzieć. Jakaś tajemnicza siła zapierała mu słowa na ustach i broniła wymawiać imienia nieszczęśliwej dziewczyny, lub dotykać smutnych dziejów jej serca.

Ojciec przecież nie miał podobnych skrupułów i zostawszy na chwilę sam z Konradem, nie miał nic pilniejszego, jak pochwalić rycerski postępek

Jana, a tem samem rzucić cień na przeciwnika. Czyniąc to wstrzymał się z ręcznie od szczegółów, których nie wypadało mu objaśniać, poprzestał tylko na powiedzeniu, iż była to wychowanka pani Żelisławskiej, zresztą zaś zostawił domyslności gościa, dobrym językiem okolicznym, nadewszystko zaś doktorowi. Wiedział bowiem że ten będzie niezmiernie podnosić tę sprawę i wytaczać ją przed sąd opinii.

Ksiądz Kaleniec dnia tego odprawił mszę daleko raniej niż zwykle, wypił kawę na prędcie i natychmiast udał się do dworu. Ważność okoliczności, wśród których się znajdowali, znalezienie Marylki, jej choroba, pobyt u dzierżawcy wkładała na niego obowiązek uwiadomienia czempredzej dziedziczki.

Wszystko w starym dworze szło zwykłym porządkiem. Rajmund spał, Lipkowska krzątała się około gospodarstwa, panna Honorata piła kawę, pani Żelisławska modliła się w swoim pokoju. Nieobecność Marylki nie zrobiła tu próżni żadnej, fale niepamięci zamknęły się nad nią od razu, tylko ponure ściany starego dworu, straciły wraz z nią ostatni promień słoneczny, cisza

i smutek panowały tu teraz bezsprzecznie, nierozjaśnione żadnym uśmiechem.

Ksiądz swoim zwyczajem szedł prosto do pokoju samej pani. Miał zaś minę tak pełną ważnych tajemnic, iż ujrawszy go zawołała:

— Ksiądz proboszcz masz wiadomości?

— Mam pani hrabino.

— I cóż? czy odnaleziono tę nieszczęśliwą dziewczynę.

— Tak pani hrabino.

Z twarzy i mowy jego niepodobna było odgadnąć, jakiego rodzaju wieści przynosił, aż pani Żelisławska zapytała niecierpliwie.

— I gdzież ona jest?

— U Grzeżułków.

Fakt ten wydał się jej zrazu nieprawdopodobnym, zerwała się z miejsca oburzona.

— Jakto, ona się śmiała tam schronić.

— Niestety pani hrabino, nie schroniła się nigdzie, młody Grzeżułka spotkał ją na drodze umierającą z głodu i zimna i przywiózł na folwark.

— Młody Grzeżułka, powtórzyła więcej zainteresowana tem nazwiskiem niż smutnym stanem Marylki, zkadże on wziął się tu znowu. Czyż nigdy nie skończemy z tym rodem nieszczęśliwym.

Ksiądz milczał, uważał bowiem iż żale pani Żelisławskiej nie wymagały odpowiedzi, a nie chciał znowu zbytniemi szczegółami o Janie, zdradzać swoją zażyłość z dzierżawcą.

Po chwili kobieta wyrzekła znowu.

— Bądź jak bądź, tej dziewczyny zostawiać tam nie wypada, poszlę natychmiast Lipkowską, ażeby ją odebrała.

— Niestety znając sam intencję pani hrabiny, uważając za rzecz nieprzyzwoitą, by Marylka była na folwarku, pod opieką młodego Grzeźułki, który się nią specjalnie zajmował, zaproponowałem ażeby odesłano ją tutaj, lub wreszcie do mnie.

— No i cóż?

— Nie chcieli o tem słyszeć i posłali zaraz po doktora.

— Co? może po Halewicza. Tego tylko brakowało. Widocznie uczynili to naumyślnie, by rzecz ta jak każda plotka, rozniosła się szybko po okolicy i broń Boże doszła do Jedlina.

Można było zrobić uwagę pobożnej pani, że historia Marylki nie należała wcale do kategorii plotek, przeciwnie, była aż nadto realną. Ale ksiądz pominąwszy te okoliczności, odparł z ubolewaniem.

— Otóż tego i ja się lękałem, dla tego to dowiedziawszy się od organisty, iż na folwark przywieziono zemdloną dziewczynę, poszedłem zaraz upomnieć się o nią. Ale jakto pani hrabinie mówiłem—nadaremnie.

Jak widzimy, proboszcz umiał zręcznie składać rzeczy, w sposób jaki mu się najwłaściwszy wydawał. Zyskał sobie tym sposobem wdzięczne podziękowanie pani Florentyny.

Jednak dobre intencje jego nie zmieniły istniejących faktów i dla tego wyrzekła znowu.

— Trzeba przyznać, że to istne nieszczęście z tą dziewczyną, po co ona uciekała, po co trafiła do tych Grzezułków. Nie rachowałam wprawdzie nigdy na jej wdzięczność, ale przyznaj sam księżu proboszczu, to zbytek złego, nienawiść nie mogłaby działać inaczej.

Kto wie, w tej chwili gdyby to zależało od wyboru pobożnej pani, czy nie wolałaby widzieć Marylki na dnie rzeki, niż w rękach swoich nieprzyjaciół. W pierwszym razie zapewne miałyby srogie wyrzuty sumienia, ale te koniec końców zostawiłaby w konfesyjonale; z niebem łatwiej poradzić sobie niż z ludźmi, zwłaszcza gdy kto ma tak wyrozumiałego spowiednika jak był nim

ksiądz Kaleniec dla pani Żelisławskiej. Zresztą miłosierdzie Boskie jest nieskończone, gdy tymczasem ludzie są zwykle nieubłagani.

Zapewne te wszystkie myśli nie sformułowały się wyraźnie w jej głowie i nie było tego żadnej potrzeby, albowiem los Marylki był zupełnie niezależnym od jej woli. Tylko gniew i rozpacz które nią owładnęły, dowiedziawszy się o miejscu pobytu wychowanki, były tak gwałtowne, iż upoważniały podobne przypuszczenie.

— I cóż oni dalej będą z nią robić, pytała znowu, po długiej chwili bolesnych rozmyślań.

— Alboż ja wiem pani hrabino, odparł ksiądz wzruszając ramionami. W każdym razie należy coś przedsięwziąć.

— Gdzież oni ją znaleźli w ogrodzie, koło kościoła, na drodze.

— Podobno pod samym Jedlinem, gdzie Jan Grzezułka jeździł wczoraj.

— Jan Grzezułka w Jedlinie, u panny Sielskiej, zawołała pani Żelisławska, księżę proboszczu, to być nie może, ja źle usłyszałam.

— Niestety próżnobym taik, tak jest pani hrabino.

-- Jan Grzezułka u panny Sielskiej, razem z moim synem, to rzecz nie do uwierzenia.

— Znał ją podobno za granicą, wtrącił nieśmiało proboszcz.

— To nic nie znaczy—to nie upoważnia wcale do przyjmowania takich ludzi i ja, ja sama naraziłam na podobne spotkanie Rajmunda. Ale któż się mógł tego spodziewać.

Biedna kobieta mówiąc to, nie domyślała się bynajmniej, jak istotnie fatalnem okazało się to spotkanie.

— Teraz rozumiem wszystko, ciągnęła dalej z wrastającym żalem i przestrogi twoje księże proboszczu na które nie dość zwróciłam uwagi i dwuznaczne odpowiedzi Rajmunda, gdym go wypytywała o pannę Sielską. Do czegoż ten świat dochodzi, do czego się posuwa, więc on nie już uszanować nie zdoła, Żelisławski z Grzezułką w jednym domu i może uważani na równi? może ten śmiałek sięga także po rękę Anieli. To istna Sodomia i Gomora.

— Ależ niech się pani hrabina uspokoi.

— Nie mogę się uspokoić, niepodobna. Gdzie Rajmund księże proboszczu, zawołaj go do mnie, niech mi powie wszystko, niech wiem przynaj-

mniej, do czego dochodzi bezwstyd i bezprawie naszego wieku. Oh! czuję to! nie ma tu już dla mnie miejsca. Powinnam ustąpić tym ludziom nowym.

Przerażony proboszcz na próżno usiłował zatrzeć wrażenie wywołane wiadomościami o Janie Grzeźulce, które zupełnie odwróciły myśl pani Florentyny od Marylki.

Szedł więc po Rajmunda tem skwapliwiej, że sam był ciekawy wiadomości o wczorajszym wieczorze, gdy we drzwiach spotkał się z Honoratą.

— Czy ciocia wie, wołała spiesząc się, by ją kto nie uprzedził, Rajmund ma gościa, jakiegoś starego pana z Jedlina, ale co dziwniejsza, to że jechał tutaj od folwarku i wstępował do Grzeźulki.

Rumieniec oburzenia wystąpił na twarz pani Florentyny, rzuciła tylko spojrzenie na księdza Kaleńca, które zdawało się mówić.

„Widzisz dokąd bezczelność tych ludzi dochodzi”.

Ale nie powiedziała nic, działalność jej była wyczerpana, oczekiwała z trwogą i niepokojem co dalej wypadnie, czując że to nie będzie nic

dobrego. W cichym odosobnionym od świata Luborzu, wypadki wikłały się w sposób niezwykły.

Panna Honorata korzystając z ogólnego milczenia, zaczęła opowiadać po swojemu historję Marylki, która niepojętym sposobem doszła już do jej wiadomości.

— Tak jest mówiła, Marylka biegła do Jedlina, by jakimbądź sposobem przeszkodzić zamiarom Rajmunda, zgubić go w przekonaniu panny Anieli, ale kiedy zobaczyła bryczkę Grzeźułki sądziła że to on i rzuciła się pod konie. Koło ją przejechało, konie potratowały, ledwo żywą przywieziono ją na folwark. Doktor nie ręczy za jej życie. Ma pięć ran na głowie, złamany obojczyk i rękę zwicniętą.

Mówiła to wszystko z taką werwą i przekonaniem, jak gdyby sama na własne oczy oglądała chorą. Proboszcz próbował wprawdzie sprostować fakta jako naoczny świadek, jednak pomimo to wymowa panny Honoraty otrzymała zwycięstwo nad faktami, co zresztą zdarza się niejednokrotnie. Sprzeczka ta odciągnęła myśl pani Żelisławskiej od abstrakcyjnych ubolewań, nad zdroznościami których była świadkiem, do nierównie praktyczniejszej kwestyi wychowania. Trzeba ją

było koniecznie zwłaszcza w obecnych okolicznościach na powrót sprowadzić do dworu. Wyprawiła więc po nią Lipkowską, dawszy jej wprzódy jak najbardziej szczegółowe instrukcyje.

Konferencya Rajmunda z Konradem długą nie była, niebawem ksiądz Kaleniec stojący przy oknie w pokoju pani domu, spostrzegł iż stary nauczyciel odjechał i że znowu bryczka jego skręciła drogą na folwark.

Rajmund jednak nie przyszedł do sali, gdzie na niego czekało śniadanie i zamiast wybrać się na zwykłą myśliwską wycieczkę, kazał czem prędzej zaprzęgać.

Matka posłała po niego, stawił się blady, zachmurzony i dawszy matce dzień dobry, powitawszy księdza Kaleńca i Honoratę, w milczeniu pił herbatę, którą mu stara panna przyniosła.

— Rajmundzie wyrzekła po długiej chwili pani Żelisławska, nie mogąc się doczekać, by pierwszy przemówił, miałeś wczoraj nieprzyjemne spotkanie w Jedlinie.

— Jakto, Mama wie o tem? zawołał z rodzajem przestachu, bo nie mógł odgadnąć, jak daleko sięgały jej wiadomości.

— Spotkanie to, mówiła dalej, ubliża w mojem przekonaniu domowi w którym byłeś, spodziewam się żeś to dał uczuć panie Sielskiej i jej otoczeniu.

— Ob! dzisiaj zawołał Rajmund z goryczą, tacy Grzeżułkowie wszędzie się wcisną i zajmują pierwsze miejsca, to my nie powinniśmy zapominać, że to są ludzie nowi, ludzie obecnej chwili, reprezentanci potrzeb i idei wieku.

— Nie znam się na tych nowomodnych wyrażeniach mój synu, wiem to tylko iż tam gdzie przyjmują Grzeżułków, nie jest twoje miejsce, Aniela powinnaby to zrozumieć. A jeśli jako młoda i niedoświadczona postępuje niestosownie, należałoby zwrócić jej uwagę.

Pomimo wszystko, pani Żelisławska nie mogła pozbyć się pewnego pobłażania dla sąsiadki, której majątek tak był gwałtownie potrzebny w Luborzewskim dworze. Zresztą pragnęła ją może nawrócić z czysto chrześcijańskich pobudek.

Ale Rajmund słysząc to, powstał z tłumioną gwałtownością.

— Moja matko, wyrzekł nie łudźmy się daremnie, pomiędzy nami a Grzeżułkami, nikt dzisiaj wahać się i wybierać nie będzie, oni osiągną bez

warunkowe zwycięstwo, nie dziw, za niemi jest ostatnie słowo dzisiajszego świata—powodzenie.

Słyszając te gorzkie słowa, kobieta załamała ręce a on mówił dalej.

— My zaś, jesteśmy zbutwiałym, strupieszalym zabytkiem przeszłości, skazanym siłą rzeczy na zagładę, dzisiaj pieniądz jest alfą i omegą życia, a my go nie mamy, my go nie zarobimy jak Grzezułki i im podobni. To darmo.

Czy w tych słowach była ironia tylko, lub też mieszał się do niej przebłysk rzeczywistego położenia, trudno było odgadnąć. On nie tłumaczył się jaśniej i nikt go nie pytał. Matka jednak nie mogła pogodzić się z myślą, by życie jedynaka upłynęło marnie w walce z materyalnemi potrzebami, więc zapominając, że sama w żalu przed chwilą wyrzekła, nieledwie toż samo, zawołała:

— Rajmundzie, zbyt czarno dzisiaj zapatrujesz się na wszystko, są jeszcze na świecie wyjątki.

— Są, zapewne moja matko, ale wyjątki te należą jak my do obozu zwyciężonych, mają ręce czyste ale próżne, mają szlachetne uczucia i sumienie, ale nie poszczycą się innem bogactwem. Jeszcze raz, nie łudźmy się daremnie, dzisiaj trzeba wybrać stanowczo, albo nikiemność i powo-

dzenie, albo ubóstwo, nędze i niezachwiane zasady.

Rajmund wygłaszał te rozpaczliwe teorye z siłą przekonania i może sam wierzył w nie w tej chwili. Nie dziw, one podnosiły go we własnych oczach i nieudolność zamieniały na piedestał męczeństwa. On sądził się na prawdę jakimś reprezentantem ideałów odrzuconych przez obecne pokolenie przekupniów i kramarzy, sądził się czystym, szlachetnym, nieskalanym i było mu z tem przekonaniem bardzo wygodnie.

Nie przyszło mu wcale na myśl, iż zarówno pod względem materyalnym jak moralnym, Żeliślawscy nie byli bez zarzutu. Jeśli dzisiaj Grzeżółka wyzyskiwał zwycięztwo, oni kiedyś zaprzeczyli mu praw najślusniejszych, na mocy średniowiecznego zwyczaju, iż córki wielkich rodów powinny być poświęcone dla braci, bo ci jedni utrzymują świetność nazwiska. Historya Luborzewskich niejednokrotnie mogła służyć za przykład w tym względzie, a nawet istniał tutaj illustrowany komentarz w portrecie pięknej dziewczyny, widocznie zmuszonej przywdziać habit zakonny, z takim bólem oglądającej się za światem.

Co zaś do Marylki, Rajmund nie czynił sobie pod tym względem żadnej wymówki; wszakże podobne rzeczy nigdy nie plamiły nikogo, mówił więc zupełnie na szczerze, o czystości swego sumienia, o surowości zasad i rozczerzył tym sposobem do łez pannę Honoratę, która widziała w nim jedyne go reprezentanta rycerskich idei i czynów.

Pani Florentyna także obcierała sobie oczy, poznając w synu nieodrodną krew swoją, a ksiądz Kaleniec czuł się w obowiązku wtorować westchnieniami przynajmniej ogólnemu rozrzewnieniu. Kiedy turkot zajeżdżającej bryczki, rozległ się znowu przed domem.

— Ty wyjeżdżasz Rajmundzie! zawołała matka zbudzona do rzeczywistości tym niezwykłym faktem.

Rajmund zmieszał się, nieprzygotowany na to pytanie, którego widocznie pragnął uniknąć, a pani Żelisławska wpadłszy raz na trop niespokojnych domysłów, pytała dalej.

— Cóż to za gościa z Jedlina miałeś dzisiaj?

— To nic, nic moja matko, interes małej wagi przecież sam załatwić go muszę, — wrócę niebawem.

Powstał mówiąc to i żegnał obecnych, ale kobieta zatrzymała go.

— Zostań, zawołała, tu jest jakaś tajemnica, ja chcę, ja powinnam ją wiedzieć.

Syn stał w miejscu niepewny, co ma uczynić, a zakłopotana postawa jego, świadczyła wyraźnie, iż domysły jej były trafne.

— Matko, szepnął wreszcie, nie zatrzymuj mnie — jechać muszę — później dowiesz się, powiem ci wszystko.

— Pojedynek krzyknęła kobieta, biegnąc ku niemu i chwytając za ręce, pojedynek—rozumiem, z kim ty masz się bić Rajmundzie?

— Moja matko!

— Mów! czyż nie widzisz że odgaduję. Z kim masz się bić, z kim?

Spuścił głowę w milczeniu, nie mogąc zdobyć się w obec tej rozpacz, ani na kłamstwo, ani na wyznanie.

Ale ona pytała ciągle.

— Z kim, z kim?

— Z Janem Grzeżułką, odparł wreszcie zwyciężony. A teraz powiedziałem ci wszystko, puść mnie matko.

Ręce jej puściły jego ramiona pod wrażeniem podziwu i zgrozy.

— Ty z Grzeżulką powtórzyła, padając pół martwa na krzesło, tego tylko brakowało, oni śmia równać się z tobą i wyzywać do walki i ty, ty, przystałeś na to?

Rajmund dumnie podniósł głowę.

— Musiałem, odparł, bo czyż mogłem odwołać to co myślę o nich i im podobnym, poniżyć się we własnych oczach, nie, ty sama matko nie żądała-bys tego.

— Nigdy nigdy, zawołała. A jednak ty i Grzeżulka na jednej szali, rzecz wołająca o pomstę do nieba.

Pani Żelisławska powtarzała w ten sposób bezwiednie to, co mówił Marcin Grzeżulka, porównywając smutne, bezużyteczne życie Rajmunda, ze świetną przyszłością Jana.

Syn korzystając z pierwszego wrażenia zgrozy, wybiegł z pokoju by przerwać tę przykrą scenę, matka z resztą nie zatrzymywała go więcej. Miara jej cierpień była przepełnioną, pozostała przygnębiona w miejscu gdzie ją zostawił.

Po chwili dopiero ksiądz Kaleniec zbliżył się do niej ze słowami pociechy. Ale nie była w sta-

nie ich przyjąć, wiadomość ta ugodziła ją w najdrażliwszą strunę. Czowała tylko niebezpieczeństwo jedynaka, tem dotkliwiej, iż w jej przekonaniu sama walka z Grzezułką stanowiła dla niego ubliżenie.

— Pani hrabino, mówił proboszcz z namaszczeniem stosownem do tak ważnej chwili, ofiaruj Bogu gorycze, jakimi napawają cię nieprzyjaciele, a on strzedz i bronić będzie Rajmunda od wszelkiego złego. Odmów pani hrabina „Kto się w obronę”.

Kobieta machinalnie poruszyła ustami, ale nie wyszedł z nich dźwięk żaden. Widziała już w myśli syna na śmiertelnych marach i Grzezułkę postępującego za nim z tryumfem, modlitwa żadna nie była w stanie ją uspokoić.

W tej chwili panna Honorata, która w przymuszonym milczeniu słuchała tej całej sceny, wmieszała się do niej czynnie i energicznie.

— I czegoż się ciocia martwi, zawołała, albow Rajmund nie pokona Grzezułki. On powróci do nas zwycięzcą, zgnębi nieprzyjaciół, chybaby Boga w niebie nie było.

Te słowa zakończone wykrzyknikiem zakrawającym nieco na bluźnierstwo, ale które przez

wzgląd na ważność okoliczności, przebaczone zostało kuzynce, przez pobożną panią, utorowały sobie drogę do stroskanej macierzyńskiej piersi i pokrzepiły ją nieco.

Stara panna nie wątpiła ani na chwilę o pomyslnym losie człowieka, którego w cichości serca uważała za swego rycerza. Zdawało jej się iż ona sama odgrywa rolę w tym dramacie i zapomniała zupełnie, że jeśli tutaj chodziło o kogo dwom zapaśnikom, bohaterką ich była panna Aniela.

— Uspokój się ciociu, mówiła dalej, widząc iż twarz pani Żelisławskiej traciła powoli wyraz rozpaczny, pojedynek taki nie może być straszny, alboważ Grzeżółka sprosta Rajmundowi.

— Niech pani hrabina będzie spokojna, wtorewał proboszcz, zajście to zapewne skończy się bez krwi rozlewu. Trapić się tem, co jeszcze nie nastąpiło, jest to kusić pana Boga.

Kiedy tak ksiądz i Honorata usiłowali każde po swojemu wlać otuchę w strapione serce matczyne, Lipkowska wchodziła w progi folwarku. Trzeba przyznać, iż nie bez pewnej trwogi i głębokiego wstrętu, stara sługa wypełniała rozkaz swojej pani. Był to z jej strony dowód najwięk-

szego poświęcenia, gdyż pomimo charakteru posłanki i pełnomocniczki, uważała sobie za ubliżenie, jakąkolwiek styczność z Grzeźułkami.

Trafiła właśnie do dworku dzierżawcy w chwili kiedy Konrad zdawał Janowi sprawozdanie z konferencji swojej z Rajmundem. Jak się tego łatwo można było domyślić, nie chciał on ani słyszeć o cofnięciu słów obelżywych. Pojedynek przyjmował skwapliwie i nazajutrz miał przysłać do Jedlina swoich sekundantów.

Wszystko to było w porządku rzeczy i nie zdziwiło nikogo. Rozmawiali o tej sprawie, kiedy drzwi uchyliły się cicho i do pokoju wsunęła się Lipkowska z dyskrecją właściwą sługom wielkich domów.

— Przepraszam, wyrzekła, ale nie znalazłam nikogo, coby mnie zameldował, a jestem przysłaną od pani hrabiny.

— Czegóż żąda od nas pani Żelisławska, odparł z przyciskiem Grzeźułka, który znał dobrze z widzenia całą służbę Luborzewskiego dworu.

Na takie beztytułowe nazwanie swojej pani, Lipkowska rzuciła mu spojrzenie pełne pogardy i nienawiści, przecież mówiła dalej.

— Doszło do wiadomości pani hrabiny, iż tutaj znajduje się jej wychowanka Marylka, chora podobno.

Słyszając to Jan powstał z miejsca.

— A czy nie możesz nam pani objaśnić, zapytał, jakim sposobem wychowanka pani hrabiny, błąkała się wśród nocy sama jedna, drżąca z zimna i głodu.

— To już do mnie nie należy, odparła z godnością.

— W takim razie do mnie, który ją znalazłem przy drodze, należy strzedz ją dalej od podobnych przygód. Nie zawsze znajdzie się ktoś na zawołanie. Gdyby nie przypadek co mnie tam sprowadził, ona mogła umrzeć bez pomocy.

Lipkowska wysłuchiwała tego wszystkiego spokojnie, nie wdając się w żadną polemikę, a po chwili wyrzekła znowu, zwracając się do dzierżawcy, jak gdyby uważała słowa Jana za niebyłe.

— Pani hrabina przysłała mnie po wychowankę, gdzież ona jest.

— Powiedz pani hrabinie, że jej oddać nie myślę, dopóki nie odzyska przytomności i sama nie rozrządzi sobą. Pani hrabina zapomniała zape-

wne, że jest to istota żywa, nie rzecz martwa, którą według woli z rąk do rąk przerzucać można.

— Pani hrabina, ciągnęła dalej stara służka, nie odpowiadając i tą razą Janowi, tylko zwracając się uparcie do jego ojca. Uważa za rzecz nieprzyzwoitą, by młoda dziewczyna sama jedna i chora do tego, znajdowała się tutaj pod pana opieką.

— Aha! woli zapewne, żeby zostawała jak dotąd pod opieką Rajmunda, zawołał Jan, nie mogąc pohamować się dłużej.

Zuchwałość młodego Grzezułki, który śmiał w tak poufały i urągliwy sposób odzywać się o jej panu, przejęła zgrozą Lipkowskę. Przecież starając się hamować słuszne oburzenie wyrzekła.

— Nie przyszłam tutaj wcale sprzeczać się z nikim, pani hrabina jest tak miłosierną, iż troska się o chorą wychowankę, chce ją napowrót wziąć do siebie, ma do tego prawo, proszę mnie do niej zaprowadzić.

— A ja zaprzeczam tego prawa i chorej oddać nie myślę, odparł Jan stanowczo.

— Żartujesz pan zapewne, gwałtem nikogo zatrzymywać nie można.

— Z czyjejże strony tu jest gwałt? Powtarzam, jak chora przyjdzie do siebie, uczyni co zechce, a dziś jej nie oddam, tembardziej iż mówi w gorączce, że została wypędzoną przez panią hrabinę.

— Czy to ostatnie słowo, jakie mam ztąd odnieść, spytała Lipkowska, odwracając się raz jeszcze do dzierżawcy.

— Ja zawsze potwierdzam to co mój syn postanowi, odparł.

Usłyszawszy tę stanowczą odpowiedź, stara sługa wyszła z największą złością poskarżyć się przed panią, na niesłychane zuchwalstwo tych ludzi.

— Nie dziwię się wyrzekł Konrad po jej odejściu, iż nie chcecie oddać tej biednej dziewczyny, tym co prawdopodobnie wyrządzili jej krzywdę. Z drugiej jednak strony, obecność jej tutaj sprawić musi wiele kłopotu, a przy najlepszych nawet chęciach, nie ma ona stosownej kobiecej opieki. Zdaje mi się, iż byłoby najlepiej, gdybym ją przewiózł do Jedlina, jestem sam trochę doktorem, a panna Aniela pielęgnowałaby ją z całą troskliwością szlachetnego serca.

Jan znalazł się w trudnem położeniu, nie wypadło mu odrzucać tej propozycyi, a przyjęcie sprawiało mu przykrość graniczącą z bólem. Chwile spędzone przy chorej, były dla niego słodkie, upajające, czuł nieokreśloną rozkosz na tę samą myśl, że mógł ją zobaczyć w każdym momencie, chociaż uspioną i bezprzytomną. Przebież odparł starając się ukryć wewnętrzną walkę.

— Masz pan słuszość, tę ofiarę przyjmę z wdzięcznością dla biednej dziewczyny, którą los powierzył mojej opiece, ma się rozumieć skoro tylko doktor uzna iż stan jej pozwala na to.

Skoro Konrad wyjechał z Luborza, Jan niecierpliwie spoglądał na ojca, czy według zwyczaju nie pójdzie do gospodarskich zajęć. Pilno mu było zajrzeć do Marylki, przemówić jeśli była obudzona, a jeśli spała, patrzeć w jej piękną, łagodną twarz i marzyć, jak tego nigdy nie czynił dotąd.

Ale Marcin Grzeżulka, także był wytracony z kolei właściwej i jak w ogóle ludzie rzadko bardzo doznający uczuciowych wrażeń, dał im się ować zupełnie. Daremnie młocarnia głuchym warczeniem, wzywała go do stodół, syn był dla niego w tej chwili stokroć ważniejszą sprawą. A Jan powodowany dziwnym wstydem,

którego sam przed sobą nie przyznawał, nie chciał wydać się przed nim z palącą troskliwością dla Marylki.

Tak czas jakiś siedzieli w milczeniu, jeden na przeciwko drugiego. Ojciec myślał o świetnym losie jedynaka, o niebezpieczeństwie jakie mu groziło, o przyszłości którą marzył dla niego. Myśli syna krążyły tylko około Marylki.

Wreszcie jakaś ważniejsza gospodarska kwestya, wywołała dzierzawcę, Jan odetchnął głęboko, odprowadził go oczyma do drzwi dworku i z sercem bijącym wszedł do Marylki.

Od wczoraj, wchodził tutaj nieustannie, dozoruując chorej, pokój ten więc uważał za swoją moralną własność, rozciągał nad nim prawo, jakie ma lekarz, lub ustanowiony przez niego zastępca. Ale jakież było jego zdziwienie, gdy łóżko zastał puste, a blada, chwiejna, smutna dziewczyna, ubrana w skromną, perkalikową suknię, siedząca na jedynym krzeselku tu się znajdującem, powitała go gorącym rumieńcem.

Była jeszcze bardzo chwiejąca i osłabiona, więc zmęczoną główkę wspierała na ręce, a bogate zwoje kasztanowatych włosów, w grubych warkoczach zwieszały się koło delikatnej twarzy.

— Pani wstałaś już, zawołał uradowany i przestraszony razem, myślą że ją mógł rychło utracić. Czemuż tak wczesnie, zmęczyłaś się pani nadto, ubierając się sama, to nie potrzebnie.

— To nic, szepnęła zmieszana, nie jestem wielką panią, przywykłam służyć sobie samej.

Teraz przypomniał sobie rozkaz doktora, który w razie nastąpienia gorączki, kazał podać chorej posilny rosół.

— Pani musisz być głodna, zapytał.

— Nie wiem, nie pomyślałam o tem, wyrzekła smutno.

Pobiegł sam do kuchni i nie ufając talentom kuchennym Kaśki, wyjął z podróżnych zapasów bulion i rozpuściwszy go starannie, sam przyniósł Marylce.

— O mój Boże, czyż ja warta zawołała ze łzami w oczach, byś się pan dla mnie trudził.

— Nie troszcz się pani o to, pij tylko, pij.

Była mu posłuszna z mięką łagodnością, która ją cechowała, a on patrzył na nią zachwycony, gdy drżącą jeszcze ręką brała napój i przytykała do bladych usteczek.

Bulion powrócił jej trochę sił, postawiła filizankę szepeząc. <http://rcin.org.pl>

— Jakiż pan dobry.

Było tyle wdzięczności w srebrnym głosie Marylki, a wielkie jej podkrążone oczy, były tak smutne, iż Jan uczuł się wzruszony do głębi serca temi prostemi wyrazami.

Pierwszy raz w życiu uczynił coś dla kogoś, troskał się i trudił nie dla siebie, to samo już sprawiło w nim jakiś moralny przewrót i dało poznać niesamolubną rozkosz.

Brała go nieprzeparta pokusa pochwycić w swoje te drobne dzicinne rączki, co leżały teraz bezwładne na kolanach dziewczęcia i przycisnąć je do ust namiętnie. Jednak nie uczynił tego, wstrzymał go może ten waraz, „dobry“ wymówiony przez nią z takim uczuciem.

— Jesteś pani teraz trochę silniejszą, wyrzekł siadając na jakimś kufrze i przysuwając się do niej, nieprawdaż?

— O tak.

— Czy nie męczy panią rozmowa, czy możemy pomówić z sobą?

— Ja już jestem zupełnie zdrowa, pochwyciła próbując powstać nadaremnie.

— Nie jeszcze, nie trzeba nadużywać sił swoich, odparł patrząc na nią z radośnym uśmiechem, droga panno Maryo.

— Zkąd pan wie moje imie, zawołała znowu płoniąc się jak stulistna róża — kto pan jesteś, — gdzie ja się znajduję.

— Zadajesz mi pani naraz zbyt wiele pytań, odpowiem ci na nie potem po kolei, ale wprzód pozwól mi postawić sobie jedną kwestyę.

— O tak, odparła łagodnie, niby dziecię zgromione, postąpiłam niestosownie, powinnam słuchać tylko.

— Nie, nie, źle mnie zrozumiałaś panno Maryo, masz prawo rządzić i rozkazywać tutaj.

— Ja! zawołała z odcieniem nieufności w głosie, który zadrasnął go jak ton fałszywy.

— Nie o to teraz idzie pochwyć, chcąc zatrzeć to przelotne wrażenie, powiedz mi pani tylko czy pamiętasz jakim sposobem dostałaś się tutaj.

Pamięć była widać dla niej rzeczą bolesną, bo pochylila czoło i dwie kryształowe perełki łez stoczyły się zwolna po licu.

— Ja nie wiem dobrze, szepnęła, wszystko tak miesza mi się w głowie. Byłam gdzieś na ka-

miennej ławie wśród rosy i liści suchych, a potem pan przyszedłeś, jechaliśmy, ale gdzie? tego nie umiem powiedzieć.

— Miałaś pani silną gorączkę, wymawiałaś bezładne wyrazy.

Słyszac to wlepiła w niego strwożone oczy, jakby lękając się własnych bezświadomych zwierzeń i prosząc dla nich o miłosierdzie.

On jednak nie był miłosierny, bo mówił dalej:

— Wołałaś pani Rajmunda, skarżyłaś się cicho, iż straciłaś miłość jego i łaskę opiekunki.

Okrzyk zranionego serca wyrwał się z ust Marylki, zakryła oczy dłońmi i płakała gorzko z żalu i wstydu. Tajemnica jej była w ręku tego nieznanego, on rzucił jej w oczy to, co byłaby chciała ukryć przed światem całym i przed samą sobą.

Jan przeraził się uczynionem wrażeniem, lękał się by łzy nie wyczerpały sił dziewczęcia, a w końcu nie wiedział sam czem ją zranił, subtelne tajemnice dziewiczego serca, były mu zupełnie nieznanne.

— Nie płaczże pani tak, zawołał, nie powiem już nic więcej, zapomnę com słyszał, tylko uśmiechnij się znowu, bądź spokojną.

Ale Marylce niepodobna się było uspokoić, cała przeszłość zbudzona niebacznem słowem, powróciła jej do pamięci. Tylko żeby nie rozgniewać nieznanego opiekuna, starała się płakać cicho.

— To się na nic nie zda, wyrzekł Jan, pełen wyrzutów dla samego siebie, pani sobie zaszko- dzisz, rozchorujesz się znowu. O ja nieszczęśliwy!

Wykrzyknik ten pełen prawdy, lepiej niż wszystko inne, uspokoił biedną dziewczynę. Pojęła iż łzami sprawiała mu wielką przykrość i próbowała je otrzeć szepcząc:

— Daruj mi pan, nie chciałam cię obrazić.

I znowu nie było to czego Jan pragnął.

— Ależ nie obraziłaś mnie wcale panno Maryo, przeciwnie tylko chciałbym pomówić z tobą rozsądnie, o rzeczach ważnych dla ciebie, a widzę że to jeszcze zawczasie.

— Mów pan, odparła z determinacją, która nadała dziwnie sympatyczny wyraz, jej dziecinnej twarzyczce, nie wolno mi być dzieckiem, powinienam być rozsądną. Jestem samą na świecie, muszę sobie wystarczyć.

Uśmiechnął się mimowoli na te słowa, wymówione seryo, z całą nieznaną życiowych stosunków.

— O przyszłości pomówimy potem, wyrzekł, mamy na to jeszcze dość czasu, nie troszcz się pani tylko, to wszystko o co proszę. Chciałem raczej zapuścić się w przeszłość, ale bierzesz ją pani tak dramatycznie.

Dłonie jej splecione na kolanach zadrgały, jednak tym razem zapanowała nad sobą.

— I cóż pan chcesz wiedzieć spytała głucho.

— Ty kochałaś panno Maryo, zawołał biorąc jej rękę.

— Kocham, odparła z prostotą.

O mało nie odrzucił od siebie trzymanej ręki, jak gdyby miała w sobie jad wężowy.

— Kochałaś pani człowieka, który cię nie umiał ocenić, który cię mógł porzucić.

— Cóż ztąd, ja kocham go pomimo to.

— Jakże kochać go możesz, on ciebie nie wart panno Maryo, pomyśl o tem, zastanów się tylko.

Spuściła głowę w milczeniu, nie chcąc mu się sprzeciwiać, ale nieprzekonana wcale temi praktycznymi argumentami. U niej wszystko było do tąd instynktem i uczuciem nieujętem w karby

żadnego rozumowania. Nie pojmowała, że miłość jest to ślepa potęga, nad którą ster inteligencya objąć powinna, nie umiała walczyć z własnem sercem, nie doszła jeszcze do pełnego rozwoju władz moralnych i nie potrafiła sądzić ukochanych, nie wiedziała także iż można przestać kochać.

Te wszystkie bolesne tajemnice życia były dotąd dla niej zakryte, więc też i słowa Jana sprawiały jej tylko cierpienie, nie doprowadzając zgoła do żadnego wniosku.

On przecież tego wszystkiego zupełnie nie rozumiał i mówił dalej:

— Ten człowiek sprawił ci tylko smutki, sprowadził na głowę twoją nieszczęście, gdy tymczasem było jego obowiązkiem, otoczyć cię rozkoszą, utworzyć ci raj na ziemi panno Maryo, jakże to był słodki obowiązek.

— Oh! zawołała, ja nigdy nie pragnęłam nic więcej, jak móżdź kochać, móżdź patrzeć na niego i słyszeć czasem niekiedy dobre słowo z jego ust. To wystarczało mi zupełnie.

— Jakto panno Maryo, to wystarczałoby ci na zawsze.

— Na zawsze, powtórzyła, nie miałam prawa żądać więcej.

Powstał z miejsca i przeszedł się po pokoju z tłumioną niecierpliwością, to co słyszał było dla niego rzeczą tak nową, iż w obec tego wielkiego pokornego uczucia, nie wiedział jak postępować. Ona zaś ze spuszczoną głową, z wyrazem smutku na twarzy, siedziała cicha i nieruchoma.

— A czy wiesz panno Maryo, wyrzekł wreszcie stając przed nią, że on starał się o miłość innej, że chciał się ożenić.

Słowa te były daremnem okrucieństwem, bo Marylka odrzekła zaledwie słyszalnym głosem.

— Wiedziałam o tem, ale dla czego pan mnie to mówisz?

— Dla czego? ażebyś przekonała się pani, kogo kochałaś.

Znowu wyrazy jego chybiły celu, w upartem sercu dziewczyny Rajmund był zawsze wytłómaczonym z góry. Milczenie jakie zachowała świadczyło o tem.

— Ha! zawołał zniecierpliwiony, czemuż ten człowiek, mógł zasłużyć na tak nieograniczoną miłość.

Pytanie to było zbyt racjonalne dla Marylki; istoty jej podobne oddają się zwykle nie wiedząc komu i dla czego? Kochać, jest u nich potrzebą serca, poświęcenie leży w ich naturze. Noszą w piersi nieskalany ideał i widzą go w pierwszym lepszym, którego los postawi na drodze ich życia. A wówczas same skazują się na dobrowolną ślepotę, by nie dostrzedz przepaści, w jaką się rzuciły, poruczając ster swojej nawy nieudolnym lub nikkzemnym.

— I czemu, powiedz pani przynajmniej on zasłużył na taką miłość, powtarzał Jan, stojąc przed nią nieporuszony.

— Alboż ja wiem, odparła podnosząc na niego wzrok z dojmującą łagodnością.

Mimowolnie wzruszył ramionami nie rozbrojony wcale. Wzrastająca namiętność burzyła mu się w piersi.

— A czy wiesz panno Maryo, zawołał, że są inni, co na kolanach dziękowaliby za podobne uczucie, czy wiesz, że kochaliby cię jak ty kochasz, z zaparciem się i zapomnieniem reszty świata, że... że ty musiałabyś być szczęśliwą.

Zbyt mało znała rzeczywiste życie, ażeby mu zaprzeczać, słowa te nie wydały jej się nawet po-

chlebstwem, nie przypisywała sobie pod tym względem żadnej zasługi, zapewne na świecie musiało tak być jak on mówił.

— I cóż ztąd szepnęła cicho; to nie byłby Rajmund.

— Rajmundi zawsze Rajmund to istny urok, czemże w końcu to ksiąźątko oczarowało panią, czem, czy piezczoną powierzchownością, jedwabnemi słówkami?

— On był smutny, on był nieszczęśliwy.

— I przez litość wkradł się do twego serca panno Maryo, ależ i ja jestem smutny także, patrz i ja wzdycham i ja cierpię.

— Pan, zawołała przerażona wzruszającą gwałtownością słów jego, której przyczyny nie pojmowała jeszcze.

— Tak ja, czyż nie rozumiesz że cię kocham?

Wyznanie to uderzyło ją jakby gromem. Krew nabiegła jej do skroni. Probowała powstać i spiorunować go oburzonem spojrzeniem, bo jak on śmiał jej powiedzieć to słowo, które zwracała do innego, ale czyniąc to przesądziła swoje siły i na powrót opadła bezwładna na krzesło.

Jan posunął się za daleko, zrozumiał to po niewczasie i zniszczył tym sposobem zaufanie,

jakie pozyskał. Postępowanie jego wydało się brutalne biednej dziewczynie, którą los niejako oddał mu w ręce.

Zwyciężyła go namiętność, a zresztą jakież miał powód unosić się czczym sentymentalizmem, czuł się w prawie zupełnem zastąpić Rajmunda w jej sercu, on nie byłby jej porzucił, nie pozwoliłby ją skrzywdzić i mógł w każdej chwili ofiarować jej chleb i dach niezależny od niczyjej łaski, bo zdobyty własną pracą. Czyż Marylka miała prawo żądać więcej.

A jednak spojrzawszy na jej twarz, rumianą wstydem i operloną łzami, spotkawszy te wielkie błękitne oczy, pełne nieformułowanego wyrzutu czuł iż popełnił jakąś nieokreśloną winę, chociaż nieumiał jeszcze zdać sobie z niejdokładnej sprawy.

— Panno Maryo, zawołał zapominając nagle o wszystkich swoich teoryach, zwyciężony jej smutnym i trwożnym wyrazem, Bóg widzi nie chciałem cię obrazić, daruj mi, nie zważaj na szalone słowo, które mi się wyrwało niechcący, doprawdy niechcący. Nie powtórzę go więcej, skoro ci to ma przykrość sprawić. Będę milczał, póki każesz tylko. Ależ to nie moja wina, bo czyż można patrzeć na ciebie a nie pokochać.

Milczała, bo i cóż odpowiedzieć mogła. Słowa te pomimo żalu nacechowane jakimś lekceważeniem, nie zagoiły zadanej rany. Czuła się skazaną na obelgi i poniżenie, rzucona w świat, smutna, bezsilna.

— Panno Maryo, mówił coraz natarczywiej Jan, zrozpaczony tem milczeniem, przez miłosierdzie przemów chociaż słówko, powiedz, że mi przebaczasz, bo inaczej nigdy nie przebaczę sam sobie.

— Alboż pan potrzebujesz przebaczenia, biednej jak ja dziewczyny.

Skarga zawarta w tych wyrazach. wzruszyła go głęboko i lepszą stroną jego natury, wzięła górę stanowczo.

— Oh! zawołał z prawdziwym gniewem na samego siebie, jestem ostatnim głupcem, jak mogłem temu znękanemu dziecku mówić o miłości. Panno Maryo masz prawo mnie nienawidzić, masz prawo mną pogardzać.

Tym razem był to prawdziwie głos skruszonego serca. Marylka zrozumiała to szybko i wyrzekała tłumiąc łkania, które podnosiły jej piersi.

— Nie mów pan w ten sposób, byłeś bardzo

dobrym dla mnie, ja nie zapomnę o tem nigdy, ja to tylko chcę pamiętać.

— I któżby mógł nie być dobrym dla ciebie panno Maryo, odparł, patrząc na nią zwilżonemi oczyma. A jednak cię obraziłem, powiedz że mi przebaczasz?

— Przebaczam, szepnęła.

— I zechcesz mi pani podać rączkę na zgodę.

Wyciągnęła ku niemu bladą drżącą dłoń. Oparł się pokusie poniesienia jej do ust, tylko ścisnął ją w swoich.

Nastąpiła chwila ciszy, on nie miał siły ją pożegnać, ona zbierała myśli.

— A teraz wyrzekła znowu nieśmiało Marylka, czy nie zechcesz pan powiedzieć mi gdzie jestem?

Rzeczywiście, nie chciał ją objaśniać w tym względzie, wiedział bowiem iż wychowana w Luborzewskim dworze, musiała być źle bardzo uprzedzoną przeciwko mieszkańcom folwarku i dla tego odparł poważnie.

— Za parę dni panno Maryo, gdy wyzdrowiejesz zupełnie, powiem ci to sam, bądź spokojna.

— Ależ ja już jestem zdrowa, ja chciałabym tylko podziękować panu i puścić się w drogę.

— Ty w drogę panno Maryo! zawołał z wybuchem. Jednak pohamował się niebawem i dodał patrząc na nią drżący wzruszeniem. I gdzież chcesz iść pani?

— Nie wiem, odparła, ale iść muszę, wszędzie gdzie mnie oczy poniosą, szukać pracy i chleba.

— Więc obraziłem panią tak bardzo, że nie chcesz tu już i chwili pozostać.

— Dziś lub jutro, odejść muszę, lepiej wcześniej, szepnęła starając się ukryć rumieniec, który wybiegł jej na lica.

Zmarszczył brwi i znów w milczeniu przechadzał się przez chwilę po ciasnym pokoju, namyślając się co ma uczynić.

Była w tej cichej dziewczynie jakaś stonowczość, pod powłoką miękkości i słodyczy. Gotowa była z łzą i uśmiechem opuścić ten dom, nie namyślając się długo i iść w świat nieznany, z otwagą nieświadomości. Nie podobna mu było obrachować ją z góry, ani trafić do jej przekonania obrachowaniem żadnem. Dla racjonalnego człowieka, jakim był Jan, to utrudniało niezmiernie postępowanie, znalazł się bowiem na nieznanym gruncie, na którym popełniał same niezręczności.

Lękał się żeby ona nie uszła mu z rąk bezprowrotnie, jak senne widzenie, przeczuwał że myślała o tem, i że gdyby wiedziała że znajduje się pod dachem Grzeżulki, uciekłaby ztąd natychmiast.

W tem trudnem położeniu, zdobył się na krok stanowczy, postanowił nie mogąc zatrzymać jej tutaj, powierzyć opiece panny Sielskiej, a zresztą rachował na czas, na rozsądek, który w starciu z praktycznem życiem, powinien był rozwijać się, i zatrzeć w tem młodem sercu, zarówno miłość jak nienawiść niesprawiedliwą.

— Panno Maryo, wyrzekł znowu, zatrzymując się przed nią, nie sądzę że jestem tak samolubnym bym nie pomyślał o twojej przyszłości.

Spojrzała mu w oczy nieśmiało i nieufnie, ale słuchała w milczeniu.

— Znam kobietę, która panią opiekować się pragnie, u której będziesz jakby u starszej siostry, czyż i wówczas nie zechcesz mi pani dowierzać?

— Wierzę panu, zawołała, ale dla czegoż ja mam być komukolwiek ciężarem.

— Dla tego odparł poważnie, że dla kobiety pięknej, młodej, niedoświadczonej i ufnej, jaką ty

jesteś panno Maryo, świat jest pełen niebezpieczeństw i ja nie na to uratowałem cię, żeby ci pozwolić się na nie narażać; uważam iż na mnie ciąży odpowiedzialność za twoją przyszłość, chcę żeby ona była jasną, swobodną, żebyś nigdy więcej nie mogła zwątpić o sercu ludzkim.

— Oh! zawołała z wybuchem ja czułam, że pan jesteś dobry.

— Czy jesteś tego pewną pani, zapytał patrząc na nią z tajoną trwogą i smutkiem.

— Pewną, zupełnie pewną, powtórzyła z przekonaniem.

— A jednak, kto wie panno Maryo, gdybym ci powiedział moje nazwisko, czy nie odwróciłaś się odemnie ze wstrętem.

— Ja! źle mnie pan sądzisz, nie jestem niewdzięczną.

— Bez wątpienia, nie jesteś pani niewdzięczną łatwo z oczów twoich wyczytać, a jednak...

— Nie rozumiem pana.

— Za chwilę zrozumiesz mnie pani aż nadto dobrze. Jest z pewnością imię, które nauczyłaś się pani nienawidzieć.

— Mylisz się pan, za cóżbym nienawidziła.

— Więc nie domyślasz się kto ja jestem panno Maryo.

— Nie.

— Znajdujesz się pani pod dachem Grzezułki, ja jestem jego synem.

— Jestem w Luborzu, zawołała, więcej nierównie udręczona tym faktem niż nazwiskiem jego.

Myślała że ztąd tak blisko do domu, że tam był Rajmund i serce jej topniało w piersi, rwało się do miejsc ukochanych, do tego domu co przyzwyczała się uważać za swój dom rodzinny, a z kąd wypędzono ją bez miłosierdzia. Nigdy więcej nie dało jej się uczuć sieroctwo.

On patrzył na nią, odgadując te myśli.

— Pocóż mnie pan tu przywozłeś napowrót.

— Nie miałem wyboru, odparł, usprawiedliwiając się niejako.

-- Boże, alboż mam prawo pytać.

— Smutno tu pani, nieprawdaż?

Skloniła głowę na znak potwierdzenia. Odkrycie to było dla niej piorunującym i znów przywodziło jej na pamięć całą przeszłość niepowrotną, a przy tem plątały jej się w myśli, jakieś mary przerażające. <http://rcin.org.pl>

— Więc to pan, zawołała stłumionym głosem, jak gdyby lękała się dźwięku słów własnych, pan spotkałeś się na drodze z Rajmundem, pamiętam teraz, pan się masz z nim bić.

Zakryła sobie oczy rękoma, jak gdyby sam widok jego był jej nienawistnym i tak pozostała czas długi. Kiedy znowu odważyła się spojrzeć wkoło, Jan stał o kroków kilka, wsparty plecami o ścianę z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, blady od wzruszenia, mierząc ją smutnym wzrokiem.

— Powiedz mi pan że to nie prawda, że to mi się zdawało tylko.

Wstrząsnął głową, łatwo bardzo było mu odpowiedzieć jej kłamstwem, przecież czuł teraz nieokreślony wstręt do tego najpospolitszego ze środków uspokojenia nierozważnych żądań. Ona dowiedziałyby się o tem kiedyś, nie chciał się przed nią rumienić w przyszłości.

Oczy jej pytające strwożone, spoczywały na nim z taką siłą, iż musiał przemówić.

— A gdybym był do tego zmuszony, wyrzekł wreszcie, czy potępiłabyś mnie pani bezpowrotnie.

Nie wiedziała co odpowiedzieć, bo trudno jej było rozwikłać chaos własnych uczuć, to co słyszała wydawało jej się strasznie, ale sądu wydać nie mogła.

— Panno Maryo, mówił znowu Jan, wierz mi są konieczności w życiu i te nieraz rządzą nami, tylko niestety jesteś zbyt młodą, żeby to rozumieć.

— Więc pan bić się będziesz, bić się z Rajmundem, zawołała łamiąc ręce.

Spojrzał na nią wzrokiem, w którym litość przeważała oburzenie i odparł:

— Nie wiem, Rajmund mnie obraził, to od niego zależy.

— A ja, szepnęła wracając myślą do samej siebie, a ja jakże wiedzieć będę co wypadnie.

— Dam pani wiadomość tam gdzie będziesz.

Wiedział przecież iż troskliwość jej nie jego się tyczyła, iż w walce która miała nastąpić, ona myślą i sercem będzie z przeciwnikiem. A jednak przebaczał jej to i mniej nie kochał dla tego.

— Byłem szczerym z tobą panno Maryo, wyrzekł znowu, szczerym może do zbytku, powiedziałem ci wszystko coś wiedzieć chciała, nic nie ukrywając, nawet z narażeniem na gniew twój

i smutek. Nie było w mocy mojej inaczej z panią postąpić. Czy w zamian nie zechcesz dać mi przyrzeczenia, iż nie opuścisz tego domu bez mojej wiedzy i woli? Nie lękaj się, niewola ta nie będzie długą.

W głosie jego brzmiała dziwna powaga, zrozumiała że tym razem powinna mu zaufać.

— Rządź pan mną, zawołała z rodzajem zniechęcenia, bo ta cała rozmowa i gwałtowne wzruszenia, wyczerpały zupełnie jej siły.

— A teraz jeszcze jedno pytanie, czy nie masz pani potem wszystkim, żalu, gniewu, lub nienawiści do mnie. Bądź pani szczerą, mów otwarcie oczy, twoje świadczą wyraźnie, iż nie umiesz kłamać.

Być może, iż w ciągu tej długiej rozmowy uczucia o których mówił, gościły kolejną w jej sercu. Teraz jednak gdy badała sumienie, nie znalazła ich tam więcej.

— Nie, nie, odparła z mocą przekonania.

Twarz jego surowa, w tej chwili rozjaśniła się miększym wyrazem.

— Dziękuję ci panno Maryo, wyrzekł z prostotą. A teraz powiedz, czy nie potrzeba ci czego?

i pamiętaj żeś powinna nabrać sił, ażeby przenieść się na nową siedzibę.

Oddalił się po tych słowach, zostawiając ją samą.

Jeśli rozmowa ta targała wszystkie struny ducha Marylki dla niego także nie przeszła ona bez wzruszeń. W obec tej prostej, naiwnej dziewczyny nie poznawał samego siebie. Czyż przyszłoby mu kiedy przez głowę prowadzić tak długą i platoniczną rozmowę z ładną istotą, którą kochał, która była na jego łasce niejako, a pomimo to odtrąciła go z taką godnością i tak mało skrywała własne uczucia. Gdybyż przynajmniej działał z wyrachowaniem. Ale nie, kiedy obiecywał milczeć, kiedy czytał to wszystko najzupełniej na seryo, był głęboko wzruszony, miał prawdziwe łzy w oczach.

Były to fakta niepojęte dla niego samego i budziły zamęt w głębi jego ducha. Doświadczał coś nakszałt tego co czuje czasem człowiek upojony, pragnął się wytrzeźwić czem prędzej, ale nie mógł tego dokazać.

Zaczął się przeciwadzać po dziedzińcu, unikając jednak spotkania z ojcem, bo miał jakieś pragnienie samotności. Przecież natura listopadowa i ten

okólnik gospodarski, pełen kałuży, bydła, śmieci i gwaru, nie uspasabiały wcale do marzenia. Jan skierował się ku polom, szukając więcej powietrza, więcej światła i nadewszystko więcej ciszy. Tutaj na szerokich równinach, jak oko daleko sięgało widne były pola uprawne, zieleniejące przyszłoroczną nadzieją rolnika, pokrajane skibami pługów, lub karmiące jeszcze rozrzucone trzody. Blade kwiaty jesienne, bezwonne, nawpół uwiędłe, gdzie niegdzie zwieszały głowy szronem zwarzone.

Dzień był słoneczny, ale promienie jego ozłacały łagodnie krajobraz, bez owych gwałtownych blasków, bez tej wrzawy barw, cechującej południe dnia letniego. Ciche tony dalszych planów, zlewały się z sinemi mgłami, wśród których topniały harmonijne kontury wiosek i lasów okolicznych.

Jan nie był ani malarzem, ani poetą, ani marzycielem, przecież uderzyła go piękność otaczającego świata, chociaż była to najpospolitsza płaszczynna, wśród której wznosiły się arcyprozaiczne chaty i grupy tych swojskich drzew, niepotrzebujących sztucznego hodowania i ręki ogrodnika, by rozrosnąć się bujnie we wspaniałe

kszałty. Luborz nie odznaczał się wcale ładnem położeniem, tylko w tej chwili, światło, arcy-mistrz piękna, rzucił nań cały urok swoich czarów, i one znalazły dziwne echo w sercu młodego człowieka. Tam także gorzały jakieś iskry i lśniły blaski nieznane; tam także był poważny nastrój, harmonizujący z uroczystą ciszą natury.

Konrad wracając z Luborza, spotkał pannę Anielę w świerkowym gaju przy kamiennej figurze, było to jej ulubione miejsce spaceru. Zresztą dowiedziała się, iż nauczyciel pojechał z wczorajszym gościem do Luborza i wyszła na przeciw niego.

Panna Aniela była w wesołem usposobieniu i z licem zarumienionem przechadzką, podbiegła do bryczki z której ujrawszy ją wysiadał Konrad.

— I gdzież to pan bywałeś wyrzekła z uśmiechem, jak to można było zapomnieć, że mieliśmy właśnie dziś rano ogromną robotę w laboratorium, ze złości przyszedłam aż tutaj, żeby się z panem wyklócić i złość odbiegła mnie w drodze, patrząc na ten śliczny świat Boży. Ziemia piękna, niebo piękne, powietrze piersi rozszerza, że aż błogo żyć i oddychać.

Mówiła to oglądając się w koło z twarzą jasną jak majowe słońce.

— Bez wątpienia życie jest błogosławieństwem dla tych, którzy go umieją zrozumieć, czemuż tak ich nie wielu na świecie, czemuż tylu szaleńców gotowych jest marnować ten dar każdej chwili.

— Z kądże pan wracasz z temi smutnemi myślami?

— Ze świata panno Aniello, co nie umie tak jak ty czuć i myśleć.

— To nie jego i nie moja zasługa, bo jeżeli jestem coś warta, to dzięki tobie mój mistrzu. Ale nie zbędziesz mnie tak łatwo komplementem, powiedz mi na prawdę co znaczy ta niespodziana wycieczka, jeśli w tem nie ma tajemnicy.

— Nie ma jej dla ciebie Aniello, odparł porzucając dotychczasowy ton żartobliwy, tem bardziej iż rzecz chociaż pośrednio obchodzić się musi. Grzeźulka obrażony wczorajszemi przymówkami Żelisławskiego, wyzwiał go na pojedynek i mnie obrał za sekundanta.

— I pan, pan co patrzysz na życie, ze stanowiska myśliciela, co pogardzasz marnemi formami i zwyczajami świata, podjąłeś się takiej sprawy.

Konrad wstrząsnął głową.

Zasady i czyny wyrzekł zwolna, niestety dotykasz pani pałacej kwestyi, w obec której mało kto jest bez winy. Trudnoż wymagać od człowieka, by rzucił swoją dobrą sławę i imię pod nogi śmiałka co go obraża bezkarnie i naraził się tym sposobem na pośmiewisko świata.

— A jednak zawołała z zapałem Aniela, zasady i czyny powinny iść w parze, ja ich oddzielać nie potrafię.

— Daj Boże by tak było zawsze, by nigdy na żadnem rozdrożu trudności życia nie stanęły przed tobą i nie zmusiły wybierać pomiędzy nimi. A teraz powiedz czy mnie potępiasz? czy mogłem odmówić temu człowiekowi, którego obrażono haniebnie w naszym domu pomocy, zwłaszcza, że jest tutaj sam jeden i nieznamy.

— Nie, odparła po chwili namysłu, nie mogłeś inaczej postąpić, powinnam o tem z góry być przekonaną.

— Strzeż się Anielo, dajesz mi tym sposobem patent na nieomylność.

— Wiesz dobrze iż nie to chciałam powiedzieć. Tylko czyny twoje mają, zawsze racjonalną pod-

stawę i nie błakają się na traf szczęścia lub instynktu.

Więc znajdujesz pani żem słusznie zrobił, przyjmując w swoje ręce sprawę Jana Grzezułki.

— Tak sędzę, a jednak jest coś strasznego w tej myśli, iż ci dwaj ludzie młodzi, pełni sił, nadziei i przyszłości, narażają się na śmierć bez żadnej przyczyny, oni co zapewne nie uczyniliby lekkiej nawet ofiary dla jakiej szlachetnej sprawy lub idei.

— I cóż to dowodzi panno Anielo. Czy nie to że ludzie są zawsze lepsi, niżeli się być wydają, że skoro gotowi są nieść życie dla abstrakcyi, więc nie mają tej dozy samolubstwa, jaką się częstokroć szczycą. Wierz mi, kaźden piastuje swój ideał w głębi łona, tylko ideał ten bywa rozmaitego gatunku i według niego wartość człowieka mierzyć można. Tak samo jak stopień kultury według idei i wyobrażeń bóstwa. Dla dzikiego jest nim kłoc drzewa potwornie obciosany, dla cywilizowanych synów starożytności, człowiek w apoteozie piękna, a dla dzisiejszego myśliciela, potęga Wszechmądrego Boga rozlana w naturze.

— Więc jakież jest ideał tych panów, którzy

wczoraj walczyli z sobą na słowa, a jutro chcą kule zamienić.

— Ty panno Anielo.

— Czy tylko ja z pewnością?

— Ty albo twój posag, ale to na jedno wynosi, ponieważ są to rzeczy nierozdzielne w tym razie.

— Darujesz mi, ale mam trochę miłości własnej i zgodzić się na to nie mogę, uważam więc iż wartość tych panów, rozróżniłaby się bardzo, gdybyśmy mogli tę kwestyę stanowczo rozstrzygnąć.

— Nie jesteśmy w sercach ludzkich Anielo, byśmy mogli to uczynić.

— Więc pan masz wątpliwości w tym względzie?

— Spytam nawzajem czy panią to obchodzi?

— Nie ma rzeczy na świecie coby mnie nie obchodziła, wszak sam nauczyłeś mnie tego, mówiąc iż tym sposobem zagarniamy wszystko do naszego duchowego królestwa i w nieskończoność rozszerzamy jego granice.

— Masz słusność Anielo, nie wolno nam zasklepić się w ślimaczej skorupie naszych własnych spraw, czynów i myśli pod karą upadku lub skarlłowacenia. Skarbnica świata stoi wiecznie otworem, dla tych co w niej czerpać pragną i jak w zaczarowanym zamku mitycznych wieszczek

każden znajduje w niej co innego, stosownie do siły wzroku i inteligencyi. Ale wróćmy się do ludzi, o których mówiliśmy.

— Wiesz dobrze, iż żaden z nich obchodzić mnie szczególnie nie może, a przecież od chwili jak wiem o tym pojedynku, jestem niespokojna i nieszczęśliwa. Bo w końcu jestem tutaj niewinną ale istotną przyczyną złego.

Przez chwilę szła zamyślona, wreszcie jakby panując siłą woli nad wzruszeniem i wracając do potocznych warunków życia, wyrzekła.

— Trzeba przyznać, że Grzeżułka okazał bez porównania więcej taktu od przeciwnika.

— Gdybyśmy go sądzili według czynów, miałby on także niezaprzeczone pierwszeństwo.

— Alboż nie czyny pokazują nam istotę człowieka?

— Czyny bywają owocem najrozmaitszych pobudek; jest to więc skala względna jak wszystko bez wyjątku co podpada nam pod zmysły. I tak, Grzeżułka spotkał wczoraj wychowaną pani Żelisławskiej, wypędzoną przez nią, dał jej u siebie schronienie, leczy i pielęguje; któż odgadnie jednak czy robi to na przekór przeciwnikom, z ludzkości, lub z jakich innych mniej jeszcze szlachetnych pobudek.

— To musi być bardzo biedna dziewczyna, zawołała Aniela.

— Bardzo biedna, jest wątła, delikatna, nie-szczęśliwa bez schronienia, bo u Grzeżulków pozostać nie może.

— I czemuż nie przywiozłeś jej tutaj?

— Wiedziałem, że to powiesz i chciałem uprzedzić twoje życzenia. Ale to dziecko jest chore, bo to jeszcze prawie dziecko i dzisiaj przewiezioną być nie może.

— Panie Konradzie, ja się nią zajmę, będę ją pielęgnować i kochać.

— Zdaje mi się, że ona właśnie tego potrzebuje.

Panna Aniela zamyśliła się o tej nowej towarzysce, którą jej los zsyłał, twarz jej była ożywiona, oczy płonęły.

— Oh! zawołała, życie może być piękne, życie jest użyteczne, jestem szczęśliwa żem tutaj osiadła i mogę prowadzić je wedle żądań moich... Gdyby tylko nie mąciły go złe namiętności ludzkie.

— A jednak Anielo, czy jesteś zupełnie szczęśliwa, czy nie ci tutaj nie brakuje.

Na te słowa wymówione z ojcowską troskliwością, zarumieniła się lekko i przez chwilę pozostała zamyślona.

— Zupełnie, powtórzyła wreszcie patrząc głębokim wzrokiem na nauczyciela, nie jest to ludzkie słowo. Pojmuję że są szczęścia których nie znam, a które przecież odczuć byłabym zdolna, ale nie marnotrawię życia w oczekiwaniu tego co się może nie spełni i to mi wystarcza na dzisiaj.

— Jednakże ty sama chciałaś tu powrócić, tutaj, gdzie prawdopodobnie istność twoja upłynie w osamotnieniu, bo gdzież szukać człowieka twojej miary, coby był zdolny razem z tobą iść w przyszłość, wraz z tobą walczyć i wspierać się w potrzebie.

Jakiś niewyraźny uśmiech pełen smutku i dumy, przemknął się po ustach Anieli.

— Czyż miałam jak błędny rycerz tułać się po świecie, poszukując takiego człowieka, lub marnie trawić życie w oczekiwaniu. Z oczekiwaniem łączy się niecierpliwość, a niecierpliwość jest najgorszym doradcą. Cóż wreszcie straciłam na tem, iż wróciłam do Jedlina i rozpoczęłam czynną egzystencję, do której pod twoim kierunkiem, przygotowywałam się dotąd. Tutaj mam dla siebie miejsce działalności, gdzie spojrzę w koło siebie, w materialnym zarówno jak w moralnym świecie widzę pola leżące odłogiem i potrzebują-

ce ochotnej ręki. Wiem iż mogłabym być jeszcze szczęśliwszą, ale pomimo to, wystarcza mi co posiadam.

— Czy wystarczy ci zawsze Aniello, obrachuj się z twojem sercem.

— Ja nie wiem co będzie w przyszłości i na dziś nie myślę o tem, tylko sędzę, iż gdyby uderzało niewłaściwie, potrafiłabym uciszyć je wołą. Bądź spokojnym mój mistrzu, życie moje nazbyt czynne, ażeby wkradły się doń bezużyteczne marzenia. Serce moje nie zapłonie uczuciem niegodnem siebie, kochać będę na śmierć i życie, jeżeli spotkam człowieka, coby był wart tego, albo nie pokocham wcale. Nauczyłeś mnie trzeźwo, uważnie patrzeć na świat, badać samą siebie, strzedz się instynktowych wrażeń, poddawać je pod sąd rozumu i błogosławię cię za to. Ojciec więcej dla córki uczynić nie może.

Gdy to mówiła, głos jej drżał wzruszeniem, jakby odsłaniając tajemnicze głębie tego ducha i drzemiące w nim namiętne porywy.

Stary nauczyciel patrzył na nią z dumą i miłością i tak szli czas jakiś w milczeniu obok siebie.

Dochodzili do dziedzińcowej bramy, gdy panna

Aniela odezwała się znowu, otrząsając niejako z czoła mgłę zamyślenia.

— Ala my tu myślimy o abstrakcyach, zawołała, a tam przygotowuje się katastrofa grożąca życiu dwóch ludzi. Czyż przeszkodzić jej niepodobna?

— Gdyby to było możebnem czyżbym tego nie uczynił?

— Prawda, a jednak to straszne czekać z założonemi rękami, aż się spełni niepowrotne nieszczęście. Ja tego znieść nie umiem.

— Anielo, Anielo, nie wymawiaj nigdy słów podobnych, jest to niejako wyzwanie rzucone losowi na które on najczęściej boleśnie odpowiada.

— Masz słuszość, wyrzekła, spuszczać głowę.

Panna Aniela zapomniała dnia tego o wszystkich doświadczeniach chemicznych i chodziła niepokojna, nie mogąc zapanować nad troską.

Nazajutrz był to dzień pełen zdarzeń w Jedlinie, rano przyjechali do Konrada sekundanci Rajmunda, by ułożyć warunki pojedynku. Według życzenia obydwóch przeciwników, miał się on od-

być w najkrótszym terminie, na pistolety, do mety o dziesięć kroków odległej, do której idąc strzelać mogli według woli.

Warunki to nie były zbyt groźne, ponieważ jednak tak Jan jak Rajmund, doskonale władali bronią, pojedynek mógł skończyć się tragicznie, szczególnie jeśli obadwaj przystępowali do niego z nienawiścią i ideą zemsty, która właściwie daleko więcej niż konieczność faktów, kładła im broń w rękę.

W Rajmundzie zemsta ta podsycana widokiem ruiny, której Grzeżułkowie byli powodem, wobec ciągłych zatargów i rozdrażnienia panującego w Luborzu, była niejako łatwą do zrozumienia. Tylko zaciętość Jana co przyjechawszy tutaj z obcych stron, gdzie się wychowywał, nie mógł odziedziczyć w całej sile, nienawiści rodowej, była zupełnie niewytłómaczoną. Jan był człowiekiem innego świata, innych przekonań i pojęć, przecież w tej sprawie całej okazał się bardziej jeszcze nieugiętym od Rajmunda, a na samo wspomnienie przeciwnika, wzrok mu się zapalał, usta drgały.

Konrad zaraz po naradzie z sekundantami Żelisławskiego, dwoma Nemrodami okolicznymi

udał się do Luborza by zawiadomić o tem Jana, a wybrał się wygodnym powozem, gdyż młody Grzeżółka jeszcze wilią uprzedził go listownie, iż Marylka przewiezioną być mogła, chciał więc jednocześnie zabrać ją do Jedlina.

Dla Jana czas leciał szybko, przez dzień wczorajszy i noc całą chociaż bezsenną, liczył z rodzajem trwogi upływające godziny. Według postanowienia uczynionego, nie narzucał wcale swojej obecności Marylce, ale wiedział iż oddzielała go od niej ściana tylko, ale pamiętał o jej wygodzie i pytał przeze drzwi, czy nie żądała czego, a przy tej sposobności słyszał jej cichy dźwięczny głos.

Przecież czuł się niejako obrażony wczorajszą rozmową, a raczej starał się wmówić to w samego siebie; chciał niemyśleć wcale o tej szalonej dziewczynie, co za krzywdy doznane płaciła miłością i może właśnie dla tego myślał o niej nieustannie. Przypominały mu ją złoty krajobraz południowy i błękit nieba mgłami zasnuty i migotliwe promienie gwiazd i szepty wiatru i szum suchych liści.

Widocznie atmosfera Luborza była niewłaściwą dla Jana, napastowały go tu myśli i pragnienia, o których nigdy nie miał pojęcia dawniej.

Był zły o to na samego siebie, na Marylkę, a najwięcej na Rajmunda.

Kiedy jednak nadchodziła godzina, o której Konrad miał nadjechać i zabrać dziewczynę z tego domu, przypomniał sobie iż musi ją o tem uwiadomić. Mógł to w prawdzie uczynić przez drzwi, jak wszystkie dotychczasowe komunikacje i w tym celu zbliżył się do nich. Ale kiedy zastukał i usłyszał głos jej odpowiadający mu że wejść można, otworzył drzwi sam nie wiedząc kiedy i stanął na progu. Tu już nie podobna było się cofnąć, należało chociaż parę słów zamienić.

Dla Marylki postępowanie Jana było zagadkowe, nie posiadała bowiem wcale tej znajomości praw psychicznych, które tłómaczą moralne zjawiska. Wczoraj on mówił do niej z taką łagodnością i współczuciem, a potem znowu wcale tutaj nie zajrzał. Czuła z tego powodu nieokreśloną przykrość, a zapytywała samej siebie, czy nie okazała się niewdzięczną za doznane dobrodziejstwa i sumienie jej niepokoiło się tem bardzo.

Teraz więc widząc go, zwróciła ku niemu wymowne oczy i powstała ze swego miejsca zarumieniona.

Postawa jej była tak smutna, tak łagodna iż byłaby rozbroiła nawet nieprzyjaciela.

— Czy pan gniewasz się na mnie, zapytała cicho.

— Ja! na ciebie! panno Maryo, zawołał Jan, zapominając na raz o wszystkich swoich postanowieniach.

— Na mnie, ja sądziłam... lękałam się.

— Czego panno Maryo?

— Czy nie obraziłam pana czem mimowolnie?

Słowa te wydawały mu się wyrzutem, czuł w głębi ducha że nań zasłużył.

— Przeciwnie wyrzekł, to ja nie chciałem być natrętnym i narzucać się pani.

Zapewne przypomniała sobie, iż on miał wiele ważniejszych rzeczy na głowie, niż pamięć o niej więc umilkła spuszczać głowę.

Pomimo strapień swoich, Marylka wyglądała nierównie lepiej niż wczoraj, bladość jej była mniej rażąca, oczy mniej podkrążone. Młodość zarówno fizycznie jak moralnie szybko przewycięża cierpienie. Te symptomata powrotu do zdrowia, uradowały Jana.

— I jakżeż pani dziś spałaś, jak się czujesz? zapytał troskliwie, patrząc na nią z zachwytem, bo piękność jej nabrała nowego blasku.

-- Jestem już zupełnie zdrowa, odparła.

— Spodziewałem się tego panno Maryo. Dziś bez szkody możesz przejechać do twojej nowej opiekunki.

Ta myśl zasępiła jej czoło, myślała z pewnem przerażeniem o tych nowych ludziach, co ją przygarnąć chcieli i lękała się każdej zmiany. Być może iż on zauważał ten smutek i wytłómaczył go na swoją korzyść, bo wyrzekł miększym głosem:

— Rozstaniemy się dzisiaj panno Maryo.

— Dzisiaj jeszcze, zawołała nieogłędnie.

Spojrzał na nią z wdzięcznością.

— Więc nie jest pani tak źle tutaj. Ale uspokój się, tam gdzie będziesz znajdziesz zacne, kochające serca. Bo i któżby panią mógł nie kochać?

I znowu słowa jego szły wbrew woli, wszak nie chciał mówić o swoich uczuciach, wszakże ich nie miał nawet.

Marylka milczała, ufność jej powróciła tak zupełnie, iż nie zauważyła nawet tego zwrotu, który on zresztą sam zatarł mówiąc dalej.

— Będę zupełnie spokojny o twoją przyszłość panno Maryo.

— Boże, czemuż ja zasłużyłam na tyle łaski ludzkiej, zawołała z wyrazem wdzięczności.

Nie znalazł na to żadnej odpowiedzi, fakt ten zdawał mu się tak naturalnym, iż nie potrzebował tłumaczenia.

— I gdzież ja mam jechać, spytała po chwili milczenia.

— Do panny Sielskiej, która panią opiekować się pragnie, nie będziesz pani daleko od Luborza.

Te wyrazy sprawiły dziwne wrażenie na Marylce, pochyliła głowę, zarumieniła się i zbladła, chciała mówić i słowa niewyraźne drżały jej na ustach.

Więc miała poznać tę kobietę, miała być z nią razem, zależeć od niej. I może jeszcze spotykać tam Rajmunda, ta myśl była nieznośną.

— Dla czegoż tam—tam właśnie, szepnęła wreszcie, gdy potrafiła to uczynić.

Jan dorozumiał się zapewne uczuć co nią miały, bo wyrzekł biorąc jej rękę.

— Uspokój się panno Maryo, panna Sielska jest dobrą i rozumną, ona sama ofiarowała się czuwać nad tobą, a ja, ja nie miałem wyboru.

Zresztą, gdyby ci tam było źle z jakichbądź powodów, gdybyś zapotrzebowała pomocy i opieki, pamiętaj, że na mnie rachować możesz zawsze.

Być może iż były to słowa tylko, powiedziane w danej chwili z przekonaniem i z wiarą że dotrzymane będą, a które jak tyle innych przyrzeczeń ludzkich, wichler niepamięci roznosi po świecie. Ale Marylka była jeszcze w tym wieku, w którym ufa się bezwarunkowo wszystkiemu co się usłyszy. Spojrzała na Jana i w twarzy jego wyczytała potwierdzenie słów. Powoli więc on zaczął przybierać w jej oczach postać dobroczynnego bóstwa.

Łzami wdzięczności zamigotały jej źrenice.

— Oh! zawołała, czemu panu odwdzieczyć to potrafię.

Jan postąpił ku niej jakby uniesiony ślepą żądzą. Ale zatrzymał się, zawahał i wyrzekł tylko.

— Dobrą pamięcią panno Maryo.

— Tę pan będziesz miał zawsze.

Uśmiechnął się nieznacznie, jak gdyby nie do wierzał.

— Zawsze póki nie zapomnisz pani o mnie, wyrzekł z pewną goryczą.

— Jakżebyu mogła zapomnieć.

— Daruj mi panno Maryo, powiadają że kobiety nie umieją pamiętać, ty jednak widzę to, stanowisz wyjątek, pamiętasz nawet o tych, co nie pamiętają o tobie. Czy tylko na wszystkich będziesz równie łaskawą.

Spuściła wzrok nieśmiało, bo ozuła w tych słowach przymówkę, na jaką nie zasłużyła. Nie rozumiała że wdzięczność jej drażniła go tylko, że żądał czego innego.

Rozmowa rwała się pomiędzy niemi, przecież Jan nie myślał odchodzić, Marylka przykuwała do siebie wzrok i serce jego. Patrzał w te oczy niezmaczone jak kryształ, na te usta co nie zdolne były przeniewierzyć się myślom i nie miał siły oderwać od niej wzroku.

— Ale ja pana widywać będę, wyrzekła znowu po długim milczeniu.

— Alboż pani o to chodzi?

— Pan nie jesteś dzisiaj tak dobry jak wczoraj zawołała ze łzami w głosie, czemuż na to zasłużyłam.

Miał znowu na ustach jakieś wyraźne słowo, i znowu go nie wypowiedział.

— Alboż ja wiem co jutro będzie ze mną, wyrzekł wzruszając ramionami a myśląc o pojedynku, a potem, ja nie jestem mieszkańcem Luborza, pojedę daleko na długo, może na zawsze.

Tym razem bądź to z powodu grożącego niebezpieczeństwa zawieszono nad głową Rajmunda, bądź dla tego iż w głosie Jana dźwięczała tłumiona niechęć, bądź też wreszcie z powodu iż nie miała może widzieć go więcej, Marylka uczuła się bardzo smutną. A ponieważ nie umiała wcale ukrywać doznanych wrażeń, rozplakała się jak dziecko.

Jak powinien był przez krótki czas z nią przebyty, przyzwyczać się do tych gwałtownych wybuchów, przecież łzy jej czyniły zawsze na nim niepojęte wrażenie. Jak wielu zresztą mężczyzn wychowanych zdala od kobiecego wpływu, nie mógł znosić tych zewnętrznych objawów cierpienia, teraz jednak łzy dziewczęcia mogły płynąć za nim dla niego. Więc zapytał łagodnie:

— Dla czegoż pani płaczesz znowu?

— Ja nie wiem, odparła przez łzy.

Uśmiechnął się mimo woli z tej odpowiedzi.

— To źle panno Maryo, trzeba zawsze wiedzieć dla czego się co robi.

Co prawda Marylce nie brakowało wcale powodów do płaczu. Każde wzruszenie przywodziło na myśl wszystkie smutne okoliczności jej losu, a o szczegółowem badaniu siebie nie miała pojęcia, więc też odpowiedziała:

— Alboż nie mam czego płakać. Pan jesteś dobry i wszyscy dobrzy są dla mnie. Pomimo to jestem sierotą, rzuconą z rąk do rąk, potrzebującą miłosierdzia.

— Nie myśl tego panno Maryo, tak nie jest. A jeśli cię straszy przyszłość i zmiana, gdybyś zamiast tego chciała pozostać ze mną zawsze—ja byłbym bardzo szczęśliwy.

— Z panem! zawołała podnosząc na niego oczy jakżeż by to być mogło?

Pod tym niezmaconym wzrokiem, rumieniec wystąpił na twarz Jana.

— Prawda, powtórzył zmieszany, więc skoro sama mówisz pani że to być nie może, nie troszcz się,—nie płacz.

Był to szczególny rodzaj pociechy, nieokreślony jak powód łez dziewczyny. To też nie uspokoił ją wcale. I nie wiadomo jak długo byłaby trwała ta scena, gdyby nie przerwał jej turkot

zajeżdżającego powozu Konrada. Oboje zobaczyli go z okna.

— To po mnie, wyrzekła z rodzajem przestachu.

Odpowiedział jej milczącym skinieniem głowy. Chwila ta wydała mu się boleśniejszą niż sądził, pomimo iż oczekiwał na nią—nie był w stanie przemówić od razu.

Ona z rękami złożonemi na kolanach, ze łzami toczącemi się jeszcze po licach, zdawała się zrezygnowaną na los nieznany.

— Panno Maryo, wszak nie zapomnisz o mnie szepnął młody człowiek.

— Oh! nigdy, nigdy.

Rzucił na nią wilgotne spojrzenie i wyszedł powitać gościa swojego.

— Pan przyjechałeś po tę biedną dziewczynę, nieprawdaż, wyrzekł, spotykając go w ganku.

— Tak jest, odparł Konrad, ale pomówmy o ważniejszych rzeczach.

Rzeczywiście w tej chwili Jan zapomniał o pojedynku, zabsorbowany cały Marylką. To była dla niego sprawa najważniejsza.

— I cóż? zapytał powrócony do poczucia położenia.

— Spotkanie odbędzie się jutro rano w lesie.

— Jutro, przerwał Jan nie słuchając reszty objaśnień, które jako nie obznajomionemu z miejscowością były zupełnie obojętne, jutro tem lepiej.

— Jutro o wschodzie słońca, powtórzył Konrad, skoro inaczej być nie może. Przyjadę po pana.

— Będę czekał.

— A teraz wyrzekł znowu stary nauczyciel chciałbym poznać przyszłą towarzyszkę panny Sielskiej.

— Jest ona już przygotowaną, pójdę po nią.

Wszedł do drugiego pokoju i zapukał do drzwi Marylki, która otworzyła je zaraz. Była ubraną w ciepłą okrywkę, na głowie miała zarzuconą wełnianą chusteczkę. Słowem ukazała się Janowi tak, jak owej pamiętnej nocy, kiedy znalazł ją pod Jedlinem.

— Panno Maryo, wyrzekł drżącym głosem, wybrałaś się już, widzę to. Czekają na ciebie.

Poszła za nim pomięszana i trwożna ze spuszczone mi oczyma.

— Nie lękaj się mnie pani, wyrzekł Konrad przystępując do niej, patrz na mnie, wszak mógłbym być ojcem twoim.

Podniosła wzrok ośmielona sympatycznym brzmieniem tego głosu, i spojrzawszy na jego poważną i łagodną twarz, odzyskała trochę odwagi. Przecież nie była w stanie odpowiedzieć. I z blademi licami, z powiekami zaczerwienionemi od łez, z ramionami opuszczonemi, wyglądała jak rzecz martwa, służąca za igraszkę losom.

— Panno Maryo, wyrzekł znowu stary nauczyciel, bądź przekonaną iż wszyscy pragniemy tylko żebyś była szczęśliwą.

Ale słysząc to słowo, dziewczyna podniosła na niego wielkie, smutkiem omglone źrenice, jak gdyby nie rozumiała dobrze znaczenia tego wyrazu.

— Na teraz, zdaje się to pani trudnem, niepodobnem może, jednak zaufaj przyszłości, w twoim wieku jest lekarstwo na każde cierpienie, nie wątp o tem. Jesteś dzisiaj zmęczoną, chorą, zboleła, wiem o tem; nie żądamy też od ciebie nic oprócz trochy dobrej woli—na zaufanie zaś twoje będziemy się starali zasłużyć.

— Ja panu ufam, ja panu wierzę zupełnie, zawołała z dziecinnym wybuchem.

— Czy to nie zaprędko panno Maryo, odparł z uśmiechem trochę smutnym. Piękne słówka niczego jeszcze nie dowodzą, nie bierz ich zawsze za dobrą monetę. Bądź jednak spokojną, ani ja, ani panna Aniela nie zawiedziemy cię z pewnością.

Chciała coś odpowiedzieć, bo sposób w jaki przemawiał, rozwiązywał jej usta. Ale w tej chwili wszedł do pokoju sam Grzeźulka i powitawszy Konrada, uklonił się zdaleka Marylce.

Nie umiał on i nie lubił przemawiać do kobiet, czuł bowiem, iż szorstkość jego ranić je mogła.

— No, no wyrzekł tylko, dobrze, żeś pani już zdrowsza, mój Jan był już tak zafrasowany iż o wszystkim innem zapominał, nie wiedziałem że w potrzebie potrafi doglądać chorych jak istna siostra miłosierdzia.

Słowa te wywołały gwałtowny rumieniec na twarz Marylki, która z mieszaniną trwogi i ciekawości, przyglądała się dzierzawcy Luborza, pierwszy raz widzianemu tak zblizka. Ale co dziwniejsze rumieniec ten udzielił się Janowi,

który chcąc przerwać ten temat, lub odwrócić od siebie uwagę, wyrzekł:

— Mój ojciec to wszystko minęło, a panna Sielska stokroć lepiej od nas potrafi zaopiekować się panią i wrócić jej zdrowie i wesołość.

Dzierżawca spojrział z prawdziwym zachwytem na syna, który wszystko tak umiał zręcznie obrócić i pięknie wypowiedzieć. Konrad tymczasem zęgnął się i wyprowadziwszy Marylkę odurzoną tem wszystkim co się w koło niej działo, usadowił ją wygodnie w karecie.

Jan wybiegł za niemi.

— Do zobaczenia panno Maryo, szepnął tylko ściskając w swoich, jej rękę.

— Do zobaczenia, odparła, rzucając mu wdzięczne spojrzenie.

— Szczęśliwej drogi, zawołał Grzeżulka.

Konie ruszyły z przed ganku, unosząc ją ku nowemu życiu.

Marcin Grzeżulka przez chwilę stał patrząc za niemi wraz z synem. Myśli ich jednak musiały być różne, bo w czasie kiedy Jan gonił za Marylką tęsknym wzrokiem, ojciec odezwał się.

— No to i dobrze że pojechała, szczególnie teraz, kiedy mamy o czem innem myśleć. Pod tym względem udało nam się gładko.

I mówiąc to uderzył Jana po ramieniu.

— Cóż nam się udało, zapytał jakby ze snu zbudzony.

— Ano z tą dziewczyną, że ją wzięła panna Sielska.

— W czemże ona ci zawadzała mój ojciec, odparł z rodzajem wyrzutu.

— Albo my tam mamy czas o niej myśleć, jeszcze teraz. No cóż tam przywiózł ci pan Konrad.

— Pojedynek odbędzie się jutro.

— Jutro, już jutro?

— Tak jest mój ojciec.

Nie wyrzekł nic więcej, tylko zbronzowana twarz jego pobladła, a pod szpakowatemi wąsami wargi zadrgały wzruszeniem.

Całą tę noc Grzezułka oka nie zmrużył, krzepki jego organizm nie znający choroby nieprzywykły do moralnej troski, nie potrafił zwyciężyć niepokojem, jakim napełniało go jutrzejsze spotkanie. Przewracał się z boku na bok, wzdychał całą potęgą szerokiej piersi i zlorzeczył wszystkim bez wyjątku Żelisławskim. Chwilami zrywał się

z łóżka i zaglądał do pokoju syna, który spał spokojnie.

Jan nie miał widać na świecie żadnego wężła coby przyszedł mu na myśl w tak ważnym momencie i wymagał jakiego serdecznego słowa pożegnania.

Życie było dla niego dobrem, którem nie podzielił się z nikim dotąd. W szkołach, w uniwersytecie, w zarządzie fabryk, miał tylko towarzyszy, kolegów, podwładnych, ale nie przyjaciół. Mógł zejść ze świata niezegnany i nieplakany przez nikogo. Nie posiadał też żadnej myśli kierowniczej, żadnej umiłowanej idei, do zlecenia nikomu. Istnienie jego upływało w jałowym życiu, lub w pracy która jego samego miała na celu. Ojciec był mu jedynym związkiem. Ojciec ten kochał jednaka, to było rzeczą pewną, czy jednak syn odpłacał mu takimże uczuciem, czy związek krwi był zarazem dla niego serdecznym związkiem? niepodobna było odgadnąć.

Nad ranem dzierżawca zerwał się z posłania, ale zamiast zwyczajem swoim iść do gospodarstwa, zaczął się ciężkimi krokami przechadzać po pokoju. Było mu tu duszno i ciasno. Wreszcie gdy pierwsze smugi światła ukazały się na

wschodzie, poszedł obudzić syna, i stanął nad jego łóżkiem z lampą w ręku.

Jan miał oczy zamknięte, pierś podnosiła się równym oddechem, a usta uśmiechały się przez sen. Widok ten podziałał dziwnie na Grzeżulkę, przypomniał sobie czas, kiedy syn był w kolebce i gdy rano wychodząc z domu do ciężkiej pracy, którą żywił rodzinę, zegnał go uspięnego na dzień cały.

Jak widzieliśmy to, Grzeżulka nie był wcale czulego usposobienia, przecież na wspomnienie tego czasu, serce mu zabiło, syn był wszystkim co kochał na świecie i to jedyne dobro mógł utracić, utracić marnie od kuli Żelisławskiego.

Jan, zapewne z powodu światła bijącego mu w oczy, otworzył powieki i ujrzał ojca stojącego nad sobą. Nie trudno było odgadnąć jego uczucia. Być może iż kiedyś byłby roześmiał się, widząc go tak zapatrzonym w siebie, teraz jednak on także uczuł się wzruszonym.

— Mój ojczy, zawołał, podnosząc się na wpół, co robisz tutaj.

— To nie Janie, nie, przyszedłem cię obudzić, a ty spałeś tak dobrze.

— Więc to już czas, szepnął oglądając się w koło.

— Czas, odparł ojciec, wskazując mu okno bez okiennic i firanek, przez które zaglądały promienie światła.

Jan zerwał się na łóżku.

— Dziękuję ci mój ojczy, Żelisławski nie powinien na mnie czekać.

Zaczął się ubierać czempredzej, a Grzeżółka spoglądał na niego w milczeniu. Do głowy tłoczyły mu się okropne myśli, zdawało mu się, że raz ostatni patrzy na syna.

Tymczasem szare blaski jesiennego poranku, wciskały się do pokoju, kłócąc się ze światłem lampy, która gorzała ponuro i w obec dnia białego wydawała się żółto czerwona. Grzeżółka zapomniiał ją zagasić, jak zapominał w tym ważnym momencie o wszystkich gospodarskich czynnościach.

Obadwaj pili naprędce sporządzoną herbatę, kiedy nadjechał Konrad. Miejsce spotkania było dość odległe, nie było więc czasu do stracenia.

Jan w milczeniu uścisnął ojca, a ten ujął go krzepkimi ramionami i nie miał odwagi wypuścić z objęcia.

— Do zobaczenia, mój ojczy, szepnął, bądź spokojny, zobaczymy się jeszcze.

— Janie, zawołał z wybuchem czułości długo wstrzymywanej, pamiętaj o mnie i niechaj cię Bóg strzeże i przyprowadzi napowrót szczęśliwie.

Syn nic nie odpowiedział, on także czuł się wzruszonym. Budziły się w nim coraz nowe, nieznanne dawniej uczucia, jakby serce jego zagrzebane w popiołach życia, z martwychpowstawało mu w piersi i na nowo zaczynało uderzać.

Chwila ta, którą obrachował w dzień wyzwania tak logicznie, którą określał jako konieczne szaleństwo, co mógł przypłacić zdrowiem i życiem, ze szkodą tylko własnej indywidualności, wikłała się niespodzianie sentymentalnymi pierwiastkami, zaprzeczanymi przez niego. I rzecz dziwna, myślał teraz daleko więcej o drugich, niż o samym sobie, żał mu było tego prostego, energicznego człowieka, co go tak kochał, więcej może niż siebie, żał mu było Marylki, żał mu było tego Bożego świata, który nigdy dotąd nie pokazał mu tak wyraźnie piękności swoich, a w tej chwili skąpany chłodnymi mgłami, różowy od rubinowej łuny wschodzącego słońca, miał jakąś tajemniczą postać, wśród gry promieni łamiących się w tęczowe barwy. I myśli jego sformułowały się mimowolnym wykrzykiem.

— Nigdy nie widziałem tak cudnego poranku. Konrad spojrział na niego przenikliwym wzrokiem i odgadł może cały duchowy proces rozgrywający się w piersi towarzysza, bo odparł.

— Może nie umiałeś pan patrzeć, każdy moment w naturze ma swoją odrębną piękność, jak każda chwila może przynieść nam rozkosz właściwą, wzbogacając myśl, budząc uczucie. Chodzi o to tylko by je pochwycić, rozszerzyć granice wzroku. Czyli nauczyć się widzieć i kochać.

— Czuć, kochać, powtórzył Jan, wszak to właśnie jest przyczyną wszystkich prawie cierpień i upadków.

— Każda siła źle skierowana wieść może do zguby, czyż dlatego mamy jej się wyrzekać. Czyż nie w niej właśnie leży dźwignia świata. Minęły czasy gdy wierzono w złośliwe czynniki, wicherzące porządek zakreślony prawami natury, dziś wiemy iż są to potęgi, mogące jak wszystko tutaj nagiąć się, obrachowaniem człowieka i służyć do jego celów. Siły moralne nie różnią się od fizycznych, kto umie nimi rządzić, ten w każdym bez wyjątku położeniu, potrafi znaleźć szczęście.

Słowa te, były zupełnie nowe dla Jana i obudziły w nim szereg myśli nieznanych, otwierając

w jego duchu całe horyzonty, których istnienia nie domyślał się nawet. Może też przyszły one w danej chwili i wytłómaczyły mu psychiczne fenomeny, jakie z podziwieniem odkrywał w samym sobie. Pomimo to nie mógł się na nie zgodzić od razu, brzmiały one zbyt rażąco w obec jego dotychczasowej filozofii życia.

— Szczęście, powtórzył z wyrazem szyderstwa i cóż pan naprzykład szczęśliwego wynajdziesz dla mnie w obecnej chwili?

— Mógłbym panu odpowiedzieć, że chwila ta jest wynikiem pewnych fałszów i dysharmonii społecznych, które usunąć nie jest możliwe pojedynczemu człowiekowi, chociaż starać się o to powinien wszelkimi siłami, gdyby nie już z pobudek moralnych, to dla własnego interesu. Ale ja nie mówiłem o faktach, bo te w wielu razach wymykają się woli, mówiłem o tej skarbnicy wewnętrznych uczuć i myśli, stanowiących bezwarunkową własność naszą.

— I cóż ztąd, one modyfikują się według okoliczności i mogą stać się zarówno bólem jak pociechą.

— Bez wątpienia, tylko jest tutaj oddziaływanie wzajemne i jeśli okoliczności wpływają na ustrój wewnętrzny, pogład nasz może także je

zmienić. Rzecz każda musi mieć stron kilka, chodzi więc o to, którą uchwycimy.

— Zapewne są jednakże fakta, które nie posiadają zgoła żadnej dodatniej strony, nie zaprzeczysz pan temu. I do takich nie wahać się zaliczysz obecnej chwili. Świat ten jest piękny i cóż ztąd jeśli za minut kilka mam stracić go na zawsze. Czuję iż posiadam serce ojcowskie i cóż ztąd kiedy może przyjdzie mi je osierocić.

— Panie Janie, wyrzekł Konrad patrząc na niego przenikliwie i poważnie, uderz się w piersi czy nie teraz właśnie poznałeś całą wartość tego wszystkiego co możesz utracić. Czy kiedykolwiek uścisk ojca był ci tak drogi, czy świat Boży wydał ci się tak piękny, a życie tak pojętne jak dzisiaj. Natura ludzka jest dziwną, tylko za pomocą porównań i kontrastów ocenić możemy prawdziwą skalę tego co nas otacza i tego co nosimy w swojej własnej piersi. Czy nie tak?

— Masz pan na wszystko odpowiedź, widzę to, odparł Jan ze skrywaną goryczą, takim sposobem nieszczęście nie istniałoby na świecie, a raczej stanowiłoby tylko rodzaj aberracyi umysłowej.

— Niestety, pierwiastku tego nie podobna zanegować zupełnie, pomimo wszystkie prawa po-

stępu, rola jego na świecie pozostanie aż nadto realną.

— I cóż w końcu nazywasz pan nieszczęściem.

— Co! stratę ukochanych!

— I nic więcej?

— Nic więcej, powtórzył Konrad bez wahania, bo jest to jedyny fakt niezależny od woli naszej i nienagrodzony.

Jan byłby zapewne protestował przeciw temu zbyt arbitralnemu określeniu. Ale zbliżali się do miejsca spotkania, uwaga ich z konieczności skierowała się na mniej abstrakcyjne przedmioty.

W Luborzewskim dworze tę noc także przepędzono bezsennie. Pani Żelisławska w towarzystwie Honoraty modliła się na klęczkach odmawiając najskuteczniejsze modlitwy, jakie знаła tylko, żadnej nie pomijając. I długo przed świtem była już w kościele, gdzie zakupiła solenną wotywę, na intencję ocalenia Rajmunda. Przy niej rozpoczęła nowennę spowiedzią i komunią świętą. Honorata i w tem nie dała się wyprzedzić, troskliwość jej miłości, równała się w tym

względzie uczuciom macierzyńskiu. Nie mniej gorliwie modliła się o zdrowie i życie jego.

Białe promienie świtu zastały obie kobiety klęczące przed ołtarzem i przeraziły je jednako. Wzniosły oczy do tego nieba, co pomimo żądz i prośb ludzkich, trwało w nieubłaganej kolei zjawisk i spiesznie wyszły z kościoła zdążając na powrót do dworu.

Tutaj świeciło się już w niektórych oknach, inne znów zapalały się i gasły po kolei, świadcząc o jakimś niezwykłym wewnętrznym ruchu. Na dziedzińcu stały dwie zaprzężone bryczki, a w portretowej sali, przed ogniem kominkowym, stało kilku mężczyzn, pomiędzy którymi znajdował się i doktor Halewicz. Spodziewano się bowiem, że sprawa pomiędzy dwoma reprezentantami wrogich rodzi, nie obejdzie się bez krwi rozlewu.

Pomimo tej perspektywy, zebrane towarzystwo było bardzo wesołe, rozmawiało głośno śmiejąc się i pijąc herbatę, tak iż głosy te w sieni spotkały panią Żelisławską wracającą z kościoła i przejęły ją zgrozą, jakby usłyszała wrzawę wśród uroczystej, pogrzebowej ciszy.

Instynktownie cofnęła się odedrzwi sali i poszła do swego pokoju. Była znużona czuwaniem

przeziębła i drżąca cała, przecież nie czuła tego. Oczy jej były spragnione widoku Rajmunda, serce rwało się ku niemu. Każda chwila, którą mogła jeszcze z nim spędzić, zdawała jej się ukradzioną.

— Honorato, zawołała do starej panny, która jej nie odstępowała, idź zawołaj Rajmunda, powiedz mu żem wróciła, że czekam.

Dla Honoraty była to także uroczysta chwila. Wprawdzie Rajmund przeniwierzył się haniebnie jej nadziejom i ideałom, miłością z Marylką, przecież serce jej zawierało zapewne pomiędzy innymi bezużytecznymi cnotami, skarby przebaczenia dla ukochanego, przy obecnych ważnych okolicznościach zapomniała zupełnie o tym smutnym fakcie i młody Żelisławski podniósłszy się znowu do godności bóstwa w jej przekonaniu, zajął napowrót opustoszały ołtarz serca.

Tak jak dawniej, paliła przed nim kadzidła miłości, tak jak dawniej poświęcała mu w myśli przyszłość swoją, wspaniałomyślnie usuwając na bok epizod z Marylką.

Teraz zaś spełniając rozkaz pani Żelisławskiej, myślała o tem tylko, by zabłysnąć mu przed

oczyma jak jutrzeńka nadziei i wlać mu wzrokiem odwagę i dobrą otuchę.

W tym celu przechodząc przez swój pokój, zatrzymała się przed lustrem, poprawiła włosy, obmyła się jakąś tajemniczą wodą piękności, którą zawsze fabrykowała sama w największym sekrecie, według drogo kupionego przepisu i dopiero po tych przygotowaniach, poszła do portretowej sali, skromnie rumieniąc się i spuszczać oczy, na widok zgromadzonych.

Właśnie wybierano się w drogę i Rajmund tylko czekał na powrót matki.

Poszedł więc natychmiast za Honoratą.

— Kuzynie, wyrzekła uroczyście stara panna, zatrzymując się w pokoju, przez który przechodzić musieli.

Miała minę tak tajemniczą, iż młody człowiek spojrzał na nią zdziwiony.

— Kuzynie, szepnęła znowu, widząc że milczy uparcie, czy nie masz mi nic do powiedzenia?

— Ja, nie, odparł naiwnie, nie domyślając się bynajmniej, co przez to rozumiała

— Nawet w tak uroczystej chwili, wybuchnęła prawie ze łzami.

— Uspokój się Honorato, wyrzekł przypisując jej pomieszanie pojedynekowi tylko.

— To niepodobna.

Przez chwilę milczeli oboje, wreszcie Rajmund postąpił ku drzwiom prowadzącym do pokoju matki.

— Rajmundzie, zawołała znowu, teraz przynajmniej bądź szczerym ze mną.

— Ależ ja jestem szczerym.

— I nie powiesz mi nic, nic wcale.

— Doprawdy, nie mam co powiedzieć.

Wahała się przez moment w uczuciach swoich, byłże to heroizm lub obojętność? Ma się rozumieć jednak, miłość własna starej panny, skłoniła się ku pierwszemu przypuszczeniu. Widocznie on nie chciał okrywać ją wieczną żałobą i przykuwać do siebie niejako kiedy był w niebezpieczeństwie.

— Pojmuję cię, zawołała z entuzjazmem, pojmuję, potrafię być godną ciebie.

Rajmund miał właśnie zapytać co ten frazes znaczył, kiedy drzwi otworzyła pani Żelisławska niecierpliwą ręką, słysząc w przyległym pokoju głos syna a nie mogąc go się doczekać.

— Rajmundzie, szepnęła drżącym od wzruszenia głosem.

Pociągnęła go z sobą, objęła ramionami i tuliła do piersi, nie mogąc słowa wymówić.

Czas jakiś trwał ten milczący uścisk.

— Moja matko, wyrzekł wreszcie, czas już na mnie.

Zadrżała całym ciałem, ale nie miała siły go puścić.

— Rajmundzie, zawołała tylko, Bóg nie może mi ciebie odebrać. On ciebie strzedz i bronić będzie, zaufaj Mu, oddałam cię pod Jego opiekę.

Mówiła jeszcze — a Rajmund wyrywał się z jej rąk.

Zrozumiała iż nie powinna go zatrzymywać. Nakreśliła nad czołem jego znak krzyża i złożyła ręce, szepcąc cichą modlitwę. Dopiero kiedy drzwi zamknęły się za nim, upadła znękana na krzesło.

Więcej uczynić nie mogła, siły jej były wyczerpane.

Honorata tymczasem rzuciła się do okna i powiewała białą chustką, chociaż sygnału tego nikt nie uważał i nikt nań nie odpowiedział.

Przeciwnicy razem nieledwie zjechali się w miejscu oznaczonym i jeden i drugi nie chciał być uprzedzonym. Skłonili się sobie w milczeniu i czekali aż sekundanci odmierzą metę i broń nabiją—z tłumioną niecierpliwością, łatwą do zrozumienia w podobnych razach.

Nie było co daremnie kusić się o zgodę, postawa dwóch przeciwników świadczyła iż muszą się spotkać na ostro.

Rajmundowi, jako wyzwanemu służył wybór pistoletu, wziął bez namysłu pierwszy z podanych i stanął na swoim stanowisku. Konrad podał drugi Janowi i wskazał mu oznaczone miejsce.

Przeciwnicy skrzyżowali wzrok. Rajmund silił się okazać obojętnym i pogardliwym, jak przystało na potomka Luborzewskich, którego los zawistny postawił naprzeciw Grzezułki. Jan patrzył na niego z okiem płomiennym, z nozdrzami rozdętymi gniewem, z przyciętą wargą.

Na znak dany, obadwaj zaczęli stąpać ku sobie, powoli, ostrożnie, oko w oko, chociaż bokiem zwróceni do siebie i zasłaniając się ręką uzbrojoną w pistolet.

Od pierwszej chwili Rajmund, który tak lekceważył sobie zręczność przeciwnika, poznał iż

ma do czynienia z wprawnym szermierzem. Jednakowoż gniew jest zazwyczaj złym doradcą, Jan strzelił pierwszy, uiedochożąc do mety, Rajmund zachwiał się, ale zanim upadł, dał strzał także i obaj prawie jednocześnie padli na ręce obecnych, którzy przypadli ku nim.

Rana Rajmunda była lekka, ale Jan trafiony był w piersi i w pierwszej chwili doktor Halewicz nie mógł zaręczyć za jego życie.

Sekundanci Żelisławskiego odwieźli go opatrzonego naprędce do Luborza, a Konrad i doktor podtrzymując bezprzytomnego, ruszyli wolno jak gdyby z żałobnym konduktem.

Zaledwie wyjechali z lasu, ujrzeli bryczkę pędzącą na przeciwko co koń mógł wyskoczyć. Grzeźłka nie mogąc zmódc niepokoju, jechał na miejsce pojedynku. Spotkał wprawdzie sekundantów Żelisławskiego, wiozących go zbroszonego krwią do Luborza, ale nie przystanął i o nic nie pytał. Widok ten przeraził go zamiast dodać otuchy. Bo dla czegoż Jan ich nie wyprzedził, jeżeli cało wyszedł ze spotkania.

Na widok koni Konrada idących stępo, krew mu się ścięła w żyłach. Wyrwał lejce z rąk fur-

mana i popędził naprzód, byle prędzej zajrzeć w oczy okrutnej rzeczywistości.

Niebawem zrównał się z jadącymi na przeciw i wyskoczył z bryczki. Spojrzał na syna, którego blada głowa wspierała się na ramieniu Konrada, w czasie gdy doktor wstrzymywał ciało bezwładne i załamał ręce. Oczy jego pytające i trwożne szły od jednego do drugiego z obecnych, a drżące usta, wymówiły tylko to jedno słowo:

— Mój Jan.

Konrad milczał, jak gdyby czuł się współwinnym nieszczęścia, rozpacz Grzeźułki ciążyła nad nim.

— Mój Jan, mój Jan, powtarzał dzierżawca, nie mogąc zdobyć się na wyraźniejsze pytanie.

— A przecież nie umarł jeszcze, odezwał się szorstko doktor, którego praktyka długoletnia zahartowała na widok rozpaczki ludzkiej.

— Żyje! żyje! zawołał Grzeźułka, oddychając swobodniej i czemuż nie mówicie mi tego od razu. Mój Jan żyje! mój Jan żyć będzie.

— Powoli panie Grzeźułka, za to jeszcze zaręczyć nie mogę, ale jest nadzieja.

Tylko nadzieja, jakżeż to mało i wiele znaczy zarazem. Gdyby dziś rano, kiedy syn pełen

sił i życia, wyjeżdżał na to nieszczęsne spotkanie ktoś powiedział dzierżawcy, iż zostanie mu tylko nadzieja zachowania go przy życiu, byłby z pewnością narzekał na zły los, który go spotykał, a teraz — teraz to słowo było mu balsamem pociechy, chwycił go się jak rozbitek zbawczej koftwicy.

— Jest nadzieja, powtórzył wlepiając wzrok w mówiącego, doktorze, ratuj go, jestem bogaty, zapłacę co zechcesz, wyratuj mi go.

— A przecież i bez tego panie Grzeżułka, robi się co może, odparł Halewicz.

Jechali dalej w milczeniu, aż wreszcie stanęli w Luborzewskim folwarku. Sam ojciec z pomocą Konrada i doktora, zniósł Jana ostrożnie z bryczki jak dziecko i położył na łóżku. Nie odstąpił go ani na chwilę w czasie trudnej i niebezpiecznej operacji wyjęcia kuli. Kiedy Jan ocucony bólem otworzył oczy, ujrzał nad sobą energiczną twarz ojca, teraz tak zbladłą i zmiękkłą, że z trudnością poznać ją było można. Probował wyciągnąć ku niemu rękę, ale zbrakło mu siły.

Grzeżułka nie był w stanie porzucić łóżka syna, odstąpiła go na raz cała energia i praktyczność, zdawało mu się że jeśli odwróci się na

chwilę, lub wyjdzie z pokoju, nie zastanie już Jana żywym i patrzył na niego jak gdyby mógł miłością swoją zatrzymać ulatującego ducha.

Konrad nie mógł odstąpić go w tym stanie. Dopiero kiedy doktor strudzony poszedł obmyć ręce, wysunął się za nim.

— No i cóż, zapytał go wówczas, jak pan znajdujesz? czy rzeczywiście można mieć nadzieję?

— Jest mniej źle niż sądziłem zrazu, kula nie drasnęła płuc i jeśli nie nastąpi jaka komplikacja zapalna, której przewidzieć nie podobna, chory powinien niedługo przyjść do siebie. Trzeba mu jednak troskliwej opieki, którą ojciec pomimo najszczerzej chęci dać nie potrafi.

Słowa te powtórzone Grzeźulce, wróciły mu trochę otuchy, pozostał z doktorem, gdy tymczasem Konrad wrócił do Jedlina gdzie oczekiwano na niego niecierpliwie.

Pokoik, który w Jedlinie przygotowano dla wychowanki pani Żelisławskiej, skromny ale wygodny, świeży i biały, przedstawiał rażący kontrast z tym, jaki zajmowała w opustoszałym Luborzewskim dworze, albo w tymczasowem schronieniu u Grzeźulków. Wszystko tu było miłe i obmyślane starannie.

Marylka siedziała z głową odwróconą ku oknu z wzrokiem wyteżonym w dal i tak głęboko była zamyślona, że nie słyszała nawet skrzypnięcia drzwi, ani lekkich kroków Anieli.

Panna Sielska spoglądała na nią przez chwilę smutno, z bratniem współczuciem, bo serce jej od razu przylgnęło do tej kryształowej natury.

— Marylko, szepnęła pochylając się nad nią i obejmując wążką kibić dziewczyny, moja droga Marylko.

Nie dodała nic więcej, bo czuła że w podobnej chwili każda pociecha byłaby daremną.

Marylka też przycisnęła gorące usta do jej ręki i oblała ją łzami.

— Marylko ty jesteś w tej chwili bardzo nie-szczęśliwą.

— Nie pani, tylko lękam się, lękam się tak straszliwie, że serce we mnie zamiera. Czy pani się o to gniewa?

— Gniewać się nie mogę, tylko chciałabym żebyś była mężniejsza.

— Ja jestem mężną, zawołała Marylka i gdyby chodziło o mnie... a tutaj chodzi o drugich.

Trudno było w tej chwili rozumować z tą biedną dziewczyną. Aniela zostawiała uleczenie te-

go zranionego serca czasowi, pragnęła ukształcić tylko jej rozum, a tem samem dać jej broń, którąby sama z własnem sercem walczyć mogła. Teraz czuła iż słowa wszystkie byłyby daremne, więc wyrzekła tylko.

— Czekasz na powrót Konrada i ja tutaj z tobą czekać będę.

Szalone podejrzenie zbudziło się w tej chwili w głowie Marylki, dotąd zapominała w Jedlinie, że Aniela była kobietą, dla której porzucił ją Rajmund, że ustąpić jej go musiała. Ostatnie wyrazy wymówione przez pannę Sielską, przywiodło jej to na pamięt. Uczuła w sercu palący jad zazdrości, Aniela zapewne na równi z nią lękała się o Rajmunda, kochała go także. Przecież jej miękka i wdzięczna natura, niezdolną była do nienawiści. Podniosła głowę i wpatrywała się czas jakiś w towarzyszkę z niepojętym wyrazem. Była w niej jakaś smutna, podejrzliwa ciekawość. Oczy dziewczyny były nadto wymowne, by Aniela nie poczuła tej zmiany.

— Marylko, zawołała zdziwiona, co tobie jest?

Łagodność tego głosu oprzytomniła ją, ale podejrzenie było zbyt silne, ażeby go zwalczyć mogła.

— Marylko, powtórzyła Aniela, jakaś zła myśl przyszła ci do głowy, czy nie zechcesz mi jej powiedzieć?

Milczała zarumieniona.

— Ty masz coś przeciwko mnie.

— Pani jesteś tak dobra, szepnęła wreszcie Marylka.

— Chciałabym być dobrą, a jednak ty mnie nie kochasz, czuję to.

— Oh! nie, zawołała gwałtownie.

Powiedziawszy to jednak, zawahała się chwilę. Były w niej rzeczywiście dwa prądy, jeden ciągnął ją do Anieli, a drugi odpychał.

Panna Sielska patrzyła na nią miękko i smutnie.

— Marylko, wyrzekła, chciałabym byś widziała we mnie starszą siostrę i miała miłość i ufność siostrzaną. Ale wiem iż na to zapracować potrzeba. Będę czekać.

— Nie, nie, szepnęła dziewczyna, zwyciężona jej łagodnością, jestem szalona, zła, niewdzięczna, nie chcę nią być dłużej. Pani masz prawo kochać, być kochaną, być szczęśliwą.

— Kochać, być kochaną, powtórzyła Aniela, nie rozumiejąc jej dobrze, o kim mówisz Marylko.

— O kim, wyrzekła znowu niedowierzająco dziewczyna, nie pojmując by można kogobądź kłaść na równi z Rajmundem, o kim? dla czego pani mnie o to pytasz, kiedy wiesz sama.

Słowa te, sposób w jaki je wymówiła, otworzyły oczy Anieli.

— Marylko, wyrzekła, pojmuję ciebie i te wszystkie cierpienia, które szarpią twojem biednem sercem. Przysięgam ci na to, dręczysz się daremnie.

— Jakto pani?

— Spójrz mi w oczy Marylko i powiedz czy jestem zdolną cię zwodzić, bądź jak bądź uwierzysz mi czy nie, przysięgam ci, że nigdy nie pomyślałam o ukochanym twoim inaczej, jak o towarzyszu lat dziecińczych.

Marylka patrzyła na nią zdziwiona.

— Ale dlaczegóż pani, dlaczego? szepnęła.

— Chociażby dla tego iż kochał ciebie i rzucił. Dla mnie byłaby to dostateczna przyczyna, a przecież mam wiele innych. Dla tego że tylko dzieci oddają serca swoje bez wahania i namysłu, tylko dzieci łapią się na lep spojrzeń lub słów pieszczonych, a kobieta nie powinna być dzieckiem.

Aniela wypowiedziała to miękko ale stanowczo, a jednak słowa jej sprawiły dziwne wrażenie na Marylce. Nie wątpiła o ich prawdzie, tylko czuła się upokorzoną tem, iż lekceważono jej bóstwo, iż odrzucano jako rzecz bezcenną, to co nauczyła się czcić i kochać.

Było to bolesne uczucie, przecież panna Sielska nie starała się je złagodzić; wiedziała dobrze iż lekarstwo na lekkomyślną miłość musi być pełne goryczy i nie było w jej mocy oszczędzić go Marylce.

Wychowanka pani Żelisławskiej, myślała ze zdumieniem o tym świecie rozciągającym się po za granicami Luborzewskiego dworu, o którym dotąd nie miała najłżejszego pojęcia. Jakże tu wszystko było odmienne, ludzie, zasady, zdania i postęпки. Dwa razy już w tych dniach kilku spotkała się z podobnemże zdaniem o Rajmundzie, tylko tam wymówił je Grzeżułka, mogła ę posądzać o stronność, lub osobisty interes. Arla tych powodów nie miała, a jednak słowa , były niejako dopełnieniem słów Jana.

W sercu jej i myśli poczynał się chaos, z którego może kiedyś harmonia wyłonić się miała, tym czasem świat starych pojęć w posród jakich wzro

śła, kłócił się z nowemi, w miarę jak ludzie świeżo wmieszani w jej życie, zagarniali cierpiące serce sieroce, miłością swoją.

— Marylko, wyrzekła znowu panna Aniela, pokochać i być zmuszoną wyrwać własną ręką z piersi to słodkie uczucie, jest to największa boleść życia. A jednak cofać nam się przed nią nie wolno. Uczucia nasze, nie powinny być tego rodzaju, by się ich rozum nasz wypierał lub wstydził. Musiemy je pogodzić koniecznie i tym tylko sposobem otrzymujemy godność człowieka.

— Oh! zawołała Marylka, jak to można przestać kochać?

Na to namiętne pytanie lat szesnastu, jakże często brutalnym sposobem odpowiada życie. Ale Aniela nie chciała biednej dziewczyny zostawić na łasce tego szorstkiego i często spóźnionego mistrza, a przecież trudno jej było znaleźć tłumaczenie, zrozumiałe dla rozkochanego serca i dla tego odparła pytaniem na pytanie.

— Czy można kochać to co nie warte?

— Alboż tak jest? alboż to być może?

— Zapytaj o to samej siebie, bo nikt inny tego za ciebie rozstrzygnąć nie zdoła.

Wszystko to przychodziło już na myśl Marylce owej nocy, kiedy Rajmund raz pierwszy był w Jedlinie, a ona przywiedziona do rozpacz, wymawiała mu cierpienia swoje. Wprawdzie nastąpiło potem pojednanie, jednakże żadna myśl nawet najbardziej przelotna nie przechodzi darmo bez śladu. Marylka mimowolnie przypomniła sobie gwałtowne uczucia i gwałtowne słowa, które zostały zamienione pomiędzy nimi. Cierpiała wówczas zbyt szalenie, by analizować wrażenia własne, a przecież rozumiała dziś iż przebłyskiwało w nich to o czem mówiła Aniela. Pytanie jej było spóźnione, niestety, ona mogła już pojąć jak to się kochać przestaje, chociaż jeszcze nie zaszła tak daleko. A dzisiaj w obec niebezpieczeństwa jakie mu groziło, zdawało jej się iż nie powinna go sądzić, że to samo już stanowiło rodzaj odstępstwa. Wszystko to razem sformułowało się w myśl trapiącą ją nieustannie. Co się tam stało w miejscu spotkania, z kąd pomimo spóźnionej godziny dotąd nie dochodziły żadne wiadomości.

Serce jej biło gwałtownie, rumieniec występował na lica i schodził z nich zostawiając je blade

śmiertelnie, zimne ręce drżały w rękach Aniela a skronie pałały.

Aniela patrzyła na nią z cichą litością, gdy w bramie ukazały się konie Konrada. Machinalnym nerwowym ruchem, Marylka ścisnęła dłoń swojej towarzyszki, jakby szukając punktu oparcia, a gdy wszedł stary nauczyciel, bardziej jeszcze poważny niż zwykle, wlepiła w niego gwałtowne oczy, domagające się odpowiedzi na niesformułowane pytanie.

— Stało się nieszczęście, widzę to z twarzy panna, zawołała Aniela.

— Tak jest, rezultat pojedynku jest smutny, Żelisławski wprawdzie lekko tylko ranny.

Ręce Marylki wysunęły się z uścisku Aniela i złożyły do modlitwy dziękczynnej, on był ocablony.

Konrad mówił dalej, tym razem zwracając się do panny Sielskiej.

— Ale Grzeźułka odebrał ranę w piersi.

— Śmiertelną, szepnęła przerażona Aniela.

— Doktor Halewicz, który jest przy rannym, robi wprawdzie nadzieję, jednak nie ręczy za nic.

Po tych słowach w pokoju zapanowała cisza, a myśl Marylki uwolniona od palącej troski,

zwróciła się do Jana, z całą siłą współczucia obudzonego jego niebezpieczeństwem. Przypomniała sobie jak on był dobrym dla niej, powróciła jej do myśli ta cała długa rozmowa, pełna sprzecznych uczuć, troskliwość jaką ją otaczał w chorobie i ostatnie smutne spojrzenie, jakie na nią rzucił kiedy siedziała już w powozie z Konradem, kiedy prosiła go żeby ją odwiedzał, a on na wzajem polecał się pamięci. Miałż nie zobaczyć go nigdy więcej?

Tej myśli znieść nie była w stanie i zwyciężona sprzecznymi wzruszeniami, rozplakała się jak dziecko, sama nie wiedząc czy łzy te były łzami smutku czy radości? czy przeważało w niej szczęście z ocalenia Rajmunda, czy też trwoga o Jana.

Serce Marylki szlachetne, wspaniałomyślne, skłaniało się mimo jej woli i wiedzy ku temu co cierpiał, ku temu od którego doznała współczucia i opieki. Aniela nie pytała o nic, wiedziała że są łzy, co splakane być muszą, tylko raz jeszcze przytuliła do siebie Marylkę, szepcząc jej wyrazy zachęty, miłości, dodając odwagi. Ale Marylka nie mogła się uspokoić, czuła że w obec nie-szczęścia jakie nawiedziło dom dzierżawcy miała obowiązki do spełnienia, że łzy są daremne

objawem żalu i że zamiast płakać działać potrzeba.

— Panno Anielo, zawołała ja powinnam tam być u Grzeżułków, ja powinnam doglądać pana Jana—nieprawdaz?

Miała słusność według prostego kodeksu chrześcijańskiego miłosierdzia, chociaż myśl ta, grzeszyła przeciw wszystkim formom przyjętym powszechnie. Aniela jednak nie zgorszyła się nią wcale i znalazła że Marylka miała słusność w zasadzie, tylko że pani Jarmińska lub Konrad, towarzyszyć jej muszą.

W Luborzu, dwór i folwark przedstawiały jak zwykle rażący kontrast, z tą tylko różnicą, iż dzisiaj radość była we dworze, a smutek na folwarku. Pani Żelisławska, Honorata, Lipkowska, otaczały czułemi staraniami Rajmunda, którego rana ledwie zasługiwała na wzmiankę.

Ksiądz Kaleniec naturalnie najpierwszy zjawił się we dworze, by pokrzepić na duchu swoją dostojną penitentkę i dowieść synowi jej gorącego współczucia.

— Księżę proboszczu, wołała pana Honorata przerażona raną kuzyna, który spoczywał na kanapie i zentuzyazmowana jego bohaterstwem, patrz jak on cierpi, jak pobladł oh! ten Grzezułka straszliwie strzela.

— Dziękujmy Bogu że się na tem skończyło, On wysłuchał modłów moich, szeptała pani Żelislawska, patrząc na syna zwilżonem okiem.

— Święte słowa pani Hrabiny, odparł ksiądz, pan Rajmund szczęśliwie wyszedł z tej sprawy, nie tak jak Grzezułka, który podobno jest konający.

— Konający, powtórzyła z nieujętem wyrazem pani Żelislawska, bo chociaż religia nie pozwala cieszyć się z nieszczęścia nieprzyjaciół, niktby nie śmiał zaręczyć iż w tej chwili serce pobożnej kobiety nie sprzeciwiało się wyraźnie temu przepisowi. Uczuła zapewne z tego względu wyrzuty sumienia, bo zawołała.

— Księżę proboszczu, a gdyby on umarł, czy w obec Boga na moim synu ciężłoby zabójstwo?

Była to bardzo delikatna teologiczna kwestya, w którą Kaleniec nie miał ochoty się zapuszczać.

— Pani hrabino, wyrzekł oględnie, trzeba przyznać iż kościół najwyraźniej zakazuje poje-

dynku. Pod tym względem nie ma żadnej wątpliwości. Przecież pomimo to najbogobojniejsi ludzie niejednokrotnie zmuszeni byli do tej ostateczności. Zachodzi tu więc ważna różnica pomiędzy wyzwanym a wyzywającym i na tym ostatecznym cięży cała moralna odpowiedzialność. Wyzwany zaś chociażby nawet broń Bożą popełnił zabójstwo, takowe uważa się za obronę konieczną, więc w najgorszym razie sumienie pana Rajmunda może być spokojne.

Ma się rozumieć w tym długim wywodzie, nie było wcale mowy o tem, która właściwie strona pierwsza zawiniła, ale i w tym razie rodzina Żelisławskich uważałaby się jako bez zarzutu, bo wszakże Grzeżółka obraził wyraźnie Rajmunda samą egzystencją swoją i wizytą u panny Anieli.

A panna Honorata powtórzyła z zapalem.

— Tak jest, sumienie Rajmunda może być spokojne. Bóg dał zwycięstwo słusznej sprawie i sam stanął w jego obronie.

Mówiła to z takim przekonaniem, jak gdyby zajrzała w niebieskie wyroki osobiście. Co prawda dziwić jej się niepodobna, naśladowała w tem tylko odwieczny zwyczaj wszystkich zwycięz-

ców, którzy zawsze i wszędzie szczytli się Najwyższą opieką.

— Tak jest, pani hrabino, przytakiwał ksiądz, Pan Bóg wyraźnie opiekował się panem Rajmundem.

— Bóg ukarał pychę i zarozumienie, oraz grzechy ojcowskie na synu, dodała stara panna, jak gdy bynietylko była wtajemniczona w wyroki Opatrzności, ale jeszcze знаła dokładnie ich pobudki.

— Bóg nagroził cnoty i pobożność pani hrabiny, wołał ksiądz.

Wśród tego chóralnego hymnu dowodzącego jak dwór Luborzewskich wysoko był postawiony w niebiosach, zapomniano nieledwie o bohaterze dnia. Rajmund jednak nie obraził się wcale, gdyż znajdował się w błogiem usposobieniu, wyszedł cało z wielkiego niebezpieczeństwa i wszystko mu się uśmiechało z tego powodu.

— A ja księżę proboszczu, upomniał się tylko zartobliwie, czy to już żadnej nie mam zasługi.

— Broń Boże, tego ja nie powiedziałem, odparł ksiądz Kaleniec, tylko pamiętaj pan, że cały szereg szlachetnych i bogobojnych przodków, stoi przed tronem Najwyższego i wznosi przyczynę za ostatnim potomkiem swoim.

Frazes ten widocznie naprzód obmyślany i zastosowany do portretowej sali, stracił wiele ze swego efektu, ponieważ znajdowali się w pokoju pani Żelisławskiej. Nie mniej przecież był on dla niej bardzo przyjemny i został przyjęty ze skromną wdzięcznością.

— Nie dość na tem, ciągnął dalej zachęcony proboszcz, nie wątpię o tem iż zasługi przodków, wyjednają panu Rajmundowi nadal świetną przyszłość i żywot szczęśliwy.

— Oby sprawdziły się twoje słowa księżę proboszczu, zawołała rozrzewniona matka.

— Nie wątp o tem pani hrabino, co do mnie nawet smutny dzisiejszy wypadek, uważam za wstęp do zmian pomyślnych.

— A to jakim sposobem.

— Niepodobna pani hrabino, ażeby panna Sielska okazała się nieczułą dla człowieka, co dla niej życie naraził. A jednocześnie, usunięcie Jana Grzeźułki...

— Przecież mój syn nie mógł rywalizować z Grzeźułką, przerwała gwałtownie pani domu.

Ksiądz zrozumiał popełnioną niezręczność i cofnął się w porę.

— Któżby o tem myślał pani hrabino. Jednakowoż nie można wątpić iż Grzezułka lub syn jego, staraliby się w tym względzie stawiać wszelkie możliwe przeszkody. Ja o tem mówiłem. A dziś Bóg ich obezwładnił.

— Czyż rzeczywiście mój przeciwnik jest w tak wielkiem niebezpieczeństwie, spytał Rajmund.

— Tak mówią, nie byłem tam, chociaż jest to moim obowiązkiem, trzebaby przynajmniej ratować duszę. Ja jednak musiałem wprzód uspokoić się co do pana.

Tym sposobem ksiądz Kaleniec zapewniał sobie odwrót i z góry usprawiedliwiał się z czasu, jaki miał zamiar zabawić w folwarku. Nawet pani Żelisławska jako gorliwa katoliczka, nagliła go w tym względzie.

— Księżę proboszczu, zawołała niespokojnie, idź tam natychmiast, nie darowałabym sobie nigdy, gdyby ten nieszczęśliwy, ginący z ręki mego syna, umarł bez duchowej pomocy, to byłoby okropne.

— Słusznie, pani hrabina przypomina mi obowiązek, odparł proboszcz powstając, idę tam, idę z sercem uspokojonem.

Rzeczywiście podążył ku folwarkowi. W miarę jednak jak się ku niemu przybliżał, fizyognomia jego traciła wyraz radosny i przyoblekała się w smutek stosowny do okoliczności. W dworcu dzierżawcy panowała głucha cisza, okna przysłonięte na prędcy płachtami, by nie raziły światłem wzroku chorego, nadawały prócz tego izbom coś okropnie ponurego.

Jan leżał w tym samym alkierzyku, gdzie kilka dni temu spoczywała Marylka, na tymże łóżku, ojciec siedział przy nim, wpatrzony w najłżejszą zmianę ukochanej twarzy, a doktor spoczywał na sofie.

Od kilku dni Grzeżółka, zupełnie zapomniał o swoich zwykłych zatrudnieniach, klucze piastowane przez niego starannie, dostały się w ręce gumiennych, Kaśka sama wybierała ze spiżarni i robiła co chciała, tak samo jak folwarczni parobcy.

Symptomata te zaraz na wstępie uderzyły bystre oko księdza Kęleńca. Wszedł więc cicho na palcach, minął uspionego doktora i doszedł aż do gospodarza domu.

Ale Grzeżółka nie był wcale w rozmownem usposobieniu i zaledwie kiwnął głową gościowi.

Ten jednak niezrażony przystąpił do niego, ścisnął za rękę i zaczął mówić zniżonym głosem, z wyrazem szczerego współczucia.

— Spotkało was nieszczęście panie Marcinie.

Dzierżawca nie lubił skarg ani ubolewań, szorstka jego natura, zamykała się w sobie w chwilach cierpienia. Więc odparł tylko przez zaciśnięte zęby.

— Oj nieszczęście, nieszczęście, bodaj oni przepadli.

— At! nie przeklinajcie panie Marcinie, jeszcze w takiej chwili któż tu winien.

— Kto zawołał Grzeżułka, ściskając pięście, a któżby jak nie ten ród przeklęty. Mówiąc to bezwiednie głos podnosił i wzrok zwracał ku szczytom dachu Lnborzewskiego dworu, które pomiędzy drzewami ogołoconemi z liści, widniały przez szparę zostawioną w oknie.

Ale w tejże chwili umilkł nagle, spostrzegłszy jakieś bolesne drgnienie w twarzy syna.

— Ot księżę Piotrze, szepnął po chwili, patrz co oni zrobili memu dziecku.

Książk Kaleniec dyplomatycznie potrząsał głową.

— Cóż chcecie panie Marcinie, młodzi zawsze młodemi, wina to Rajmunda nie przeczę, ale i wasz Jan w gorącej wodzie kąpany.

— Miał może pozwolić by natrzęsali się z niego, wybuchnął dzierzawca. Więc drugie już pokolenie ma nienawidzić się jak to czynili ich ojcowie, chociaż jedna krew płynie w ich żyłach.

— Nieszczęście panie Marcinie, widzicie sami gdzie prowadzi ta wasza fatalna zemsta.

Były to bardzo hazardowne słowa i w każdej innej chwili zapewne Grzeżółka byłby na nie odpowiadał energicznie. Teraz jednak był on złamany cierpieniem i niepokojem, nie skarcił więc księdza Kaleńca, nie zauważył może nawet nauki, jaką mu dawał i mruknął tylko.

— Ha! żeby mi go zabili, przysięgam nie zostawiłbym kamienia na kamieniu w tem ich przekletem gnieździe. I po co ja go tutaj sprowadziłem.

— No i cóż robić panie Marcinie, nikt nie może przewidzieć przyszłości, inaczej dużo rzeczy wypadłoby inaczej niż jest. Wasz Jan młody i silny, da Bóg nic mu nie będzie.

— O! zawołał z dziką energią Grzeżółka, ja nie dam mu umrzeć, poszlę po doktorów do War-

szawy, do Berlina, do Paryża gdyby to było potrzebne.

Proboszcz ruszył nieznacznie ramionami, bo szalona mowa dzierżawcy zasługiwała na to, ale po chwili wyrzekł:

— Bądźcie tylko spokojni panie Marcinie, wiadać, że nie ma nic złego, skoro Halewicz śpi w najlepsze, już ja go znam, onby tego nie zrobił żeby miał jaką obawę.

— Ha, niechaj śpi, ja go ztąd nie wypuszczę póki mój Jan nie będzie na nogach.

— Ależ nie podółacie sami go pilnować panie Marcinie, z takiej rany w najlepszym razie prędko się nie wychodzi, trzeba by wam kogoś do pomocy.

— A na kogóżbym ja się spuścił, fuknął dzierżawca, czy na Kaśkę niezdarę, lub może na którego parobczaka, albo to ja ich nie znam. Nie ma co o tem myśleć księżu Piotrze.

— Ja też nic o nich nie mówiłem.

— A o kimże? nie, nie, ja mego Jana nie powierzę najemnym staraniom.

Proboszcz nie nalegał, bo rzeczywiście nie miał w tem żadnego planu, ani interesu i mówił tylko ażeby okazać swoje dobre chęci. Sam też nie my-

ślał ofiarować swojej pomocy, bo to już wkraczało w sferę poświęceń, do których nie czuł żadnego pociągu.

Zamyślał więc jaknajprędzej opuścić ten osmucony dworek, gdzie nie mógł się w tej chwili spodziewać żadnej przyjemności ani korzyści, kiedy turkot i kroki jakieś, dały się słyszeć w przyległym pokoju. Drzwi nie były zamknięte, wszedł Konrad, a za nim nieśmiała, zarumieniona i drżąca cała, wsunęła się Marylka.

— Ha, wyrzekł proboszcz, na w pół szyderczo, spoglądając na wychowanekę pani Żelisławskiej, widzę, że w samą porę zjawia wam się pomoc panie Marcynie.

— Rzeczywiście, odezwał się Konrad, pan Grzeżułka nie wie jak chorych pielęgnować i nie podoła temu, przychodzimy mu z pomocą, czy ksiądz proboszcz masz co przeciwko temu?

Tak zagađnięty ksiądz Kaleniec, znalazł się w nieco przykrem położeniu, nie podobna bowiem było mu ganić tego, co według świata za wcale niestosowne uważał.

— Ja broń Boże, wyrzekł oględnie, spoglądając surowo na Marylkę, tembardziej, że panna

Maryanna porzuciwszy dom pani hrabiny, wcale nie pytała się o moje zdanie.

Proboszcz wszczynał tutaj niewłaściwą kwestyę, słowa jego jednak utonęły w powszechnem zamieszaniu. Dzierżawca dziękował ze łzami w oczach Konradowi, a i Marylkę przywitał serdecznie. Ona też od razu zdjęła kapelusz, okrycie, położyła je w kąciku i nie mówiąc słowa, krzątała się cicho i zręcznie koło chorego, według wskazówek doktora, który zbudzony po kilkogodzinnej przerwie, badał jego puls.

Jan znajdował się w stanie prostracyi, następującym często po wielkiej utracie krwi i bolesnej operacyi, leżał nieruchomy, z oczyma przymkniętymi, obojętny dotąd na wszystko co działo się w koło. Nie zbudziła go z tego stanu rozmowa ojca z proboszczem, prowadzona półgłosem. Teraz dopiero słysząc ruch niezwykły, odchylił ociężałe powieki. I wzrok jego zatrzymał się na Marylce z cichym zachwytem. Lękał się czy to nie senne widziadło ludziło go jej obrazem.

— Panno Maryo, szepnął zaledwie słyszalnym głosem, wszak to ty jesteś, ty przy mnie.

Położyła palec na ustach, nakazując mu milczenie bo taki był rozkaz doktora, ale uśmiech-

nęła się do niego smutnie i przyjaźnie i zajęła opróżnione miejsce przy jego łóżku.

Był jej posłuszny, zamilkł, tylko oczy pozostały w nią wlepione. Od tej chwili dworek dzierzawcy przybrał inną postać, wszystko w niem skierowane było tylko do jednego celu. Ranny skazany na bezwładność i milczenie, był jego duszą. Obecni rozebrali pomiędzy siebie godziny snu i czuwania, a doktor Halewicz nieodstępny, kierował niemi. Grzeżułka powiedział prawdę, niczego nie żałował, niczego nie szczędził, on zwykle tak skąpy dla siebie, okazywał się w tych smutnych okolicznościach szczodrobliwym nad wyraz.

Tak upływały dni, jednostajnie na pozór, ale odznaczone zatrważającymi lub uspakajającymi symptomatami. Konrad z Marylką przyjeżdżali do Luborza z regularnością zegarka, by zostawić czas do spoczynku Grzeżułce i odjeżdżali gdy w ich miejsce zajmował. Ksiądz Kaleniec zjawiał się tylko w rozmaitych godzinach na folwarku, zapytywał o chorego, zasięgał języka i jaknajspieszniej niósł do dworu zebrane wiadomości.

Lekka rana Rajmunda, zagoiła się szybko, we dworze wszystko powróciło do normalnego stanu. Pozostała tylko w zawieszeniu kwestya Jedlina i matrymonialnych zamiarów pani Żelisławskiej dla syna. Z kwestyą tą łączyło się tyle przykrych okoliczności, iż instynktownie oboje unikali jej przez czas jakiś. Tak jednak zawsze pozostać nie mogło. Pojedynek, który absorbował dotąd wszystkie myśli mieszkańców Luborza, nic a nic nie zmienił istniejącego stanu rzeczy, ani groźby ostatecznej ruiny, zawieszanej nad niemi. Przeciwnie należało sądzić, iż pojedynek ten zaognił jeszcze więcej, gdyby to być mogło, stosunek dwóch wrogich rodzin.

O Marylce zapomniano bardzo prędko w starym dworze. Matka i syn nie lubili o niej myśleć, może dla tego iż pomimo wszystkie sofizmaty, jakimi każde z osobna tłómaczyło się przed samem sobą, czuli oboje iż wyrządzili jej krzywdę. Teraz zaś postępowanie biednej dziewczyny którego pobudki zupełnie tutaj były niezrozumiałe, ściągnęły na nią zarzut niewdzięczności. Tak łatwo i wygodnie jest zasłaniać się cudzą winą, w obec wyrzutów własnego sumienia.

Bądź jak bądź w głębi serca swojego, tak pani Żelisławska jak i Rajmund, nazwali Marylkę niewdzięczną; wyrok to był nieodwołalny i stłumił resztki uczuć jakie jeszcze tlić mogły w pierś młodego człowieka. Jakiśmy to widzieli piękna i rozkochana wychowanka, w której chciał znaleźć cacko, tylko znudziła go szybko miłością swoją.

Jawnym powodem dowodzącym niewdzięczności Marylki, były starania jakimi otaczała Jana, prawdziwym jednak i nierównie bardziej niepokojącym dla Żelisławskich, był pobyt jej u panny Sielskiej.

Jak dalece panna Aniela mogła być zawiadomioną o miłostce Rajmunda, co spowodowało ją dać schronienie wychowance; były to kwestye nad którymi matka i syn zastanawiali się daremnie. A przecież rozwiązanie ich było rzeczą ważną, rzeczą od której zależała niejako cała przyszłość Rajmunda.

Z początku problemat ten stawał wyraźnie w jego myśli, powoli jednak zacierało się pierwsze wrażenie minionych faktów. Bo i dla czegoż wreszcie panna Sielska miała troskać się o podobne rzeczy, czyż tak błacha okoliczność, mogła-

by stanąć na przeszkodzie małżeństwu tak dogodnemu dla stron obydwóch. Czyż wreszcie Rajmund, narażając się na pojedynek dla pięknych oczów Anieli, nie złożył dostatecznych dowodów rycerskiej miłości. Bo przecież dla tego tylko tak uparcie zaczepiał Jana, iż spotkał go właśnie w jej domu, iż mógł mu przypisywać też same zamiary.

Wszystko to układało się bardzo łatwo w myśli Rajmunda, kiedy jednak zamiary te przyszło w czyn wprowadzić i kiedy po dwutygodniowej niebytności jechał znowu drogą Jedlińską, trapiło go tysiące niepokojów, odbierając mu wiele ze zwykłej pewności.

Zrzucając futro w przedpokoju, przejrzał się w lustrze tam wiszącym i machinalnie poprawił włosy.

Czy to z powodu rany, czy też wzruszenia którego rozumowanie żadne ukoić nie mogło, był on bledszym niż zwykle. Ale przy jego czarnych oczach i ogorzałej cerze, musiał przyznać sam, że było mu z tem bardzo do twarzy i nadawało mu bardziej jeszcze interesujący pozór. To powinno było usposobić korzystnie dla niego bogatą i piękną dziedziczkę Jedlina. Uśmiechnął się więc

z pewnem zadowoleniem do swego obrazu i wszedł do salonu tem śmieiej, iż wiedział że Konrad z Marylką znajdował się właśnie w Luborzu.

Panna Aniela była sama w salonie, z powodu jakiejś lekkiej słabości swojej towarzyszki. Okoliczność ta wydała się dobrą wróżbą Rajmundowi, który sądził może, iż będąc sam na sam, łatwiej potrafi przemówić do tego serca, uzbrojonego całym chłodem rozumowania i zniszczyć tę nieprzepartą granicę, jaką Aniela pomimo całej uprzejmości i swobody obejścia, oddzielała się od natrętnych uczuć. Dotąd bowiem nie dostrzegł jeszcze, że granica ta leżała nie w otaczających, ale w niej samej.

Panna Aniela siedziała sama w salonie na zwykłym miejscu, przy okrągłym stoliku. Widocznie urządziła się na cały wieczór samotności, przed nią leżała jakaś gruba książka, której sam format zdradzał treść naukową, przy fortepianie były zapalone świece i jakaś poważna partycya rozłożona na pulpicie.

Wszystko to było straszliwie surowe, nie w taki sposób Rajmund lubił sobie wyobrazać piękną kobietę. Czyż ona nie powinna była siedzieć rozmarzona, trzymając w ręku co najwyżej jedną

z tych lekkich powieści w różowej lub błękitnej okładce, co drażnią serce i pobudzają wyobraźnię, a zarazem dostarczają wątku do nieskończonych sentymentalnych dysgresyi.

Aniela zaś nie zdawała się wcale skłonną do marzenia, z czołem wspartem na rękę czytała z uwagą a piękna linia jej profilu, rysowała się wyraźnie w całym surowym wdzięku. Ubiór jej także chociaż nierażący oka, odznaczał się skromnością barwy, kroju i brakiem ozdób, graniczącym nieledwie z purytanizmem. A jednak przewodniczył jej widać tak wysoki zmysł arystokratyczny, iż można było ją posądzić w tym względzie o wyrafinowaną kokieterę, tak doskonale strój i układ włosów harmonizował z rodzajem jej piękności.

Wszystko to jednak nie zachwycało Rajmunda, który myślał w duchu, że jeżeli ożeni się z panną Sielską, wiele rzeczy w niej zaraz odmienić musi.

Słyszac otwierające się drzwi, Aniela z wolna odwróciła głowę, a ujrawszy wchodzącego, wlepiła w niego poważne spojrzenie, z wyrazem pewnego zdziwienia.

Spojrzenie to przejęło go chłodem, przecież cofnąć się nie mógł i przystąpił do niej z tą wyszu-

kaną grzesznością, pod którą świat tak często skrywa lekceważenie i tyle innych uczuć.

— Pani, wyrzekł oddając jej głęboki pokłon, pierwszą wizytą moją po powrocie do zdrowia jest Jedlin, był on przez te dwa tygodnie moją stałą myślą i największą troską.

— Troską, powtórzyła Aniela, nie rozumiejąc do czego zmierzał.

— Tak jest, czułem iż zasłużyłem na twój gniew pani, wiedziałem z jaką troskliwością osoby twego otoczenia były dla mego przeciwnika i dla tego było mi tak pilno wytłómaczyć się, iż nie czekałem nawet zupełnego powrotu sił, ażeby się tu stawić.

— Nie potrzebujesz się pan tłómaczyć wcale.

— Jakto, alboż pani mnie nie osądziła? alboż ja tego nie czuję, a jednak winowajców nawet nie potępiają bez wysłuchania.

— Mylisz się pan, ja nigdy nie potępiam nikogo, tylko przyznaję to, sympatye moje były za stroną niesłusznie obrażoną i pokazywałam to jawnie.

— Niestety pani, aż nadto jawnie.

— Nadto, powtórzyła obrażona tem wyrażeniem, co chcesz pan powiedzieć.

Rajmund zbadawszy wprawnym okiem położenie, ważył się na wiele, zrozumiał bowiem, iż nie wyjdzie zeń za pomocą zwyczajnych środków i nie mogąc inaczej, zdecydował się na stanowczy krok. Dla tego też wyrzekł próbując magnetyzować ją smutnem spojrzeniem.

— Czy pozwolisz mi pani być szczerym?

— Dla czegożby nie, sędzę, iż szczerłość pana nie ma nic obrażającego dla mnie.

— Pani, ten coby cię mógł obrazić, byłby szaleńcem i nieszczęśliwym.

— A jednak pan mnie obraziłeś.

— Ja pani?

— Tak, pan, obrażając w moim domu mojego gościa. Jakiegokolwiek istniały pomiędzy panami stosunki, zatargi lub nienawiści, nie powinienes pan był nigdy o tem zapominać.

Aniela mówiła to z żywością i powagą razem, a Rajmund słuchał ją ze spuszczoneń czołem, ni-by przejęty głęboką skruchą. Wolał iż kwestya była postawioną wyraźnie, zostawiało mu to pole do usprawiedliwienia, które zamierzał na swoją korzyść obrócić.

— Masz pani słusznosc, wyrzekł modulując głos na nutę smętnego poddania, tak jest, masz pani słusznosc z pozoru. A jednak...

Zatrzymał się dyskretnie, czekając zachęty, ale Aniela patrzyła wprost w oczy jego i milczała, zostawiając mu czas dalszego tłumaczenia.

— Przyznaję z góry, iż zawiniłem, mówił dalej, a jednak czyż pani nie wiesz, że są uczucia, co mogą człowieka wytrącić z kolei właściwej? pani co wszystko pojąć jesteś zdolną, czy nie masz dla nich przebaczenia?

W tej chwili oczekiwał tylko rumieńca lub spojrzenia zachęty, by uklęknąć przed nią i wyświadczyć to, co nazywał uczuciem swego serca. Trzeba nawet przyznać, iż w tej chwili przyszłoby mu to z łatwością i bez zbytniego wysilenia umysłu. Rajmund był miękkiego serca, znajdował się sam na sam z piękną kobietą, a szlachetny wdzięk Anieli mógł zawrócić mu głowę. Dość że gdyby teraz wypadło mu powiedzieć *kocham*, uczyniłby to z głębokim przekonaniem iż mówi prawdę. Ale Aniela nie zachęciła go niczem, tylko wlepiła w niego głębokie, badawcze spojrzenie, bez cienia kokieteryi ani wahania i odparła.

— Przepraszam pana, nie zgadzam się zupełnie na tę piękną teorię, która wszystkie wybryki usprawiedliwiać może. Człowiek powinien zapanować nad sobą zawsze i wszędzie.

— Powinien, powtórzył Rajmund, coraz bardziej podrażniony postawą tej dziewczyny, której logika niweczyła tak niemiłosiernie jego pięknie brzmiące frazesa i zmuszała go ciągle zmieniać taktykę. Gdyby człowiek zawsze zapanował nad sobą, byłby doskonałym.

Aniela wstrząsnęła głową.

— Nie byłoby to jeszcze wcale doskonałością. Rajmund nie myślał się z nią wdawać w dysputę w tym względzie, gdyż nie miał żadnej szansy wyjść z niej zwycięsko i dla tego wyrzekł kierując znów rozmowę na sentymentalne pole.

— Widzę to, pani jesteś bez miłosierdzia.

Uśmiechnęła się mimowolnie z tego patetycznego wykrzyknika.

— Nie mówiliśmy o miłosierdziu, odparła, tylko o obowiązkach.

— Ah, pani miłosierdzie, obowiązki, uczucia i myśli, wszystko to w niektórych chwilach, miesza się w chaos nierozwikłany.

Tego już w żaden sposób zrozumieć nie mogła.

— I dla czegoż to? zapytała.

— Pani się o to pytasz, zawołał chwytając się tego słowa, niby nici Aryadny co doprowadzić go mogła do celu, w jednej z chwil takich spotkałem tutaj Grzeżułkę. Bo czyż mogłem spokojnie widzieć go tutaj przy pani, zniesć to że śmiał patrzeć na panią, że śmiał przemawiać, że, że może w końcu śmiał nawet myśleć o tobie.

Aniela patrzała na niego oczyma, w których zwolna zapalał się płomień oburzenia, nadając im nową niezwalczoną piękność.

— I jakimże prawem, wyrzekła podnosząc dumnie głowę, pan chciałeś mu tego zabronić, jakim prawem podejrywałeś jego zamiary i chciałeś stawać w mojej obronie. Możesz pan być spokojny, ja sama bronić się potrafię i nie przyznaję nikomu żadnej władzy nad sobą.

Rajmund stanął olśniony iskrami ciskanemi przez te spokojne zamysłone zwykle oczy, nigdy dotąd Aniela nie wydała mu się tak cudną, tak ponętą. Zapomniał w tej chwili że ma przed sobą bogatą dziedziczkę co miała ocalić Luborz i wydzwignąć go z nędzy, widział tylko kobietę, którą chciał pozyskać. Zapomniał zupełnie o przezorności, używanej w podobnie drażliwych

momentach. Należało naprzód zbadać grunt na jakim się stąpa i dopiero wówczas wynurzyć swoje uczucia, kiedy można być pewnym ich przyjęcia. On zaś rzucił się na oślep, nie pytając co dalej będzie.

— Jakim prawem, zawołał, prawem człowieka, który panią kocha, który pragnie ci poświęcić życie całe, byleś je przyjąć raczyła.

Panna Aniela cofnęła się o krok jeden i zmierzyla go takim spojrzeniem, iż spuścił przed nią oczy jak zawstydzone dziecko, nie wiedział co począć, nie wiedział co powiedzieć, zamknął za sobą drogę odwrotu.

Czas jakiś trwało milczenie, ona przerwała je wreszcie.

— Panie Żelisławski, wyrzekła głosem, w którym nie posłyszał najmniejszego drgnienia, dzisiaj widzimy się po raz trzeci, nieprawdaż?

— Tak jest pani, szepnął Rajmund.

— Pan nic nie wiesz o mojem życiu, pojęciach, ideach, o moich myślach i uczuciach.

— Wiem to że pani jesteś piękna, dobra, i szlachetna

Uśmiechnęła się z nieujętym wyrazem.

— Tak się panu za ledwie zdawać może, zresztą tak powiedzieć wypada koniecznie.

— Ależ wierz mi pani, wierz.

— Nie mam żadnego powodu wierzyć panu, ani pan mnie, wyrzekła krótko, znamy się na to zbyt mało oboje; zresztą mówmy na seryo, odkładając na bok konwencyonalne frazesa, bo te do niczego nie prowadzą.

— Pani możesz mi nie wierzyć, zawołał Rajmund do żywego dotknięty obojętnością Anieli, jednak przysięgam pani, mówiłem prawdę.

— Nie przysięgaj pan, wiem że jest przyjętem na świecie szafować słowem, sercem, uczuciem i dlatego może nie potępiam pana bezwarunkowo, tylko ostrzegam, ja także znam się na frazesach i przyjmuję je w wartości właściwej.

— Pani jesteś tak młodą, któż cię mógł nauczyć nieufności, wyrzekł znowu Rajmund, nie mogąc zapomnieć tych rutynicznych wyrażen, które gwałtem cisnęły mu się na usta.

Tym razem ściągnęła brwi z wyrazem niecierpliwości.

— Więc dla tego iż jestem młodą, sądzisz pan iż powinnam brać liczmany za złoto.

— Nie pani, sędzę tylko iż możesz uwierzyć w uczucia, co z pewnością goszczą w twojej piersi.

— Jeszcze raz mówmy na seryo, pan mnie nie znasz, nie znasz moich uczuć i sądzić o nich nie możesz. Inaczej nie przemawiałbyś do mnie w ten sposób.

— Nie pojmuję w czem mowa moja obraża panią. Masz pani prawo mnie odrzucić, ale wierzyć mi powinnaś.

— Pan nie pojmujesz czem mnie pan obrażasz, zawołała, doprawdy pan nie pojmujesz tego. Ależ to jasne jak dzień. Jako, przyjechałeś pan tutaj ze stałem postanowieniem oświadczenia mi uczuć i zamiarów, które byłyby może bardzo dla mnie zaszczytne, gdybym czemkolwiek wzbudzić je w panu mogła. Widzieliśmy się tylko przelotnie tak mało, iż to zaledwie wystarcza do poznania koloru włosów lub oczów. Czyż to nie dowodzi mi aż nadto wyraźnie, iż jestem dla pana pierwszą lepszą, iż masz pan na zbyciu swoje serce i osobę, skoro tak od razu ofiarować je możesz, albo też iż wybór pański winnam postronnym okolicznościom, nie mającym nic wspólnego z przymiotami, jakimi mnie z góry wspaniało-

myślnie obdarzasz. Jak ja mam o tem sądzić? jak chcesz pan bym mogła ci odpowiedzieć inaczej, jak szyderstwem i oburzeniem.

Mówiąc te gwałtowne słowa, przechadzała się po pokoju i rzucała mu je po kolei, z akcentem obrażonej godności.

— Albo też dodała po chwili, znalazłszy mnie samą, sądziłeś pan iż wypada ci w ten sposób zużytkować wieczór, który nie potrafisz może zapłacić inaczej. I powtarzasz mi pan to co powtarzałeś już innym, co nadal powtarzać zamierzasz.

— Pani, zawołał Rajmund, który pomimo wszystko, patrzył na nią zachwycony, chwila ta ma dla mnie zbyt wiele goryczy, nie dodawaj do niej jeszcze okrutnej igraszki, nie spotwarzaj mnie.

— Nie, to nie potwarz, to prawda, tego przy najmniej nie będziesz mi pan śmiały zaprzeczać.

Stanęła przed nim wymawiając te słowa i mierzyła go od stóp do głowy piorunującym spojrzeniem. Rajmund zrozumiał iż grunt usuwa mu się pod nogami, pojął do czego zmierzała.

— Zapewne mówiła dalej Aniela, z nieskrywaną goryczą, cóż znaczy biedna dziewczyna, sierota, alboż ona wchodzi w rachunek, alboż słowa do niej zwrócone mają znaczenie. Słowo ulata, szale-

ni tylko polegać na niem mogą. Marylka mogła być tak szaloną panie Żelisławski, ja nią nie jestem, wiem co panem powoduje i mam odwagę powiedzieć ci to w oczy.

— Pani, szepnął Rajmund blady od wzruszeń, przestań przez litość.

— Dla czegoż mam być litościwszą od pana, dla czego nie mam nazwać prawdziwem imieniem hańbiących czynów.

— Hańbiących, powtórzył za ledwie słyszalnym głosem, ja na to nie zasłużyłem.

— Oh! uspokój się pan, one są hańbiące tylko w mojem przekonaniu, świat jest pełen pobłażania dla podobnych rzeczy. I cóż to złego, że sam zrujnowany, niezdolny do żadnej pożytecznej pracy, będąc ciężarem sobie i drugim, szukałeś pan nie żony, nie towarzyszkę życia, ale majątku tylko i cóż złego żeś porzucił nieszczęśliwą dziewczynę, którą bawiłeś się czas jakiś, dla materialnych korzyści, jakie przedstawiała ci inna. To rzecz arcy zwyczajna, to dzieje się codziennie, tak postępują ludzie arcy porządni, ludzie szanowani przez ogół, ludzie bez zarzutu. A jeśli gdzieś gdzie ozwą się potępiające głosy, będą to głosy wołających na puszcy, one nie przerobią opinii

ogólnej nie przeszkodzą panu znaleźć według potrzeby bogatej żony. Tylko ja tą żoną nie będę. Świat może pana poważać, ale ja, ja panem gardzę.

Stłumiony okrzyk oburzenia i zgrozy wyrwał się z piersi Rajmunda, był śmiertelnie blady. Każde słowo wymówione przez Anielę, policzkowało go moralnie. Zarzutów jej nie mógł odeprzeć, fakta podnosiły się przeciw niemu, pokazywały mu się w całej swej ohydnej nagości, a jednak nie czuł się tak winnym jak ona sądziła. Rzucił się naprzód, jakby dotknięty gorącym żelazem, zapominając kto do niego mówił, czując tylko obelgę, którą chciał odeprzeć jakim bądź sposobem i spotkał się oko w oko z Anielą, co dumna, wyprostowana, szydercza, mierzyła go nieubłaganem spojrzeniem.

— Ha! zawołał nieprzytomny prawie, pani możesz mi wszystko powiedzieć bezkarnie,—jesteś kobietą.

Wzruszenie jego było zbyt gwałtowne, pochwycił krzesło i wsparł się na niem oburącz, bo czuł że mu sił brakowało, że krew zalewała mu oczy, a nie chciał upaść przy jej nogach. Zbyt wcześnie naraził się na straszne męczarnie tej chwili, któ-

ra kruszyła wprost dumę jego i zdzierąła bez miłosierdzia maskę szlachetnych uczuć, jaką przywdziewał we własnych oczach. Nie miał już nic do powiedzenia tej kobiecie co obraziła go śmiertelnie, a jednak niepodobna mu było wyjść ztąd, pod wrażeniem tej pogardy jawnie wypowiedzianej. Jakim bądź sposobem, musiał podnieść się w jej przekonaniu.

Patrząc na niego, Aniela zrozumiała że zaszła zbyt daleko, prawda doznawanych uczuć, wybiła wyraźnie na twarz Rajmunda i wzbudziła w niej rodzaj litości dla tej moralnej nędzy, nieświadomej sobie, więc wyrzekła łagodniej:

— Czemuż zmusiłeś mnie pan, bym powiedziała to wszystko.

W położeniu, w jakim znajdował się Rajmund, słowa te wydały mu się nową obelgą, krew uderzyła mu do czoła.

— Czy pani wypowiedziałaś je lub nie, wyrzekł zaledwie słyszalnym głosem, dość dla mnie żeś je pomyśleć mogła.

— To trudno, ludzie mogą wymagać, by słowa były oględne, ale myśli idą wprost do czynów i sądzą je.

Ona mogła litować się nad jego stanem, jednak nie zmieniała swojego zdania, nie cofała słów wypowiedzianych. Rajmund załamał ręce w bezsilnej wściekłości.

— A pani, zawołał, pani czy możesz być pewną sądów swoich, czy będziesz śmiała przysiąc, że przywiódł mnie tutaj twój majątek tylko, patrz pani, czy nie jesteś dość piękną, dość młodą, by wzbudzić prawdziwe uczucie.

Mówił zapewne to co czuł w tej chwili, tylko na nieszczęście zapomniał o tem co było i Aniela przypomniała mu to bez miłosierdzia.

— Marylka była równie piękna.

— Marylka, powtórzył, przywiedziony do ostateczności, a więc tak jest, przyznaję, zbłądziłem, ale któż jest na świecie bez błędu. Jeśli szukasz pani człowieka, któryby nigdy nie popełnił winy podobnej, życzę ażebyś go znalazła. O mnie nie ma mowy, jestem potępiony, zgubiony bezpowrotnie w oczach pani, wiem o tem. Przypadek lub podstęp walczy przeciwko mnie, a jednak przysięgam, nie czuję się gorszym od wielu innych, którzy mogą drapować się bezkarnie w szatę nieskazitelności.

— Tu nie ma przypadku ani podstępu— są fakta.

— Fakta i fakta, zawołał z rozpaczą, powtarzasz mi pani jedno niezmordowanie. Nie będę się bronił, to byłoby daremnie, odrzuciłaś mnie, miałaś prawo to uczynić, ale ja nie chcę unieść ztąd twojej pogardy. Oprócz tego jednego, co możesz mi pani zarzucić?

Wyrzekł te słowa jak człowiek pewien z góry swojej niewinności, przecież odpowiedź Anieli była bardzo różną od tej, jakiej się spodziewał.

— Czy pan chcesz to wiedzieć koniecznie, spytała krótko, czy i tak nie powiedziałam za wiele.

— Rzeczywiście, powiedziałaś pani zbyt wiele, ażeby mieć prawo się cofnąć, jestem tu pod pręgierzem — słucham. Jeszcze raz, co możesz mi więcej zarzucić?

— Co! wszystko, wyrzekła bez namysłu, a cóż uczyniłeś pan kiedy dobrego? na czym upływa pańskie życie? jaki z niego pożytek dla siebie lub drugich? Czy pomyślałeś pan kiedykolwiek że każdy człowiek ma cel na ziemi i posłannictwo do spełnienia? czy zastanowiłeś się nad obowiązkami, jakie wkłada każde położenie. Masz pan lat dwadzieścia pięć, jeśli się nie mylę i cóż ztąd? czy jesteś pan chociaż w stanie sam sobie wystarczyć?

Rajmund spodziewał się wszystkiego raczej niż podobnych zarzutów i stał przed nią czas jakiś oniemiały.

— Pani, zawołał wreszcie, czegoż żądasz ode mnie? cóż ja miałem uczynić.

— Na to sumienie każdego odpowiadać musi. Pan dotąd może nie zastanowiłeś się nad tem nigdy, a może też zasady w których się wychowałeś, wskazują ci wręcz przeciwne obowiązki. I cóż ztąd, że ci co sądzą się stworzeni do używania tylko a nie do żadnej pożytecznej pracy, wydają sami na siebie wyrok nicości i zagłady. Gdyby tak było istotnie, musiałabym litować się nad moralną nędzą, na którą się pan dobrowolnie skazałeś.

Cała istność Rajmunda oburzyła się na te dumne wyrazy.

— Tego zanadto, zawołał, nie chcę litości.

— Możesz jej pan nie żądać, ale zabronić nie potrafisz.

Uczuł że miała słusność i pokonany na każdym punkcie, pochylił głowę. Duma jego była złamana, daremnie szukał jakiegokolwiek punktu wyjścia z położenia, w które się wplątał; wszędzie widział przed sobą drogę zamkniętą,

wszędzie stawała mu w oczach piękna nieubłagana postać Anieli z wyrazem pogardy i litości, które paliły mu lica.

— Ha, zawołał wreszcie, jestem potępiony bezpowrotnie, potępiony we wszystkim. Czy słusznie? niech to Bóg osądzi. Ale ja muszę pani dowieść, że pogarda i litość twoja były przedwczesne. Usprawiedliwienie moje składam w ręce przyszłości. Może przekonasz się pani kiedyś, że nie wszystko com mówił było kłamstwem, może pożałujesz słów swoich.

Wyrzekł to z ponurą energią, kontrastującą dziwnie z pieśczoną powierzchownością jego, stłumionym, urywanym głosem, który wydobywał mu się zaledwie ze ścieśnionej piersi i wyszedł spiesznie. Atmosfera tego pokoju paliła go, widok Anieli olśniewał i pobudzał do szaleństwa, nie mógł znieść jej wzroku, a czuł że nie zdoła zapomnieć go nigdy, że scena ta wypaliła się ognistemi zgłoskami w jego sercu i sumieniu, zostawiając mu piętno hańby na czole. Piętno to, on musiał zmyć koniecznie, chociażby kosztem życia. To było jedyną myślą jego.

Aniela spoglądała za nim czas jakiś zamyślona. Może ona także zapytywała swego sumienia, czy

nie była nadto surową. Stała tak w miejscu przez długą chwilę, wreszcie, gdy turkot oznajmił jej odjazd Rajmunda i wpośród panującej ciszy zginął w oddaleniu, zbliżyła się do fortepianu i grać zaczęła jakąś dziką, burzliwą melodyę.

Rajmund ani wiedział sam, kiedy dojechał do Luborza. Machinalnie prawie wyszedł z tego salonu, gdzie tak niemiłosiernie rzucono mu w oczy jego własny obraz, odbity w jakimś strasznie, przewrotnem zwierciadle, machinalnie dał na siebie włożyć futro i wsiadł na bryczkę, nie mówiąc słowa woźnicy.

Zimny wiatr jesienny, daremnie uderzył czoło jego, nie mógł go ochłodzić. W głowie paliły mu się szalone myśli, serce uderzało gwałtownie. A kiedy zajechał przed dwór Luborzewski i spojrzął na te smutne ściany, gdzie się urodził i wychował, zdawało mu się, iż pomiędzy chwilą w której ztąd wyjeżdżał a powrotem, upłynęły jakieś długie wieki. Nie poznawał ani siebie, ani otaczającego świata.

Przecież wysiadł jak człowiek senny, przeszedł w milczeniu wielką sień i zamiast skierować się do portretowej sali, z kąd dochodziło go przez

szczeliny drzwi światło i trzask płonącego ognia, poszedł wprost do siebie.

Pani Żelisławska siedziała na zwykłym miejscu snując nic niezmaconych marzeń o przyszłości jedynaka. Wśród ciszy wieczoru, przerywanej tylko kiedyniekiedy wykrzyknikami Honoraty zatopionej w kombinacjach pasyansu, dosłyszała jego powrót. Było to bardzo wczesnie, on nie powinien był powrócić jak za godzin kilka.

Obie kobiety spojrzały na siebie z niepokojem. Pani Żelisławska załamała ręce przeczuwając zawczasu nieszczęście. Honorata zerwała się z miejsca. Usłyszały kroki Rajmunda ociężałe i niepewne, ale kroki te przeszły mimo drzwi, nie zatrzymując się przy nich.

— Tam się coś stało! zawołała matka.

— Czy on nie chory! szepnęła stara panna.

Czekały jeszcze chwilę, w całym domu panowała głucha cisza.

— Ja zobaczę co to jest, ja go się zapytam, wyrzekła znowu Honorata.

I nie czekając przyzwolenia ciotki, pobiegła przez ciemne, znane sobie dobrze korytarze do pokoju Rajmunda. Zapukała do drzwi, nikt jej nie odpowiedział.

— Rajmundzie to ja! czyś nie chory, zawołała przerażona.

Ale i tym razem wewnątrz panowała głucha cisza.

Honorata otworzyła drzwi i przy blasku księżycy, który jedynie oświecał wielki, ponury pokój, ujrzała swego kuzyna. Rzucił się on na krzesło, nie nie zdejmując z siebie i siedział z głową podpartą rękoma, z osłupiałym wzrokiem utkwionym wprost przed siebie.

— Rajmundzie, zawołała zbliżając się do niego i uderzając po ramieniu, czemuż mi nie odpowiadasz?

Zbudził się jakby ze snu.

— I czegoś chcesz, spytał nie odwracając głowy.

Głos jego był tak zmieniony, iż Honorata cofnęła się zdumiona.

— Cóż się tobie stało? szepnęła.

— Nic, zostaw mnie, wyrzekł przez zaciśnięte zęby.

— Ja cię nie mogę tak zostawić. Czyś nie chory?

— Nie.

Widocznie pragnął jej się pozbyć, rzecz ta jednak łatwą nie była.

— Rajmundzie! Rajmundzie, cóż ja powiem cioci, nalegała stara panna.

— Co chcesz, chcę, potrzebuję być sam, czy rozumiesz?

— Rajmundzie, czyżby panna Sielska...

Nie dokończyła zaczętej myśli, bo on zerwał się z miejsca słysząc wymówione imie, którego w tej chwili znieść nie był w stanie.

— Honorato, wykrzyknął ochrzypłym głosem, idź sobie, przez miłosierdzie zostaw mnie samego.

Było coś tak rozkazującego w jego tonie, że cofnęła się corazbardziej zmieszana gwałtownością, zdradzając jakiś stan wyjątkowy.

Chwilę jeszcze wstrzymała się przy drzwiach, czekając czy się nie namyśli, czego nie doda, lub nie zapotrzebuje. Ale on nie odwrócił nawet głowy w tę stronę.

Drżąca i zmieszana, powróciła do portretowej sali.

— Ciociu, ciociu, zawołała, rzucając się ku niej, Rajmundowi stało się coś strasznego, nie chce mówić, nie chce odpowiadać i prosi tylko żeby go zostawić samego w spokoju.

Stara kobieta nie wyrzekła nic, tylko pochyliła czoło z wyrazem ostatecznego pogiębienia, blade jej wargi poruszały się cichą modlitwą, skargą czy słowem zaczętem, skrzyżowane dłonie opadły na kolana, a łzawe oczy spoglądały w koło z wyrazem cichej boleści.

Panna Honorata nie uszanowała tego milczącego cierpienia, niepokój jej objawiał się głośno, hałaśliwie, lamentowała, troskała się, przywodziła na pamięć wszystkie złowrogie sny i ostrzeżenia kabały, przerywając co chwila panującą ciszę. Ale pani Żelisławska nie była w stanie jej odpowiadać. Jakikolwiek cios uderzył w jej syna, cios ten dosięgnął macierzyńskiego serca. A chociaż zboleła, krwawiło się ono znowu dla Rajmunda.

Godziny upływały ponure i powolne. Stary zegar oddawna wybił już dwunastą, żadna z dwóch kobiet nie zabierała się do spoczynku. Pani Żelisławska niejednokrotnie miała myśl pójść do syna, ale nie chciała być mu natrętną, czuła, że kiedy zażądał samotności, kiedy nie przyniósł jej swego cierpienia, było ono tego rodzaju że nie zносиło podziału, ani współczucia. Czekala więc nastawiając ucha na najlżejszy szelest, czekała

daremnie. A jednak co się tam dziać mogło za odległością kilku ścian oddzielających ją od pokoju Rajmunda? Szalone trwogi przychodziły do głowy biednej matki, którą koleje życia nauczyły, że wszystkiego złego lękać się należy. Aż wreszcie oczekiwanie dalsze było nad jej siły. Powstała z miejsca i nie zważając na prośby i przedstawienia Honoraty, chcąc ją zatrzymać lub wyręczyć, poszła sama do pokoju syna. Stała poddrzwiami z bijącym sercem. Ciche jej kroki nie doszły uszów Rajmunda, teraz w pokoju jego paliło się światło, a on sam zbierał i porządkował papiery, porozrzucane na biurku.

Weszła bez szelestu, nie słyszał jej tak jak i wprzód nie słyszał wejścia Honoraty, był odwrócony ode drzwi, mogła się zbliżyć, stanąć tuż zanim i spojrzeć przez pochylone ramię jego, na papiery, które trzymał w rękę.

— Rajmundzie, odezwała się drżącym głosem, co to wszystko ma znaczyć.

Odwrócił się nagle i ukazał jej twarz bladą. Teraz oczy jego straciły ten błędny, nieruchomy wyraz, jaki w nich dostrzegła stara panna, przeciwnie świeciły postanowieniem, a ciemne brwi

ściągnięte, nadawały mu wyraz energii, niewidziany nigdy.

Pochwycił ręce matki i przycisnął je do ust gwałtownym, namiętym ruchem. Na całym świecie była to jedyna istota, do której mógł się przygarnąć.

— Rajmundzie, powtórzyła strwożona, co to ma znaczyć.

Chciał odpowiedzieć, ale słowa, które miał wymówić były nadto bolesne, zamierały mu w gardle i drżały na ustach, nie mogąc się przez nie przecisnąć.

— Moja matko, zawołał wreszcie z wybuchem, dzisiaj rzucono mi w oczy obelgę, nazwano mnie nikiemzemnym.

— Ciebie, ciebie Rajmundzie, wyrzekła pani Żelisławska z rumieńcem oburzenia na białych licach, jakby niedowierzając uszom własnym.

— Mnie moja matko.

— To być nie może, zawołała i cóż ty na to mój synu, czyż ty nie zabiłeś człowieka co to śmiał uczynić.

Mówiąc to pobożna pani zapominała zupełnie o Ewangelicznej zasadzie, nadstawienia drugiego policzka, skoro jeden został uderzony.

— To była kobieta, odparł ponuro.

— Kobieta. I cóż ty na to mój synu, cóż ty na to?

Rajmund spuścił głowę i przygryzł wargi aż do krwi.

— Nie moja matko, bo... bo ona miała słuszość.

— Miała słuszość! zapewne nie zrozumiałam cię Rajmundzie.

Nie odpowiedział, tylko przeszedł się po pokoju, niespokojnym krokiem. Pani Żelisławska wodziła za nim wzrokiem, czekając wytłómaczenia słów, których pojąć nie była w stanie.

— Miała słuszość, powtórzył, zatrzymując się przed nią z jakimś gwałtownym postanowieniem, bo czyż życie moje dotąd nie było marne, bezpożyteczne, czyż nie żądałem tego com zdobyć nie był zdolny i nie mogąc sam dać sobie rady na świecie, czyż nie szukałem bogatego małżeństwa?

— I cóż to dziwnego, wszyscy tak robią.

— Być może iż tak robią niektórzy moja matko, ale tak robić nie powinni, dzisiaj powiedziano to w oczy mnie, twemu synowi, a ja musiałem zamilczeć, bo w duszy czułem się winny. Bo

w końcu nazwijcie to jakim bądź nazwiskiem, będzie to zawsze niedołęztwo i nikczemność.

Mówił to z tłumioną wściekłością, która pomimo słów mierzonych, tryskała mu z oczów i tkwiła groźną chmurą na czole.

— Mój synu, zawołała z głębokim żalem pani Żelisławska i to ja naraziłam cię na to, ja nakłaniałam cię do tych nieszczęsnych zamiarów, czy będziesz mógł mi przebaczyć?

— Nie mam żalu do ciebie matko, ja sam zawiniłem.

— Ależ ze strony panny Sielskiej, to niegodne, to haniebne.

Słowa te wywarły na nim dziwne wrażenie, bez wątpienia był obrażonym przez nią, nienawidził jej może, a jednak nie mógł znieść by ją potępiano.

— Moja matko, odparł zaciskając wargi, ona była w swoim prawie.

Spojrzała na niego jak na szaleńca, pojmowała jego oburzenie, gniew i wściekłość nawet, ale nie pojmowała przebaczenia ani tego co on mówił.

— W jakim prawie! Cóż miałeś innego uczynić? od wieków wiecznie Rajmundzie ludzie twojego urodzenia, podnosili świetność swego poło-

zenia przez stosowne małżeństwa, bo jakimże innym środkiem możesz odbudować fortunę twoich przodków. Tak było zawsze.

— Niestety. Czasy się zmieniają, nie chciałem tego widzieć, zasłaniałem oczy dobrowolnie, dziś przypomniano mi to dobitnie, przysięgam.

— Jesteś szalony Rajmundzie, czyż na świecie istnieje tylko panna Sielska.

— Drugi raz nikt nie powtórzy mi tego, co usłyszałem dzisiaj, nie narażę się na to nigdy, nigdy więcej.

I na samo wspomnienie doznanej obelgi, ogniasty rumieniec wystąpił mu aż na czoło.

Pani Żelisławska spoglądała niego niespokojnie, czuła iż w duchu jego działa się jakaś ważna przemiana, iż tam dojrzewało postanowienie jakieś.

— Więc cóż zamierzasz, spytała drżącym głosem.

— Co! zawołał z wybuchem energii, dość mam tego głuchego życia, dość mam tych dni i nocy nieskończonych, niezapełnionych niczem, spędzonych w beczynnych żalach i marzeniach. Ja muszę ztąd wyjechać.

— Wyjechać ztąd powtórzyła, i gdzież to, gdzie mój synu?

— Wszędzie gdzie jest droga otwarta. Moja matko, patrz na mnie, mam głowę i ręce, miejsce musi się znaleźć na świecie dla tego co ma silną wolę je zdobyć. Ja muszę dowieść tej kobiecie, że nie zasługuję ani na pogardę, ani na litość.

Powtarzał gorączkowo te słowa, które utkwiły mu w pamięci jak strzały zatrute, podnieciły w nim nieznaną energię i pędziły go w świat z szaloną żądzą zaprzeczenia im czynem.

— Rajmundzie, zawołała rozdzierającym głosem, to być nie może, ty nie jesteś stworzony do pracy i walki.

— Nie mów mi tego matko, bo gotowem ci wymawiać, żeś mnie wychowała w ten sposób. Daruj mi, to nie twoja wina — nie powinienem cię dręczyć. Ale czas niedołęztwa przeminął niepowrotnie i dla ludzi, którzy go z siebie strząsnąć nie potrafią, nie ma już miejsca pod słońcem. Jest to historia mego rodu. Ja nie chcę ginąć moja matko, ja nie chcę by mną pogardzano, by litoowano się nademną. Dzień dzisiejszy otworzył mi oczy.

Słuchała go z przerażeniem, które powoli mieniło się w oburzenie, odnajdowała bowiem w jego mowie, echo tych nowych idei rozkrzewiających się po świecie, a nienawidzonych przez nią całą potęgą rodowych tradycji. Ona, ostatnia z Luborzewskich, poświęciła całe swoje istnienie zachowaniu zasad, które wyssała z mlekiem, którym była wierną przez życie całe i starała się wpoić w Rajmunda z dumą macierzyńskiej miłości. I on, on reprezentant wielkiej przeszłości miał jej się przeniwierzyć dla kilku słów wymówionych niebacznie przez nieznaną dziewczynę, co nawet nie była w stanie ocenić zaszczytu jaki zamierzał jej wyrzucić. To było nadto bolesne.

— Rajmundzie, wyrzekła z energią obrażonej dumy, są obelgi niebędące w stanie nas osiągnąć pamiętaj o tem. Pamiętaj nadewszystko kim jesteś, coś winien samemu sobie, rodowi z którego pochodzisz.

— Moja matko, moja matko, wszystko to minęło, wszystko to powrócić się nie może. Dzisiaj ludzie mierzą się tylko osobistą wartością, tradycja stała się zbutwiałym łachmanem, za który kawałka chleba nie kupisz.

Syn wypowiedział w ten sposób wyznanie wiary, wcale różne od tego, jakiego miała się prawo spodziewać. To przejęło ją niewypowiedzianą zgrozą.

— Boże, zawołała padając na krzesło, mój syn odrzuca zasady ojców swoich, tego ciosu tylko mi nie dostawało.

Rajmund słuchał ją z brwią ściągniętą, rozpacz macierzyńska sprawiała mu boleść, ale nie mogła zachwiać postanowienia. Nie próbował z nią walczyć więcej bronią słów tylko milczał przygryzając wargi. Pomiedzy jej wolą a nim, stało niepodobieństwo.

— Boże! mówiła dalej pani Żelisławska i wszystko to stało się w jednej chwili, za sprawą jednego słowa wyszłego z ust nieznanych.

Wstrząsnął głową.

— Nie matko, wszystko to od bardzo dawna przychodziło mi czasem do myśli, tylko brakło mi odwagi; szedłem dalej torem przeszłości przez lenistwo, przez nikczemność, i doczekałem się pogardy, doczekałem litości ludzkiej. Chcesz żebym na nią zasługiwał wiecznie.

Było coś rozdzierającego w tem pytaniu, które stawiał jej w całej nagości faktów odartych

z szaty pozorów, zwracając na nią błagalne wej-
rzenie, obciążone cierpieniem.

— Matko, nie zatrzymuj mnie tutaj, nie przy-
kuwaj do tego bezczynnego życia, nad którym
wisi grom pogardy. Oh! ileż razy już chciałem
z niem zerwać, a lękałem się twoich wyrzutów
i smutku. Ale dziś ja nie wytrzymam tu dłużej,
ja nie będę śmiał podnieść oczów na żadną twarz
ludzką, ja umrę jeślibym tu musiał pozostać.

— I gdzież ty chcesz iść Rajmundzie?

— Nie troszcz się o to, jestem jeszcze dość mło-
dy by nabyć wiedzę, której mi braknie, bądź spo-
kojną o mnie, nie zapomnę o nazwisku jakie no-
szę, o tem że jestem twoim synem; nigdy więcej,
przysięgam ci na to, nie zasłużę na niczyją po-
gardę.

— Ależ mój synu, mówiła nawpół zachwiana
kobieta, na to co zamierzasz potrzeba materyal-
nych środków, potrzeba pieniędzy—a my ich nie
mamy.

— Jest to błędne koło, z którego wydobyć się
muszę. Będę walczył jak tyłu innych, dopóki nie
zdobędę sobie położenia. Dziś moja matko, ja nie
lękam się nędzy, trudu, samotności i zapasów ży-
cia—wiem że bardziej gorzka od tego wszystkie-

go jest—pogarda. Jeżeli potem com usłyszał nie skończyłem ze wstydu, nie roztrzaskałem sobie głowy pistoletową kulą, to dla tego tylko, że ja muszę zmyć ją z siebie koniecznie, ja nie mogę umrzeć pogardzony.

Ciche łzy płynęły zwolna po twarzy pani Żeliśławskiej, ulękła się jego rozpacz, rozumiała iż żadna siła ludzka zatrzymać go nie zdoła.

— Jedź, szepnęła matka, matki nie chowają synów dla siebie, wiem o tem, ani nawet dla idei którym służą. Być może, iż masz słuszość, ja tego wszystkiego zrozumieć nie potrafię, jestem na to za starą, już ja umrę w wierze w jakiej się wychowałam. I tak żyłam za długo, skoro doczekałam chwili, kiedy się drogi nasze rozchodzą.

— Nie mów tego matko, wołał Rajmund klękając u jej kolan, nie mów tego, chociaż nawet drogi nasze się rozdziela, serca zostaną złączone. Powrócę do ciebie, zobaczymy się w szczęśliwszej godzinie.

Nie odpowiedziała nic, tylko patrzyła z nieujęty m żalem w ukochaną twarz syna. Może pomyślała, że jedno słowo obcej kobiety więcej znaczyło u niego, niż cała jej miłość. Pocóż to jednak miała mówić, wiedziała dobrze, że wszystko było

daremne. W milczeniu i łzach przyglądała się pięknej twarzy jedynaka przez długą chwilę, potem położyła na nią znak krzyża.

— Mój synu wyrzekła wreszcie, postępuj według woli, jesteś człowiekiem, miłość moja zawsze towarzyszyć ci będzie, oby towarzyszyła ci tylko bojaźń i błogosławieństwo Boże.

Chciała powstać wymówiwszy te słowa, ale nie miała siły, musiała wesprzeć się na jego ramieniu i tak doszła do swego dokoju.

Nazajutrz we dworze Luborzewskim przygotowywano się do rzeczy niesłychanej, do wyjazdu Rajmunda. Wiadomość ta pochodząca od samej pani, rozniosła się szybko pomiędzy starymi sługami i doszła do Honoraty, która tę całą noc przebyła w daremnem oczekiwaniu. Było to dla niej uderzenie gromu. Mogła zrezygnować się na wszystko, mogła nawet odstąpić w myśli Rajmunda innej, szczęśliwszej, — ale widzieć go musiała koniecznie. Była to ostatnia miłość starej panny, pochłaniała wszystkie jej chwile, marzenia, wypełniała jej istność od tak dawna, iż rozstać się z nią nie mogła. Dnia tego ubierała się z takim pomieszaniem i pośpiechem, iż zapominała dopełnić wielu bardzo toaletowych sekre-

tów, ręce jej drżały z niecierpliwości, aż wreszcie wybiegła ze swego pokoju.

Szła po pustym domu, szukając komuby się uzalić, kogo zapytać o nadzwyczajne wypadki, gotujące się tutaj, aż wreszcie usłyszała głos Rajmunda w wielkiej sali i tam się udała.

Panna Honorata była blada i przestraszona, ale Rajmund zajęty był pakowaniem walizy, stojącej na środku pokoju, nie zważał na nią, dopiero kiedy stanęła tuż przy nim, powitał ją przyjaznym skinieniem.

Ona patrzyła na niego czas jakiś w milczeniu, pierś jej wzbierała łzami, aż wreszcie wybuchnęła na raz łkaniem i słowem.

— Ty wyjeżdżasz?

— Tak jest odparł, wyjeżdżam na długo.

— Wyjeżdżasz, ty wyjeżdżasz, powtarzała tonąc we łzach.

— Moja dobra Honorato, wyrzekł Rajmund, nie rozumiejąc jeszcze powodu jej żalu i przypisując go jedynie dobremu sercu i braterskiej przyjaźni. Ale te obojętne słowa podrażniły ją tylko zamiast uspokoić.

— Ja nie jestem dobrą, zawołała. I gdzież ty jedziesz, dla czego nas porzucasz?

Rajmund nie miał najmniejszej ochoty powtarzać jej to wszystko, co wczoraj mówił matce i nie zauważył zapewne energicznego zaprzeczenia, jakim przyjęła jego pochwały, bo wyrzekł raz jeszcze.

— Moja dobra Honorato.

— Jeszcze raz, ja nie jestem dobra.

Tym razem spojrział na nią i dostrzegł nadzwyczajną zmianę na jej zwykle uśmiechniętej twarzy.

— Cóż tobie się stało, zapytał zdumiony.

Honorata załamała ręce, za nadto długo milczała, zanadto długo żyła próżnem marzeniem, teraz musiała przemówić koniecznie. Daremnie spoglądała na niego wymownemi oczyma, on nie rozumiał tych wyznań bez słów. Ona przecież nie mogła pozwolić, by ostatnia nadzieja jej życia wysunęła jej się z rąk.

— Rajmundzie, szepnęła spuszczać w ziemię zapłakane oczy, czyż nie rozumiesz, że ja żyć bez ciebie nie potrafię!

Rajmund zerwał się z miejsca, bo gdyby nawet słowa starej panny były dla niego niepojęte, wyraz jej twarzy i wstydlawy rumieniec, świadczył o rodzaju uczuć, jakie miała dla niego.

— Ty, ty Honorato, zawołał z prawdziwym przerażeniem.

Ale ona nie była w stanie zapanować nad sobą i mówiła dalej:

— Tak jest, raz musimy mówić otwarcie, raz serca nasze porozumieć się powinny.

— Serca nasze, przerwał przestraszony Rajmund.

— Tak, serca nasze, dawno bijące jednozgodnie, zawołała stara panna. Oh! Rajmundzie! milczałeś, milczałeś uparcie, ale ja cię odgadłam. Ileż razy patrząc na ciebie, czytałam w twoich oczach to, czego usta wymówić nie śmiały, byłeś szlachetny, wielki, wspaniałomyślny jak mężczyzna być powinien, nie chciałeś wiązać losu mego wyznaniem uczuć niepodobnych do urzeczywistnienia na teraz, przecież ja nie chcę być mniej szlachetną od ciebie, ja niczego nie żądam w tej chwili rozstania, która musi być konieczną, niech wreszcie miłość przemówi.

Mówiła to z wzrastającym wzruszeniem, bo Rajmund oszołomiony tym wyznaniem i wszystkimi cnotami, jakie przyznawała mu Honorata, nie był w stanie jej przerwać tych czułych wy-nurzeń.

— Mów, mów śmiało Rajmundzie, wyrzekła znowu.

— Ależ ja nie mam ci nic wcale do powiedzenia odparł zakłopotany.

— Nie, powtórzyła błędąc, nie, to niepodobna. Ja nie mogłam się tak omylić. A te spojrzenia, te spojrzenia, Rajmundzie, zaklinam cię bądź szczerzy.

Wlepiała w niego błagalne wejrzenie.

— Jestem szczerym, przysięgam ci na to, pochwylił młody człowiek, rozumiejąc, że raz scenę tę skończyć trzeba.

— Jakto, jakto? zawołała rozziewając głosem.

— Uspokój się Honorato, miałem dla ciebie i mam braterskie uczucie, nic więcej—daję ci na to najświętsze słowo.

Stara panna stała jak wryta, był akcent prawdy w głosie Rajmunda, który nie pozwalał jej ludzię się dalej, różana nic marzeń co jedna stanowiła osłodę dla sierociego serca, pękła od razu. Cios ten przenosił jej siły.

— Oh! ja nieszczęśliwa! szepnęła zakrywając oczy rękoma.

W tej chwili świat cały wydawał jej się wielkiem cmentarzyskiem minionych nadziei, za nią

były czcze marzenia tylko, przed nią ciemność i cisza grobowa. Na osłodę dni co pozostawały jej jeszcze, nie miała ani jednej świetlanej chwili, ani jednej pamiątki szczęścia, którąby uieść mogła w zaświatowe kraje. Życie jej całe było oczekiwaniem tylko, próżnem oczekiwaniem tego co nigdy ziścić się nie miało.

Teraz daremnie wylewała gorzkie łzy żalu, upokorzenia, wstydu i zawodu, łzy te zamiast wywołać współczucie, ośmieszały ją tylko. Pilno jej było uciec z oczów Rajmunda, który sam nie wiedząc co z sobą począć, stał zmieszany, zapominając nawet o przygotowaniach podróży, któremi był zajęty.

— Kuzynko, odezwał się wreszcie, widząc łzy jej sączące się przez zaciśnięte palce, przebacz mi.

Chciał wziąć jej rękę, ale ona wyrwała mu ją gwałtownie i wybiegła z pokoju, odzyskując na tę chwilę, żywość lat szesnastu. Dążyła napowrót do swego pokoju, ale zanim tam doszła, spotkała panią Żelisławską.

Matka Rajmunda bardziej jeszcze blada niż zwykle, z oczyma podkrążonemi łzami i bezsennością, wyglądała jak widmo. Pomimo to jednak snuła się po domu, wydając rozkazy, myśląc

z drobiazgową troskliwością o wyprawieniu ukochanego jedynaka.

— Co tobie Honorato? zawołała spostrzegłszy zapłakaną.

Stara panna zatrzymała się zarumieniona, pytanie to było dla niej razem ulgą i boleścią.

Pani Żelisławska wytłumaczyła sobie łatwożły kuzynki, bo jej oczy także były we łzach.

— Honorato, on odjeżdża, porzuca nas na długo, może na zawsze.

— Ciocia płacze za synem, odparła z goryczą, a ja .. ja za kim mam płakać?

Stara kobieta nie zrozumiała znaczenia tych wyrazów i mówiła dalej:

— Tracimy ostatni promień słońca w tym starym domu, nasze oczy już się nim nie uwesela, Honorato pozostaniemy opuszczone, samotne.

Stara panna spojrzała na nią zawistnemi oczyma, w których palił się jakiś ponury ogień.

— Ha! zawołała, ciocia będzie o nim myśleć, będzie wspominać przeszłość, oczekiwać przyszłości, ciocia będzie marzyć i pamiętać. Ale ja!..

— Ty także Honorato!

Roześmiała się suchym spazmatycznym śmiechem, w którym drgały łkania.

— Ja! a cóż ja mam wspominać, czego się spodziewać, życie moje było marne, przeszło jak sen, ja dotąd czekam chwili jego rozpoczęcia, ja muszę, ja powinnam żyć, ja nie żyłam dotąd.

— Nie rozumiem cię, pytała pani domu, sądząc, że stara panna zmysły postradała.

— To łatwo nie rozumieć, łatwo szydzić, łatwo moralizować, a jednak ja także miałam prawo istnienia, mnie także stworzono na coś, dla czegoś, czemuż ja szalona życie całe czekałam.

— Czekalaś, na cóż czekałaś Honorato?

— Czekałam na tego coby mnie podniósł do godności ludzkiej istoty, coby otworzył przedemną szranki bytu, coby uczynił mnie użyteczną, szczęśliwą, coby mnie kochał, kogobym ja kochała. Ah! ja kochałabym tak bardzo, tak zupełnie, ja byłabym tak poświęconą żoną, ja świat mój cały zamknęłabym w nim jednym. A tak powiedz mi ciotko dla czego ja żyję?

Ta gwałtowna wymowa starej panny, wywołała bolesny uśmiech na blade wargi starej kobiety.

— Żyjesz ażeby cierpieć, odparła, tak jak wszyscy.

— Ja chcę cierpieć zawołała namiętnie Honorata, ja nie cierpiałam dotąd ja czekałam tylko.

— Alboż sądzisz, że dola kobiet bywa inną, patrz na mnie: miałam męża, mam syna. Czy myślisz, że w życiu mojem zaznałam jaką bądź słodycz, że wszędzie i na każdym kroku nie napotykałam boleści?—cierpiałam jako żona, cierpiałam jako matka, patrz, włosy moje zbielały, twarz zwiędła i pomarszczyła się od łez palących, tyś stokroć szczęśliwsza odemnie.

— Ja nie chcę tego szczęścia, ja zamienię go z rozkoszą na twoje cierpienia ciotko; jakkolwiek była dola twoja, ty żyłaś przynajmniej, ty możesz spokojnie umrzeć, ty spełniłaś ziemskie posłannictwo, siły twoje i zdrowie wyczerpały się w walce, nie masz prawa buntować się przeciw przeznaczeniu. Ale ja... Ja nie potrafię umrzeć spokojnie i w chwili śmierci wołać będę po co ja żyłam?

— Taka mowa jest grzechem Honorato, uspokój się, wypowiadaj, Bóg który skazał cię na taką dolę, zesze ci pociechę.

— Nie potrzebuję pociechy, bo i jakież jest

moje cierpienie. Chciałam kochać a nie miałam kogo, chciałam żyć a czekałam tylko. Zestarzałam się a nie byłam młodą, i gdybym umarła dzisiaj, nie zostawiłabym po sobie łez, ani śladu istnienia, tylko śmiech, śmiech szyderczy nad moją zmarnowaną dolą.

I śmiała się znowu z niewypowiedzianą go-ryczą.

— Honorato, wyrzekła łagodniej stara kobieta, marzenia i nadzieje młodości przeminęły dla ciebie, masz słuszność, przecież życie nasze nie zamyka się w samej miłości.

— Dla czegoż nie powiedziano mnie tego wcześniej moja ciotko, może wówczas nie byłabym zmarnowała całego istnienia. Ale nie, wszyscy w około powtarzali mi od dzieciństwa na wyści-
gi „Będiesz żoną i matką, li tylko żoną i matką, po za tem nie masz nic do czynienia na świecie“. Nie nauczono mnie niczego, nie wskazano żadnego celu, a ja czekałam, czekam dotąd. Kto mnie wróci próżne, marne, czeze, smutne dnie moje.

Mówiąc to przycisnęła dłonie do czoła, rozrzucając rozpaczliwym ruchem rzadkie kosmyki si-

więjących włosów, które dziś rano jeszcze z takim staraniem upinała nad czołem.

Pani Żelisławska spoglądała na nią w milczeniu. Sama przecierpiała tyle, tak była złamana tym ostatnim ciosem, iż skargi starej panny budziły w niej więcej zdziwienia niż litości. Cierpienie uważała za normalny stan człowieka, a szczególnie kobiety, jakimże prawem Honorata mogła się od niego uwolnić. Zresztą nie znajdowała by użalała się słusznie. Wszak ona nie miała syna skazanego na ubóstwo, w kwiecie młodości, nie miała syna, który porzucił dom rodzicielski, by wbrew wszystkim zasadom i ideom matki, szukać płatnej pracy upokorzającej w jej oczach. Żal Honoraty był więc bezzasadny, niedawie dziecinny.

A ona powtarzała nieustannie:

— Kto mnie wróci marne dni moje, na cóż oczekiwałam, co mi pozostaje na świecie?

Ale słowa jej przebrzmiewały napróżno wśród ścian starego domu, wśród zamieszania sprawionego wyjazdem Rajmunda. Honorata nie chciała widzieć go więcej, a kiedy konie unoszące młodego człowieka, ruszyły z przed ganku, zostawiając po za sobą lzy tylko, stara panna

chodziła niespokojnym krokiem po swoim pokoju powtarzając:

— Kto mnie wróci marne dni moje?

Czas upływał zarówno smutno i ponuro na folwarku i we dworze, tam jednak z dniem każdym rozjaśniał się on nadzieją. Grzeźłka nie potrzebował wzywać innych lekarzy, starania Halewicza przy współudziale Marylki i Konrada, były zupełnie wystarczające, ranny z każdym dniem miał się lepiej. Aż wreszcie nadeszła chwila, w której doktor oświadczył stanowczo, że Jan zupełnie wyszedł z niebezpieczeństwa.

Była to jasna słoneczna chwila, w której Grzeźłka zapomniał od razu o wszystkich przebytych cierpieniach. Syn był ocalony, na jego bladą twarz powracały z wolna barwy życia, a jednak wyrok doktora napełniający ogólną radością folwark Luborzewski, został przyjęty przez Jana z smutkiem, prawie niechętnie. Grzeźłka nie pojmował co to znaczy i przypisywał ten dziwny objaw osłabieniu lub chorobliwym wpływom, które dotąd nie ustąpiły jeszcze; ale Halewicz bardziej przenikliwy śmiał się pocichu.

Naturalnem następstwem powrotu Jana do zdrowia, było ostateczne oddalenie się Marylki, bo i tak w miarę jak stan jego się polepszał, przyjeżdżała coraz rzadziej, coraz krócej bawiła.

Przecież ona także zarówno z innemi cieszyła się szczęśliwym skutkiem starań swoich i siedząc przy tem łóżku, które wkrótce opuścić miała, przygotowywała szarpie na ranę niezgojoną jeszcze, powtarzając mu po raz setny, rozmaite przepisy ostrożności, wiecznie zapomniane przez niego.

Byli sami w pokoju. Jan słuchał ją w milczeniu z pochmurnem czołem.

— Tak jest, mówiła Marylka, za parę dni wstaniesz pan z łóżka i usiądziesz na tem fotelu gdzie ja teraz jestem, najdalej za dwa tygodnie będziesz pan mógł wyjść do innych pokoi.

— I cóż mi z tego przyjdzie, panno Maryo.

— Jakto! co panu przyjdzie, powtórzyła oburzona lekceważeniem tych ważnych wiadomości, będziesz pan coraz zdrowszy, coraz silniejszy, tak doktor powiedział.

— A czy będę szczęśliwszy?

— Naturalnie, bez zdrowia nie ma szczęścia, ciekawam bardzo co panu brakować może?

Pytanie to wywołało z jego piersi niecierpliwe westchnienie.

— Czegóż znowu pan wzdychasz, mówiła dalej z przewagą jaką dozorujący nabiera nad chorym, dotąd wolno było panu być smutnym, nieposłusznym, kapryśnym nawet, ale teraz nie masz już pan do tego wszystkiego prawa.

— A komużbym kaprysił, jak pani tu nie będzie?

Wymówił to z takim akcentem zepsutego dziecka, że Marylka uśmiechnąć się musiała.

— Oh! zawołała jeśli nieobecność moja, może wywołać takie błogosławione skutki, trzeba się spieszyć z wyjazdem.

— Więc byłem tak bardzo nieznośnym dla ciebie panno Maryo, zapytał z nieujętych wyrazem smutku i tkliwości.

— Niech się pan samego siebie oto zapyta, odparła żartobliwie.

Ale on pochwycił jej rękę, i patrząc w oczy powtórzył znowu:

— Czy byłem bardzo nieznośny?

Marylka zmieszana się tym ruchem i spojrzeniem, jakie mu towarzyszyło.

— Jesteś pan teraz nieznośny z temi pytaniami, odparła wysuwając rękę, którą on nie śmiał zatrzymać.

— Dawniej byłaś pani lepszą dla mnie, wyrzekł smutno.

— Dla czego?

— Kiedy miałem gorączkę, kiedy głowa moja pałała, widziałem nieraz niby we śnie, jak nachylałaś się pani nademną i kładłaś mi chłodną dłoń na czoło. Wówczas starałem się nie uczynić żadnego poruszenia, nie drgnąć ustami, nie zmróżyć powiek nawet, żeby cię nie spłoszyć. Czemuż te chwile przeminęły.

— Jak pan możesz wymawiać nawet podobne słowa, przerwała mu z oburzeniem.

— A czy pamiętasz panno Maryo, kiedy sama byłaś tutaj chora, bezsilna, a ja cię dozorowałem?

— Jakżebym mogła o tem zapomnieć? byłabym niewdzięczną.

— Ja nie o tem mówić chciałem, wyrzekł niecierpliwie, tylko ja wówczas także byłem szczęśliwy, pomimo gorączki, rany, niebezpieczeństwa, kiedy kładłaś pani rączkę na mojem czole.

Bądź to skutkiem tych wspomnień, bądź obrotu jaki brała rozmowa, Marylka zarumieniła się gwałtownie i szukała pretekstu aby ją przerwać.

— Gdzież idziesz panno Maryo, zawołał Jan załośnie, widząc iż powstała z miejsca.

— Idę po orszadę, którą panu doktor pić kazał.

— Nie chce mi się pić wcale, panno Maryo zaręczam ci.

— To nic, przyniosę ją na później.

— Widzę to, zawołał, powiedziałem coś, co się pani nie podobało.

Milczała.

— A jednak cóż ja powiedziałem złego? gniewaj się pani jeśli chcesz, to była czysta prawda.

Przez chwilę trwała cisza pomiędzy niemi, Marylka zapomniała o orszadzie, po którą isć jej było tak śpieszno.

— Panno Maryo szepnął ośmielony jej milczeniem, co ja pocznę jak mnie porzucisz, będzie mi tu źle bardzo.

— Będiesz pan myślał o tem, by jak najprędzej wyzdrowieć.

— A czy to panią będzie obchodzić?

— Spodziewam się, przecież gdyby mnie zdrowie pana nie obchodziło, nie byłabym tutaj.

Logika tej odpowiedzi nie uspokoiła go w zupełności.

— Ja się nie łudzę, przyjechałaś tu pani przez prostą wdzięczność tylko.

Nie przeczyła mu, nie mogła zaprzeczyć, jednakże gdyby kto zajrzał teraz w głąb jej serca, znalazłby może w niem coś więcej prócz wdzięczności.

— Gdybym wiedział przynajmniej, szepnął, że masz pani dla mnie choć trochę przyjaźni.

— Nie powinienes pan o tem wątpić.

Ale żądania ludzkie wzrastają w miarę jak są zaspokojone, aksjomat ten znany od dawna, sprawdził się na Janie, dla którego przyjaźń Marylki nie była wystarczającą.

— Panno Maryo, zawołał, nazwiesz mnie może strasznie wymagającym, przyjaźń twoja to za mało dla mnie, ja na niej poprzestać nie mogę.

— Panie Janie, odparła ze szkarłatnym rumieńcem na twarzy, dla czego pan mnie to mówisz?

— Bo cię kocham panno Maryo, wiesz to od dawna.

— Oh! zawołała zakrywając twarz rękoma, pan nie powinienes mi tego mówić, sądziłam

zem zasłużyła u pana choć na trochę szacunku, na trochę życzliwości.

Ale teraz on nie był w stanie zapanować nad sobą, ani zrozumieć w jakiej myśli to mówiła.

— Czyż znowu jak wówczas będziesz pani odpowiadać obcem imieniem, czy nie przekonałaś się dowodnie, jaką była jego miłość, alboż on kiedy kochał cię jak ja Kocham?

Spojrzała na niego oczyma pełnemi łez, z niewysłowioną boleścią na twarzy.

— Więc ja wyrzekła, mam być skazaną na wieczną poniewierkę, więc nie można przemówić do mnie inaczej jak słowem miłości, które jest zarazem obelgą, pokochałam raz nieszczęśliwa, więc serce moje może już do każdego należeć co wyciągnie po nie rękę. Oh! panie Janie to źle, to bardzo źle z pana strony.

Jan umilkł na chwilę, prawdziwy żal przebijający się w słowach biednej dziewczyny, sprawił mu jakieś przykre uczucie wstydu i niewyraźnego wyrzutu.

— Panno Maryo, zawołał wreszcie, Bóg widzi nie chciałem cię obrazić.

Przez ten czas i ona zapanowała nad sobą, otarła oczy i odparła z wolna.

— Nie mam prawa się o nic obrażać, czuję to. Tylko przez litość nie przemawiaj pan do mnie w ten sposób.

— Przebacz mi panno Maryo, nie powiem już nic więcej, tylko sądziłem, myślałem, bo w końcu cóż zamierzasz pani dalej czynić?

— Oddałeś mnie pan do domu, w którym znalazłam przytułek, opiekę i więcej jeszcze, zdrowe rady i przykład, nauczyłam się, że z każdego upadku dźwignąć się można, każdą winę odkupić pokutą. Ja nic więcej nie pragnę, na nic innego nie zasłużyłam. Chciałabym skryć się przed oczyma ludzkimi, pracować i walczyć pociohu.

— Dla czegoż walczyć panno Maryo, z czem?

— Ze złemi wspomnieniami, które nie powinny mieć mi spokoju ducha, z żalem i niewiarą co tak często obsiadają mi serce, z nieudolnością własną, bo ta czyni mnie bezużyteczną i staje na wspak dobrym zamiarom.

— I to życie wystarcza pani?

Podniosła na niego kryształowe spojrzenie.

— Dla czegożby mi wystarczyć nie miało?

— Bo zaznałaś pani inne wzruszenia.

— Oh! zawołała namiętnie, gdyby to można wymazać ze swojej pamięci, z przeszłości, gdyby to można odrodzić się na nowo.

Słuchał ją z bijącym sercem.

— Więc pani go już nie kochasz, zapytał wstrzymując oddech, by prędzej usłyszeć odpowiedź.

— Alboż ja wiem sama—wyrzekła, w sercu została mi tylko jakaś straszna rana, która boli za dotknięciem myśli.

Jakże daleką była od tej chwili, kiedy tak uparcie na przedstawienia jego odpowiadała: kocham i kocham.

— I ja sprawiłem ci taki ból, panno Maryo.

— To nic, odparła, powinnam przecierpieć. Nie tem wspomnieniem wyrządziłeś mi pan oios najdotkliwszy.

Zrozumiał ją zbyt dobrze, by pytać o więcej.

— Jakto, zawołał tylko, więc dlatego iż raz serce twoje panno Maryo popełniło omyłkę, masz się wyrzec na zawsze najśłodszych uczuć.

— Ja nie wiem, wyrzekła z prostotą, tylko kiedy pan mówisz mi o miłości, czuję się upokorzoną, zdaje mi się, że pan mną pogardzasz i znieść tego nie jestem w stanie.

Z kolei rumieniec wystąpił na bladą twarz Jana, uczuł w tych słowach dotkliwy wyrzut, którego ona przecież nawet myślą nie sformułowała; czuł iż Marylka zasługiwała na wiele więcej niż to czem ją darzył, iż wartość jej moralna stokroć przenosiła czyny. I stała się w nim jakaś wewnętrzna przemiana.

— Bądź spokojna panno Maryo, wyrzekł z łagodną powagą, nigdy więcej nie sprawię ci przykrości, przysięgam ci na to. Ale w zamian nie myśl nigdy o mnie nic złego, bo ja także tego bym znieść nie mógł.

Nie odpowiedziała mu, tylko podniosła na niego wzrok obciążony wdzięcznością, słodyczą i jeszcze jakimś miększym uczuciem, które przebijało się w nim mimo jej wiedzy.

Teraz zapanowało między nimi milczenie. Może w tej chwili nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia, a może też w czasie gdy usta były zamknięte, serca uderzały jednozgodnie i wyznawały wzajem wiele tajemnic.

Jak długo tak byli, żadne z nich nie potrafiłoby tego powiedzieć, milczeliby zapewne długo we dwoje, gdyby nie wejście Grzeźułki z Konradem.

— Panno Maryo, odezwał się stary nauczyciel, mrok zapada, konie zaszły, trzeba nam jechać.

Marylka powstała szybko i ubrała się do podróży nie mówiąc słowa. Dzierżawca dziękował jej z rozpromienioną twarzą za pomoc doznaną, jak gdyby jej zawdzięczał życie syna.

Raz jeszcze Marylka zbliżyła się do Jana, on wyciągnął do niej rękę drżącą wzruszeniem, pochwycił jej dłoń i przycisnął ją do ust. Zresztą nie wyrzekł słowa, może lękał się zawiele powiedzieć.

Za chwilę dzierżawca sam pozostał z synem. Po raz pierwszy od chwili pojedynku oddychał swobodnie, uwolniony od strasznej trwogi, jaka ciążyła nad nim. Jan wyszedł z niebezpieczeństwa, Jan z każdą chwilą miał się lepiej, ta sama myśl napelniała go niewypowiedzianem szczęściem.

Od kilku tygodni Grzeżółka tak gorliwie zwykle chodzący około swego gospodarstwa, on co tak literalnie trzymał się maksymy, że pańskie oko konia tuczy, zupełnie zdał się na łaskę ludzi i pomimo polepszenia stanu syna, nie był jeszcze w stanie powrócić do zwykłych zatrudnień.

Usiadł przy jego łóżku, jak to czynił przez wiele nocnych i dziennych godzin i patrzył na niego w miłości. Z tą tylko różnicą iż dotąd rozmyślenia miał bolesne, a teraz wypogodzona twarz, świadczyła o wewnętrznej radości.

Grzeźulka nie należał do rzędu ludzi umięających okazywać swoje uczucia, w chwili trwogi wymawiał szalone słowa, obiecywał poświęcić chociażby cały majątek, dla uleczenia rannego i z tego można było sądzić jak on mu był drogim. Wynagrodził sowicie doktora Halewicza, bo nie miał zwyczaju cofać nawet nierozważnie uczynionych obietnic, zresztą w tej chwili nie był w stanie obrachowywać się i targować, jednak pomimo te wszystkie oznaki miłości, siedząc przy Janie nie potrafił mu nic powiedzieć, chociaż serce jego było przepełnione.

Jan milczał także, może zmęczyła go długa rozmowa z Marylką, może nie czuł potrzeby podzielić się tem wszystkim, co przepełniało mu piersi, w uszach dźwięczały mu ostatnie wyrazy biednej dziewczyny i zapytywał samego siebie, czy rzeczywiście miłością swoją, chciał wyrzucić jej krzywdę? czy była ona w istocie dowodem pogardy?

Problemat ten był dotąd nierozwiązany w jego myśli. Bez wątpienia kochał Marylkę, choiał pozyskać jej wzajemność, ale przyszłość nigdy dotąd nie sformułowała się jasno w jego przekonaniu i pierwszy raz zastanawiał się nad nią. Tak leżał w jakimś błogim stanie pół snu pół marzenia. Mrok zapadł zupełny, noc grudniowa była ciemną zupełnie, wicher gwałtowny szumiał w dali wielkimi drzewami i wstrząsał ścianami niskiego folwarku, gnająo po niebie kłęby ciemnych chmur.

— Czy ty śpisz Janie, zapytył cichym głosem Grzezułka.

— Nie mój ojcie.

— Dla czegoż nie śpisz? Czy ci co dolega? czy ci nie gorzej?

— Przeciwnie, jest mi bardzo dobrze.

— Zupełnie dobrze? powtórz mi to jeszcze, zawołał z uniesieniem.

— Zupełnie.

— To dla czegoż nie śpisz? doktor powiada, że sen ci siły powróci.

Jan uśmiechnął się na ten rozkaz ojca, który trzymał się ślepo przepisów doktora.

— Nie można zawsze spać mój ojcie.

— A cóż ty robisz?

— Myślę.

— O czymże?

— O wielu rzeczach. Czy chciałbyś żebyśmy się ożenił?

— Ja pierwszy podałem ci tę myśl Janie, uszczęśliwiłbyś mnie, bo widzisz od tej chwili, kiedym cię o mało nie stracił, nie mogę się uspokoić. Ożeń się Janie, daj mi małego Grzeżulkę, którego piastowałbym na ręku, jak ciebie piastowałem.

Jan milczał, ale ojciec jego zachęcony tym tematem mówił dalej:

— Już ja odgaduję o czym myślisz, nie darmo panna Aniela tak bardzo zajmowała się tobą. A czy wiesz, że Rajmund od tygodnia porzucił Luborz i pojechał gdzieś w świat, na nie wiedzieć jak długo.

— Wyjechał, zawołał Jan z niezwykłą żywością, którą ojciec wytłumaczył sobie według chęci.

— A tak, widocznie nie miał tu co dłużej robić.

Po tych słowach znowu ojciec i syn utonęli w zadumie, tylko ojciec myślał o panie Anieli a syn o Marylce. I znowu pomiędzy nimi zapanała głucha cisza.

Gdy nagle ciemność zalegająca pokój, rozjaśniła się jakimś nagłym czerwonym błyskiem który rozświetlił jak ogień gromu wszystkie kąty i najdrobniejsze sprzęty. Ale kiedy po piorunowym blasku powraca ciemność pierwotna i światło to nie zagasło, tylko przeciwnie podnosząc się i opadając jak fala, coraz jaśniejszym czyniło pokój, migocząc po szybach i rozpościerając się na niebie złowrogą luną.

Jednocześnie zewsząd rozległy się krzyki „gore, gore”, pełne przerażenia i zgrozy. Grzezułka porwał się z miejsca, nie potrzebował jednak wychodzić z pokoju by przekonać się gdzie był pożar. Odwracając się do okna ujrzał szczyty Luborzewskiego dworu, okrążone ognistymi wężami płomieni. Na ten widok stanął jak wryty, twarz jego zmroczyła się i wykrzywiła szyderyczym wyrazem, przez chwilę patrzył w okno nieruchomy wreszcie wyciągnął ramiona ku stronie pożaru, jak gdyby grożąc i urągając.

— Ha! przekłete gniazdo, wyrzekł głucho. I wybiegł z pokoju.

Od czasu wyjazdu Rajmunda, dwór Luborzewski stał się głuchym jak grób prawdziwy. Panna Honorata pogrążona w melancholicznej zadu-

mie, grożącej monomanią, zapomniała zupełnie o starannem ubraniu, o jasnych sukniach, kokardach, a nawet o zwykłej szczebiotliwości swojej; passyanse i kabały kładła tylko z przyzwyczajenia, nie przywiązując już do nich żadnego znaczenia. Zawiodły ją nadto boleśnie; siedziała cały dzień nieporuszona, powtarzając tylko od czasu do czasu niewyraźnym szeptem.

— Kto mi wróci zmarnowane dni moje?

Pani Żelisławska, której zdrowie od dawna było podkopane, nie mogła przenieść ostatniego ciosu, zadanego ręką ukochanego syna. Nie skarżyła się, nie zmieniła nic w trybie swego ascetycznego życia, modliła się i spowiadała jak dawniej, tylko coraz powiększał się ciemny krąg otaczający jej powieki, codzien była bardziej blada, codzień wstawała później i wcześniej udawała się na spoczynek, aż w końcu o własnej sile nie była w stanie przejść z pokoju do pokoju.

Nie było przy niej nikogo, coby zwrócił uwagę na te zatrważające symptomata, a z resztą był to rodzaj choroby, na który nie było lekarstwa. Ta kobieta strawiona długoletniem pasmem cierpień, dogorywała zwolna jak lampa wyczerpana.

Codzień jednak o zwykłej godzinie, kazała się prowadzić do portretowej sali, zasiadała przy kominkowym ogniu i wpatrywała się godzinami całemi w ten długi szereg przodków, jak gdyby wiodła z nimi tajemniczą rozmowę i opłakiwała czasy minione. Z nimi była swobodniejszą jak z dzisiejszemi ludźmi, czuła się między swojemi, rozumiała bodźce ich czynów, ich myśli kierownicze. A teraz, wszystko było dla niej obcem nu świecie, nawet zasady własnego syna.

Tak siedziała dnia jednego blada i zamyślona jak alabastrowy posąg pomiędzy temi malowanemi twarzami. Lampa paliła się na bocznym stoliku, a przy nim Honorata, machinalnie przerzucała karty.

Ona także od tych dni kilkunastu zestarzała się bardzo, była to ta sama postać i rysy, tylko traciły nagle ożywiającego je ducha, a żółta twarz jej pozbawiona sztucznego uśmiechu, gorączkowego podbudzenia jakie ją cechowały, miała jakiś idjotyczny wyraz, świadczący iż wraz z jedyną nadzieją miłości i zemścicia, stara panna straciła niejako rację bytu. I nie dziw, Honorata żyła tą tylko myślą od lat wielu, iż kiedy jej zbrakło pastwy dla wyobraźni, kiedy ostatnia

rozmowa z Rajmundem odjęła jej spóźnione złudzenia, nie mogła już zdobyć się na żadną nową nadzieję i powtarzała tylko:

— Kto mi wróci zmarnowane dni moje.

Pomiędzy temi dwiema kobietami, chociaż stanowiły one dwa rozbitki minionego świata, rozmowa była niepodobną. W sali więc panowała milczenie, przerywane tylko wichrem jesiennym, łamiącym suche gałęzie w ogrodzie, szmerem ognia i wahaniem starego zegaru, który mierzył te ponuro upływające godziny.

Nagle w pokoju zaczęło robić się coraz jaśniej, błyski złowrogie migały po szkieletach drzew otaczających dom i ukazywały je przez wielkie okna coraz wyraźniej, jednocześnie powietrze w pokoju stało się ciężkie i gryzące, bo siny dym wciskać się zaczął przez wszystkie szpary i szczeliny.

Ani pani Żelisławska, ani Honorata, nie zauważyły tego, świat zewnętrzny jakby nie istniał dla nich.

Trwało to czas jakiś, było coraz goręcej i dymniej, aż wreszcie krwiste języki płomieni wdarły się do sali i lizać poczęły szereg portretów zawieszonych wprost na przeciw pani Żelisławskiej.

Właśnie miała oczy utkwione w piękną dziewczycę w stroju zakonnym, kiedy wąż ognisty obwinał się koło jej głowy. Ten widok dopiero wyrwał ją ze stanu odrętwienia, w jakim się znajdowała, wyciągnęła ręce, chciała biedz na ratunek i nie miała siły.

— Boże! co to jest, zawołała.

A tymczasem wizerunek dziewczicy, przedwiekowej ofiary przemocy, błyszczał, czerniał i mienił się w popiół, portret zajmował się od portretu, zbutwiałe lamperye i obicia płonęły, atmosfera w sali stała się nie do wytrzymania.

Honorata wiedzona instynktem zachowawczym, rzuciła się do drzwi i cofnęła się odstraszoną dymem i płomieniem. Dom cały był w ogniu, a gwałtowny wichur podzegał go, roznosząc w koło iskry i zarzewie. Trzask walących się belek i wściekły huk pożaru, głuszył krzyk ludzi zbiegłych na ten widok.

Stary dom modrzewiowy był łakomą pastwą dla ognia, który objął go w jednym momencie, czyniąc niepodobnym ratunek.

Honorata jak szalona biegała po pokoju, a widząc zatamowaną drogę ucieczki, zupełnie straciła głowę. Przez żadne z trojga drzwi prowadzą-

cych do sali wyjść było niepodobna, o wybiciu zaś okna i wydobyciu się wprost na ogród, nie była zdolną pomyśleć.

Niemoc i przerażenie obezwładniło zupełnie panią Żelisławską, raz i drugi probowała powstać nadaremnie, więc złożyła ręce i wzniosła oczy do góry oczekając śmierci. A tymczasem drogie jej wizerunki jedne po drugich zamieniały się w popiół.

Zdawało się, że dwie kobiety były już przeznaczone na śmierć niechybną, gdy nagle jedno z okien padło pchnięte z zewnątrz silnem ramieniem, a przez ten wyłom wśród iskier i dymu, wskoczyła postać mężka.

Honorata widząc drogę utorowaną, rzuciła się do ucieczki, a nowoprzybyły pomimo dymu napełniającego salę, dostrzegł panią Żelisławską nieruchomą na krześle, porwał ją jak dziecko na ręce i niósł do wybitego okna.

Ona na wpół zduszona i omdlała otworzyła oczy, skoro owiało ją zimne powietrze i z przerażeniem spostrzegła, iż zbawcą jej był Grzezułka.

To już było nad jej siły, zmysły opuściły ją znowu.

W ogrodzie stała Lipkowska i cała dworska służba, krzycząc, biegając, lamentując i nie robiąc nic wcale. Dzierżawca chciał oddać panią ich opiece, ale nikt nie był dość silny, by dźwignąć ciężar zemdlonego ciała. Ogród też nie dawał żadnego schronienia, a przejmujące zimno nie pozwalało zostawić tutaj chorej kobiety.

Grzezułka pragnął czempredzej pozbyć się nieawistnego ciężaru i oglądał się z pewnym niepokojem co z nim zrobić. Pierwszą myślą jego było kazać zanieść panią Żelisławską do plebanii. Ale plebania stała blisko dworu, wiatr niósł na nią rozpalone szczątki, dach już zajął się płomieniem, a cały ratunek skierował się do zagrożonego kościoła.

Dzierżawca pomyślał o własnem mieniu i nie czekając dłużej pobiegł na folwark, niosąc zawsze zemdloną kobietę.

Oddalenie folwarku od dworu, a nadewszystko kierunek wiatru i gęszcze ogrodowe stanowiły dla niego skuteczną obronę. Niebezpieczeństwo było tu prawie żadne, Grzezułka przekonał się o tem dążąc do siebie. Wszedł do mieszkania i złożył pod swoim dachem śmiertelną nieprzyjaciółkę.

Lipkowska, która pierwsza spostrzegła niebezpieczeństwo swojej pani i zwróciła uwagę dzierżawcy na to, że ona była w palącym się domu, teraz biegła za nim zdyszana, zaledwie mogąc mu nadażyć i naraz też wpadła do folwarku.

Grzezułka też rad był że mógł jej oddać opiekę nad panią Żelisławską.

— Oh! zawołała stara służka, Bóg to panu nagrodi.

Ten gwałtowny objaw wdzięczności nie podobał się wcale dzierżawcy, a nawet zmieszał go w pewien sposób. Uczynek jego bowiem był więcej instynktowny jak rozmyslny. Dla tego też odezwał się opryskliwie:

— At nie ma o czem mówić. Jużćie skoro mnie tam licho przyniosło, nie mogłem pozwolić, by kobieta upiekła się jak kurczę. A teraz ratujcie ją jak możecie, róbcie co chcecie, ja umyвам ręce.

Wyszedł unikająco widocznie dalszej rozmowy.

Lipkowska trzeźwiła swoją panią, starania jej jednak były bezskuteczne, to ostatnie wstrząśnienie wyczerpało gasnące siły dziedziczki Luborza, otworzyła oczy, spojrzała w koło i zamknęła je znowu z niewypowiedzianem przerażeniem.

Chciała dźwignąć się, porwać nieco z tego nie-
nawistnego miejsca, ale ~~nie~~ ^{nie} wymówiły jej posłu-
szeństwo.

— Boże! szepnęła tylko, dom moich ojców się
spalił, wizerunki ich obróciły się w popiół, a ja...
ja... umieram pod dachem Grzezułki... Żyłam za
długo...

Lipkowska wybuchnęła głośnym płaczem.

Pani Żelisławska próbowała uśmiechnąć się do
niej, ale uśmiech skonał na zsiniałych wargach.

— Idź szepnęła tylko, proś księdza proboszcza,
powiedz że umieram—powiedz—niech się spieszy.

Głowa jej opadła, mgliste oczy utonęły w prze-
strzeni, w czasie kiedy Lipkowska podniosła się
ze łkaniem by wykonać ten rozkaz.

Śmierć zbliżała się szybkim krokiem. Ksiądz
Kaleniec cały przerażony, przywdział na prędcę
komżę i przyszedł udzielić chorej ostatnie sakra-
menta. Honorata, Lipkowska, domownicy otoczy-
li w koło biedne, pożyczone u wrogów posłanie,
na którym konała ostatnia z hrabiów Luborzew-
skich.

Ale szklisty wzrok umierającej zdawał się je-
szcze kogoś szukać, a kiedy wszedł do pokoju

dzierżawca, wzrok z zatrzymał się na nim błagalny.

— Przebaczcie, szeptała zaledwie słyszalnym głosem, ja przebaczam—Rajmu...A.

To były jej ostatnie słowa. Czy polecała syna pozostającym, czy słała za nim tylko myśl swoją, to pozostało tajemnicą tej chwili.

Śmierć ma straszny majestat, Grzeźulka który przed chwilą jeszcze gniewny i szydrczy odpychał podziękowania za ratunek udzielony nieprzyjaciółce, teraz stał przy jej zwłokach wzruszony.

Rzeczywiście, było coś przerażającego w śmierci tej kobiety tak dumnej, tak nieubłaganej za życia, którą los rzucił samotną i opuszczoną pod dach nienawistny. Jeśli grzeszyła dawniej, kara równała się winie.

I znowu w Luborzu płynęły jednostajnie dnie zimowe. Grzeźulka okazał się wspaniałomyślnym dla pozostałych, wyrestaurował w dworskiej oficynie, która mniej ucierpiała od ognia, parę pokoi i tam umieścił Honoratę pod opieką Lipkowskiej.

Jan tymczasem zupełnie powrócił do zdrowia i uzyskawszy na to pozwolenie doktora, pojechał czempredzej do Jedlina.

Grzezułka znowu niespokojnie oczekiwał na syna, a kiedy powrócił wreszcie promieniejący szczęściem, ojciec spoglądał na niego radośnie i oczekiwał na zwierzenia.

Jan jednak nie spieszył się z niemi. Parę razy przeszedł się po pokoju, aż wreszcie zatrzymał się przed dzierzawcą, którego oczy chodziły za nim ciekawie.

— Czy pamiętasz mój ojczy, wyrzekł wreszcie, kiedy przyjechałem tutaj, ty namawiałaś mnie do małżeństwa, a ja wykladałem ci moje teorye w tym względzie.

— Spodziewam się, że pamiętam, mówiłaś doskonale, jakby z książki.

— Teorye moje jednak uległy małej zmianie.

— Jaktó! czy panna Aniela nie jest dość bogatą?

— Tu nie o nią idzie.

Dzierzawca aż podskoczył na miejscu.

— Nie o nią, alboż nie byłaś w Jedlinie?

— Byłem mój ojczy, ale jak ci mówiłem, zasady moje uległy zmianie. I zamiast pannie Anieli, oświadczyłem się Marylce.

Grzezułka załamał ręce i wpatrywał się w syna, jakby nie był pewnym, że dobrze usłyszał. Przecież wyczytał na jego twarzy tyle pogody, tyle szczęścia, iż okrzyk oburzenia zamarł mu na ustach.

— Ha! wyrzekł po długiej chwili, wiesz najlepiej, co masz czynić. Zresztą jesteś człowiekiem, patrafisz sam wystarczyć rodzinie. Oj wy młodzi, wy młodzi. A byłbym za ciebie przysiągł że tak zrobisz jak mówiłeś.

— Nie gniewaj się na mnie mój ojczy, bo do prawdy wówczas nie byłem i w połowie tak szczęśliwy jak teraz, nie pojmowałem nawet że tak szczęśliwym być można.

Mówił to z rozrzewnieniem, które powoli opadowywało Grzeżułkę.

— Mój synu odparł, Bóg widzi, kiedy zeniłem się z moją nieboszczką, nie myślałem o tem, że może mieć pieniądze, ani że się nazywa Żeliszławska. Obyś był tak jak ja szczęśliwy.

W parę tygodni później, ksiądz Kaleniec dawał ślub młodej parze.

A Aniela zapytają może czytelnicy, a Rajmund?

Niestety! przyszłość obojga należała do tych, które natychmiast rozwiązać się mogą. Ale panna Aniela czynna, energiczna i odważna, gospodaruje w Jedlinie. Rajmund walczy i pracuje, a jeśli czyny swoje potrafi zharmonizować z zasadami, jeśli kiedy dowiedzie Anieli, że nie zasługuje więcej ani na pogardę, ani na litość, jeśli stanie się człowiekiem—kto wie jak go ona przyjmie za powrotem.

K O N I E C.

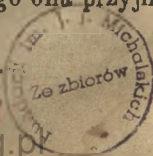
INSTITUT

BADAŃ LITERACYJNYCH PAN

Biblioteka <http://rcin.org.pl>

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa



256 →

314, 314-315, 350, 352, 353

359 360, 380, 384

434, 445, 448, 461

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

F

2166

<http://rcin.org.pl>